

Prolog

Tłum zgromadzony na galerii spojrzął w stronę wahadłowych drzwi, w których pojawił się sir Martin Freeman. Chirurg przywitał się ze swoim zespołem. Sala operacyjna numer 2 w College Hospital, jednym z najbardziej nowoczesnych szpitali w kraju, była już przygotowana. Jak zawsze, gdy przy stole operacyjnym stawał Freeman, galeria wypełniała się po brzegi. Dzisiaj zamierzał wykonać dość niezwykłą operację – chciał zrekonstruować ludzką twarz.

Ponieważ Freeman opublikował pracę dotyczącą nowej metody operowania poważnych deformacji twarzy, zabieg wzbudził ogromne zainteresowanie. Poza medykami na galerii zgromadzili się dziennikarze z największych gazet i dzienników. Wielu ich kolegów, którzy nie mieli dość odwagi, aby obserwować przebieg operacji, czekało na zapowiedzianą przez Freemana konferencję prasową. Wokół stołu operacyjnego rozmieszczono kamery. Nagranie miało w przyszłości służyć celom dydaktycznym.

Freeman ubrany, podobnie jak pozostali członkowie zespołu, w zielony kitel, rozejrzał się po sali, spojrzął na galerię i przez mikrofon oznajmił, że jego pacjentką będzie trzydziestotrzyletnia kobieta.

– U panny Marsh mamy do czynienia z wadą wrodzoną – mówił szybko, polykając pojedyncze zgłoski. – Jej wygląd sprawił, że większość życia spędziła w zakładzie psychiatrycznym. Pacjentka nie jest upośledzona umysłowo. To nie niski iloraz inteligencji, ale deformacja żuchwy sprawiła, że chora nie mogła nawiązać kontaktu z otoczeniem. Nie rozumiał jej prawie nikt. Odstraszący wygląd doprowadził do wyłączenia jej z normalnego życia. Krótko mówiąc, panna Marsh została skazana na samotność. Zanim, jako dziecko, zdołała zrozumieć, że różni się od otoczenia, już została odseparowana od świata.

Freeman skinął na anestezjologa, który zdjął z twarzy pacjentki maskę tlenową i odwrócił chorą w ten sposób, żeby widzowie mogli zobaczyć jej twarz. Na galerii zgromadziło się głównie grono medyczne, a mimo to po sali przeszedł szmer niedowierzania.

– Jak państwo widzicie, pacjentka ma silnie rozbudowaną, wysuniętą żuchwę, a przy tym bardzo małe, spłaszczone czoło. Chciałbym dzisiaj zlikwidować obydwie wady.

Freeman przerwał pozwalając, aby szum na widowni przycichł. Nie drażniła go żywiołowa reakcja publiczności. Jak większość chirurgów, tak i on należał do ekstrawertyków i cenił sobie aplauz, a członkostwo w większości prestiżowych organizacji medycznych utwierdzało go jeszcze w poczuciu własnej wartości. Z jego postaci biła ogromna pewność siebie; stał opierając rękę na biodrze, a gdy mówił, wyzywająco unosił głowę.

– Zacznę od wewnętrznej strony policzka – mówił – przetnę kość z obydwu stron i usunę identyczne fragmenty. W ten sposób żuchwa cofnie się prawie o dwa cale i osiągnie prawidłowe rozmiary. Tu pojawia się pierwsza trudność... – Freeman teatralnie zawiesił głos i spojrział w górę. Poruszenie na widowni wskazywało, że osiągnął zamierzony cel. – Aby podnieść czoło panny Marsh, musimy, krótko mówiąc, oddzielić kości trzewnej części czaszki od mózgowej. W ten sposób uzyskamy pole, w którym wszczepimy protezę. Przymocujemy ją do kości, a następnie pokryjemy skórą. Jeżeli operacja się powiedzie, panna Marsh obudzi się jako zupełnie inna kobieta, bez widocznych blizn i zniekształceń.

Po widowni znów przeszedł pomruk. Leżąca przed nimi kobieta, po raz pierwszy w życiu, miała szansę wyglądać normalnie. Próbowano dociec, jak odbierze tę zmianę, lecz nawet najwytrwalsi dyskutanci ugięli się pod ciężarem postawionego problemu. Dotychczas jej egzystencja graniczyła z piekłem: ta kobieta była wybrykiem natury, mutantem wzbudzającym odrazę. Teraz, w ciągu zaledwie kilku godzin, wszystko to miało się zmienić. Gdy wyjdzie ze szpitala, będzie mogła pójść po zakupy czy na spacer do parku, by karmić kaczki pływające po stawie. Będzie mogła żyć normalnie, nie rzucając się w oczy.

– Wszystko w porządku? – Freeman spojrział na anestezjologa.

– W porządku. Śpi jak zabita – odpowiedział człowiek w zielonym kitlu siedzący u wezłowania. Dla potwierdzenia swoich słów mężczyzna popatrzył na otaczające go monitory. Każdy regularny, zielony punkcik ukazujący się na ekranie, był poprzedzony cichym dźwiękiem.

– Zaczynamy – powiedział Freeman wyciągając rękę.

Instrumentariuszka podała mu skalpel.

Na sali zapanowała cisza, od czasu do czasu przerywana krótkimi poleceniami Freemana i szybkimi odpowiedziami pielęgniarki.

– Tampon. Zrobisz to? – Freeman cofnął się kilka kroków i popatrzył na galerię. Jego asystentka, młoda kobieta, oczyszczała pole operacyjne z napływającej krwi. – To rutynowe postępowanie – objaśnił Freeman. – Teraz przetnę kość pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Ktoś z galerii zapytał o ten kąt. Freeman rzucił odpowiedź takim tonem, jakby otrzymał dziecinnie proste pytanie, które nie wymagało wyjaśnienia.

Instrumentariuszka podała Freemanowi wiertło połączone z szarą skrzynką stojącą na wózku obok stołu operacyjnego. Chirurg nacisnął guzik i rozległ się

warkot pracującego silnika. Asystentka Freemana poprawiła klamry i haki tak, aby od strony jamy ustnej uzyskać lepszy dostęp do kości żuchwowej.

– Trochę na lewo – rzucił ostro Freeman.

Asystentka nerwowo poprawiła klamry.

Cała sala wypełniła się zapachem przypalonej kości. Chirurgiczna piłka milimetr za milimetrem drażyła żuchwę pacjentki. Szklana szyba dzieląca galerię od sali zatrzymywała i pył, i zapach.

Gdy kość została przecięta, silnik gwałtownie zmniejszył obroty. Całą procedurę powtórzono i Freeman wyjął w końcu z pola operacyjnego fragment kości, który położył na metalowej nerce podanej przez pielęgniarkę. Potem zamienił się miejscami z asystentką i usunął identyczny odcinek żuchwy z drugiej strony. Włożył go do tej samej nerki.

Wszyscy podnieśli się z miejsc obserwując, w jaki sposób Freeman nastawia żuchwę. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kość zmieniła kształt formując zgrabny podbródek.

– Unieruchomię kości w takim położeniu.

Widownia zamarła, obserwując poczynania chirurga.

– Zostało jeszcze czoło – oznajmił Freeman. Odwrócił się do anestezjologa. – Nadal wszystko w porządku?

Lekarz skinął głową.

– Wykonam cięcie tuż przy linii włosów aż do skroni w ten sposób, abym mógł zdjąć wszystkie warstwy tkanek pokrywających kość. Potem założymy implant, przymocujemy go i uzupełnimy przecięte tkanki. Całkiem proste, prawda? Trzeba jednak zachować dużą ostrożność ze względu na sąsiedztwo gałki ocznej i nerwu wzrokowego. Przecież nie możemy dopuścić do powikłań.

Obserwatorzy wstrzymali oddech śledząc wzrokiem pewny ruch skalpela. Pielęgniarki sprawnie usuwały krew tryskającą z uszkodzonych naczyń.

– Teraz odsunę przecięte tkanki.

Widzowie pootwierali usta ze zdziwienia, widząc, jak chirurg zdejmuje je warstwa po warstwie. Freeman odsłonił kość – białą, połyskującą, wilgotną.

– Implant.

Instrumentariuszka podała protezę. Freeman miał poważne kłopoty z umieszczeniem jej we właściwym miejscu. Asystentka wyciągnęła ręce, żeby mu pomóc, ale w tej samej chwili Freeman przeciął sobie rękawiczkę. Podniósł prawą dłoń, aby pokazać dziurę.

– Siostró, poproszę nową.

Pielęgniarka zmieniła mu zniszczoną rękawiczkę. Freeman znowu próbował założyć implant, lecz ponownie musiał się poddać. Proteza była zbyt duża i nie mieściła się w polu odsłoniętym przez chirurga. Wziął następny skalpel.

– Po prostu trochę więcej miejsca – mruzczał, odcinając kolejne fragmenty tkanki. Wtem zeszytniał.

– Sir Martin, czy wszystko w po... – asystentka przerwała w pół słowa.

Chirurg odsunął się od stołu i wypuścił skalpel, który poszybował w powietrzu i trafił asystentkę prosto w twarz, pozostawiając ziejącą ranę. Kobieta krzyk-

nęła z bólu. Freeman przyciskając ręce do piersi, przewrócił się na podłogę. Na oczach publiczności rozgrywał się dramat.

– O Boże! On nie żyje! – krzyknął ktoś z galerii.

Oczy wszystkich zebranych zwróciły się na młodą, trzydziestokilkuletnią asystentkę, która stała z dala od stołu, ze zsuniętą maską, i ręką zakrywała lewą połowę twarzy. W jednej chwili podbiegły do niej pielęgniarki. Między palcami kobiety krew kapiała na białą podłogę sali operacyjnej tuż obok stołu, gdzie leżała pogrążona w głębokim śnie, nieświadoma rozgrywającej się wokoło tragedii, pacjentka.

Widzom udzielił się nastrój panujący na sali. Podniosła się wrzawa.

– Cisz! Proszę o ciszę! – krzyknęła instrumentariuszka.

Przerażona lekarka spojrzała na audytorium, rozejrzała się po sali i słabym głosem zwróciła do pielęgniarki:

– Proszę coś zrobić z moją twarzą.

– Musisz operować dalej – odezwał się anestezjolog.

Nie odpowiedziała, bo pielęgniarka właśnie zakładała jej szwy. Kiedy tylko skończyła, lekarka rzuciła:

– Zaklej to plastrem. Szybko!

– Czas płynie – zwrócił uwagę anestezjolog. Na monitorze pojawiły się pierwsze niepokojące sygnały, poddając nerwy medyków strasznej próbie.

Gdy pielęgniarka przyklejała plaster, z sali wyniesiono ciało Freemana. Asystentka niepewnie podeszła do stołu.

– Nożyce!

Mimo że widownia odnosiła się z sympatią do młodej lekarki, wszyscy zamarli widząc, jak niezdarnie bierze podane narzędzie. Upuściła je.

– Nożyce! – powtórzyła. W jej głosie słychać było olbrzymie napięcie. Instrumentariuszka podała kolejną parę.

– Chryste! Popatrzcie, jak jej się trzęsą ręce! – szepnął ze zgrozą ktoś na galerii. Wszyscy wiedzieli, że ma rację. W duchu modlili się, żeby wystarczyło jej sił. Tylko spokojnie... tylko spokojnie... wszystko będzie dobrze. Lekarka naciągnęła na założoną protezę odcięte tkanki. Były naprężone do granic wytrzymałości.

– Nerw wzrokowy! Na litość boską, nerw wzrokowy! – znów odezwał się ten sam głos.

– Rany boskie! Ta kobieta odbierze jej wzrok! – szepnął ktoś inny.

1

— Twój ostatni tekst, ten o skorumpowanej służbie zdrowia, jest pierwszorzędny – stwierdził jeden z ludzi przy barze.

– Ave, Caesar... – uśmiechnął się młodszy, siedzący obok niego.

– Chwałę, bo zasłużył. Wielu dałoby sobie rękę uciąć za taki artykuł. Nawet tutaj nie brak ci rywali – odparł i skrzywił się, widząc, kto do nich podchodzi.

– Kawał dobrej roboty, Kincaid. Jak ty to robisz?! – zapytał z odrobiną sarkazmu nowo przybyły. Mówił niewyraźnie, lekko sepleniąc.

– Po prostu talent, Conroy – odezwał się najstarszy z mężczyzn, zanim Kincaid zdążył cokolwiek powiedzieć. – Znasz takie słowo? T-A-L...

– Bardzo zabawne, Fletcher. Ciekawe, kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że trzeba kuć żelazo póki gorące.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, a Kincaid i Fletcher ruszyli w poszukiwaniu wolnego miejsca na sali.

– Dobry artykuł – dobiegł ich głos od stolika zajętego przez czterech mężczyzn.

– Dzięki.

– Chwała niedoścignionemu – zanucił Fletcher, gdy tylko znaleźli wolny kąt. – Balsam pochwał na twoją duszę.

– Nikt nie wie o tym lepiej od ciebie – zripostował Kincaid. – Teraz, jako naczelny, masz wolną rękę i Conroy nie dorasta ci do pięt.

– A może on ma rację? Może liczy się ilość, a nie jakość?

– Nonsens! – zaperzył się Kincaid. – Co on może wiedzieć? Całe życie strawił na wyszukiwaniu tanich sensacji. Czy to, według ciebie, jest dziennikarstwo?

– Ale tego chcą czytelnicy. Nie ma nic miłszego nad odrobinę sensacji w niedzielny poranek: niewybredny dowcip, ciepłe ciało małżonki, a po takich przyjemnościach porządne śniadanie.

- Masz cięty język, Fletcher.
- A propos, nasz nowy minister zdrowia chce rozpocząć następny etap swojej reformy.
 - Zdrowie po raz... Carlisle nie umie się trzymać na uboczu, co?
 - Ma charyzmę – odparł Fletcher – a to rzadka cecha wśród polityków. A jeżeli zależy mu na karierze w ministerstwie zdrowia, to musi złapać wiatr w żagle. Na razie świetnie sobie radzi.
 - I pewnie zastanawiasz się, dlaczego inni robią wokół niego tyle szumu? – zapytał Kincaid.
 - Twierdzą, że on się angażuje. Może właśnie na tym polega różnica – odparł Fletcher.
 - Polityk? Angażuje się? Co im przychodzi do głowy? – zachnął się Kincaid i spytał: – Jeszcze raz to samo?
- Fletcher skinął głową i czekając, aż Kincaid wróci z baru, przejrzał wieczorną gazetę.
 - Widzę, że podchwycili twoją historię. Powiedz, jak wpadłeś na ten szatański pomysł?
 - Stary kumpel podpowiedział mi, że dochodzenie Carlisle'a na jego terenie spowodowało, iż kilku ważniakom bardzo zrzędył miny. Złapałem trop i zacząłem węszyć wokół sprawy. Wyniki poszukiwań były co najmniej zaskakujące. Nie zostawiłem na tych draniach suchej nitki.
 - Czasami zastanawiam się, czy w tym cholernym kraju znalazłby się chociaż jeden uczciwy facet – powiedział Fletcher.
 - Oczywiście, że tak... Ja.
 - Właśnie. Przejrzałem dzisiaj twój kosztorys.
 - Jestem wzruszony.
 - Dzwoniłem po południu do naszego wspaniałego wydawcy – rzucił niby od niechcenia Fletcher.
- Kincaid spojrzał podejrzliwie na zwierzchnika.
 - I co? – zapytał.
 - Okazało się, że po twoim artykule Carlisle też do niego dzwonił.
 - Pewnie z gratulacjami – zażartował Kincaid.
 - Wątpię. Trudno się tego spodziewać po tym, jak zmieszałeś z błotem jego ludzi – odparł Fletcher.
 - Czego, w takim razie, chciał?
 - Najwyraźniej on traktuje tę sprawę bardzo poważnie. Mówił, że takie historie tylko potwierdzają, iż szpitalnictwo wymaga daleko idących zmian. Zaraz dodał, że to on je przeprowadzi.
 - I co dalej?
- Fletcher uśmiechnął się krzywo, Kincaid był wyjątkowo oporny.
 - W porządku – ustąpił. – Carlisle niedługo dostanie forszę na to przedsięwzięcie i nie rozumie, dlaczego prasa nie chce mu pomóc i zająć się pozytywnymi aspektami reformy.
 - Stara śpiewka – wtrącił Kincaid.

– On ma rację. Słyszałem, że *Northern Health Scheme* odniósł ogromny sukces, a Carlisle miał swoje powody, by rozpocząć reformę w tej waszej dziurze. Ponoć College Hospital w Newcastle jest teraz jednym z najbardziej nowoczesnych ośrodków medycznych w Europie.

– Moim zdaniem reforma jednego szpitala to za mało, żeby zyskać poparcie zwykłych ludzi.

– Może. Tylko że to dopiero początek. Słyszałem, iż niedługo zajmą się reformą opieki ambulatoryjnej.

– Poczekamy, zobaczymy – odparł Kincaid. – Dowiem się o wszystkim w najbliższy weekend.

– Chcesz odwiedzić córkę?

Przytaknął.

– Pora na następnego drinka?

Kincaid spojrział na zegarek i pokręcił przecząco głową.

– Muszę zaraz lecieć. Pociąg nie będzie czekał.

– Co słyszać u Kerry?

Kincaid wzruszył ramionami.

– Na swój sposób jest szczęśliwa.

Fletcher nie pytał o nic więcej. Wiedział, że dla Kincaida to bardzo drażliwy temat.

– Skoro już tam będę, rozejrzę się po College Hospital.

– Carlisle byłby zadowolony – odparł Fletcher.

– Nie w tym rzecz – odpowiedział Kincaid. – Intryguje mnie sprawa tego chirurga, który zmarł w czasie operacji. Słyszałeś o nim? Niejaki sir Martin Freeman.

– Tak. Koszmarne historia.

– Interesują mnie losy jego pacjentki – kontynuował Kincaid.

– Operację skończyła asystentka Freemana. Rzecznik szpitala oświadczył potem, że chora czuje się dobrze.

– Ale nikomu nie pozwolono jej zobaczyć – odparł Kincaid. – Naszym zaprzyjaźnionym fotoreporterom zabroniono zdjęć. Słyszałem plotki, że wskutek operacji ta kobieta straciła wzrok.

– Dowiedzielibyśmy się o tym, gdyby coś poszło nie tak – powiedział Fletcher.

– Możliwe – odparł Kincaid. – Kto to dla nas robił?

– Facet o nazwisku Grant.

– Wiesz coś o chorej? – zapytał Kincaid.

Fletcher wzruszył ramionami i powiedział:

– Tylko tyle, że nazywa się Greta Marsh i większość życia spędziła w zakładzie psychiatrycznym. Harrington Hall... tak, chyba tak się nazywał.

– Dlaczego umieściłeś to na pierwszej stronie? – zapytał wprost Kincaid.

– Bo Freeman zapowiedział konferencję prasową po zakończeniu operacji.

– Po co?

- Prawdopodobnie, żeby poinformować dziennikarzy o szczegółach zabiegu. Był chyba dosyć skomplikowany. Pewnie chciał zyskać rozgłos, częściowo dla siebie, częściowo dla reformy.
- Chyba jednak sam rzucę na to wszystko okiem.

Kincaida czekała długa podróż na północ, więc rozsiadł się wygodnie w fotelu i wsłuchał w rytmiczny stukot silnika diesla. Za oknami ostatni podróżni żegnali się z bliskimi, a konduktor w za ciasnym uniformie dreptał wzdłuż wagonów i zapraszał podróżnych do środka. Kincaid widział tę scenę niejedną raz. Podróżował na północ tak często, jak tylko mógł – przynajmniej raz w miesiącu. Przemierzał taki szmat drogi, aby odwiedzić córkę, która przebywała w zakładzie dla dzieci upośledzonych umysłowo. Jak zwykle zatrzyma się u swojego owdowiałego ojca mieszkającego w Newcastle. Często spędzał u niego tylko sobotnią noc, a w niedzielę wieczorem wracał do Londynu, ale tym razem zamierzał zostać dłużej. Ostatni artykuł kosztował go wiele wysiłku i należało mu się kilka dni odpoczynku.

Kropki deszczu rytmicznie uderzały o szybę i spływały wąskimi strużkami, zabierając ze sobą osiadły na oknie kurz. Pociąg powoli ruszał ze stacji. Ilekroć jechał do Kerry, tym bardziej gdy pogoda była szczególnie brzydka i pociąg wyjątkowo brudny, zadawał sobie niezmiennie jedno pytanie: czy to ma jakikolwiek sens? Przecież, jak zgodnie twierdzili lekarze, nie poznawała go. Jego obecność nie sprawiała jej żadnej różnicy.

Więc dlaczego tam jeździł? Ponieważ nie wierzył lekarzom – tak brzmiała krótka, szczerza odpowiedź. Pozostał sam na placu boju. Jego była małżonka, matka Kerry, Julie, już dawno się poddała. Mieszkała na północy z nowym mężem – księgowym. Prawdopodobnie miała cholernie wygodne, bardziej bezpieczne niż u boku dziennikarza, życie.

Nikt nie zajął fotela naprzeciwko, więc Kincaid wyciągnął wygodnie nogi. Oparł głowę tak, że na tle ciemnego nieba widział druty telefoniczne tańczące coraz szybciej i szybciej, w miarę jak pociąg nabierał prędkości. Patrzył na nie, dopóki powieki nie były zbyt ciężkie, aby je jeszcze raz podnieść.

Gdy spał, rysy jego twarzy łagodniały. Miał trzydzieści sześć lat i wyglądał na swój wiek, a odziedziczona po przodkach atletyczna sylwetka świadczyła, że był nieodrodnym synem rodziny, w której od pokoleń pracowano albo w stoczni, albo w kopalniach na północy kraju. Jego rysy, chociaż nie toporne, nie należały do zbyt subtelnych. Nie wyróżniałby się z tłumu opuszczającego o piątej po południu bramy fabryki albo tłoczącego się w sobotni wieczór przed stadionem podczas meczu rugby. Był pierwszym z Kincaidów, który wstąpił na uniwersytet i uniknął harówki pod dyktando fabrycznej syreny. Skończył studia na wydziale anglistyki w Newcastle University, a ponieważ nie miał serca do pedagogiki, a szczególnie nie tolerował stosowanych metod dydaktycznych, więc został dziennikarzem. Jak większość małomównych, skrytych osób, dostrzegał o wiele wię-

cej niż inni. Rozumiał skomplikowaną ludzką naturę, bo był uważnym obserwatorem. Nie miało to większego znaczenia na początku, gdy zajmował się głównie relacjami ze słubów, imprez charytatywnych, poszukiwaniem zaginionych psów i opisywaniem sprawnych akcji zdejmowania kotów z drzew, ale z czasem zaczęło procentować. Powoli wspinał się po szczeblach kariery, aż wyjechał na południe. Był ambitny i starał się, by uważano go za wiarygodnego i docieklivego dziennikarza. Chociaż włożył w to wiele pracy, nigdy nie pozbył się regionalnego akcentu, ale wrodzony urok i szczery uśmiech zjednywały mu ludzi. Potrafił zyskać ich zaufanie.

Kincaid ocknął się, gdy mijała go grupa hałaśliwej młodzieży. Dwóch wyrostków idących po bokach niosło butelki z piwem, pomagając ślaniającemu się między nimi trzeciemu kumpłowi. Ślady na koszulce świadczyły, że chłopak zwiłmiał, zanim zdążył dojść do toalety. Kincaid rzucił jeszcze okiem na zawieszoną na ścianie reklamę kolei i znowu zapadł w sen. Kiedy się obudził, była szósta rano. Zbliżali się do Newcastle.

Gdy wysiadł z pociągu, miasto było spowite poranną mgłą. Kincaid zadrzał i roztarł zziębnięte dłonie. Krople rosy osiadłe na filarach dworca, spływały wąskimi strumyczkami, tworząc na ziemi małe jeziora, między którymi przemykał czarny kot, poruszający się bezszelestnie w obawie przed niewidzialnym wrogiem. Zapach mocnej kawy i kojarzące się z nim uczucie ciepła sprawiły, że Kincaid poszedł w stronę dworcowego baru. Zamiast kawy dostał wstrętną, gorzką lurę, która jednak miała jedną, niewątpliwą zaletę – była gorąca. Poza tym pasowała do kanapki z przesolonym bekonem.

Jak zawsze, tak i tym razem, zamierzał przespacerować się ulicami Newcastle. W myśl niepisanej umowy nie mógł zjawić się u ojca przed ósmą. Staruszek miał dzięki temu czas na poranną toaletę, a Kincaid mógł odwiedzić miejsca, gdzie spędził swoją młodość i w ciszy poranka wspominać szczeniące lata.

Zapach rzeki Tyne, zwłaszcza wczesnym rankiem, gdy powietrze nie nasiąkło jeszcze spalinami, miał w sobie coś urokliwego. Zawsze pozostawał mu w pamięci zapach odwiedzanego miejsca. Wolał to niż oprawne albumy pełne wspinających zdjęć. W gruncie rzeczy, na jeden zapach składało się wiele elementów tworzących niepowtarzalną mieszankę. Środkowy Wschód miał swój szczególnie zapach. Także kraje śródziemnomorskie. Paryż pachniał na swój sposób, a Madryt na swój. Nawet Londyn miał w sobie coś wyjątkowego. Lecz teraz, tutaj, czuł zapach rzeki zatopionej w mglistym, kwietniowym poranku. Zarzucił torbę na ramię i ruszył ulicą, między wznoszącymi się po obu stronach, opustoszałymi o tej godzinie, magazynami.

Początkowo zadowolony, że może rozprostować nogi, powoli zaczął odczuwać zmęczenie. Nie ulegało wątpliwości, że miasto popada w ruinę, a dzielnica portowa powoli niszczyje. Słyszał nad głową krzyki przelatujących mew, dochodził go trzepot ich skrzydeł. Niedawno w tym samym miejscu aż uszy bolały od

hałasu młotów, którymi przybijano deski w budowanych statkach. Mieszkańcy portu wierzyli w swoje szczęście i chlubili się miastem, które powstało dzięki ich pracy i poświęceniu. Zatrzymał się, żeby przeczytać tabliczkę informacyjną przymocowaną do ogrodzenia, którego nie było ostatnim razem – w tym miejscu miały powstać trzy nowe domy spokojnej starości. Dla zachęty umieszczono zdjęcie pary uśmiechniętych, objętych w pół starszych ludzi, a pod nim małymi literami wypisano warunki wynajmu mieszkań. Zastanawiał się, czy w ogóle budowano tu jeszcze normalne mieszkania.

Tak jak się spodziewał, tylne drzwi w domu ojca były otwarte. Rynna wymagała szybkiej naprawy, kurz i mech porastały północną ścianę budynku, gdzie zawsze panowała wilgoć. Cegły chłonęły wodę jak gąbka, a słońce rzadko tam zaglądało.

– Witaj, staruszkule – rzekł ciepło Kincaid, widząc ojca stojącego przy małej kuchence i smażącego boczek.

Starzec wykrzywił się w uśmiechu, odsłaniając pozbawioną zębów szczękę. Roześmiał się gardłowo.

– Chcesz trochę?

– Nie. Wziąłem coś ze sobą. Co u ciebie?

– Nic nowego. Herbaty?

Kincaid skinął głową.

Ojciec wlał herbatę do ciemnobrazowego dzbanka i podał Kincaidowi. Ten dolał sobie mleka i wysypał cukier z otwartej torby.

– O której pojedziesz do swojej dziewczynki?

– Najwcześniej po południu.

– Moglibyśmy zabawić się wieczorem. W klubie będzie jakiś kabaret.

– Nie wiem – odparł Kincaid. – Chyba będę zajęty.

– No to baw się dobrze.

Starzec umilkł dając do zrozumienia, że jest rozczarowany odmową.

– A może teraz? – zaproponował Kincaid. – Chyba dają tam piwo o tej porze, co?

– Mnie pasuje – powiedział starzec.

Usiedli w niewielkim salonie.

– Chłodno tu – odezwał się Kincaid zacierając ręce.

– Bo nie palę w piecu z samego rana.

Kincaid wiedział, że wkracza na grząski grunt, lecz po chwili namysłu powiedział ostrożnie:

– Jeżeli to kwestia pieniędzy...

Jack Kincaid spojrzał na syna w taki sposób, że ten przerwał w pół słowa.

– Już ci kiedyś powiedziałem, nie potrzebuję twoich pieniędzy. Nie chcę tej cholernej forsy. Mam emeryturę i dodatki, mam też swój honor, więc nie wracajmy do tej sprawy. Jasne?

– Jesteś uparty.

- Ale tak postanowiłem.
- Kincaid musiał się pogodzić z porażką.
- Nagle Jack Kincaid dostał ataku kaszlu.
- Bierzesz coś na to?
- Byłem w czwartek u lekarza. Dał mi jakieś pigułki. Tylko nie pytaj, zrędo, wszystkie biorę.
- A powiedział ci, co to jest?
- Zapalenie oskrzeli. Starzeję się. Ot i cała tajemnica.
- Kincaid spojrział na papierosy i zapałki leżące na stole.
- Tylko nie praw mi morałów – ostrzegł go ojciec.

– Chwałą cię za ten artykuł o korupcji na górze – zaczął Jack Kincaid, gdy schodzili ze wzgórza w stronę klubu.

- Nie na samej górze – poprawił go Kincaid. – Kto ci o tym powiedział?
- Pracownica z opieki. Wpadła, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Ona kupuje to wasze czytało.

Kincaid nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc takie określenie.

- Kilku wysokich urzędników służby zdrowia brało łąpówki. Nic więcej.
- Też mi nowina! Człowieku, pokaż mi urzędnika, który ich nie bierze.

Klub, do którego chadzał Jack Kincaid, został zbudowany dla pracowników stoczni dwadzieścia lat temu. Spółkę dawno rozwiązano, a klub nadal żył swoim powolnym rytmem, służąc głównie emerytom i bezrobotnym. Od dobrych dziesięciu lat nie znalazły się pieniądze na remont, był więc w opłakanym stanie. Pokryte plastikiem ławy ustawiono przy laminowanych blatach, wokół brudnych, zadymionych ścian i pod, nie pasującymi do reszty wyposażenia, żyrandolami. W powietrzu unosił się zapach dymu papierosowego i zwietrzałego piwa. Kincaid kupił przy barze dwa kufle chmielowego trunku i przyniósł je do stolika, gdzie siedział ojciec. W południe było tu już tłoczno.

- Sporo ludzi – powiedział Kincaid.
- Sobotni lunch – wyjaśnił ojciec. – Wszyscy czekają na striptiz.

Kincaid nie odezwał się więcej. Rozmyślał nad potęgą show biznesu. Jakby czytając w myślach syna, Jack Kincaid powiedział:

- Ja, synu, pamiętam jeszcze czasy, gdy występowała tu Shirley Bassey.

Mężczyzna o czerwonej, nalanej twarzy, trzymając w rękę mikrofon, wyszedł na środek sali. Czytał z kartki odsuniętej na długość ramienia.

- A teraz, panie i panowie, gwiazda, na którą wszyscy z niecierpliwością czekaliśmy – zaczął wzniośle. Akcentował każdą sylabę jak uczeń recytujący wiersz. – Nasza słodka Monique!

Z głośników popłynęła ogłuszająca muzyka, a na środek sali wybiegła, poruszając się w rytm muzyki, szczupła, jasnowłosa dziewczyna. Ubrana była w pasterski strój podobny do tych, jakie w połowie lat pięćdziesiątych propagowała Doris Day. Skrócono jedynie spódniczkę.

Bo jestem zwykłą dziewczyną, która nigdy nie powie ci: „nie”...

Patrząc prowokacyjnie na publiczność, dziewczyna włożyła palec do ust. Wyglądała dość żałośnie i bardziej przypominała Kincaidowi przestraszoną dziewczynkę występującą na szkolnej akademii niż tancerkę z nocnego klubu.

– Jezu! – wyszeptał ojciec.

Dziewczyna poruszając się rytmicznie, zdejmowała kolejne części dopóki nie została w samej bieliźnie. Po kilku nieudanych próbach, wyraźnie zdenerwowana, szybkim ruchem odpięła biustonosz i rzuciła go za siebie.

– Mam większe pryszcze na dupie niż ona cyce! – stwierdził mężczyzna przy stoliku obok.

– Ściągnij resztę! – krzyknął ktoś z przodu, a jego głos wybił się ponad szum sali.

– Nie, jeszcze nie! – zawołał inny. Tym razem towarzyszyły mu salwy śmiechu.

Monique nagle zatrzymała się. Z falującą piersią, stała nieruchomo i nienawistnym wzrokiem wpatrywała się w publiczność. Zatrzymano muzykę. Przez moment wszyscy – i publiczność, i prezydent, czekali na to, co się stanie.

– Wy cholerne gnoje! – krzyknęła dziewczyna i krzyżując dłonie na nagich piersiach, z płaczem wybiegła z sali.

Jack Kincaid spojrział na syna.

– Eh, człowieku, czasy się zmieniają! – powiedział.

Po południu zaczęło padać. Kincaid przemókł do suchej nitki, biegnąc wysadaną drzewami aleją z przystanku autobusowego do ośrodka.

– Nie najlepsza pogoda na odwiedzinę – przywitała go siostra przełożona.

Kincaid z trudem zdołał przywołać na twarz uśmiech. Nie lubił tej kobiety. W czasie poprzednich wizyt pouczała go, prowadziła jak dziecko za rękę, krytykowała, zadreżczała swoją nadgorliwością. Nie była szczególnie rozgarnięta, a na dodatek stale myliła wykształcenie z inteligencją. Dla Kincaida była wzorem sierżanta w spódnicy. Nigdy nie przychodziły jej do głowy nowe pomysły, lecz powielala wciąż te same schematy.

Zostawiwszy mokry płaszcz w przedsionku, Kincaid zapytał:

– Pani Wilton, jak ona się czuje? – Starał się unikać słowa „siostra”. Nie miał zamiaru, tytułując ją w ten sposób, dawać wyrazu obłudnemu szacunkowi.

– Tak jak zwykle, panie Kincaid – odparła Ethel Wilton. Jej monstualny biust spoczywał na skrzyżowanych, wspartych na brzuchu dłoniach, a twarz otoczona sztywnym kometem, wydawała się bardziej kwadratowa niż kiedyś.

– Żadnej poprawy?

Kobieta zmierzyła go wzrokiem i odpowiedziała:

– Nie sądzę, abyśmy mogli się spodziewać jakiegokolwiek poprawy. Chyba rozmawiał pan z lekarzami?

– Tak. Powiedzieli mi to samo. – Kincaid uśmiechnął się lekko. – Ale ja wciąż mam nadzieję. Widzi pani, kiedyś naukowcy twierdzili, że ziemia jest płaska. Na zdrowy rozum, mieli rację, prawda? Gdyby było inaczej, wszyscy pospadalibyśmy...

Spojrzała na niego lodowato, wskazała drzwi i odwróciła się.

Kincaid wszedł do sali, gdzie pod opieką dwóch pielęgniarek, sześcioro dzieci bawiło się plastikowymi klockami. Kerry była wśród nich. Dziewczynka spojrzała na ojca stojącego w drzwiach, ale go nie poznała, bo szybko odwróciła głowę. Kincaid usiadł obok córki i podał jej kilka klocków. Chociaż automatycznie wyciągała po nie ręce, to Kincaid czuł każde dotknięcie jej palców. Po całym ciele przeszedł go dreszcz. Poglądził ręką jej włosy i odgarnął kosmyki niesfornie opadające na czoło.

– Cześć, Kerry! – powiedział.

Dziewczynka odwróciła głowę.

– Kerry, kto to jest? – zapytała pielęgniarka, którą Kincaid widział tutaj po raz pierwszy. Starła się oderwać dziecko od zabawy, ale Kerry opierała się, walcząc ze wszystkich sił.

– W porządku – Kincaid zwrócił się do pielęgniarki. – Proszę ją zostawić.

– Czy ona pana zna? – zapytała pielęgniarka.

Tym pytaniem ugodziła Kincaida w samo serce. Popatrzył na nią i cicho powiedział:

– Nie, ona mnie nie zna, ale ja znam ją. I to doskonale. To moja córka.

Cały czas obserwował dziewczynkę. Kerry rozrzucała klocki bez żadnej wyraźnej przyczyny, ale Kincaid za każdym razem zbierał je i podawał córce. Cieszył się w duchu, gdy udało jej się postawić jeden klocek na drugim. Przez moment, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się, miał wrażenie, że go poznawała. Lecz ta chwila szybko minęła i natychmiast pojawiła się myśl, że był to jedynie rezultat jego nadmiernie rozbudzonej wyobraźni. Musiał przyjąć rzeczywistość taką, jaka była. Gdyby jednak w jego domysłach tkwił choćby cień prawdy, Kerry uczyniłaby go najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Gdy nadszedł czas pożegnania, szepnął:

– Do zobaczenia, Kerry. Wkrótce znów przyjadę.

Pieszczotliwie potargał jej włosy i poklepał delikatnie po ramieniu, ale dziecko nie zwracało na niego uwagi.

Kincaid złapał pierwszy autobus w stronę miasta. Jak bohater starych, archiwalnych filmów, jechał przed siebie, bez żadnego celu. Inni wracali do domów, gdzie mogli odpocząć, rozmyślać o swoich problemach, a on wciąż był w drodze. Jak dzieciak, który uczy się tylko przy ogłuszającej muzyce, potrzebował w życiu różnorodności, zmieniającego się za oknami krajobrazu. Gdy przyszła mu na to ochota, wysiadł z autobusu i przesiadł się do następnego i do jeszcze jednego. Zawsze zajmował miejsce na górnym pomoście, aby lepiej widzieć, co się dzieje za oknami.

W jego umyśle powoli dojrzewiała myśl, z którą musiał się uporać. W ośrodku Kerry nie czuła się dobrze, żyła jak w letargu. Musiał przekonać lekarzy, że ona, aby się rozwijać, potrzebuje stałej stymulacji psychicznej, że tylko wtedy uda się poprawić jej sytuację. Gdyby mógł, zabrałby ją z tego okropnego zakładu

i sam by się nią opiekował. Znalazłby sposób, żeby do niej dotrzeć. Teraz Kerry była zamknięta jak w więzieniu, pilnowanym przez troskliwych strażników. Kincaid chciał podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę. Zabierze ją do lepszego, bardziej zbliżonego do normalnego świata miejsca, a jeżeli przegra, a przegrał już dwukrotnie, od powiedzialność spadnie wyłącznie na niego.

Gdy wysiadł z autobusu w centrum miasta, na zewnątrz było ciemno. Chciał coś zjeść. Przeciskał się wśród tłumu mieszkańców wracających wieczorem z zakupów. Powietrze było ciężkie od spalin, a nad zatłoczonymi ulicami unosił się smog. Zauważył kolorowy neon baru szybkiej obsługi i z ulgą wszedł do środka. Musiał się zadowolić hamburgerem i zimną colą – zdrowym, amerykańskim posiłkiem.

– Mam na imię Gina. Czy mogę panu pomóc? – zapytała go dziewczyna mówiąca z dziwnym akcentem. Kincaidowi zrobiło się niedobrze od jej słodkich uśmiechów.

Miał zamiar wrócić do domu, gdy zauważył autobus jadący do College Hospital. Mimo że wizytę w szpitalu planował dopiero na następny dzień, wsiadł. Równie dobrze dzisiaj mógł rzucić okiem na perłę brytyjskiego szpitalnictwa.

Autobus odjechał zostawiając Kincaida przed szpitalną bramą. Na wszystkich piętrach w budynku paliły się światła. Przystanął, by przeczytać tablicę informacyjną, na której roilo się od strzałek kierujących do poszczególnych klinik i oddziałów. Chwała Bogu, nie musiał korzystać z ich pomocy. Obszedł budynek dookoła, odnotowując w pamięci każdy zaułek. Szpital wyglądał z zewnątrz jak każdy inny nowoczesny ośrodek medyczny – prostokątna, ogromna, przytłaczająca, bezosobowa bryła.

Kiedy minął ostatni zakręt, zobaczył po przeciwnej stronie ulicy bar. Neon przedstawiał wielomasztowy żaglowiec, a pod nim widniał jaskrawy napis: Latający Holender. Lokalizacja sprawiła, że odwiedzali go głównie pracownicy szpitala. W takich miejscach zawsze najchętniej opowiadało się plotki.

W sobotnią noc, o ósmej wieczorem, wrzało tam jak w ulu. Kincaid zamówił whisky i butelkę ciemnego piwa i usiadł z boku, przy barze. Z tego miejsca miał jak na dłoni wszystko, co działo się w pomieszczeniu, i słyszał strzępy rozmów prowadzonych wokoło. Ten pub, jeden z nielicznych w okolicy, przetrwał remont i rozbudowę szpitala. Większość gości miała z pewnością mniej lub bardziej ściśle powiązania ze służbą zdrowia. Tylko grupka starszych facetów, w ciemnych marynarkach i przyklepniętych beretach, wyraźnie odróżniała się od reszty gości. „Starzy wyjadacze” – pomyślał Kincaid. Kiedy jeden z nich wstał i podszedł do baru, aby zamówić następną kolejkę, Kincaid zaczął go.

- Pozmieniało się tutaj – zagaił.
- Nie jesteś stąd, no nie?
- To moje rodzinne strony. Urodziłem się niedaleko. Ledwie poznałem to miejsce.
- W czasie remontu wyburzyli wiele domów.
- Szkoda – odparł Kincaid.

– To najlepsza rzecz, jaka się zdarzyła temu miejscu – stwierdził z dumą tamten. – Gra była warta świeczki. Mamy teraz najlepszą opiekę w kraju. Nie wiem, co to znaczy czekać godzinami w dusznym korytarzu, żeby poświęcono mi kilka chwil. Każdy ma wyznaczone wizyty. Prawie jak w prywatnej klinice.

– Brzmi nieźle – odparł Kincaid.

– Hej! Davey! Pewnie będziesz teraz głosował na torysów – krzyknął jeden z jego kompanów wybuchając spazmatycznym śmiechem.

Do pubu weszła grupa młodych kobiet. Z ich rozmowy Kincaid wywnioskował, że były pielęgniarkami.

– Susan, zaproszono cię na naradę w przyszłym tygodniu? – zapytała jedna z nich.

– To spotkanie tylko dla oddziałowych i pielęgniarek z zabiegowego – odpowiedziała krótko ostrzyżona blondynka. – Eve, a ty idziesz? – zapytała nieco starszą koleżankę. Dziewczyna skinęła głową.

Kincaid w pierwszej chwili pomyślał, że blondyneczka nie ma jeszcze osiemnastu lat i nie będzie piła alkoholu, ale już po chwili zreflektował się, że jest strasznie staroświecki.

– Z Londynu przyjedzie sam minister zdrowia.

– Fantastycznie! – ucieszyła się ta, którą nazywały Eve.

– No, właśnie. Musisz z nim porozmawiać. On jest lepszy niż cała reszta. Zobacz, ile się zmieniło.

– Nie ufam politykom. Żadnemu z nich.

Kincaid nie mógł publicznie wyrazić swojej aprobaty, ale w pełni podzielał poglądy dziewczyny. Lata pracy zawodowej, polegającej na wtykaniu nosa w sprawy innych ludzi, nauczyły go, że polityk nigdy nie zrobi niczego bezinteresownie. Dawno temu doszedł do wniosku, że dla nich liczyły się tylko sprawy politycznej kariery.

– A jak się czuje pacjentka sir Martina? – zapytała najwyższa z dziewcząt.

Kincaid miał wrażenie, że się przesłyszał. Musiałby mieć wyjątkowe szczęście. Przybierając znudzoną minę, nastawił uszu.

– Dobrze. Niedługo zostanie wypisana do domu.

– Dużo o niej pisano w gazetach.

– Ci dziennikarze są jak sępy. Zanim wypuszczą Gretę do domu, mają zorganizować konferencję prasową z jej udziałem.

– Jak ona teraz wygląda?

– Całkiem normalnie.

– Czyli że operacja się udała?

– Oczywiście.

– Szkoda, że nie pracowałam na oddziale sir Martina – westchnęła jedna z dziewcząt. – Na was spadnie cała chwała, a nam zostanie tylko szara codzienna harówka.

– Nadejdzie i twoja kolej – pocieszała ją starsza koleżanka.

Cztery dziewczyny zauważyły wolny stolik i odeszły od baru.

Kincaid cały czas miał je na oku. Obserwował najstarszą pielęgniarkę rozmawiającą z koleżankami i jedna rzecz zwróciła jego uwagę: za każdym razem,

kiedy zabierała głos, najpierw bacznie rozglądała się dookoła. Dla Kincaida było oczywiste, że ta dziewczyna kłamała jak z nut.

W zacisznym kącie rozmyślał nad ostatnimi zdarzeniami, gdy dostrzegł młodego człowieka z poważną miną, który podszedł do baru i zamówił małe piwo. Mówił z południowym, uniwersyteckim akcentem. Może był jednym z administracyjnych pracowników szpitala, a może, gdyby Kincaidowi dopisało szczęście, nawet lekarzem. Odłożywszy na bok przypuszczenia, przysunął się bliżej i z uśmiechem powiedział:

– Należy pan do ekipy Freemana, prawda? – zapytał.

– Niestety, nie. Pracuję w zespole profesora Grimble’a. – O mały włos, a dodałby „sir Grimble’a”, ale powstrzymał się. Starał się wyminąć Kincaida.

Dziennikarz nie zwracał uwagi na jego wysiłki.

– Ach, stąd pana znam. Słyszałem, że pacjentka Freemana wraca już do zdrowia.

– Tak pan słyszał?

– Tak. Niedługo wypiszą ją ze szpitala.

– To dobra wiadomość. Cieszę się ze względu na Claire Affric. Przypuszczaliśmy, że mogą pojawić się komplikacje.

– Claire Affric? – czujnie zapytał Kincaid.

– Asystentka sir Martina. Pan musi znać... Kim pan jest? – zapytał nagle podejrzliwie.

– Nazywam się Kincaid...

– Chryste! Pan jest dziennikarzem?

– Tak. Jestem dziennikarzem – odpowiedział Kincaid.

Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową i mruknął:

– Ty sukiny... – Zmierzył go wzrokiem. Na jego twarzy malowała się wściekłość. – Zawsze węszą, zawsze szukają brudów. Sukinsyny! Oto kim jesteście! – W jego głosie brzmiała nienawiść. Piał coraz głośniej i coraz wyżej tak, że nie widząc go, Kincaid mógłby podejrzewać, iż rozmawia z kobietą.

– To daleko idące uogólnienie. – Kincaid starał się mówić spokojnie, choć kipiał ze złości. – Powinien mi pan podziękować, że nie zrewanżuję się podobnymi epitetami pod adresem pańskiej profesji.

– Do stu tysięcy diabłów! Co ty pieprzysz? – krzyknął mężczyzna.

Kincaid zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Trzy lata temu moją córkę przyjęto do szpitala, żeby usunąć jej wyrostek robaczkowy. Przy okazji lekarze uszkodzili jej część mózgu. Moje własne dziecko mnie nie poznaje, bo ktoś nie zadbał o stały dopływ tlenu na salę operacyjną. Tyle powiedziano mnie, jej ojcu. – Kincaid wstał i nastawił kołnierz. Już spokojnie dodał: – Dobranoc, doktorze!

Wyszedł z baru.

Delikatny powiew nocnego powietrza chłodził jego rozpaloną twarz. Mimo wszystko udało mu się do ostatniej chwili zachować zimną krew. Szedł ciemnymi ulicami, przed siebie, bez celu. Nie zauważał lodowatych kropli deszczu spływających mu po twarzy, bo myślami wciąż krążył wokół pubu i spotkanego lekarza.

Był taki okres w jego życiu, kiedy dokuczyłyby temu człowiekowi bez zmruczenia oka; okres, gdy samo wspomnienie o medycynie, bezczelnie okazywana duma z jej osiągnięć, doprowadzały go do szaleństwa. Od tamtego czasu nauczył się już panować nad sobą, ale jego uczucia pozostały te same. Kerry była żywym wspomnieniem. Tak, miał własny interes w tym, by pokazać prawdziwe oblicze ludzi, którzy zrnarowali życie jego córce. Chciał walczyć do upadłego i zwyciężyć. Daleko mu było do prymitywnej żądy zemsty, lecz samo życie stworzyło okazję, aby odsłonił mechanizmy działania potwornej maszyny, aby wyciągnął na światło dzienne prawdziwe tajemnice lekarskie. Wykorzysta tę szansę jak nikt inny. Znalazł kolejny bar, więc wszedł do środka.

Tuż po dwudziestej trzeciej ciemnozielony jaguar opuścił Belgravię* i skierował się na północ. Po dwugodzinnej jeździe zjechał z autostrady i pół godziny później zatrzymał się na wyźwirowanym parkingu przed wiejskim domem, gdzie stało już kilka samochodów.

Mimo późnej pory, drzwi wejściowe natychmiast się otworzyły i kierowca wszedł do środka. Przewodnik zaprowadził go do podziemi. Mężczyzna wszedł do pokoju, który mógł służyć za salę konferencyjną w banku. Przy długim stole siedziało ośmiu mężczyzn. Wszyscy w milczeniu spojrzeli na wchodzącego. Przyjezdny usiadł, otworzył teczkę, wyjął z niej plik papierów i spokojnie podniósł wzrok na przewodniczącego.

– Panowie, właśnie minął rok od naszego ostatniego spotkania, gdy wspólnie uzgodniliśmy pewien plan – powiedział przewodniczący. – Musieliśmy wtedy podjąć bodaj najtrudniejszą decyzję w życiu, ale przyjęliśmy to wyzwanie. Dzisiaj spotykamy się, aby ocenić rezultaty naszych działań. Proszę więc o wasze sprawozdania, panowie.

Mężczyzna, który przyjechał jako ostatni, wstał i poprawił leżące przed nim papiery, rozluźnił nieco krawat i zaczął:

– Panowie. Z przyjemnością mogę powiedzieć, że zrealizowaliśmy nasze zamierzenia. Program pilotażowy, opracowany w zeszłym roku, odniósł ogromny sukces. W moim przekonaniu rozwój, o którym mówiliśmy rok temu, stał się faktem. Czas przystąpić do drugiej fazy programu.

– Jestem innego zdania. Sądzę, że należy to odłożyć – powiedział jeden z zebranych.

– Uzgodniliśmy, że pierwszy etap ma trwać rok. Ten rok właśnie upłynął.

– Lecz zmieniło się nastawienie społeczeństwa. Powstało zamieszanie.

* Belgravia – ekskluzywna dzielnica mieszkaniowa Londynu (przyj. tłum.).

– To prawda. Nie dopisuje nam szczęście – odezwał się trzeci mężczyzna. – Ten idiota nie wytrzymał nerwowo. Mógł nas zniszczyć. Musieliśmy go sprzątać.

– Na oczach wszystkich?

– Nie mieliśmy wyboru. Dowiedzieliśmy się o tym w ostatniej chwili. Trzeba było działać natychmiast, inaczej cały nasz wysiłek poszedłby na marne.

– Ja twierdzę, że powinniśmy przeczekać jakiś czas, aby sprawa przycichła.

– Nie ma potrzeby. Decyzje już zapadły. Teraz należy poczekać na rezultaty. Nie ma potrzeby chować głowy w piasek.

– Czy możemy głosować?

Przewodniczący skinął głową.

– Kto jest za wstrzymaniem działań?

Podniosły się dwie ręce.

– Myślę, że mamy już odpowiedź. Kontynuujemy pracę.

– Panie przewodniczący, czy potrzebne są zmiany?

– Mam szczegółowe dane. – Mówca rozdał wszystkim obecnym kopie.

Przewodniczący zwrócił się do jednego z zebranych:

– Czy instrukcje zostały uaktualnione?

– Tak, panie przewodniczący. Dane są automatycznie opracowywane i modyfikowane w ośrodkach w Szkocji i Walii.

– Doskonale. A co ze stroną administracyjną?

– Bez problemów.

– Czy jesteście, panowie, do końca przekonani, że to niezbędne?

– Tak.

– Chciałbym zobaczyć najnowsze prognozy.

– Dobrze. Czy moglibyśmy otrzymać nowe wydruki komputerowe?

– Oczywiście, panie przewodniczący.

Po przeciwnej stronie pokoju otworzono podwójne drewniane drzwi i oczom zebranych ukazał się duży ekran. Mówca nacisnął guzik i pojawił się pierwszy slajd.

– Tak będzie wyglądał przekrój naszego społeczeństwa za cztery lata. Proszę zwrócić uwagę na zachwianą równowagę demograficzną.

Wokoło dały się słyszeć zaniepokojone głosy. Zmieniono slajd.

– Ten wykres przedstawia zmiany, jakie w populacji ludzi do trzydziestego piątego roku życia spowoduje AIDS.

Kolejny slajd.

– Taki obraz zmian demograficznych powstanie siedem lat później.

Kolejne szept.

– A jeżeli komputer się myli?

– Ten system oparty jest na najlepszych programach dostępnych na świecie. Jeżeli się myli, to tylko na naszą korzyść.

– Może przez ten czas naukowcy odkryją lek na AIDS.

– A jeżeli nie?

Kolejny slajd.

– To są szacowane straty skarbu państwa, jeżeli dojdzie do zmian w populacji, o których mówiłem.

Zapadła cisza. Przerwał ją przewodniczący.

– Panowie, myślę, że to co zobaczyliśmy, zmusi nas do zdwojonego wysiłku. Nikt nie ma większych wyrzutów sumienia niż ja, ale te kroki są niezbędne. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Musimy zapobiec katastrofie.

Wszyscy zgromadzeni ze zrozumieniem pokiwali głowami.

2

Kiedy przyszedł do domu, było w nim zupełnie ciemno. Początkowo myślał, że nikogo nie ma, lecz po chwili usłyszał kaszel dochodzący z sypialni ojca. Starzec musiał wrócić wcześniej i już leżał w łóżku.

– Biedny staruszek – mruknął pod nosem zdejmując płaszcz i wieszając go za kuchennymi drzwiami. Gdy atak kaszlu minął, w domu zapanowała głucha cisza. Kincaid poszukał szklanki. Znalazł jedną w kredensie nad zlewozmywakiem. Wyjął ją i z butelki, którą przywiózł ze sobą, nalał whisky uzupełniając ją odrobiną wody z kranu. Usiadł przy piecyku, ale nie włączył go.

Krzeseło było stare i niewygodne – wystawały z niego sprężyny, poręcze się powycierały, a pod palcami czuł szorstkie taśmy. Lecz ten mebel łączył go z przeszłością, Kincaid miał do niego sentyment, a to wynagradzało wszelkie niewygody. Najczęściej siadywała tam matka. Widział ją we wspomnieniach z dziecięcych lat, jak z okularami opuszczonymi na nosie robiła na drutach różne cudeńka.

Dzieła te nieodmiennie opuszczały ich dom. Trafiały w ręce najmłodszej pani Smith albo pani Harry mieszkającej na Ellesmere Street. Każdego wieczoru, punktualnie o dziesiątej, matka odkładała robótkę, by przygotować dla całej czwórki tosty. Do dziś uśmiechał się wspominając rodzinny rytuał. Wszystkie nieporozumienia i sprzeczki musiały być zakończone do tej magicznej godziny, gdy przy herbacie i tostach stanowili jedną, kochającą się rodzinę.

Kincaid miał o cztery lata młodszą siostrę, Lisę. Wyszła za mąż za Kevina Hardesty’ego – agenta ubezpieczeniowego firmy Standard Life. Kevin należał do tych ludzi, którzy nagle, mając lat dwadzieścia sześć, z dnia na dzień wchodzą w wiek średni. Według Kincaida był całkiem sympatycznym facetem, któremu brakowało jedynie odrobiny fantazji. Lisa kochała go całym sercem i tylko to miało, tak naprawdę, znaczenie. Kincaid darzył siostrę szczerą, braterską miłością. Nie była tak inteligentna jak brat, nie miała tak szerokich horyzontów, ale właśnie dlatego, zdaniem Kincaida, była tak urzekająco miła.

Czasami zastanawiał się, czy jej pozytywny stosunek do świata nie był spowodowany tym, że w przeciwieństwie do Kincaida, nigdy nie podlegała rygorom ostrej walki o przetrwanie. Nie widziała polityków bezwzględnie wykorzystujących nadarzające się okazje ani przedsiębiorców, którzy wyrzucali na bruk setki ludzi, tylko dlatego, że tak głosiły prawa ekonomii. Gdy nad tym rozmyślał, za każdym razem dochodził do wniosku, że to nie kwestia okoliczności – Lisa była wrażliwa i tym różnili się od siebie.

Ludzie uwielbiali Lisę i, co dla Kincaida było jeszcze bardziej dziwne, ona też ich lubiła. Nigdy w życiu nie powiedziała nikomu złego słowa. Po sześciu latach wspólnego życia Kevin i Lisa wciąż byli bezdzietni. Dopiero miesiąc temu nadeszła radosna nowina: siostra zaszła w ciążę. Wszyscy, nawet ojciec, byli zachwyceni.

Myśląc o Lisie, Kincaid zdecydował, że tym razem musi znaleźć czas, aby ją odwiedzić.

Zwrócił uwagę na stojącą z boku zakurzoną półkę z książkami. Wiedział, że tam jest, ale dopiero teraz naprawdę dostrzegł jej istnienie. Podszedł bliżej i spojrzął na stojące równo tomy. Była tu, między innymi, encyklopedia Pearsa, wydana w 1965 roku, *Porwany za młodu* Roberta Louisa Stevensona, a za nimi trzy pozycje w identycznych obwolutach z dawno już rozwiązanego klubu dobrej książki i dwa oprawne w skórę wolumeny o udziale Brytyjczyków w wojnie. Kincaid pamiętał te wojenne publikacje – wychował się na nich. Stały na półce, odkąd sięgał pamięcią. Przyniósł je do stolika i ostrożnie przekartkował. Każda fotografia przywoływała na myśl wspomnienia nie tyle atlantyckich konwojów czy oblężenia Leningradu, ile dzieciństwa i sposobu, w jaki wtedy pojmował świat. Ogarnęła go nostalgia.

Przewrócił ostatnią kartkę, odłożył książkę i rozejrzał się po pokoju. Kiedyś panowały tu ciepło i miłość rodzinnego ogniska, teraz było zimno i duszno. Ojciec znowu kasłał przez sen, matka Kincaida zmarła przed dwoma laty, Lisa wyszła za mąż i wyprowadziła się, Julie założyła nową rodzinę, a Kerry była zamknięta w tamtym domu. Pod wpływem kropli alkoholu, Kincaid rozrzewnił się.

Gdyby ci idioci nie skrzywdzili tak bezmyślnie jego dziecka, wszystko wyglądałoby inaczej. Może Julie nie doprowadziłaby do rozvodu i wspólnie stworzyliby kochającą się rodzinę, a weekendy spędzali z ojcem, który całymi dniami bawiłby się ze swoją wnuczką. Może też byłby z nimi w święta Bożego Narodzenia, a oni troszczyliby się o niego, zajadali wspaniałymi potrawami i siedzieli całymi dniami przed telewizorem.

– Cholera! – mruknął pod nosem. Podrapał się w głowę i wychylił resztę whisky. – Jasna cholera!

O szóstej rano obudził go hałas dobiegający z pokoju ojca. Kolejny atak kaszlu. Minęło sporo czasu, zanim wstał i poszedł do sąsiedniego pokoju.

– Tato, wszystko w porządku? – zapytał.

Starzec próbował zbagatelizować sprawę, ale tylko sprowokował kolejny atak. Kincaid z niepokojem patrzył na ojca.

- Wezwę lekarza – powiedział. – Gdzie masz numer telefonu?
Starzec wskazał drżącą ręką na biurko. Kincaid, przerzuciwszy wszystkie szpargały, dokopał się do starego notesu. Nakręcił numer.
- Czy pan wie, że dzisiaj jest niedziela? – zapytał głos w słuchawce.
 - To znaczy, że przysięga Hipokratesa obowiązuje od poniedziałku do piątku? – odparł Kincaid.
 - Nie, to znaczy, że dzisiaj przyjmują tylko lekarze dyżurni – odpowiedział poirytowany kobiecy głos. – Na wizytę nie przyjdzie lekarz opiekujący się pańskim ojcem.
 - Byle tylko był po studiach medycznych.
- Zastanawiał się, gdzie oni znaleźli tak beznadziejną rejestratorkę.
- Pana nazwisko?.. Kincaid... 17 Claydon Street. Objawy?... Ataki kaszlu i bóle w klatce piersiowej? Dobrze, zanotowałam.
 - Doskonale.
 - Lekarz przyjedzie niebawem.

Piętnaście minut później Kincaid usłyszał dzwonek. W drzwiach stanął mężczyzna, który przedstawił się jako doktor Neil Tolkien.

Miał na sobie skórzaną kurtkę. Bujna czupryna ciemnych włosów niesfornie opadała mu na oczy, więc co chwilę zarzucał ją niecierpliwie do góry. Gdy się pochylał, poprawiał włosy jeszcze częściej.

Jak na trzydziestokilkuletniego mężczyznę wyglądał dość niezwykle.

– Prawie jak hobbit*? – uśmiechnął się Kincaid.

– Właśnie. Gdzie jest chory?

Kincaid zaprowadził go do sypialni. Stanął z boku, gdy lekarz badał ojca.

– Szybko pan przyjechał, doktorze – zaczął rozmowę.

– Jeśli chodzi o doraźną pomoc przyjeżdżamy po dziesięciu minutach, w mniej groźnych sytuacjach – do pół godziny.

– Doskonale – przyznał Kincaid.

– Pogotowie zostało ostatnio skomputeryzowane. Działa teraz dużo sprawniej. – Gdy Tolkien wziął do ręki wydruk komputerowy, Kincaid zerknął mu przez ramię. Była to szczegółowa historia choroby jego ojca.

– Opuścił pan ostatnią wizytę u lekarza – stwierdził Tolkien.

– Zgadza się – odparł potulnie Jack Kincaid, pozostawiając odpowiedź bez dodatkowego wyjaśnienia. Znów zaniósł się kaszlem.

Kincaid uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że ojciec zdobywał się na odpowiedź tylko ze względu na obecność lekarza. Starzec nie rozumiał biurokracji, która zaważnęła życiem młodego pokolenia. Tolkien znowu zerknął na wydruk.

– Przepisano panu ampicylinę w tabletkach. Wziął je pan?

– Oczywiście, doktorze.

– Wszystkie?

* hobbit – dobroduszny stworek z utworów J. R. R. Tolkiena (przyp.tłum.).

– Oczywiście, doktorze.

Na twarzy Tolkiena ukazał się ledwie widoczny cień powątpiewania, a Kincaid w pełni podzielał sceptycyzm lekarza.

– Przepiszę środki wykrztuśne i tabletki, które pomogą zasnąć, lecz chciałbym, żeby jutro rano zjawił się pan w College Hospital. Wykonają tam panu zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej. Dobrze?

Starzec skinął głową, więc Tolkien wypisał skierowanie na przewóz do szpitala.

– Porozumiem się także z pańskim lekarzem.

– Dziękuję, doktorze.

Tolkien zamknął teczkę. Kincaid wyszedł razem z nim z sypialni i przymknął za sobą drzwi. W zachowaniu lekarza było coś dziwnie nienaturalnego. Kincaid nie czekał, aż on sam zacznie mówić.

– Sądzi pan, że to coś poważnego, prawda? – zapytał.

– Pańskiego ojca leczono na zapalenie oskrzeli – odparł wymijająco Tolkien.

– A pan sądzi, że to nie jest właściwe rozpoznanie?

Tolkien nie odpowiedział od razu. Poprawił powoli włosy i wyrzucił z siebie:

– Tak, tego się obawiam.

– W takim razie, co to jest?

– Mam prawo podejrzewać, że chodzi o raka płuc.

– Cholera.

– Możliwe, że to ja się myślę, ale jeśli nawet mam rację, to sytuacja nie jest beznadziejna. W takich warunkach, jakie obecnie nam stworzono, możemy wiele zrobić.

– Wszystko, tylko nie wyleczyć.

– Ale możemy wydłużyć okres przeżycia.

– Przepraszam. Nie chciałem pana urazić.

– Nic się nie stało. Panie Kincaid, czy pan mieszka z ojcem?

Kincaid pokręcił przecząco głową.

– Mieszkam na stałe w Londynie. Jestem dziennikarzem.

Tolkien momentalnie skojarzył nazwisko.

– James Kincaid? – upewnił się.

Kincaid przytaknął.

– Czytałem pański artykuł. Jest naprawdę dobry.

– Dziękuję.

– A ktoś inny z rodziny, kto mógłby się zająć pańskim ojcem?

– Mam młodszą siostrę, ale ona spodziewa się dziecka.

– W takim razie będę musiał powiadomić opiekę społeczną, bo niezależnie od diagnozy pańskiemu ojcu będzie potrzebna pomoc.

Kincaid zgodził się i tym razem.

– Na jak długo pan przyjechał? – zapytał Tolkien.

– Planowałem na kilka dni, ale jutro pojadę z ojcem do szpitala i zostanę, póki sprawa się nie wyjaśni. Wszystko inne musi poczekać.

– To bardzo dobry szpital – stwierdził Tolkien.

– Tak, słyszałem – odparł Kincaid.

– Może mi pan wierzyć. Poziom opieki zmienił się w ostatnim okresie nie do poznania.

– Niestety nie całej – gorzko zauważył Kincaid.

Tolkien nie zrozumiał aluzji Kincaida, więc zapytał go wprost. W odpowiedzi usłyszał historię Kerry.

– Przykro mi. Każda reforma musi trwać. Pierwsze zmiany, wprowadzone przeszło rok temu, objęły opiekę szpitalną. Słyszałem, że teraz czeka nas reforma opieki ambulatoryjnej. W przyszłym tygodniu minister zdrowia otworzy skomputeryzowaną aptekę przyszpitalną.

Kincaid przypomniał sobie dyskusję pielęgniarek w pubie.

– Czy pan myśli, że nadejdzie dzień, gdy zajmą się takimi placówkami jak ta, w której przebywa Kerry? – zapytał.

– Na pewno – odparł Tolkien. – Minister Carlisle postawił sobie za cel reformę całego systemu opieki zdrowotnej na wszystkich poziomach.

– Jak pan myśli, kogo mógłbym zapytać o dalsze plany?

Tolkien pokręcił głową i przyznał, że nie wie.

– A może przyszedłby pan na oficjalne otwarcie w przyszłym tygodniu – zaproponował. – Będzie tam wielu wysokich urzędników państwowych, którzy znają odpowiedź na pańskie pytania.

Kincaid podziękował Tolkienowi za pomoc.

– Do pańskiej dyspozycji – odrzekł Tolkien, wyjmując notatnik i zapisując numer telefonu. – Sądzę, że wszystko będzie w porządku. Gdyby jednak coś się działo, proszę mnie zawiadomić.

Ojciec właśnie zasnął, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Kincaid podbiegł, aby podnieść słuchawkę, zanim hałas obudzi śpiącego. To był Fletcher, telefonował z Londynu. Po zwykłych uprzejmościach powiedział:

– Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć, iż Greta Marsh, ta pacjentka z College Hospital, która tak cię interesowała, wychodzi dziś po południu ze szpitala. Najwyraźniej nic złego się nie stało, więc zamykamy sprawę.

– Już wczoraj wieczorem słyszałem, że wszystko jest w po rządku – odparł Kincaid.

– Dyrekcja szpitala pokaże ją na konferencji prasowej o trzeciej po południu. Wysłaliśmy tam fotoreportera. Zrobi dla nas eleganckie zdjęcie i koniec, kropka.

– Świetnie.

– A jak się czuje Kerry?

– Bez zmian.

Rozmowa dobiegła końca i Kincaid odłożył słuchawkę.

Kincaid zamierzał spędzić popołudnie z Kerry. Niestety, gdy przyjechał, okazało się, że dziewczynka miała jeden z „trudniejszych” dni i spała. Toczyła się w niej

wewnętrzna walka, targały nią emocje, których nie potrafiła wyrazić. W takie dni sprawiała wiele kłopotów, była agresywna i opiekunka zamykała ją w izolacie.

Za pierwszym razem, gdy Kincaid się o tym dowiedział, wpadł we wściekłość. Twierdził, że Kerry w ten sposób usiłuje nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym i należało jej pomóc, a nie zamykać w pustym pokoju i podawać środki nasenne. Niestety, żaden z lekarzy nie podzielał jego opinii i wszyscy zgodnie opowiedzieli się za izolacją dziewczynki w takie dni. Spojrzał na córkę, gdy spała jak aniołek. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził jej włosy.

– Obudzi się za kilka godzin – powiedziała pielęgniarka.

Kincaid skinął głową i odparł:

– Zostanę z nią przez chwilę.

Gdy pielęgniarka wyszła, Kincaid opadł na fotel i obserwował Kerry. Otaczająca cisza jednoczyła tych dwoje. Po chwili oddychał tym samym rytmem co ona. Kiedy spała, była taka śliczna i krucha, wyglądała na zupełnie zdrowe dziecko. Jeżeli byłby na tym świecie sprawiedliwy Bóg, na pewno kazałby jej teraz obudzić się. Wstałaby, radośnie uściskała ojca i pobiegła się bawić. Lecz ona wciąż spała, a kiedy otworzy oczy, zobaczy tylko obce twarze i poczuje chłód samotności. Nie miała po co wracać do takiego świata.

Gdzieś w budynku trzasnęły drzwi. Hałas wyrwał Kincaida z zamyślenia. Oderwał wzrok od Kerry i rozejrzał się po pokoju

Otaczały go białe, nagie ściany. Z dekoracji ocalał tylko jeden, jesienny widoczek. Poza łóżkiem, stała tu jeszcze niewielka drewniana szafka. Pojedyncze, zakratowane okno wychodziło na szary ogród, gdzie bezkarnie hulał wiatr. Kincaid spojrział ze smutkiem na Kerry i szepnął:

– Kochanie, niedługo wszystko się zmieni. Przrzekam! Musi istnieć sposób, żeby cię stąd wyciągnąć. Musi, i ja go znajdę.

Zbierał się już do wyjścia, gdy zwrócił uwagę na małą karteczkę przypiętą do karty wiszącej na poręczy łóżka. Pod napisem: „W razie potrzeby zawiadomić” przeczytał: „Rodzice rozwiedzeni. Ojciec utrzymuje kontakt z ośrodkiem”. Podano jego adres i numer telefonu w Londynie. Odłożył kartę na miejsce. Pochylił się i czule pocałował Kerry w czoło.

– Do zobaczenia, kochanie – rzekł cicho i wyszedł.

Mijając bramę spojrział na zegarek. Była za dwadzieścia trzecia. Jeśli będzie miał szczęście, zdąży do College Hospital na spotkanie z Gretą Marsh. Możliwe, że siedł tam niepotrzebnie, ale nie mógł zapomnieć pielęgniarki z baru, która opowiadała koleżankom o Grecie. Poruszyło go jej zachowanie. Uparcie nawiedzała go myśl, że ta kobieta kłamała.

Kincaid przyjechał do szpitala kilka minut przed trzecią, gdy w pokoju seminarnym na parterze zebrała się spora grupa dziennikarzy i fotoreporterów. Dyrektor szpitala, wysoki, chorobliwie chudy mężczyzna, ubrany w prążkowany

garnitur wiszący jak worek na jego szczupłym ciele, zasiadł pośrodku stołu, na którym pośpiesznie położono biały obrus i ustawiono wazon z kwiatami. Obok dyrektora zajęli miejsca dwaj lekarze i dwie starsze pielęgniarki. Kincaid usiadł na wolnym krześle, wtapiając się w bezosobowy tłum.

Chuderlawy dyrektor wstał i silnym, nieadekwatnym do jego postury głosem przywitał zebranych:

– Dzień dobry państwu. Nazywam się Gordon Fields. Jestem dyrektorem College Hospital. Panna Marsh dziękuje państwu za tak duże zainteresowanie jej osobą i jednocześnie przeprasza, że nie zdoła udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania. Ma nadzieję, a my wszyscy popieramy tę prośbę, że od tego dnia uszanujecie państwo jej prywatność i pozwolicie spokojnie budować nowe życie.

– Czy to znaczy, że panna Marsh nie może mówić? – zapytał jeden z dziennikarzy.

– Może, ale sprawia jej to duży ból, ponieważ żuchwa nie zagoiła się jeszcze po zabiegu.

– Czy panna Marsh wróci do Harrington Hall?

– Nie, nie wróci – odparł stanowczo Fields. – Zamieszka w mieście, a póki nie przystosuje się do samodzielnego życia, będzie nad nią czuwać opieka społeczna.

– W jakiej części miasta będzie mieszkać? – zapytał młody reporter. Starsi dziennikarze popatrzyli na kolegę z dezaprobatą.

– Nie jestem uprawniony do udzielania takich informacji – odrzekł Fields, hamując złość. – Panna Marsh potrzebuje teraz przede wszystkim ciszy i spokoju, aby bez pośpiechu ułożyć sobie życie. Mam nadzieję, panowie, że uszanujecie jej wolę.

Fields skinął na jedną z pielęgniarek siedzących przy stole, która podeszła do drzwi przy podium i otworzyła je. Na salę weszła Greta Marsh, podtrzymywana przez pielęgniarkę, w której Kincaid od razu poznał dziewczynę o imieniu Eve, spotkaną poprzedniego dnia w barze. Panna Marsh miała na sobie bawełnianą spódnicę, ciemnozieloną bluzkę i rozpięty blezer. Bez przerwy patrzyła pod nogi trzymając, bardziej dla moralnego wsparcia niż z prawdziwej potrzeby, ramię pielęgniarki. Gdy wyszła na środek, odwróciła się w stronę dziennikarzy i odchrząknęła nerwowo.

– Doskonale pani wygląda, panno Marsh – odezwał się jeden z dziennikarzy. Wszyscy zgodnie przytaknęli jego słowom.

– Panno Marsh, jak się pani czuje? – zapytał inny.

– Żle – odparła pacjentka z trudem wymawiając krótkie słowo. Mimo to uśmiechnęła się szeroko. Atmosfera stała się mniej napięta i na chorą spadła lawina pytań. Fields interweniował za każdym razem, gdy uznawał to za konieczne. Pielęgniarka przez cały czas stała obok Grety. Kincaid obserwował ją uważnie – była zdenerwowana. Podeszedł bliżej, a gdy zapadło milczenie, podniósł rękę i zapytał:

– Panno Marsh, ile palców pani widzi?

Sala zamarła w oczekiwaniu na odpowiedź.

Greta Marsh powoli odwróciła się w jego stronę i odparła:

- Cztery.
- Nie ma pani kłopotów ze wzrokiem?
- Nie.
- Żadnych komplikacji?
- Suchość w gardle.

Dziennikarze skwitowali śmiechem cierpięcniczą minę, z jaką Greta wypowiedziała ostatnie słowa, lecz atmosfera nie była już tak beztroska jak przed chwilą. Kincaid poruszył delikatny temat.

Tymczasem zadawano następne pytania, a Kincaid znowu zwrócił wzrok na pielęgniarkę. Zorientowała się, że jest obserwowana i starała się unikać jego natarczywego spojrzenia. Lecz Kincaid był nieugięty i wreszcie popatrzyła na niego. Zauważył w jej oczach coś więcej niż zakłopotanie. W tym spojrzeniu czaił się strach.

Pozostawiono kilka minut dla fotoreporterów, a następnie Fields podziękował wszystkim za przybycie i oznajmił, że czas przeznaczony na konferencję prasową już minął. Dziennikarze niespiesznie opuszczali salę seminaryjną. Kincaid ociągał się z wyjściem. Było coś dziwnego w historii Greta Marsh i choć jeszcze nie wiedział co, był przekonany, że ktoś próbuje wystrychnąć ich na dudka.

Podszedł do niego lokalny reporter pracujący dla ich gazety, który na polecenie Fletchera miał zrobić kilka zdjęć.

– Znam cię – zaczął go. – Ty jesteś James Kincaid. Nie sądziłem, że chadzasz na takie spotkania.

– Miałem wolną chwilę – odparł Kincaid. – Pomyślałem, że warto zobaczyć to na własne oczy.

– Widziałeś jej zdjęcie przed operacją?

Kincaid pokręcił przecząco głową.

– Coś okropnego – potwór. Teraz wygląda zupełnie normalnie. To niewiarygodne, nie sądzisz?

– Rzeczywiście, niewiarygodne – przytaknął Kincaid. Nie słuchał tej paplarni, wciąż myślał o pielęgniarce. – Wiesz, na którym oddziale leżała Greta Marsh?

– Kilku chłopców próbowało się dowiedzieć, ale nie znaleźli jej na żadnym oddziale pooperacyjnym. Musiano ją gdzieś ukryć. Chodziły słuchy, że jest na chirurgii, u sir Martina.

– Gdzie to jest?

– W zachodnim skrzydle, ale nawet o tym nie myśl. Są nieugięci: żadnych wywiadów i koniec.

Kincaid uśmiechnął się. Nie interesował go wywiad z pacjentką.

Czekał trzy godziny, zanim znowu zobaczył pielęgniarkę. Owinięta płaszczem, wyszła z oddziału i skierowała się w stronę hotelu dla pielęgniarek. Kincaid ruszył za nią.

– Zastanawiam się, czy moglibyśmy chwilę porozmawiać – zaczął. Zaskoczył ją, bo głośno krzyknęła. Kincaid przeprosił za najście.

– No! – krzyknęła. – Czego pan tu chce?!

– Porozmawiać z panią o Grecie Marsh.

– Wszystko już pan wie. Był pan na konferencji prasowej. Poza tym panna Marsh już nie jest naszą pacjentką – odparła ostro dziewczyna i zrobiła kilka kroków.

– Jest coś więcej. – Kincaid nigdy nie poddawał się bez walki. Dziewczyna odwróciła się gwałtownie.

– Co to znaczy „więcej”?

– Jest coś, o czym nam nie powiedziano. Chcę to wiedzieć.

Pielęgniarka spojrzała na Kincaida, ale milczała. Odwróciła się i kolejny raz próbowała odejść.

– Panią też to gnębi – rzekł Kincaid. – Widać to w pani oczach, w każdym ruchu. Dlaczego nie oczyści pani sumienia, nie wyrzuci tego z siebie? Siostrzo Laing!

Pielęgniarka zawahała się, słysząc dźwięk swojego nazwiska, które Kincaid zauważył na identyfikatorze, ale zaraz ruszyła dalej. Podbiegł do niej i powiedział:

– Kiedy się pani zdecyduje, proszę zadzwonić.

Weisnął jej w rękę wizytówkę z adresem i numerem telefonu.

Dziewczyna zniknęła w drzwiach hotelu, więc Kincaid zawrócił w stronę szpitala. Zastanawiała go jedna rzecz: na konferencji w roli specjalistów występowało dwóch mężczyzn, a to oznaczało, że lekarka, która asystowała i dokończyła operację, nie była obecna na spotkaniu. Zastanawiał się dlaczego? W pubie padło jej nazwisko – Claire Affric.

Wszedł do bloku administracyjnego.

– Doktor Affric jest na urlopie – poinformował go urzędnik, wyciągając przybrudzoną chusteczkę i głośno wycierając nos.

– Nie wie pan, gdzie mógłbym ją znaleźć?

– Nie.

Kincaid stanął w korytarzu. Pielęgniarka nie chciała z nim rozmawiać; ani lekarza, ani pacjentki nie było w szpitalu – w takich warunkach niewiele mógł zdziałać. Poza tym zaczynało padać. Kincaid nastawił kołnierz i wyszedł.

Następnego ranka lało jak z cebra. Kincaid wstał bardzo wcześnie. Po pierwsze nie spał najlepiej, a nie potrafił się skupić na lekturze w łóżku, po wtóre miał zabrać ojca do szpitala na prześwietlenie. Czekając na wodę, obserwował wodospad tryskający tuż pod kuchennym oknem z uszkodzonej rynny. Woda wypływała rwącym strumieniem zza starego pojemnika na węgiel i rozpryskiwała się na ziemi, tworząc sporą kałużę. Będzie musiał się tym zająć.

Gwizd pary, wydobywającej się przez dziobek czajnika, przytłumił nieco odgłosy kaszlu dochodzące z sypialni. Kincaid uchylił drzwi, wetknął głowę do pokoju i zapytał ojca, czy napije się herbaty. Starzec, nie mogąc opanować kasz-

lu, skinął tylko głową. Kincaid kątem oka zauważył, jak ojciec wyciąga rękę do stolika, na którym leżała paczka papierosów.

– Chryste, człowieku! Chyba żartujesz!

Jack Kincaid usiłował się roześmiać:

– Przecież nawet skazaniec ma prawo do ostatniego życzenia.

„On już wie – pomyślał Kincaid wracając do kuchni po herbatę. – Może to i lepiej. Trudno byłoby ukrywać prawdę”. Nalał herbatę do filiżanki i wyjął chleb, żeby przygotować kilka tostów.

– Pan Jack Kincaid! – odezwała się śliczna pielęgniarka trzymająca w ręku dużą teczkę.

– Nie wierzę. Przyszliśmy dopiero pięć minut temu – powiedział Kincaid. – Byłem pewny, że poczekamy kilka ładnych godzin.

– Więc może pan tu zaczeka – odparła pielęgniarka – a my zajmiemy się pańskim ojcem.

Kincaid usiadł w poczekalni. Przerzucił kilka czasopism, ale nie mógł się skoncentrować na lekturze. Odłożył gazety i podszedł do okna. Widok, który ukazał się jego oczom, też nie podniósł go na duchu: ponure niebo i deszcz, który pograżył w szarości cały świat. Dwóch sanitariuszy próbowało wsadzić pacjenta na wózek do karetki. Kincaid dostrzegł, z jakim zakłopotaniem i udręką chory obserwował wysiłki mężczyzn. Tak, całkowite uzależnienie od innych musiało dostarczać wielu cierpień. Po czterdziestu minutach pielęgniarka odprowadziła ojca Kincaida do poczekalni.

– I jak poszło? – zapytał.

– Zrobili kilka zdjęć. Mamy czas, żeby wypić kawę, a potem muszę wrócić.

– W takim razie chodźmy.

Kawiarnia była przestronna i bardzo nowoczesna. Kincaid kupił herbatę i ciastka, zabrał tacę do stolika przy oknie i postawił ją na czerwonym plastikowym blacie. Zauważył, że ojciec nerwowo zaciska pięści. Pobiełałe kostki wyraźnie odbijały się od jaskrawego stołu. Tłok na sali nie pozwalał na spokojną rozmowę.

– Wiesz, czego oni szukają, prawda? – zapytał Jack Kincaid.

Kincaid nie mógł wykrztusić słowa. Ojciec zaskoczył go. Nie był jeszcze przygotowany na taką rozmowę.

– O czym ty mówisz!

– Widziałem na karcie ogromne C*. Widziałem to już wczoraj, patrząc na mnie tego lekarza.

– Człowieku, przecież on może się mylić, sam wiesz o tym doskonale. Nie miał żadnych dowodów.

Jack Kincaid spuścił głowę i powiedział cicho:

* C – ang. cancer, łac. carcinoma, czyli nowotwór (przyp. tłum.).

– Wszystko w porządku, chłopcze. Potrafię sobie z tym poradzić. Powiedział ci, ile czasu mi zostało?

– To wcale nie musi być nowotwór – Kincaid wyrzucił z siebie jednym tchem, ale starzec wziął go za rękę.

– Nie wymiguj się. Ile czasu?

– Nie był pewny, ale powiedział, że w dzisiejszych czasach wiele mogą dla ciebie zrobić.

– Każdy dzień to los na loterii? Tak?

– Doktor Tolkien mówił o znacznie dłuższej perspektywie.

Jack Kincaid nie odzywał się przez chwilę, popijając herbatę. W pewnym momencie stwierdził:

– W zasadzie wszystko jest w porządku. Skończyłem sześćdziesiąt osiem lat i miałem udane życie. Twoja matka już odeszła, a teraz przyszła pora na mnie.

– Nie możesz tak się poddawać – naciskał Kincaid.

Jack zignorował jego słowa i mówił dalej:

– Bardziej mi żal małej Kerry. To jest prawdziwa tragedia.

Kincaid nie dał się zbić z tropu.

– Za wcześnie na rozmowy o śmierci. Jest chemioterapia. Może nastąpić wieloletnia remisja choroby. Nie zapominaj, że następny wnuk będzie cię potrzebował. Może o tym właśnie powinieneś teraz myśleć.

I znowu Jack Kincaid zignorował jego słowa. Myślami krążył wokół jednego tematu. Powiedział:

– Wiesz, zabawna rzecz... Zawsze, jak sięgam pamięcią, prosiłem, żeby, gdy nadejdzie czas, poddać moje zwłoki kremacji. A teraz...

– A teraz co? – zapytał cicho Kincaid.

Jack popatrzył na syna i odrzekł:

– Teraz chciałbym, żeby mnie pochowano na cmentarzu przy kościele św. Marii w Hollybank. Co o tym myślisz?

Kincaid przełknął ślinę i zapytał:

– Byłeś kiedykolwiek w tym kościele?

Jego ojciec skinął głową i powiedział:

– Siadywałem tam czasami w ciepłe letnie dni. To najspokojniejsze miejsce na ziemi.

Kincaid usiadł głębiej na krześle.

– Na pewno coś da się zrobić – powiedział mając nadzieję, że ojciec nie zauważy kłamstwa.

Starzec pochylił się nad stołem i obiema rękami ujął jego dłonie.

– Chciałbym, synu – powiedział. – Naprawdę chciałbym. Zrobisz to dla mnie. Prawda?

Kincaid skinął głową i odparł:

– Obiecuję. – Spojrzał na zegarek. – Chyba powinniśmy już wracać.

Ojcu tak bardzo drżały ręce, że z trudem postawił filiżankę na stole.

Po krótkim spotkaniu z pacjentem lekarz poprosił do gabinetu Kincaida. Rozmawiali w cztery oczy.

- Niestety, nie mam dla pana pomyslnych wieści – powiedział lekarz.
- Spodziewałem się tego – odparł spokojnie Kincaid, chociaż drżał na całym ciele.
- Stwierdziliśmy rozległy naciek lewego płuca. Testy wykazały, że zmiana jest złośliwa.
- Czy istnieją jakiekolwiek możliwości leczenia? – rzekł Kincaid.
- Nie wiem. Przeprowadzimy operację i usuniemy zajęłą tkankę. Gdy otworzymy klatkę piersiową, będziemy mogli dokładnie określić zasięg zmian.
- Gdzie jest ojciec? – zapytał Kincaid.
- W pokoju obok. Zanim przyjmiemy go na oddział, wykonamy kilka dodatkowych badań. Może pan iść do niego.

Pielęgniarka wyszła zostawiając Kincaida sam na sam z ojcem. Dziennikarz czuł się niezręcznie, nie wiedział, co ma powiedzieć.

Obydwoj znali wyniki testów, a mimo to dopiero teraz, gdy lekarz wypowiedział głośno ich myśli, wyrok stał się nieskończenie bardziej ostateczny. Lekarz podpisał wyrok skazujący, przekreślił dalsze życie jego ojca. Każde istnienie ma swój początek, okres rozkwitu i zmierzch. Jego ojciec zbliżał się do mety.

Starzec skurczył się na krześle i skrzyżował nogi. Ta wiadomość spowodowała, że coś w nim pękło. Wypolerowane buty, z których był zawsze taki dumny, najlepszy, niedzielny garnitur i krawat z ogromnym węzłem nie pasowały do jego śmiesznie małej postaci. Był bardzo blady, na brodzie pojawił się niewielki zarost, chociaż Kincaid był pewien, że ojciec golił się kilka godzin temu.

- Jak się czujesz? – Kincaid zadał idiotyczne pytanie, ale czuł, że musi coś powiedzieć. Zanim skończył, już żałował swoich słów.
- Lepiej, chłopcze. Lepiej – usłyszał w zamian.
- Lekarz powiedział, że od razu przyjmą cię na oddział.
- Mhm.
- Czy potrzebujesz czegoś?
- Nie, chyba nie. Pielęgniarka zadzwoniła już do twojej siostry. Przywiezie mi piżamę i szczoteczkę do zębów. Chyba nie potrzebuję niczego więcej.
- Przyjadę dzisiaj wieczorem. Zobaczę, jak się urządziłeś.
- Nie wracasz do Londynu?
- Nie, jeszcze nie – odparł Kincaid.
- Nie musisz zostawać ze względu na mnie. Masz swoje życie, a mnie nie będzie. Poradzę sobie.
- Zobaczmy się później – odparł Kincaid zbierając się do wyjścia.

Wróciwszy do domu, zastał tam swoją siostrę Lisę. Objęła go mocno za szyję i stali tak bez słowa.

– Przyjechałam, żeby wziąć jego piżamę – powiedziała przerywając przedłużającą się ciszę.

– To dobrze.

Lisa spojrzała bratu prosto w oczy i wybuchnęła płaczem. Ze wszystkich sił starał się ją pocieszyć.

– On umiera? Prawda?

– Ma raka płuc. Nie ma na to żadnego skutecznego środka, ale wszyscy lekarze zgodnie twierdzą, że zostało mu jeszcze sporo czasu. Mają zamiar operować, żeby usunąć guz. Wtedy będą mogli podać więcej szczegółów.

Lisa znowu zaczęła płakać, więc Kincaid delikatnie otoczył ją ramieniem i powiedział:

– On chce zająć się jeszcze swoim wnukiem, obiecał mi to. Dlatego nie powinnaś się dreńczyć. Musisz teraz myśleć przede wszystkim o dziecku.

Przed wyjściem siostry Kincaid przygotował herbatę. Wypili ją w ponurym nastroju. Kincaid spojrzał na jej opuchnięte od łez oczy.

– Weź się w garść – powiedział. – Pojadę tam z tobą.

Neil Tolkien przyjechał do gabinetu dziesięć po ósmej. Normalnie zaczynał pracę o wpół do dziewiątej, ale przedtem musiał dokończyć papierkową robotę. Odbezpieczył cztery zamki i mocno pchnął ramieniem wejściowe drzwi. W tej okolicy solidne zabezpieczenie było niezbędne. Na podłogę wypadła korespondencja. Lekarz schylił się, aby ją podnieść. Tylko dwa rachunki i kilka reklam literatury medycznej.

Było zimno, tak jak w niemal wszystkich starych domach, gdzie miał dotychczas gabinety. Brak właściciela sprawił, że cała ulica popadła w ruinę. W najbliższym czasie zamierzano przeprowadzić rozbiórkę domów, więc instalowanie centralnego ogrzewania nie miało sensu. Najgorzej było z samego rana, gdy dopiero włączał piecyk. Trzy razy w tygodniu wcześniej od niego przychodziła sprzątaczką, lecz dzisiaj, niestety, miała wolne.

Tolkien rzucił pocztę na stolik w holu. Sięgnął po zapałki i zanim zdjął palto, uruchomił piecyk gazowy. Wciągnął w nozdrza stęchłe powietrze, odrażający smród starego domu.

Uprzątnął szybko poczekalnię: kolorowe pisma ułożył starannie na pośrodku stołu, opróżnił pełne kosze na śmieci, włączył i ustawił krzesła. Jakieś dziecko zostawiło lizaka, który przykleił się do tkaniny obiciowej. Lekarz, klnąc pod nosem, poszedł po wilgotną szmatkę. Gdy kończył czyścić krzesło, weszła recepcjonistka.

– Dzień dobry, doktorze Tolkien – odezwała się pierwsza. Miała trzydzieści kilka lat, a jej kasztanowe włosy nosiły ślady wielu nieudolnych eksperymentów fryzjerskich.

– Dzień dobry, pani Prossor. Znowu zimno.

– Okropieństwo – odparła kobieta pocierając ręce i chuchając w nie. Chociaż włożyła zwykły biały fartuch, to na wierzch zarzuciła gruby cardigan z szetlandzkiej wełny. – Moim zdaniem, śmierdzi coraz gorzej. Wie pan, o czym mówię.

– Trudno liczyć na poprawę – zgodził się Tolkien.

– Przyszedł pan dziś wyjątkowo wcześniej.

- Mam zamiar skończyć dyżur punktualnie i zdążyć na uroczystość do szpitala.
- Aha, słyszałam o tym. Kolejny pretekst do świętowania.
- „Oto nadchodzi nowa era opieki zdrowotnej w tym kraju” – odparł Tolkien cytując nagłówki dzisiejszych gazet. Ziewnął szeroko.
- Ciężka noc?
- Miałem wezwanie o trzeciej nad ranem. To dziecko pani Lawton.
- Coś poważnego?
- Wietrzna ospa.

Tolkien miał jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia dyżuru, więc zajął się uzupełnianiem dokumentacji. Musiał uporządkować karty i odnotować wyniki badań, które nadeszły w ciągu ostatnich kilku dni. Spojrzał na monitor nowego komputera. Przyszło mu do głowy, że już jutro jego dzisiejsza praca stanie się anachronizmem. Karty chorobowe i opisy pacjentów będą dostarczane z centralnej bazy danych w College Hospital. Tolkien nie wierzył, że kiedykolwiek zdoła zaufać bezdusznej maszynie. Upłynie sporo czasu, zanim w swojej praktyce oprze się wyłącznie na wydruku komputerowym.

Po raz kolejny usłyszał szcęk zamykanych drzwi. Przychodzili kolejni pacjenci i poczekalnia powoli się zapełniała. Uprzątnął biurko i nacisnął dzwonek. Czas na pierwszego pacjenta.

Weszła sześćdziesięcioletnia, zasuszona kobieta, której wąskie ramiona i wystające obojczyki świadczyły o tym, że schudła w ostatnim czasie. Była zdenerwowana. Tolkien przywitał ją i przyjaznym gestem wskazał krzesło obok biurka. Oparła dłonie na kolanach i spuściła oczy, jakby nagle zabrakło jej sił do rozmowy.

– Pomówmy o pani mężu – Tolkien odezwał się pierwszy. – Pani nie jest w stanie podołać takim obowiązkom, prawda?

Kobieta podniosła na niego wzrok. Patrzyła tak, jakby odkrył jej najgłębiej skrywaną tajemnicę.

– Prawda, panie doktorze – przyznała ledwie słyszalnym szeptem.

– Nie ma się czego wstydzić, pani Harrison – powiedział delikatnie Tolkien. – Pani mąż wymaga stałej opieki, jest zupełnie uzależniony od pani. To zbyt duży ciężar.

Na jej twarzy malowało się ogromne poczucie winy.

– On jest taki ciężki. Nawet żeby zaprowadzić go do toalety... Ja nie mam...

– Wiem, pani Harrison.

– Jesteśmy małżeństwem od czterdziestu dwóch lat. Tak bardzo go kocham, ale naprawdę nie wiem, co mam robić. – Kobieta wybuchnęła płaczem.

Tolkien widział taką scenę nie po raz pierwszy.

– Proszę się nie zadręczać – uspokajał ją. – Znajdziemy dla Harry’ego miejsce w placówce, gdzie otrzyma właściwą opiekę.

– Ale my przysięgaliśmy sobie, że nie będzie żadnych przytułków, póki jedno z nas będzie w stanie pracować i...

Tolkien wziął ją za rękę.

– Nie trzeba się drećzyć. Zrobiła pani więcej niż najbardziej oddana żona, a teraz zabrakło sił. Powinna pani zadbać o własne zdrowie. Tak będzie lepiej dla Harry’ego i dla pani. Będziecie mogli spędzać razem tyle czasu, ile zechcecie. A teraz proszę się uspokoić i pozwolić sobie pomóc. Dobrze?

Kobieta skinęła głową, ocierając chusteczką płynące po policzkach łzy.

Większość pacjentów Tolkiena miało sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Odzwierciedlało to, w pewien sposób, strukturę społeczeństwa. Ci ludzie mieli typowe, dla swojego wieku, problemy. Tolkien załatwiał ich niemal automatycznie, chociaż w głębi duszy doskonale wiedział, że nie powinien tego robić. Rutyna była największym wrogiem każdego lekarza, bo chociaż dziewięćdziesiąt, jeżeli nie sto, procent chorych przychodziło z podobnymi dolegliwościami i wymagało identycznego leczenia, to jednak zdarzały się takie wyjątki jak następny pacjent.

Przedstawił się lekarzowi jako czterdziestopięcioletek, Frank Golightly. Nigdy nie chorował, ale ostatnio czuł się zmęczony. Po prostu był niezdrów.

Tolkien szybko zaszufładował to jako przesilenie wieku średniego, lecz podczas badania zauważył, że chory ma dziwnie zwiotczałą skórę.

– Czy pan schudł w ostatnim okresie? – zapytał.

– Tak – odparł Golightly. – Przypuszczam, że jest to związane z bardzo intensywną pracą.

– A gdzie pan pracuje?

– Jestem reprezentantem handlowym firmy zajmującej się przenośnikami.

– Często wyjeżdża pan za granicę?

– Tak, dość często.

Tolkien uważnie obejrzał niewielkie plamki rozrzucone na ciele pacjenta. Przypuszczał, że ma do czynienia z przepracowanym biznesmenem, którego ciało odmawia współpracy, protestując przeciwko ciągłym wyjazdom i nieregularnym posiłkom, a znalazł coś innego i miał przeczucie, że nie będzie to pomyślna diagnoza. Zbadał go dokładnie, chociaż już od dłuższego czasu nie miał wątpliwości. Potrzebował tylko czasu, żeby ogarnąć sytuację. Odpowiedź na każde kolejne pytanie napawała go coraz większym strachem. W końcu zdobył się na odwagę.

– Panie Golightly, czy pan jest homoseksualistą?

Pacjent zerwał się na równe nogi, jakby lekarz rzucił mu w twarz najgorszą obelgę.

– Nie! Do jasnej cholery, oczywiście, że nie! Jestem żonaty. Po co pan o to pyta?

Tolkien odpowiedział krótko:

– Rutynowe pytanie.

Zapała chwila ciszy i nagle Golightly krzyknął:

– O rany boskie...

Poblądł i zapytał ledwie słyszalnym głosem:

– Pan sądzi, że to AIDS. Prawda? Niech pan nie kłamie.

Tolkien nie przewidział, że pacjent może czytać w jego myślach. Nie chciał potwierdzać tych przypuszczeń, ale nie mógł im zaprzeczyć. Powiedział spokojnie:

– Powinien pan wykonać badania krwi. Niepokoją mnie te plamy na skórze. Mogą być pierwszym objawem mięsaka Kaposiego. Ten nowotwór jest najczęściej kojarzony z AIDS.

– Ale ja nie jestem cholernym zbrodźcą. Naprawdę. Musi mi pan uwierzyć, doktorze. Nigdy nie miałem do czynienia z tymi czubkami.

Tolkien skinął głową i powiedział:

– Bardzo mi przykro, ale zarazić się można także utrzymując kontakty heteroseksualne. Może nie tak często, ale, niestety, zdarza się.

Golightly nagle wybuchnął gniewem.

– To ta niemiecka dziwka! – krzyczał. – Poderżnąłbym gardło tej kurwie! – Zerwał się z krzesła i stanął wzburzony nad Tolkienem. Lekarz patrzył na niego ze smutkiem w oczach. Chory zamilkł i opadł bezsilnie na krzesło.

– Jakie to ma teraz znaczenie!... O Boże! Jakie to ma w ogóle znaczenie...

Tolkien przerwał te rozważania.

– Nie zamierzam bagatelizować pańskiego stanu, a i pan doskonale zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz nie jesteśmy bezsilni. Możemy leczyć nowotwór. Poza tym mamy AZT. To nie zlikwiduje choroby, ale zwolni tempo jej rozwoju, a kto wie, przy takim postępie medycyny, może już niedługo będziemy mogli...

Golightly nie słuchał monologu Tolkiena. Zmagał się z własnym strachem, z dręczącymi go zmorami.

3

Kierując się strzałkami, Kincaid dotarł do holu imienia sir Mortimera Huxleya w College Hospital. Panująca tu chłodna atmosfera nie była mu obca. Przypominały mu się szkolne korytarze i uniwersyteckie hole, które podczas wielkich uroczystości zapępniały się różnego rodzaju osobistościami, obnoszącymi swoje doświadczenia, z dumą prezentującymi młodzieży własne recepty na życie.

Rozejrzawszy się wokoło, zatrzymał wzrok na kamiennym popiersiu, które prawdopodobnie przedstawiało sir Mortimera Huxleya. Niestety, rzeźbę umieszczono w miejscu, gdzie dziennikarze nie mieli wstępu, więc Kincaid nie mógł potwierdzić swoich przypuszczeń. Sądząc z wyglądu, sir Mortimer nie prezentował klasycznego ideału męskiej urody. Okrągła twarz, łysina i nieco krótka, za to szeroka, szyja nie przyciągały rzesz kobiet. Nawet z dystansu Kincaid dostrzegł ostre, nieprzyjazne spojrzenie profesora.

– Niesympatyczny gość – Kincaid zwrócił się do sąsiada.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jak większość z nich. Pan chyba dość surowo ocenia ludzi, prawda?

– Zgadza się – odparł Kincaid.

– Już niedługo zaczną nas wszystkich traktować jak chorych psychicznie i pozbawią wszelkich praw do własnego ciała – dorzucił inny dziennikarz.

– Małpy w zoo – Kincaid uśmiechnął się gorzko. – Wciskanie ciemnoty i ochłapy, żeby nie umrzeć z głodu.

Rozmowę przerwało zamieszanie powstałe na sali, gdy na podium weszło kilka osób. Kincaid po raz drugi miał okazję zobaczyć dyrektora szpitala Gordona Fieldsa, który właśnie stanął przy mikrofonie.

– Mam zaszczyt przywitać państwa. W dniu dzisiejszym zrobimy kolejny milowy krok na drodze do kompleksowej reformy służby zdrowia – zaczął podniosłym tonem. – Jak państwo wiecie, szczęśliwym trafem rozpoczęto reformę w północnej Anglii, w College Hospital. Pan minister zdrowia, John Carlisle, wybrał nasz szpital, aby tutaj przeprowadzić wzorcowe zmiany, które następnie

obejmą wszystkie ośrodki medyczne w kraju. Szczęście mamy nie tylko my – skromni pracownicy szpitala, ale przede wszystkim nasi pacjenci i wszyscy korzystający z usług służby zdrowia w regionie.

Na sali rozległy się brawa.

– Dlatego gościmy dzisiaj pomysłodawcę i inicjatora przedsięwzięcia – pana ministra Johna Carlisle’a.

Wybuchły gromkie brawa. Minister, ubrany w granatowy garnitur z jasnymi lamówkami, wszedł na podium i stanął przy mikrofonie, tuż obok Fieldsa.

– Dziękuję za zaproszenie i ten optymistyczny wstęp – zwrócił się do Fieldsa. – Jestem szczęśliwy, że znów mogłem przyjechać do College Hospital. Szczególnie mówiąc, jeszcze rok temu, gdy za czynaliśmy reformę, miałem ogromne wątpliwości, czy nasz plan się powiedzie. Dzięki moim współpracownikom, przychylniej postawie rządu i Rosjanom, którzy łaskawie pozwolili nam zredukować wydatki na obronność – tu przerwał mu wybuch śmiechu na sali – udało nam się. Uważam, że poprawa stanu zdrowia społeczeństwa zawsze powinna być jednym z priorytetów rządu.

Znowu brawa.

– I dopóki ja będę zajmował fotel ministra, dopóty ta hierarchia się nie zmieni. Nasi obywatele, wszyscy bez wyjątku, zasługują na najlepszą opiekę i otrzymają ją. Nie będzie leczenia dwutorowego, nie będzie oddzielnych szpitali dla bogatych i dla biednych. Najnowsze osiągnięcia światowej medycyny muszą być dostępne dla każdego.

Tym razem aplauz trwał tak długo, że Carlisle, aby móc kontynuować przemówienie, musiał uciszyć publiczność ruchem ręki.

– Tutaj postawiliśmy pierwszy krok, bo gdzież można zaczynać jak nie na północy? – Znowu brawa. – Dzisiaj z wielką radością otworzę w szpitalu skomputeryzowane centrum farmacji dla wszystkich lekarzy pracujących w regionie. Lecz zanim to zrobię, chciałbym przedstawić osoby, które na miejscu czuwają nad przebiegiem reformy. Proszę państwa, oto grupa specjalistów z College Hospital: Gordon Fields, Charles French i Paul Schreiber.

Carlisle pogratulował im osobiście i odwrócił się do mikrofonu.

– Proszę państwa, drugi etap *Northern Health Care Scheme* ogłaszam za rozpoczęty!

Kincaid wymienił spojrzenia z sąsiadem. Zaledwie kilka razy, poza zjazdami partyjnymi, miał okazję obserwować tak głośny aplauz dla polityka.

Człowiek mówiący tutejszą gwarą, dziękując ministrowi odwracał głowę to w stronę podium, to w stronę publiczności jak kibic meczu tenisowego na Wimbledonie. Składał podziękowania wszystkim po kolei, za „stworzenie nowych możliwości”, wspominał opiekę medyczną w czasach swojej młodości, a potem zaprosił gości na przygotowaną w sąsiednim pomieszczeniu lampkę wina. Na koniec programu przewidziano zwiedzanie nowoczesnego centrum komputerowego, w którym personel medyczny miał udzielać odpowiedzi na pytania gości.

Szukając w tłumie znajomych twarzy, Kincaid dostrzegł Tolkiena. W przeciwieństwie do pozostałych, lekarz nie miał na sobie garnitur. Był ubrany w brązową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i szare spodnie z wypchanymi kolanami. Stał samotnie, popijając sherry i błędził myślami daleko od otaczającego go tłumu i gwaru naukowych dysput.

- Znowu się spotykamy – zagadnął Kincaid podchodząc do lekarza.
- A więc zdecydował się pan przyjść. – Tolkien poznał go od razu.
- Posłuchałem pańskiej rady – odparł Kincaid. – Carlisle robi wrażenie.
- Zgadzam się. Jak się czuje pański ojciec?
- Niestety, pańska diagnoza okazała się trafna. Jest w szpitalu i jutro będzie operowany.

Tolkien skinął głową i pociągnął łyk sherry.

– Zastanawia mnie jedna rzecz: dlaczego lekarz stwierdził u niego zapalenie oskrzeli? – Kincaid spojrział wymownie na Tolkiena.

– Mam nadzieję, że nie oczekuje pan ode mnie odpowiedzi – odparł Tolkien.

– Nie, nie oczekuję – przyznał Kincaid. – Zawsze, gdy jesteście w opałach, trzymacie się razem.

– Niech pan nie będzie zbyt surowy. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi – powiedział Tolkien. – Po prostu w pewnym momencie pojawiają się bardziej charakterystyczne objawy.

Kincaid zamilkł na chwilę.

– A więc ma pan już komputer – zmienił temat.

Tolkien odpowiedział z uśmiechem:

– Mam. Tak jak powiedział ten człowiek – wszyscy mamy. Stoi na biurku w miejscu, gdzie do tej pory leżały sterty papierów.

– To się nazywa postęp.

– Chyba tak.

– Myśli pan, że spełni swoje zadanie?

– Ten nowy system? Jak dotąd wszystko działa, więc dajmy mu szansę.

– Żadnych obiekcji?

– Wręcz przeciwnie, bardzo wiele. Niestety, nie potrafię ich logicznie uzasadnić.

– Nie bardzo rozumiem...

– Czuję się tak jak generał, któremu powiedziano, że nie będzie już żadnej wojny. Chyba przywykłem do ciągłych kłótni i przepychanek z personelem szpitalnym i brak mi będzie wypisywania setek skarg i listów o niekompetencji władz. Nie mam powodu do narzekania, a mimo to wydaje mi się, że coś utraciłem bezpowrotnie.

– Anglicy są zaprawieni w ciężkich bojach o każdą sprawę. Kiedy wszystko układa się po ich myśli i nie mają o co walczyć, czują się niedowartościowani – stwierdził Kincaid.

– Bo lek nie musi być smaczny, tylko skuteczny – sentencjonalnie dodał Tolkien.

– Właśnie – uśmiechnął się Kincaid. Rozejrzał się wokoło i zapytał: – Do kogo powinienem się zwrócić po informacje na temat dalszych poczyną?

Tolkien wskazał grupę ludzi stojących w rogu i powiedział:

- To oficjele z miejscowych władz. Oni muszą coś wiedzieć.
- Spróbuję.

Zanim podszedł do nich, wziął kolejny kieliszek sherry. Wszyscy mówili o ministrze Carlisle'u i jego udziale w kłopotach obecnego rządu.

Carlisle nie miał za sobą długiej praktyki politycznej i jak pisała o nim codzienna prasa, zrobił błyskotliwą karierę Kopciuszka. Takie błyskawiczne kariery zawsze opierały się na ludzkiej naiwności. Wykreował siebie jako człowieka dbającego wyłącznie o dobro innych, będącego poza wszelkimi układami i rozgrywkami politycznymi.

Kincaid podszedł do grupy wskazanej przez Tolkiena i przedstawił się.

– Chciałbym uzyskać kilka informacji na temat dalszych planów związanych z reformą – powiedział.

Jeden z mężczyzn podał mu rękę.

– Nazywam się George Mellor. Pracuję w dziale informacyjnym. Służę swoją pomocą.

Pozostali oddalili się, zostawiając ich samych.

– Mógłby mi pan zdradzić, czy zamierzacie objąć reformą ośrodki dla osób upośledzonych umysłowo.

– Oczywiście, że tak – odparł Mellor. – Czy jest pan tym zainteresowany ze względów osobistych?

– Tak, czysto osobistych – przyznał Kincaid i w kilku zdaniach opowiedział mu historię Kerry.

– Rada nadzorcza powołała właśnie nowego dyrektora ośrodków psychiatrycznych. Obejmie swój urząd w przyszłym tygodniu. To zupełnie nowy człowiek. Ma zamiar przeprowadzić wiele korzystnych dla pacjentów zmian.

– To dobra wiadomość – powiedział Kincaid.

– To po prostu *Northern Health Scheme*, panie Kincaid – odparł Mellor.

Kincaid był w doskonałym nastroju, gdy ruszyli na zwiedzanie centrum komputerowego. Szanse na wyrwanie Kerry z zakłętego kręgu rosły z każdą chwilą. Lekkim krokiem przemierzał szpitalne korytarze za parą wystrojoną jak na królewski bal. Kapelusz, który ta kobieta miała na głowie, przekraczał średnicą szerokość jej ramion. W powietrzu unosił się charakterystyczny dla wszystkich szpitali na świecie zapach eteru i środków odkażających. Skręcili w lewo i doszli do wahadłowych drzwi, a potem, mijając krótki łącznik pomiędzy szpitalem i centrum komputerowym, dotarli do celu. Za oknem stały dwie karetki gotowe do wyjazdu. Jedna z nich miała dodatkowe wyposażenie i była przeznaczona do pomocy w razie większych wypadków komunikacyjnych. „Oby stały tu jak najdłużej” – przemknęło mu przez myśl.

Goście weszli do wielkiego, choć niskiego pomieszczenia. Kincaid policzył: przy komputerach siedziało czternaście osób. Przeczytał na tabliczce informacyjnej, że znajdują się w administracyjnym centrum szpitala. Równie dobrze mogło

to być Centrum Kontroli Lotów NASA, tylko że tutaj pracownicy mieli jasną karnację skóry i mówili z północnym akcentem.

– Znajdujemy się w centrum operacyjnym szpitala – poinformował ich mężczyzna, który na otwarciu został przedstawiony jako Charles French. Tworzył wokół siebie sztuczną atmosferę wymuszonego szacunku. Gdy goście weszli na salę, panowało tam ogólne zamieszanie, lecz wystarczyło, aby French zabrał głos, i wszyscy umilkli. Nie był postawnym mężczyzną, nie mówił donośnym głosem, a mimo to Kincaid, stojąc z tyłu, wyraźnie słyszał każde słowo. Od razu zorientował się, że ten człowiek jest tu obcy. Tak mówili tylko absolwenci Oxbridge*.

– Czworo pracowników zajmuje się aktualizacją danych w centralnym komputerze. Wpisują do pamięci wyniki badań i inne dane medyczne wpływające do ośrodka. Pozostali udostępniają te informacje lekarzom.

– A gdzie jest główny komputer? – zapytała kobieta w olbrzymim kapeluszu.

– Tam – odpowiedział French wskazując za siebie.

– Czy możemy go zobaczyć?

– Oczywiście – odparł French. – To niewielkie pomieszczenie, więc wszyscy naraz się nie zmieszczą. Proszę obejrzeć to, co państwa interesuje, a nasi pracownicy odpowiedzą na wszelkie pytania.

Kincaid nie miał ochoty podziwiać obudowy komputera, więc przystał na drugą propozycję Frencha. Powoli obszedł całe centrum operacyjne, dokładnie przyglądając się wszystkim obecnym na sali programistom. Podszedł do młodego człowieka siedzącego przed monitorem. Mógł mieć dwadzieścia kilka lat. Nie odrywając wzroku od komputera, zapamiętałe gryzł końcówkę długopisu.

– Przepraszam. Mógłbym zadać panu kilka pytań? – zagadnął go.

– Oczywiście. – Młody człowiek spojrzał na niego z uśmiechem. – W czym mogę panu pomóc?

– Może na początek opowie mi pan o swojej pracy?

– W tej chwili pracuję w dziale transfuzji.

– Krew? – upewnił się Kincaid.

Programista przytaknął i kontynuował:

– Opracowuję program komputerowy, dzięki któremu rozwiążemy problem dostępu do krwi w regionie. Pomysł polega na tym, żeby wprowadzić do pamięci komputera wszystkie dane o dawcach – nazwiska, grupy i podgrupy krwi. Należy je porównywać z aktualnymi potrzebami banku krwi naszego szpitala. Kiedy zapasy będą się wyczerpywać, komputer automatycznie wyśle do dawców wezwania, a my pobierzemy im krew.

– Znakomity pomysł – powiedział Kincaid.

– W najbliższym czasie rozszerzymy program na wszystkie gabinety lekarskie w regionie. W ten sposób komputer z wyprzedzeniem będzie regulował zapotrzebowanie na krew stosownie do naszych potrzeb. Chcemy także zbierać dane

* Oxbridge – nazwa powstała z połączenia nazw OXford i CamBRIDGE, dwóch elitarnych uniwersytetów opierających swoją działalność na podobnych zasadach i szczyjących się podobną tradycją (przyp. tłum.).

o pacjentach, którym z różnych innych powodów wykonano podstawowe badania krwi, a tym, którzy będą mieli szczególnie rzadkie konfiguracje grupowe, proponujemy wstąpienie do zespołu krwiodawców.

– Nie przypuszczałem, że rutynowo określicie grupę krwi – powiedział Kincaid.

– W innych regionach nie wykonuje się tego. My każdemu pacjentowi przyjmowanemu do szpitala, niezależnie od przyczyny jego pobytu, wykonujemy komplet badań, a wszystkie dane przekazujemy Micky’emu.

– Micky to komputer, prawda?

– Tak, skrót od *Medical Information Coordinator*.

– Rozumiem – powiedział Kincaid, z największym entuzjazmem, na jaki mógł się zdobyć w stosunku do skrótów. Kilka miesięcy temu podjął decyzję, że nie da złamanego grosza organizacjom charytatywnym używającym w nazwie skrótów.

– Chce pan z nim porozmawiać? Zadać mu jakieś pytanie?

Ignorując sposób, w jaki ten młody człowiek traktował komputer (personifikacja maszyny złościła go), Kincaid zainteresował się:

– Jakie pytanie?

– Micky jest w tym gronie specjalistą od medycyny. Może go pan zapytać o każdą rzecz.

– Ile dzieci urodziło się w waszym regionie w zeszły czwartek?

Palce informatyka prawie nie dotykały klawiatury. Od razu ukazał się wynik:

14 stycznia

urodzenia żywe: osiemdziesiąt cztery

płeć męska: czterdzieści sześć

płeć żeńska: trzydzieści osiem

Jeżeli chcesz otrzymać wydruk, naciśnij klawisz 1.

Jeżeli szukasz nazwisk i adresów, wpisz hasło i naciśnij klawisz 2.

Jeżeli szukasz wyników badań, wpisz hasło i naciśnij klawisz 3.

– Robi wrażenie – powiedział Kincaid. – Ale jakie wyniki badań mogą mieć noworodki?

– Założmy, że jest pan lekarzem dyżurnym w szpitalu. – Wpisał hasło i naciśnął klawisz 3. Na monitorze ukazała się lista nazwisk oraz wyniki badań krwi i testów biochemicznych. – Wszystkie noworodki mają wykonane podstawowe badania, które są wpisywane do Micky’ego. W ten sposób komputer otrzymuje niezbędne o dziecku już w dniu jego narodzin. Jeśli w ciągu trzech lat taki delikwent wpadnie, powiedzmy, pod samochód i konieczne będzie przetoczenie krwi, Micky poda chirurgowi odpowiednią grupę. Jeśli okaże się, że jest to bardzo rzadko występująca grupa krwi i nie ma jej w banku, do wydruku doda adresy i nazwiska dawców.

– To ma sens – powiedział Kincaid. – Mój ojciec właśnie został przyjęty do waszego szpitala. Co pan ma na jego temat?

– Przykro mi, nie mogę panu udostępnić żadnych danych. Wyniki badań naszych pacjentów objęte są klauzulą i dostępne tylko personelowi medycznemu.

– Rozumiem – spokojnie powiedział Kincaid. – Po prostu chciałem sprawdzić.

– Pan nie jest z kontroli, prawda? – zapytał programista z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

– Nie, jestem dziennikarzem.

– To jeszcze gorzej – podsumował.

– Nie miałem zamiaru pana przestraszyć – powiedział Kincaid. – Byłem ciekaw. To wszystko.

Rozmówca Kincaida nie był przekonany.

– Musiał pan słyszeć te straszne historie o dziennikarzach, o tym, co potrafią zrobić z życiem zwykłych ludzi.

Kincaid skinął głową.

– Wiem. Nie powinno tak być, ale, niestety, jest kilka zgniłych jabłek i cały kosz śmierdzi.

Wyciągnął rękę i przedstawił się. Informatyk, wyraźnie odprężony, podał mu dłoń.

– Dave Holland – powiedział.

– Dave, opowiedz mi o nowym centrum farmaceutycznym. Jak to ma działać?

– To bardzo proste. Kiedy pacjent przychodzi do lekarza, ten stawia diagnozę i wpisuje dane do swojego komputera, który ma połączenie z naszym, centralnym komputerem. Podaje również sposób leczenia. Nasz komputer przetwarza dane i przekazuje zamówienie do centralnej apteki. Oni realizują receptę i po trzech godzinach pacjent może odebrać preparaty w swojej aptece. Kiedy ten sam pacjent przyjdzie na kontrolę, lekarz wpisze do komputera efekty kuracji. Komputer nie tylko oceni skuteczność terapii, ale także porówna ją z wynikami osiągniętymi u innych pacjentów, u których zastosowano podobne leczenie.

– Robi wrażenie – powiedział Kincaid.

– Rzeczywiście. I tak automatycznie powstaje kliniczny test terapii, stale aktualizowany i oceniany przez komputer.

– A jeśli chodzi o koszty? Czy to kolejny atut systemu?

Holland wzruszył niepewnie ramionami i powiedział:

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Obrócił się na krześle i zapytał kolegów obok. Nikt nie znał odpowiedzi.

– Ktoś musi posiadać takie informacje – stwierdził Kincaid.

– Na pewno – odparł Holland. – Zapytam pana Frencha, gdy wróci.

Pierwsza grupa wyszła z małego pomieszczenia, gdzie prezentowano blok centralnego komputera. Programista zapytał Frencha, czy mógłby poświęcić kilka minut Kincaidowi.

– Ależ z przyjemnością – odrzekł French. Podał rękę dziennikarzowi i patrząc mu prosto w oczy, uśmiechnął się szeroko. – W czym mogę panu pomóc?

– Pytałem pańskich pracowników o koszty przedsięwzięcia – powiedział krótko Kincaid.

- Koszty?
- Właśnie. Zapytałem pańskiego programistę, czy zaletą nowego systemu komputerowego są również oszczędności w budżecie szpitala.
- Oczywiście, że tak – odpowiedział French.
- Nikt z pańskiej ekipy, panie French, nie umiał udzielić informacji na ten temat – stwierdził Kincaid.

French uśmiechnął się, ale Kincaid dostrzegł w jego oczach cień rozdrażnienia.

– Nasi pracownicy zajmują się medycznymi, nie ekonomicznymi aspektami reformy. Zestawienia kosztów, również opracowywane przez komputer, są przesyłane bezpośrednio do ministerstwa w Londynie.

– Czy jest to praktyka powszechnie stosowana w szpitalach? – zapytał Kincaid. – Czy budżet szpitala nie jest zatwierdzany przez lokalne władze?

– My jesteśmy placówką eksperymentalną – odparł French. – Dlatego nasz budżet podlega bezpośrednio Ministerstwu Zdrowia.

– Rozumiem.

– Doskonale – rzekł French. – Jeżeli nie ma więcej pytań, to przejdziemy do działu farmaceutycznego, gdzie doktor Schreiber z przyjemnością opowie państwu o swojej specjalności.

Zapach plastiku zmieszanego z ozonem unoszący się w dziale farmaceutycznym różnił się od tego z centrum komputerowego. Był bardziej zbliżony do szpitalnego. Paul Schreiber miał puciołowatą twarz otoczoną cienkimi, bladymi włosami i nosił okulary w kanciastych metalowych oprawkach. Przedstawił się i krótko opowiedział o podstawowych zasadach wprowadzanego systemu. Powoli cedził słowa, tak że Kincaid miał nieodparte wrażenie, iż doktor Schreiber jąkał się w dzieciństwie i dopiero dzięki żmudnej terapii zdołał zatuszować tę wadę.

W gruncie rzeczy mówił to samo, co Kincaid usłyszał wcześniej od Hollanda. Pewien człowiek, stojący niedaleko Kincaida, przedstawił się jako miejscowy lekarz i zapytał, ile osób pracuje w dziale farmaceutycznym.

– Dwie – odparł French.

– Tylko dwie? – spytał z niedowierzaniem, speszony nieoczekiwaną odpowiedzią.

Schreiber uśmiechnął się widząc taką reakcję i wytłumaczył:

– To w zupełności wystarczy. Zawarliśmy umowy z tutejszymi farmaceutami. Oni zaopatrują nas w najczęściej stosowane preparaty, a naszym dwóm pracownikom pozostają bardziej nietypowe zlecenia.

– Czy „nietypowe” to znaczy drogie? – zapytał ktoś inny. On także był lekarzem, a Kincaid wyraźnie czuł wrogość w jego głosie.

– Nie, nie używamy tych terminów zamiennie – odparł z uśmiechem French. – „Nietypowy” to znaczy lek, którego nie stosujemy rutynowo. Na przykład: pacjent wraca z zagranicy, przywozi ze sobą niespotykaną w kraju chorobę tropikalną i leczenie wymaga stosowania nietypowych leków, których nie mamy w zapasie. Komputer przyjmie takie zlecenie i prześle je do naszego farmaceuty, który zamówi i wyda niezbędny preparat.

Lekarz nie był usatysfakcjonowany taką odpowiedzią. Kincaid miał wrażenie, że te pytania nie były przypadkowe.

– Dzisiaj rano – zaczął lekarz – przepisałem jednemu z moich pacjentów elocin. Wasz komputer przyjął zlecenie, ale pacjentowi wydał kalocin. Chciałbym wiedzieć tylko jedno: dlaczego?

– Ponieważ kalocin jest tańszy – stwierdził French.

Lekarz uśmiechnął się tryumfalnie.

– A więc przyznaje się pan? – spojrzał na niego zwycięsko.

– Oczywiście, doktorze – odpowiedział French. – Jeżeli istnieją tańsze warianty tego samego leku, komputer je wyda.

– Jeżeli wśród nas są dziennikarze, to mam nadzieję, że zwrócą uwagę na ten fakt. – Lekarz, z wypiekami na twarzy, zwrócił się do zebranych. – To jawna ingerencja rządu w pracę lekarza. To są oszczędności na zdrowiu pacjentów! Oburzające!

Schreiber, zachowując kamienny spokój, uśmiechnął się i powiedział:

– To są nie tylko oszczędności, doktorze. Kalocin jest równie skutecznym preparatem jak elocin. W przeciwnym wypadku komputer nie zmieniłby pańskiej decyzji.

– Tylko ja mam prawo decydować, co jest dobre dla mojego pacjenta – odparł z dumą lekarz.

– Komputer opiera się na niepodważalnych faktach. Tutaj nie chodzi o zakres władzy. Maszyna dysponuje szerszymi danymi, a my przecież jesteśmy tylko ludźmi. Spójrzcie, państwo.

Schreiber podszedł do komputera i uruchomił program porównawczy dla elocinu i kalocinu. Na monitorze ukazały się wyniki klinicznych testów przeprowadzonych dla obu preparatów i matematyczne zestawienie, z którego wynikało, że nie ma żadnych różnic w klinicznej przydatności leku.

– Dlatego komputer podał pańskiemu pacjentowi kalocin – powiedział Schreiber. – Jest równie skuteczny i tańszy.

Lekarz był wyraźnie speszony. Kincaid podejrzewał, że gdyby przewidział podobny przebieg wydarzeń, w ogóle nie zabierałby głosu.

Następnie zaprowadzono ich do ogromnego magazynu, w którym przechowywano leki. Leżały na półkach, w specjalnych pojemnikach, gotowe do oddania w ręce pacjentów. Padło kilka pytań na temat zabezpieczenia przechowywanych preparatów, zwłaszcza tych, które wymagają specjalnego dozoru. Gdy gospodarze rozwiali wszystkie wątpliwości zwiedzających, impreza została oficjalnie zakończona.

Kincaid wypił szklankę herbaty w szpitalnej kawiarence i poszedł na oddział, gdzie leżał ojciec. Chociaż nie były to godziny odwiedzin, miał nadzieję, że pielęgniarka wpuści go. Nie pomylił się. Kiedy wszedł na salę, zobaczył ojca ułożonego tyłem do drzwi. Sądząc, że śpi, podszedł na palcach, lecz staruszek leżał nieruchomo z szeroko otwartymi oczami.

– Jak się czujesz? – zapytał.

- W porządku, synu.
- Boisz się jutrzejszego dnia?
- A ty byś się nie bał?

Kincaid przyznał mu rację. Był wściekły na siebie. Miał osobliwy talent do niezbyt niefortunnych sformułowań. Ze wszystkich sił starał się do ojca zbliżyć i nie potrafił. Niejednokrotnie podejmował wysiłki, które, jak dotąd, nie przyniosły żadnego rezultatu.

- Gdy tylko dowiedzą się, co to jest, wszystko się zmieni.
- Tak sądzisz?
- Jeżeli jesteś chory, a sam wiesz, że jesteś, to znajdujesz się w najbardziej odpowiednim miejscu. Właśnie widziałem ich nowe centrum komputerowe.
- Nawet głupiej herbaty...
- O czym ty mówisz?
- Nie dali mi nawet szklanki tej choleralnej herbaty. Mówią, że to z powodu jutrzejszej operacji.
- Ach, rozumiem. – Kincaid w duchu dziękował Bogu, że ojciec nie stracił woli walki.
- Na pewno chcą mnie zagłodzić na śmierć i zaoszczędzić pieniędzy na operacji.

Kincaid uśmiechnął się.

- To dla twojego własnego dobra – powiedział. – Musisz mieć pusty żołądek, bo inaczej zacząłbyś wymiotować po środkach znieczulających.
- Jack Kincaid odwrócił się i popatrzył synowi głęboko w oczy.
- Gdyby jutro cokolwiek poszło źle... Obiecuj, że nie zapomnisz o Świętej Marii. Słyszysz? Obiecuj!
- Jutro wszystko będzie dobrze – powiedział Kincaid.
- Lecz ojciec oczekiwał innej odpowiedzi. W końcu Kincaid skapitulował:
- Nie, nie zapomnę. Obiecuję. – Położył rękę na ramieniu starszego pana i uściśnił go delikatnie. Wstał i już przy drzwiach odwrócił się. – Wpadnę do ciebie, gdy będzie już po wszystkim.

Kincaid dawno już wyszedł ze szpitala, a wciąż nie opuszczała go myśl, że oto ojciec wyruszył w drogę, z której nie było odwrotu.

Pierwszy krok zrobili w izbie przyjęć i od tej chwili nie mieli już wpływu na bieg wypadków. Nic już nie będzie takie jak dawniej. Doskonale pamiętał historię swojej matki. Nad szpitalami tkwiła jakaś klątwa. Ciężko chorzy pacjenci, gdy pierwszy raz przekraczali progi szpitala, tracili kontakt z własną rodziną, pękała jakaś niewidzialna nić. Nieważne, jak bardzo krewni starali się im pomóc, to co raz zostało stracone, pozostawało nieuchwytnie do końca.

Chorzy odpływali coraz dalej i dalej. Dystans między ich światem a rzeczywistością mógł się tylko powiększać. Nie było drogi powrotnej.

Kincaid postanowił się przejść. Nie zwracał uwagi na mżawkę zamazującą uliczne światła i osiadającą niewidzialną mgiełką na jego włosach. Skierował się

w labirynt bocznych uliczek, gdzie nie dochodził huk ulicznego ruchu, gdzie mógł zostać sam ze swoimi myślami. Przeszedł tak ponad pół mili, gdy nagle poczuł ogarniający go lęk. Kątem oka zauważył postać w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym. Widział ją już przedtem, gdy przechodził przez skrzyżowanie, a głęboko w pamięci znalazł obraz sylwetki stojącej przy wyjściu z oddziału, gdzie leżał jego ojciec. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Ktoś go śledził.

Kincaid starał się zbagatelizować sprawę. Tłumaczył sobie, że tak absurdalne sytuacje zdarzają się jedynie w filmach. „Na litość boską! Jesteś tylko dziennikarzem, a nie Philipem Marlowem” – tłumaczył sobie. Szedł spokojnym krokiem, aby po chwili odwrócić się raptownie i skontrolować sytuację w lustrzanej witrynie sklepowej. Musiał przyznać, że to nie był rozsądny krok. Witryna należała do zakładu naprawy urządzeń sanitarnych. Przedstawiono na niej tonący statek zaplany w ogromne wodorosty.

Jeszcze raz rzucił okiem na postać za jego plecami. Zniknęła w cieniu. Może to bandyta? Do głównej, jasno oświetlonej ulicy, pozostało jeszcze ponad pół mili. Zdrowy rozsądek kazał mu brać nogi za pas, ale żądza przygód, a może zawodowa ciekawość, osadzały go w miejscu. Ręką sięgnął do kieszeni. Znalazł w niej garść monet.

Od ulicy, którą szedł, odchodziło wiele bocznych chodników. Skreślił w pierwszy z nich i puścił się biegiem, a potem schował w najciemniejszym zakamarku uliczki. Jeżeli ktoś naprawdę go śledził, wkrótce się o tym dowie, bo jedyne docierające tutaj światło pochodziło z głównej ulicy, a więc każda postać, która znalazłaby się w jego zasięgu, zaznaczyłaby na chodniku długi, wąski cień.

Zapadła głucha cisza. Czekał z policzkiem przyklejonym do chropowatej, kamiennej ściany. Czuł, jak pulsują mu skronie. W nozdrzach miał zapach odchodów. Wtem na chodniku zamajaczył cień. Ktoś wszedł w uliczkę. Nie słyszał żadnych kroków. Ktokolwiek to był, skradał się jak kot. Kincaid sprężył całe ciało, przygotowując się do skoku bądź ucieczki.

Cień zniknął, ale Kincaid był czujny. Wsłuchiwał się w każdy szelest, lecz nawet najdrobniejszy szmer nie zakłócał nocnej ciszy. Czy napastnik wycofał się? Może zwietrzył pułapkę. Może ma przy sobie nóż. Z przerażeniem zobaczył oczyma wyobraźni siebie leżącego na przesiąkniętym benzyną bruku, w kałuży krwi połyskującej złowieszczą w świetle reflektorów. Przełknął ślinę. Bał się, iż podobne odgłosy mogą zwabić napastnika. Wydawało mu się, że usłyszał dziwny szelest. Na wszelki wypadek podniósł do góry zaciśniętą pięść.

Mijały długie sekundy. Ogromne napięcie powodowało, że szybko opuszczały go siły. Przed oczyma przesuwały się coraz bardziej makabryczne obrazy. Ten człowiek musiał podejrzewać zasadzkę, w przeciwnym razie nie poruszałby się tak wolno. Kincaid odrzucił wszelkie wątpliwości. Był taki bezsilny. Usłyszał tuż obok siebie płytki, urwany oddech. Napastnik był przy drzwiach. Kincaid gwałtownym ruchem wyciągnął przed siebie rękę i wymierzył przeciwnikowi cios w kark, a zaraz potem, osłaniając głowę, uderzył go kolaniem między łopatki.

– Dlaczego mnie śledzisz? – krzyknął.

Był zaskoczony dotykając miękkiego ciała, czując zapach perfum. Gwałtowne, typowo damskie protesty sprawiły, że zwolnił uścisk.

- Co do cholery?! – krzyknął puszczając wolno rzekomego napastnika.
- Mógł mnie pan udusić! – krzyknęła dziewczyna pocierając kark.
- Myślałem, że pani jest bandytą! – zaprotestował Kincaid. – Dlaczego mnie pani śledziła? Czego pani ode mnie chce? – Był bardziej zawstydzony niż zły.
- Czy ja wyglądam na bandytę? – zapytała dziewczyna.

Musiał jej oddać sprawiedliwość – zupełnie nie przypominała kryminalisty. Rzekomym „bandytą” była szczupła, bardzo atrakcyjna, złotowłosa dziewczyna. Patrzyły na niego inteligentne, brązowe oczy. Co więcej – on znał tę kobietę. To była pielęgniarka z College Hospital, Eve Laing.

4

W czwartkowy wieczór Neil Tolkien pełnił dyżur w centrum odwykowym. Założył je razem z dwoma kolegami w dużym lokalu mieszczącym się w pobliżu ich gabinetów. Na początku lat osiemdziesiątych, gdy następowała stopniowa degradacja przemysłu na północy kraju i idący za tym spadek zatrudnienia, działalność ośrodka odzwierciedlała rozmiary tragedii, jaka rozgrywała się w regionie. Wielu młodych zostało pozbawionych szansy na uzyskanie pracy i godnego zarobku, na dostęp do lepszego świata. Byli podatni na wpływy narkotykowych potentatów z południa, którzy szybko zorientowali się w sytuacji i próbowali wykorzystać nadarżającą się okazję. Heroina, która jeszcze dziesięć lat temu kojarzyła się wszystkim wyłącznie z amerykańskimi filmami, zaczęła być dniem powszednim, lekarstwem na niepowodzenia życiowe i brak perspektyw. Równoległe rozwijały się prostytucja i przestępczość, co zapewniało narkomanom pieniądze na ich „szczęście”.

Samo centrum mieściło się w zaadaptowanej na ich potrzeby hali, którą firmy budowlane wykorzystywały uprzednio do zestawiania konstrukcji. Budynek położony był na skraju zielonego skweru, gdzie częściej baraszkowały psy niż bawiły się dzieci. One wołały korzystać z wąskich chodników i kamiennych podwórek.

Gavin Mitchell, rumiany pięćdziesięciolatek w bawełnianej marynarce i wmiętej koszuli, kolega Tolkiena po fachu, popatrzył na wchodzącego lekarza.

– W samą porę, Neil – powiedział, spoglądając wymownie na kobietę w białym kitlu, która próbowała otworzyć butelkę wina. Doktor Mary Cunningham odwróciła się do nich z uśmiechem.

– Może to nie Dom Perignon, ale nie bądźmy drobiazgowi. – Wręczyła zamkniętą butelkę Tolkienowi.

Spojrzał na etykietkę – hiszpańskie wino.

– Jaka to okazja? – zapytał zdziwiony.

– Zostaliśmy oficjalnie zarejestrowani – odparł Mitchell.

– Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdziła kobieta. – Rada zadecydowała, że możemy wyjść z podziemia. Krótko mówiąc, dostaliśmy błogosławieństwo władz. Dali nam nawet oddzielne połączenie z centrum komputerowym w College Hospital.

– Proszę, proszę – powiedział z przekąsem Tolkien. – Nic dodać, nic ująć.

– To nie wszystko – przerwał mu Mitchell. – Będziemy za darmo otrzymywać niezbędną ilość igieł jednorazowych i prezerwatyw, którymi możemy dysponować wedle naszego uznania.

– Skąd ta zmiana? – zapytał Tolkien. Taki luksus zupełnie nie przystawał do trudności, z jakimi centrum borykało się do tej pory.

– *Northern Health Scheme* – odparła Mary Cunningham. – Zostaliśmy włączeni do programu. Minister Carlisle chce do prowadzić do pełnej integracji wszystkich jednostek służby zdrowia w regionie. Koniec z działaniem w pojedynkę.

Strzelił korek i Tolkien nalał wina do przygotowanych kieliszków. Niemal żałował, że skończyły się jego potyczki z twardogłową radą szpitala, która, do tej pory, zgodnie twierdziła, że problem uzależnień rozwiążą wykłady o „poszukiwaniu miejsca w życiu”. Wolny dostęp do igieł jednorazowych rozwiąże problem używania zakażonego sprzętu, a oni doskonale wiedzieli, że właśnie tą drogą wirus szerzył się najszybciej. Wiedzieli także, że rozdawanie prostytutom prezerwatyw uchroni je i ich klientów przed zakażeniem drogą kontaktów seksualnych.

– Co więcej, dostaliśmy zgodę na profilaktyczne stosowanie AZT u pacjentów, u których, naszym zdaniem, będzie to konieczne – dodała lekarka.

Tolkien spojrzął na nią szeroko otwartymi oczami.

– A co z kosztami? – zapytał.

AZT był jednym z niewielu leków dających realną poprawę jeśli chodzi o AIDS. Trudno to nazwać leczeniem choroby, ale preparat zwalniał tempo toczącego się procesu destrukcji. Badania Amerykanów bezsprzecznie dowiodły, że podanie AZT tuż po wykryciu przeciwciał przeciwko wirusowi HIV dawało znacznie lepsze rezultaty, niż podawanie leku dopiero po rozwinięciu się objawów choroby. Jednak, ze względu na koszt takiej terapii, w Wielkiej Brytanii podawano AZT dopiero przy pełnoobjawowej postaci choroby.

– Przede wszystkim zdrowie, dopiero potem koszty – odparł Mitchell. – To słowa samego ministra.

– Zaczynam podejrzewać, że dzisiaj rozdają prezenty gwiazdkowe – powiedział Tolkien. – Tylko że pieniądze nie spadają z nieba.

– Osobiście nie mam nic przeciwko temu – zaznaczył Mitchell.

– Ani ja – dodała Mary Cunningham.

Tolkienowi wydawało się, że słyszy jakiś hałas za drzwiami. Wyjrzał przez okno.

– Chyba mamy pierwszego gwiazdkowego pacjenta – powiedział, patrząc na stojącą za drzwiami postać w skórzanym płaszczu. – Zajmę się nim.

Tolkien miał wrażenie, że zbyt często ogląda podobne postaci, w podobnych płaszczach, stojące podobnie jak ten człowiek przed drzwiami. Chłopak miał może

dwadzieścia lat, ale był tak wyniszczony i blady, iż wyglądał na trzydzieści pięć. Drżąc na całym ciele, nerwowo wykręcając palce, patrzył z przerażeniem jak schwytane w klatkę zwierzę.

- Mówili, że może mi pan pomóc.
- Mam nadzieję – odparł Tolkien.
- Chcę z tym skończyć.
- To dobrze. Jak się nazywasz?
- Terry. To znaczy Terry Feenan – odparł chłopak.

– Dobrze – Tolkien starał się mówić rzeczowo. Częste kontakty z narkomanami nauczyły go kilku reguł, którymi posługiwał się na co dzień. Pierwsza z nich brzmiała: „Nigdy nie wierz słowom narkomana na głodzie. Dowiedz się, czego naprawdę chce”. Czując, że lekarz ma wątpliwości, chłopak z niepokojem wodził za nim wzrokiem.

- Czego pan jeszcze chce? – zapytał ostrzejszym tonem.
- Powodu – odparł krótko Tolkien.
- Powodu? – powtórzył z niedowierzaniem chłopak. – Na litość boską! Przecież to jasne jak słońce! Nie mam takiej góry szmalu. To jest powód.
- A więc chcesz się wyrwać z braku pieniędzy?
- Tak. Właśnie tak.
- Marnujesz mój czas – podsumował Tolkien.

Chłopak nie wytrzymał nerwowo.

– O co tu chodzi? – krzyknął. – Lekarze z bożej łaski! Wszyscy jesteście tacy sami. Jedno wielkie gówno. Jeżeli teraz wejdę w konflikt z prawem, to będzie twoja wina. Nie zapomnij o tym, cholernie przyzwoity doktoru! – Zerwał się z krzesła.

Tolkien spokojnie patrzył na to przedstawienie.

– Wejdiesz w konflikt z prawem? – przedrzeźnił go. – Konflikt z prawem?! Skąd wzięłeś ten tekst? A może następnym razem powiesz mi, że wpadłeś na otwarty kiosk. Po prostu potrzebna ci solidna działka, tak?

Chłopak spuścił głowę i przytaknął.

– Podciągnij rękawy.

Chłopak odsłonił ręce. Lekarz zobaczył rzędy śladów po zastrzykach.

– Teraz spodnie – nie ustępował.

Tolkien aż gwizdnął rzuciwszy okiem na uda i pośladki pacjenta.

– Ależ bałagan! – mruknął. – Jak długo to trwa?

– Trzy lata – odparł chłopak.

– Jeżeli teraz się tym nie zajmiesz, niedługo zostaniesz bez nóg.

Chłopak przytaknął.

– Czy powiesz mi wreszcie prawdę? Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytał Tolkien.

– Chodzi o moją dziewczynę – Karen.

– Czy ona też bierze?

– Mhm. Widzi pan, mamy dziecko. Judith ma dwa latka. Wczoraj były jej urodziny i Karen upiekła ciasto. Kiedy tak siedziałem w fotelu i patrzyłem, jak

mała się bawi, pomyślałem, że to dziecko za rok może być już sierotą. Możemy nie doczekać jej następnych urodzin. A jeżeli nas zabraknie, to kto się nią opiekuje? Chciałem, żeby Karen przyszła tu ze mną, ale ona dzisiaj pracuje.

Tolkien, patrząc pacjentowi prosto w oczy, zadał następne pytanie.

– Tak – przytaknął chłopak. – Poszła na ulicę. Potrzebujemy forsy.

– A kto się opiekuje Judith?

– Moja matka.

– Kto jest twoim lekarzem? – zapytał Tolkien. Chłopak odpowiedział.

– Byłeś u niego?

Skinął głową.

– I co powiedział?

– Żebym się odpierdolił.

Znając lekarzy Tolkien musiał się z tym pogodzić. Był pewny, że doktor nie użył tak dosadnego sformułowania, ale treść była bliska prawdy.

– W porządku – powiedział. – Zajmiemy się tym.

– Co ze mną będzie?

– Zamierzam dać ci inny narkotyk – metadon. To substytut heroiny. Będziesz go przyjmował doustnie, więc skończą się zastrzyki, blizny na rękach i krwiaki. Jest wydawany na specjalne, realizowane każdego dnia recepty. Dam ci je. Centrum Farmaceutyczne z College Hospital dostarczy lek do twojej apteki. Musisz mi tylko powiedzieć, gdzie to jest.

– Na Alberty Street. U Jacksona – odparł chłopak.

Tolkien zanotował adres.

– Powinieneś przyprowadzić do mnie Karen i dziecko – powiedział.

– Spróbuję ją przekonać, ale ona już nikomu nie wierzy.

– Chociaż spróbuj – odparł Tolkien.

Chłopak podniósł się z krzesła.

– Jeszcze jedno – rzekł Tolkien. – Chciałbym pobrać ci krew na badania. Mam nadzieję, że znajdzie choć jedną całą żyłę.

Już trzeci raz Kincaid upewniał się, czy nie zranił Eve Laing.

Pielęgniarka spojrzała na jego strapioną minę i powiedziała spokojnie:

– To była moja wina, proszę mi wierzyć. Chciałam z panem porozmawiać.

– Porozmawiać? – powtórzył Kincaid.

– Tak. W cztery oczy – dodała.

Kincaidowi włosy zjeżyły się na głowie.

– O Grecie Marsh? – zapytał.

– Tak – odparła dziewczyna. – Miał pan rację. Nie wszystko jest w porządku.

Rozejrzała się wokół i Kincaid od razu zrozumiał, o co jej chodzi. Klatka schodowa była wilgotna, zimna i potwornie śmierdziało na niej urną.

– Może pójdziemy do pubu? – zaproponował.

Eve Laing pokręciła przecząco głową i powiedziała:

– Nie chcę, aby ktokolwiek spotkał nas razem. Mogłabym stracić pracę.

Kincaid zastanawiał się nad innymi możliwościami.

– Może pojedziemy do pańskiego hotelu? – zaproponowała nieśmiało Eve. Kincaid powiedział, że nie mieszka w hotelu, lecz w domu swojego ojca.

– Może, w takim razie, tam?

Gdy doszli do głównej ulicy, Kincaid zatrzymał taksówkę i gestem dłoni zaprosił Eve do środka.

W samochodzie wymienili kilka zdawkowych uwag o pogodzie, lecz poza tym panowała trudna do zniesienia, pełna napięcia cisza. Taksówka przemierzała oświetlone, zalane deszczem ulice miasta. Cały czas pracowały wycieraczki.

Gdy samochód zatrzymał się przed domem, Kincaid zapłacił kierowcy.

– Niestety, to nie Ritz – powiedział otwierając frontowe drzwi. Wszedł pierwszy i zapalił światło. – Na dodatek trochę tu chłodno.

Gdy włączył piecyk, w pokoju zrobiło się przytulnie i ciepło.

Z filiżankami gorącej kawy w dłoniach, usiedli naprzeciwko siebie. Kincaid spojrzał na Eve, na jej dłonie, na zgrabne, długie palce wprost stworzone dla miękkich klawiszy fortepianu. Była spięta, patrzyła na niego tym samym wzrokiem, który tak bardzo poruszył go podczas konferencji prasowej Greta Marsh. Miała przyjemny głos. Kincaid był zaskoczony, że mówiła poprawnym, pozbawionym obcego akcentu językiem.

– Zacznijmy od początku – zaproponował. – O co w ogóle chodzi?

– Wydaje mi się, że Grecie Marsh przytrafiło się coś złego – powiedziała Eve.

– Na konferencji prasowej wyglądała zupełnie normalnie – odparł Kincaid.

– To nie była Greta Marsh.

Kincaid otworzył aż usta ze zdziwienia.

– Chwileczkę. Spokojnie. Możesz to powtórzyć? – wykrztusił.

Eve była jeszcze bardziej zdenerwowana niż przed chwilą. Kręciła się na krześle i nerwowo gniotła brzeg szalika.

– Powiedziałam, że moim zdaniem kobieta, którą widziałeś na konferencji, nie była Gretą Marsh – powtórzyła.

– A w takim razie, kim? – zapytał Kincaid starając się pojąć sens jej słów.

– Nie wiem.

– Zacznijmy od samego początku. Dobrze? – zaproponował. Eve pociągnęła łyk kawy.

– Byłam jedną z pielęgniarek, które zajmowały się Gretą Marsh, gdy powróciła z bloku operacyjnego. Twarz miała zakrytą opatrunkiem, ale widziałam jej ciało.

– I co? – ponaglił Kincaid. Chciał, by dziewczyna przeszła od razu do sedna.

– Greta miała znamię na lewej stopie. Sercowate znamię na kostce. Kobieta, którą myłam i ubierałam wczoraj, nie miała ani tego znamienia, ani bandażu.

– Jesteś pewna, że to było znamię a nie, na przykład, stary siniak? – pytał Kincaid.

– To było znamię. Na pewno.

– Coś jeszcze?
– Greta Marsh była w bardzo ciężkim stanie po zabiegu. Aż cztery dni leżała na oddziale intensywnej terapii. Kiedy widziałam ją ostatni raz, jej stan wciąż był bardzo poważny. Dla takiej pacjentki radykalna poprawa w ciągu zaledwie czterech tygodni graniczyłaby z cudem.

– Nie opiekowałaś się nią przez cały czas pobytu w szpitalu? – zapytał Kincaid.

– Nie. Ani ja, ani żadna z nas – odparła Eve.

– Nie bardzo rozumiem.

– W ostatnią środę zabrano Gretę z oddziału sir Martina. Powiedziano nam, że jedzie na specjalistyczne badania do prywatnej kliniki.

– I to jest takie niezwykle?

– College Hospital jest doskonale wyposażonym szpitalem. Nie mam pojęcia, kto mógłby robić takie testy, których nie wykonywałoby nasze laboratorium. Greta wróciła na oddział podczas weekendu. Wciąż była w bandażach, ale przytomna. Zapytałam siostrę Grey, jakie leczenie zastosowano, lecz nie potrafiła powiedzieć. Później, gdy kąpałam Gretę, zauważyłam, że już nie ma znamienia.

– Więc sądzisz, że ta zabandażowana kobieta to już nie była Greta Marsh? – spytał.

– Tak mi się wydaje.

– Czy rozmawiałaś o tym jeszcze z kimś?

– Nie.

– Nawet z siostrą Grey?

– Nie. Wszyscy byli zachwyceni tak szybką poprawą. Wszyscy, łącznie ze mną. Gdyby tylko była to prawdziwa Greta...

Kincaid spojrzał na Eve.

– I chodzi tylko o znamię. Dlaczego zdecydowałaś się powiedzieć mi o tym? – zapytał wprost.

– Musiałam się komuś zwierzyć. Miałam wyrzuty sumienia.

– Ale dlaczego mnie, a nie, powiedzmy, swoim koleżankom?

– Nie chciałam, żeby w szpitalu sądzono, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Boję się stracić pracę. Pomyślałam, że skoro ty jesteś dziennikarzem, mógłbyś przeprowadzić dochodzenie, nie wciągając mnie w to.

– Rozumiem.

– I co zamierzasz zrobić? – zapytała.

Kincaid wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nie mam żadnego konkretnego tropu. Brak znamienia to trochę za mało. Jest jeszcze ważne pytanie: dlaczego mieliby to zrobić?

Tym razem Eve wzruszyła ramionami.

– Wstyd – powiedziała. – Naszej dyrekcji bardzo zależy na dobrej opinii o szpitalu.

Kincaid spojrzał podejrzliwie.

– Zastanów się nad tym – powiedziała Eve. – Sir Martin zaprosił dziennikarzy na pokazową operację, która skończyła się totalną klęską. Zła opinia w prasie to zły szpital, zwłaszcza gdy sprawa dotyczy samych szefów. Pan Fields bardzo

się stara, by szpital uchodził za wzorcową placówkę. Cały zespół na to pracuje. Zawsze musimy być eleganckie i uprzejme, nie ma taryfy ulgowej.

– To nie jest najgorszy pomysł – stwierdził Kincaid. – Smutne pielęgniarki wyglądają cholernie kiepsko.

Eve pokręciła głową, wyrażając zarówno swoją aprobatę jak i sprzeciw.

– Może źle to wytłumaczyłam – dodała. – Problem polega na tym, że od tej pory nie wolno nam normalnie rozmawiać z pacjentem. Cały czas, bez względu na okoliczności, mamy być uśmiechnięte od ucha do ucha.

– W stylu: „życzę państwu miłego dnia”?

– Właśnie.

– A jak nie?

– To trzeba szukać nowej pracy.

– A co z pacjentami? – zapytał Kincaid.

– Im się to podoba.

– I może o to chodzi?

– Może – przyznała Eve. Powiedziała to z ogromną rezerwą w głosie.

– Opowiedz mi o zarządzie szpitala – poprosił Kincaid.

– Kiedy rząd przyjął program rozwoju opieki zdrowotnej i zdecydowano się na przebudowę naszego szpitala, by przekształcić go we wzorcową placówkę, odebrano władzom lokalnym kontrolę nad szpitalem. Cały zarząd przyjechał z Londynu.

– A oni? Czy wasi dotychczasowi zwierzchnicy nie mieli nic przeciwko temu? – zapytał Kincaid.

– Wygląda na to, że nie. Pewnie dlatego, że szpital dostał dodatkowe fundusze na modernizację.

– Rozumiem. Czyli że teraz tańczycie, jak wam Londyn zagra?

– Tak i jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, uważam, że to kiepski pomysł.

– Dlaczego?

– Bo stopniowo będziemy oddawać część władzy w ręce rządu.

– Może to nie jest złe. Jeżeli na tym zyskają pacjenci... – stwierdził Kincaid.

– Moim zdaniem żadna władza narzucona z góry nie jest dobra. Nie ma nad nią żadnej kontroli.

– Chyba masz rację – odparł Kincaid. Nie chciał się wdawać w dyskusję polityczną. – Ale wracając do Greta Marsh...

– Jestem pewna, że kobieta, którą widziałeś na konferencji prasowej, nie była Gretą Marsh – powiedziała stanowczo Eve.

Kincaid wiedział, że dziewczyna mówi szczerze.

– Dobrze, ale w takim razie, kto to jest? I co się stało z prawdziwą Gretą Marsh?

– To są tylko przypuszczenia – powiedziała Eve.

– Na razie muszą mi wystarczyć.

– Moim zdaniem Greta nie wyzdrowiała po operacji, więc musieli znaleźć kogoś na jej miejsce, żeby nie popsuć nastrojów tuż przed wizytą ministra.

– Dobry Boże! – jęknął Kincaid.

– Wiem, że to brzmi idiotycznie – odparła Eve – ale to jedyne wytłumaczenie.

- Jak możemy tego dowieść? – zapytał Kincaid.
- Musimy znaleźć prawdziwą Gretę.
- Mów dalej.
- Myślałam, że to dziennikarze wiedzą, jak prowadzić poszukiwania – powiedziała Eve.
- Zazwyczaj nie robimy tego sami.
- Mam pomysł – przerwała mu Eve.
- Słucham.
- Fingleton Grange.
- To dom dla umyślowo chorych – odparł Kincaid, który znał to miejsce.
- Tak, lecz pacjenci z poważnymi uszkodzeniami mózgu, tacy, którzy mają znikome albo wręcz nie mają żadnych szans na wyzdrowienie, zazwyczaj są wysyłani do Fingleton Grange.

Kincaid odprowadził Eve Laing do taksówki, zapłacił kierowcy i poprosił, żeby zawiózł dziewczynę do hotelu College Hospital. Patrzył za odjeżdżającym samochodem, a gdy wóz zniknął za zakrętem, wrócił do domu. Kręciło mu się w głowie. Minęło piętnaście minut, zanim stwierdził, że dość czasu strawił na czcych dyskusjach i rozważaniach. Pojedzie do Fingleton i zwiedzi ośrodek.

W Fingleton Grange, starej wiktoriańskiej manufakturze, wciąż żyły duchy przeszłości. Chociaż zmieniono nazwę a wraz z nią kilka drobnych szczegółów, aby nadać całości bardziej nowoczesny wygląd, to nie uczyniono niczego, by ulżyć ciężkiemu losowi całych pokoleń ludzi zamkniętych w ciemnych klatkach, w zimnych kamiennych ścianach. Małe wycinki nieba widoczne między budynkiem a wysokimi drzewami nie napawały Kincaida entuzjazmem. Szedł aleją kryjącą się w cieniu rozłożystych drzew.

Lata doświadczeń nauczyły go, że najlepiej jest chodzić własnymi drogami. Przepisy i ustalenia ciągle zmieniających się władz komplikowały najprostsze sytuacje. Było oczywistą rzeczą, że władza hołubi tych, którzy w ogóle nic nie robią, zaprzeczając to, co zostało osiągnięte, albo utrzymują niezmienny stan rzeczy. Fakt, że każde działanie poza prawem było nielegalne, nie odstraszał Kincaida. Wykroczenia, które popełniał, były zazwyczaj tak drobne, że i kara, jaką mogły implikować, nie byłaby uciążliwa. Tym razem zamierzał dostać się do Fingleton Grange i odnaleźć prawdziwą Gretę Marsh.

Nie wychodząc z cienia, okrążył budynek i policzył drzwi – razem z głównymi były ich cztery pary. Frontowego wejścia nie brał pod uwagę, bo prowadzące do niego długie kamienne schody były jasno oświetlone, a przepiękne drzwi zbudowano tak solidnie, że przetrzymałyby pewnie atak stada rozjuszonych byków.

Największe szanse dawało wejście kuchenne. Znajdowało się na tyłach budynku, a tuż obok rosły gęste krzewy berberysu – wymarzone miejsce na kryjówkę. Personel części gospodarczej zmieniał się dość często, w biurach pośrednictwa pracy roiło się od takich ofert, więc nowa twarz nie będzie wzbudzała niczyich podejrzeń. Kincaid zerknął na zegarek. Wzmógłony ruch w kuchni był związany z porą kolacji

w zakładzie. Już przygotowano wózki z talerzami i ustawiono je przy windach, skąd wkrótce zabrają je salowi. Potrzebował odpowiedniego uniformu. Obserwował dwóch pracowników, którzy czekali przy drzwiach, a kiedy odeszli, starał się podejść blisko, by widzieć, co się dzieje na korytarzu. Akurat był pusty, a na wieszaku, tuż obok drzwi, wisiało kilka brązowych, roboczych ubrań.

Już trzymał dłoń na klamce, gdy nagle otworzyły się drzwi prowadzące do kuchni i stanął w nich kierownik w specjalnej czapce i roboczym fartuchu. Klnąc siarczyście, pchnął wózek z taką siłą, że ten z hukiem otworzył przed sobą ciężkie drzwi. Kincaid, oślepiiony jaskrawym światłem, przez chwilę nie mógł otworzyć oczu. Ukrył się za szklaną przegrodą i wstrzymał oddech.

Z napięciem wpatrywał się w klamkę. Był przekonany, że za chwilę szef otworzy drzwi i zaalarmuje straż. Nikt go jednak nie zauważył. Drzwi kuchenne zatrzasnęły się, pozostawiając korytarz w mroku. Kincaid szybko wślizgnął się do pomieszczenia i ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Zdjął z wieszaka fartuch i mimo że był trochę za ciasny, włożył go.

Starając się nie robić hałasu, zabrał stojący wózek. Z tabliczki wynikało, że miał go dostarczyć do głównej części szpitala. Gdy dotarł do łącznika prowadzącego na szeroki korytarz, zatrzymał się i uważnie rozejrzał. Musiał podjąć decyzję. Po prawej stronie, przed wejściem na oddziały, stały puste wózki. Spojrzał w lewo – to samo. Salowi, którzy jako pierwsi zeszli do kuchni, obsługiwali parter. Obejrzał się za siebie i zobaczył windę. Decyzja zapadła – zacznie od samej góry.

Gdy winda wjeżdżała na czwarte piętro, Kincaid zajrzał pod przykrywkę jednego z talerzy. Ziemiaki z brązową gęstą papką. Z obrzydzeniem przykrył talerz. Kabina zatrzymała się.

Beżowe ściany i brudne, brązowe linoleum nie dodawały blasku słabo oświetlonemu korytarzowi ciągnącemu się przez całe piętro. Kincaid spojrzął na swoje odbicie w jednym z wysokich okien – z wózkiem wyglądał jak zawodowiec. Potrzebował tylko odrobiny szczęścia, aby wybrać odpowiednie wejście. Zatrzymał się przed szklanymi drzwiami prowadzącymi na oddział i zajrzał do środka. Barczysty mężczyzna w opiętym fartuchu z błękitnymi epoletami spoglądał na niego beznamiętnym wzrokiem. Po chwili wstał z krzesła i powoli podszedł do drzwi.

Kincaid przybrał gapiowatą minę.

– Przepraszam. Chyba się zgubiłem – powiedział. – Pierwszy dzień w nowej pracy, wie pan, jak to jest. Czy to dla pana?

Mężczyzna popatrzył obojętnie na wózek i nie zmieniając wyrazu twarzy, zapytał:

– A gdzie lista?

– Lista?

– Tak, lista pacjentów. Powinna być na wózku – zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

– Przepraszam, nie wiedziałem – odparł Kincaid. – Gdzie ją dostanę?

– U kierownika, durniu.

– Przepraszam. Chyba jej nie wziąłem.

Pielęgniarska odsunęła kilka talerzy i wyjął kartę.

– A co to, u diabła, jest? – mruknął i cisnął nią w Kincaida. Ten szybko przeczucił ją wzrokiem.

– Oddział siódmy?

– Siódmy?! – wrzeczyknął pielęgniarz wznosząc błagalnie wzrok ku niebu. – To nie na tym piętrze. Siódmy oddział jest na trzecim. – Ze złością wskazał na podłogę.

Kincaid uśmiechnął się nieśmiało, szybko podziękował i wyszedł. Liczył na dokładniejsze wskazówki, ale wciągnięcie muskularnego pielęgniarza w towarzyską pogawędkę było trudniejsze, niż przypuszczał. Mimo nie sprzyjających warunków, uzyskał jedną informację – na każdym wózku była lista pacjentów. Gdy zjeżdżał windą, spojrzął na tę z siódmego oddziału, lecz nie znalazł tam nazwiska Greta Marsh. Doszedł do wniosku, że nie będzie go na żadnej z nich. Jeżeli Greta Marsh naprawdę przebywała w Fingleton, to na pewno pod zmienionym nazwiskiem, ale, być może, na jednej z list znajdował się klucz do rozwiązania zagadki.

Kiedy zbliżał się do kuchni, dobiegły go odgłosy sprzeczki.

Domyślił się, że to on był przyczyną nieporozumienia. Szef podniesionym głosem pytał o posiłki dla oddziału siódmego. Salowi, oczywiście, nie mieli o niczym pojęcia.

Kincaid, najciszej jak potrafił, odprowadził wózek do kuchennej windy i schował się w stojącym obok kredensie. Zamierzał przeczekać awanturę. Kilka chwil później rozległy się odgłosy kroków i szcęk wypełnionych wózków. To salowi wieźli kolejne posiłki.

– Chryste Panie! Tutaj jest! – krzyknął jeden z nich, gdy odwrócił się i zauważył stojący w kącie wózek Kincaida.

– Co za idiota go tu postawił?! – zawołał drugi.

– Nie mam pojęcia.

– Lepiej wróćmy do kuchni i powiedzmy mu.

– Lepiej tak.

Zostawili wózki i wrócili do kuchni. Kincaid wyszedł z kryjówki, aby sprawdzić listy pacjentów, lecz nie natrafił na żaden ślad. Może nie tędy wiodła droga do rozwiązania zagadki. Schował się i poczekał, aż salowi zabiorą posiłki na górę. Wsiadli do windy, ale Kincaid wciąż nie opuszczał kryjówki. Znowu otworzyły się drzwi kuchenne i na korytarz wyjechał kolejny wózek. Kincaid sprawdził listę. Posiłki były przeznaczone dla „drugiego oddziału specjalnego”, a na liście widniały tylko dwa nazwiska – John Leadbetter i panna Harrington. Greta Marsh spędziła wiele lat w Harrington Hall.

Pozostało się tylko dowiedzieć, gdzie jest drugi oddział specjalny. Czuł, że jest blisko rozwiązania zagadki Greta Marsh. Nie mógł liczyć, że znajdzie wywieszony na ścianie plan budynku. Musiał jeszcze raz podjąć ryzyko i zapytać kogoś z pracowników. Podniósł tacę i wyszedł na korytarz.

W tak olbrzymim budynku było zaskakująco mało ludzi. Każdy krok, odbijający się echem o ściany ogromnego domu, potęgował jego napięcie. Doszedł do

wniosku, że to miejsce ma na niego negatywny wpływ. Drzwi prowadzące na oddziały były szczelnie zamknięte i wszyscy – personel i pacjenci, siedzieli za nimi jak w klatkach, korytarze zaś były opustoszałe.

Gdzieś usłyszał szcęk kluczy w zamku. Drzwi otworzyły się i wyszła z nich elegancko ubrana kobieta. Skierowała się w jego stronę, a gdy podeszła bliżej zauważył, że z kieszeni jej fartucha wystaje stetoskop.

– Przepraszam, pani doktor – zaczął ją. – Zgubiłem się. Jestem tu pierwszy dzień. Szukam drugiego oddziału specjalnego.

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie. Kincaid struchlał.

– Nawet nie powiedzieli panu, na którym piętrze są oddziały specjalne? – zapytała.

Kincaid pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że mówili o parterze, ale pewnie źle usłyszałem.

– Faktycznie. Oddziały specjalne są na drugim piętrze. Kiedy wyjdzie pan z windy, proszę skrócić w prawo.

– Dziękuję, pani doktor – powiedział Kincaid.

Czując przez cały czas na plecach jej podejrzliwe spojrzenie, odwrócił się i podszedł do windy. Odetchnął z ulgą, gdy drzwi zamknęły się za nim.

ODDZIAŁY SPECJALNE głosił szyld ze strzałką. Poniżej mniejszymi literami przypomniano personelowi o konieczności zachowania ostrożności w kontaktach ze szczególnie agresywnymi pacjentami. Kincaid, czytając te słowa, zastanawiał się, kto skazał Gretę Marsh na takie więzienie, ale od razu przyszło mu na myśl, że jeszcze jej nie odnalazł. Skierował się we wskazaną stronę, doszedł do zamkniętych szklanych drzwi wzmocnionych dodatkowo drucianą siatką, nacisnął dzwonek umieszczony obok i czekał. Do drzwi podeszło dwóch postawnych mężczyzn w białych fartuchach.

– Kim jesteś? – zapytał jeden z nich.

– Nazywam się Harry Geddes. Zacząłem dzisiaj pracę – odparł Kincaid.

– Gdzie jest druga taca?

– Druga taca? – powtórzył Kincaid.

– Przyniosłeś tylko dwa talerze. My mamy czterech pacjentów.

– Przepraszam. Tylko tyle mi dali.

– Cholera. Coraz lepiej.

– Przyniosę pozostałe – dodał Kincaid. – Aha, szef kazał mi zabrać tacę z lunchu. Nie oddaliście jej. – Kłamał jak z nut.

– My? U nas nie ma żadnej tacy – odparł jeden z pielęgniarzy spoglądając na kolebę.

– Tak powiedział – Kincaid nie poddawał się.

– Lepiej sprawdźmy, Norm. Ja poszukam w dyżurce. Wejdz i poczekaj tutaj – zwrócił się do Kincaida.

Tym razem drzwi zamknęły się za Kincaidem, a obaj pielęgniarze poszli szukać zgubionej tacy. Skoro tylko został sam, Kincaid postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję i minął drzwi prowadzące bezpośrednio na oddział. Zamknął je ostrożnie. Znalazł się w słabo oświetlonym korytarzu, gdzie było cicho jak

w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu i tylko z klimatyzatorów dochodził cichy, równomierny szum. Panowały tu upał i duchota. On sam dopiero teraz przywykł do panującego półmroku.

Minął korytarz i stanął przed obitymi grubą blachą drzwiami, w których umieszczono judasza. Uchylił go tak cicho, jak tylko mógł, i zobaczył przed sobą szpitalną salę. Po jasno oświetlonym pokoju chodził, od ściany do ściany, mężczyzna. Był całkowicie pochłonięty własnymi myślami, a w jego oczach odbijało się potworne cierpienie. Kincaid patrząc na niego czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach. Szczerze prosił Boga, żeby nigdy w życiu nie doświadczył myśli, które dręczyły tego nieszczęśnika.

W pozostałych salach było jeszcze dwóch pacjentów. Jeden siedział w samym kącie i rytmicznie kiwał głową, a drugi klęczał na podłodze, jakby szukał małych insektów. Kincaid podszedł do czwartej, ostatniej sali. Tabliczka na drzwiach informowała, że leży tu pacjentka G. Harrington. Kincaid zajrzał przez wizjer: światło było przygaszone, a w rogu pomieszczenia zauważył przykrytą prześcieradłem sylwetkę pacjentki. Leżała odwrócona w stronę drzwi, lecz twarz miała starannie zabandażowaną.

Wtem dobiegły go nawoływania pielęgniarzy – już wszczęli alarm. Nie miał chwili do stracenia. Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Wślizgnął się do środka.

– Panno Marsh... – szepnął.

Śpiąca nie drgnęła.

– Panno Marsh! – ponaglił ją.

Tuż obok sali Kincaid usłyszał głos jednego z pielęgniarzy.

– Cholera! Tu też go nie ma!

Jego towarzysz również przeklął i stwierdził, że „on” na pewno wrócił do kuchni.

– I wychodząc zamknął drzwi od środka? – odkrzyknął z wściekłością ten z korytarza.

Kincaidowi zostało zaledwie kilka chwil. Stał nad śpiącą kobietą. Oddychała powoli, miarowo, jak pogrążona w głębokim śnie. Delikatnie zdjął prześcieradło i odsłonił jej stopy. Co Eve Laing mówiła o tym znamieniu? Na kostce lewej stopy? W kształcie serca?

Kobieta leżała na lewym boku i prawą nogą dokładnie zasłaniała ten fragment kończyny. Odsunął ją tak ostrożnie, jak tylko mógł, i sprawdził. Wyraźnie widział gładkie, czerwone, sercowate znamię. Eve Laing miała rację: kobieta, którą zaprezentowano na konferencji prasowej, nie była Gretą Marsh.

Nagle chora odwróciła głowę i spojrzała na niego. Kincaid zobaczył jej oczy, spoglądające na niego spomiędzy bandażu. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Wpatrywał się to w ciemne oczodoły, to w ziejący otwór ust.

– Panno Marsh... – szepnął. – Proszę się nie bać. Nie skrzywdzę pani. Chciałbym tylko zadać kilka pytań. Pani jest Gretą Marsh, prawda?

Kobieta podniosła prawą rękę i powoli, z wielkim trudem skinęła na Kincaida. Westchnął i klęknął przy łóżku tak, że miał ucho tuż przy jej ustach. Dotknął sztywnych palców. Były zimne i wilgotne.

– Panno Marsh! Nazywam się Kincaid i...

Nie dokończył zdania, gdyż niezdarne palce Grety Marsh nagle zacisnęły się na jego gardle. Zerwał się na równe nogi. Przycisnęła jego twarz do swojej. Czuł jej oddech, słodkawy i ostry zapach smażonej cebuli. Z bandaży unosił się delikatny odór środków dezynfekujących. Był tak blisko, że wyczuwał każdą twardą, poszarpaną ranę na jej twarzy.

Podniosła także lewą rękę. Czuł, jak paznokciami orze jego policzek. Gdy wreszcie uwolnił się z makabrycznego uścisku, po twarzy płynęły mu cztery strużki krwi, a w uszach dzwonił maniakalny śmiech Grety Marsh. Zataczając się odbiegł od łóżka. Chwiał się na nogach i nie zdążył uniknąć kolejnego ciosu, gdy dwóch potężnych pielęgniarzy wpadło do celi. Drzwi uderzyły go w tył głowy. Poczul gwałtowny, ostry ból, a potem zapadła ciemność.

Kiedy Kincaid ocknął się, miał wrażenie, że uderzono go młotkiem w głowę. Leżał jeszcze chwilę, starając się odtworzyć w myślach bieg wypadków, lecz sam proces myślowy sprawiał mu fizyczny ból. Pamiętał znamię, makabryczny śmiech Grety, jej paznokcie na swoim policzku. Ostrożnie sięgnął ręką do twarzy i dotknął zaschniętej krwi. To był najlepszy dowód. Odnalazł Gretę Marsh. Była chora psychicznie, więc zamknięto ją w Fingleton Grange. Ale gdzie był on sam? Pamiętał uderzenie w tył głowy i silny ból. Ale dlaczego było tak ciemno i zimno!

Bardzo powoli spróbował usiąść. Ból głowy spowodował wymioty. Konwulsje wstrząsały całym jego ciałem. Podparł się na łokciu. Był mokry i czuł przejmujące zimno. Ktoś wyrzucił go na dwór. Leżał na jakiejś mokrej kępie trawy. Padało, a krople deszczu uderzały w jego obolałą twarz. Wyciągnął rękę, pod palcami miał trawę i błotnistą ziemię.

Nagle usłyszał przeraźliwy hałas. Był coraz silniejszy i rósł z każdą chwilą tak, iż Kincaid miał uczucie, że za chwilę rozsadzi mu głowę. W jednej chwili tysiące światła rozjaśniło otaczające ciemności. Tuż obok jego stóp z prędkością ponad stu mil na godzinę przemknął pociąg.

Światła, hałas, przerażenie Kincaida, który klęczał teraz na ziemi, to było zbyt wiele dla umęczonego ciała. Fizyczny ból przerastał ludzkie możliwości. Kiedy tylko ostatni wagon zniknął w ciemnościach, Kincaid padł bez sił na ziemię.

Już doskonale wiedział, gdzie jest. Wywieziono go z Fingleton Grange. Był nieprzytomny, a oni wyrzucili go na nasyp kolejowy. A gdyby przypadkiem zsunął się na tory? Wolał o tym nie myśleć. Co chcieli przez to osiągnąć? Czy przypuszczali, że szybko zapomni o Grecie Marsh i wróci do normalnego życia? A może właśnie liczyli na to, że znajdzie się na torach? Nie dopuszczał do siebie tej myśli, nie pozwalał mu na to zdrowy rozsądek. Ktoś w Grange wpadł w panikę. Ten ktoś nie chciał przeczytać historii, którą on zamierzał napisać.

5

Kincaid musiał najpierw znaleźć wyjście z obecnej sytuacji, zanim podejmie jakiegokolwiek kroki. Powróciły mdłości i znowu zwymiotował. Był bardziej wściekły niż przerażony. Kiedy wreszcie zdołał się podźwignąć, zaraz opadł bezsilnie na ziemię i stoczył się z nasypu. To wszystko przypominało raczej nocny koszmar niż rzeczywistość, ale gdy starał się ogarnąć sytuację, zauważył, że nie jest w stanie skupić na niczym swojej uwagi. Został porwany na inną planetę, gdzie była odmienna grawitacja i obowiązywały odrębne prawa fizyki. Podniósł głowę i spojrział na niebo. Było zachmurzone, ale dostrzegł kilka gwiazd. Nie mógł ich zatrzymać, krążyły wokół niego. Zachowywał się jak pijany, chociaż nie pamiętał, aby brał alkohol do ust.

Sama myśl o tym poraziła Kincaida. Miał w ustach smak whisky! Nigdy nie mógł zrozumieć, jak czuje się człowiek zamroczony alkoholem. Teraz był pijany, chociaż nie miał tej nocy butelki w ręku. A jednak musiał pić, bo gdy wymiotował, czuł w ustach wyraźny smak wódki. Jak u diabła...!

– Jest! Tutaj! – usłyszał nad sobą głosy. Zauważył wąską smugę światła, które przez chwilę krążyło wokół, aż wreszcie zatrzymało się na jego twarzy.

– Jezu Chryste! Co za widok! – odezwał się ten sam głos. – Ty, na dole! Słyszysz mnie?

Kincaid otworzył usta. Chciał odpowiedzieć, ale nie mógł wymówić najprostszych słów.

– Daj mu spokój! Jest zupełnie zalany! – powiedział ktoś inny. – Potrzymaj latarkę, Stan. Ja zejdę do niego.

Mimo że Kincaid słyszał za sobą kroki, mógł jedynie dalej gapić się w gwiazdy. Ktoś szedł wzdłuż nasypu. Po kilku sekundach zamajaczyła przed nim sylwetka policjanta trzymającego w ręku latarkę.

– Mam go! – krzyknął. – Lepiej zawiadom posterunek.

Gdzieś nad głową Kincaid słyszał dźwięki krótkofalówki i kolejny krzyk:

– Potrzebna nam będzie karetka!

Kincaid chciał zaprotestować, gdy silne męskie dłonie przebiegły po jego ciele.

– Jestem ranny. W głowę – próbował powiedzieć, ale za brzmiało to jak pi-jacki bełkot.

– Poczekaj chwilę! – krzyknął policjant. Zupełnie zignorował wszelkie protesty leżącego i zaczął dotykać jego głowy. Kincaidowi znowu zbierało się na wymioty.

– Jezu Chryste! – wrzasnął policjant. Był wściekły. – Ale gówno! Stan! Zejdź na dół. Pomóż mi.

Kincaid czuł, jak ciągną go po nasypie. Na górze pozwolono mu na krótki odpoczynek.

– Ma paskudną ranę na głowie – zauważył jeden z policjantów. – Lepiej wezwijmy karetkę. Nie chcę mieć przez niego kłopotów.

Kincaid wiedział, co się wokół niego dzieje, lecz świat wirował mu przed oczami. Nie potrafił się wysłowić, z jego ust wydobywał się ohydny bełkot. Mięśnię wokół ust były sparaliżowane, jak przy znieczuleniu podczas zabiegów dentystycznych. Starał się zapanować nad swoim ciałem, zmusić je do racjonalnego działania. W karetce ze wszystkich sił usiłował skupić uwagę na butli tlenowej ukrytej za krótką zasłonką. Po kilku nieudanych próbach zarzucił tę myśl. – Co on robił? – usłyszał głos jednego z sanitariuszy. – Gdzieście go znaleźli?

– Jakaś kobieta zadzwoniła na komisariat i powiedziała, że na nasypie leży pijak. Bała się, że spadnie na tory, prosto pod koła pociągu.

– Miał szczęście – odparł sanitariusz. – Pewnie nawet nie wie, jaki dzisiaj dzień tygodnia.

– Ffffrek – słabo jęknął Kincaid.

– Jasne. Masz rację – stwierdził policjant. – Przypomnij sobie jeszcze co to środa, bo jutro masz się stawić na komisariat.

Izba przyjęć pogotowia była jasno oświetlona. Wszyscy uwijali się w pośpiechu. Kincaid niewiele widział, ponieważ od razu zawieziono go do małego boksu. Mimo to udzieliła mu się atmosfera tego miejsca, dochodziły go strzępy rozmów. Odsunięto zasłony i do gabinetu weszło dwóch ludzi. Przysłonili mu światło, więc choć przez chwilę mógł na nich spojrzeć. Jeden był bardzo młody, miał jeszcze na twarzy ślady po trądziku i nosił okulary w zbyt dużych, zupełnie nie dopasowanych do jego twarzy oprawkach. Drugą osobą była trzydziestokilkuletnia pielęgniarka. Kincaid nie umiałby precyzyjnie określić jej wieku, bo wszystkie pulchne kobiety wyglądały, według niego, podobnie. Równie dobrze mogła dopiero obchodzić osiemnaste urodziny.

Lekarz wyjął z kieszonki małą latarkę i poświecił mu w oczy. Potem, głosem wyzuty z wszelkich uczuć czy emocji, zadał kilka rutynowych pytań, ignorując jakiegokolwiek próby odpowiedzi. Kincaid miał uczucie, jakby przeprowadzano nie wywiad lekarski, ale policyjne śledztwo. Badanie zostało zakończone. Podczas gdy pielęgniarka opatrywała mu ranę na głowie, Kincaid usłyszał zza para-

wanu fragment rozmowy, w której uczestniczył, jak podejrzewał, badający go lekarz.

– Nie jestem przekonany, czy to tylko alkohol. Lepiej opróżnijmy mu żołądek, a ja skontaktuję się z laboratorium. Wykonamy test na barbiturany.

– Ale on śmierdzi czystym denaturatem – zaprotestował jakiś damski głos.

– Lepiej sprawdzić, niż potem żałować. Załóżcie mu sondę do żołądka.

„Sonda do żołądka – pomyślał Kincaid. – Tak jakby tam jeszcze cokolwiek zostało”. Potężna kobieta o czerwonej, nalanej twarzy weszła do boks i przekazała pielęgniarce polecenia lekarza.

– Tak, rozumiem – słyszał niezmiennie, w równych odstępach czasu.

Kobieta włożyła plastikowy fartuch i zwróciła się do Kincaida:

– A teraz trzeba być grzecznym chłopczykiem i połknąć tę rurkę. Tak?

Kincaid znajdował się w niekorzystnym położeniu, więc jakiegokolwiek pertraktacje nie wchodziły w rachubę. Przytaknął.

Kobieta wepchnęła mu gumową rurę do gardła, a stamtąd, po kilku manewrach, wprost do żołądka. Wymiotował, a zwróconą treść, zgodnie z poleceniem, zbierano do badania. Czuł, że do żołądka wlewają mu jakąś ciecz, aby wypukać pozostającą zawartość. W potwornych snach wyobrażał sobie, że tak właśnie czują się ofiary porywaczy – ubezwłasnowolnione, zdane na łaskę i niełaskę obcych ludzi. Ulga po skończonym zabiegu, efekt podrażnienia układu nerwowego i wyczerpanie fizyczne dokończyły dzieła. Był senny, lecz pielęgniarka odmówiła mu nawet tego i dopiero gdy znalazł się w szpitalnej sali, zasnął kamiennym snem. Obudził się siedem godzin później.

– Dzień dobry panu – powiedziała pochylona nad łóżkiem uśmiechnięta twarz, kiedy tylko otworzył oczy. Momentalnie zamknął je z powrotem, bo raziło go ostre słońce wpadające do sali przez odsłonięte okna.

– Gdzie ja...?

– Znajduje się pan na czwartym oddziale wewnętrznym w College Hospital – odparła pielęgniarka. – Zeszłej nocy był pan na szampańskiej zabawie.

Kincaid jęknął, czując potworny ból z tyłu głowy. Podniósł rękę i zamiast włosów dotknął bandaża.

– Zranił się pan w tył głowy – wyjaśniła pielęgniarka.

– Czyżby? – odparł cierpko Kincaid.

– Mam nadzieję, że gra była warta świeczki, bo czeka tu policja. Chcą z panem porozmawiać. Nie sądzę, aby zastosowali wobec pana taryfę ulgową, więc chyba nie obejdzie się bez otwarcia portfela.

Kincaid znowu jęknął. Dlaczego tak wiele pielęgniarek pochodzi z Irlandii?

Kobieta wyszła, dając mu czas, aby mógł się zastanowić nad zeznaniami. Rozważał możliwość przedstawienia policji prawdy. W jego obecnej sytuacji byłoby to najprostsze rozwiązanie. Ale czy mógł wyznać, że był w Fingleton Grange i że znalazł tam upośledzoną umysłowo Gretę Marsh? A jeśli zapytają, skąd te obrażenia, czy mógł wytłumaczyć, że został pobity, siłą spojony whisky i rzucony bez przytomności na nasyp kolejowy?

– Boże wszechmogący! – jęknął.

Podłożył rękę pod głowę. Sam ledwie mógł w to uwierzyć, a co dopiero policja. Czy istniało inne wyjście? Przyznać się wprost do pijaństwa i do zakłócania porządku publicznego?

Takie rozwiązanie nie byłoby najgorsze, ale ten pozomie niewinny incydent mógł zaważyć na jego karierze. Konkurencyjne pisma zrobiłyby z niego kozła ofiarnego. Oskarżony dziennikarz stracił znacznie więcej niż pięćdziesięciofuntowy banknot w sądzie – stracił swoją wiarygodność. Lecz jeżeli powie prawdę i policja rzeczywiście pojedzie do Fingleton Grange, to czy znajdą tam Gretę Marsh? Oczywiście, że nie. To jedno nie ulegało wątpliwości. Z pewnością zabrano ją stamtąd już dzisiejszej nocy.

Zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, otworzyły się drzwi i do pokoju weszło dwóch policjantów. Kincaid z ulgą zauważył, że byli w dobrym humorze.

– Wolałbym nie być dzisiaj w pańskiej skórze – odezwał się jeden z nich.

Kincaid daremnie starał się przywołać na twarz uśmiech.

– Chcielibyśmy uzyskać od pana kilka informacji na temat nocnej eskapady.

Kincaid nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Niestety, mam dość mgliste wspomnienia – odparł.

– Myślałem, że dziennikarze umieją panować nad sobą – stwierdził policjant.

– Nie byłem pijany – odparł Kincaid. Dlaczego miał wrażenie, że właśnie wkroczył na równię pochyłą, a sytuacja wymyka się spod jego kontroli?

– Podobnie twierdzą lekarze – przytaknął policjant. Kincaid popatrzył na niego zaskoczony. – Podejrzewają, że wypił pan niewielką porcję alkoholu po sporej dawce środków nasennych. Więcej whisky było na ubraniu niż w pańskim żołądku. Doprawdy, miał pan wiele szczęścia, że ta kobieta... Chyba że... Mam nadzieję, że się nie mylę.

Kincaid podniósł wzrok. Policjanci patrzyli na niego pytająco.

– Nie, to nie była próba samobójstwa – zapewnił ich.

– Szczerze mówiąc – kontynuował policjant – byliśmy przygotowani na spisanie normalnego protokołu. Lecz mając na względzie opinię lekarzy, możemy zastosować bardziej liberalne przepisy i zakwalifikować to jako nieszczęśliwy wypadek.

Gdyby nie fatalna kondycja fizyczna, Kincaid czułby się w tej chwili wspólnie.

– Jestem panom zobowiązany – odparł ze skrucą. – Ostatnio pracowałem w dużym stresie. Prawdopodobnie musiałem dwukrotnie wziąć te same tabletki. Już nigdy w życiu nie popełnię takiego błędu.

Kincaid nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie został oskarżony, więc nie musi tracić czasu w sądzie i, co najistotniejsze, opinia publiczna nie będzie zamieszana w tę delikatną sprawę. Był wolny i mógł kontynuować śledztwo na własną rękę. Kiedy tylko policjanci zamknęli za sobą drzwi, wyskoczył z łóżka

i otworzył szafę w poszukiwaniu ubrania. Szczęście już zdążyło go opuścić, bo w tej samej chwili w drzwiach stanęła irlandzka pielęgniarka.

– Co pan wyprawia? – zapytała ostro.

Rozzłościła Kincaida tym retorycznym pytaniem, więc odpowiedział jej równie stanowczo.

– A dokąd to się pan wybiera? – nie dawała za wygraną.

Kincaid wymownie wznosił oczy ku górze prosząc niebiosa o odrobinę cierpliwości.

– Wychodzę, siostró – powiedział. – Jestem ogromnie wdzięczny za waszą troskę i poświęcenie, ale na mnie już czas.

– Kto tak powiedział? – zapytała, przybierając minę nieugiętego stróża prawa.

– A któż by? Ja – zachnął się Kincaid.

– Ale lekarz nie udzielił zgody.

– Nie, siostró. Sam jej sobie udzieliłem. Gdzie jest moje ubranie?

– Będzie pan musiał podpisać oświadczenie.

– Podpiszę nawet umowę z diabłem, tylko proszę mi oddać moje rzeczy.

Pielęgniarka wyszła z sali, a po chwili wróciła razem z oddziałową. W jednym ręku trzymała ubranie Kincaida, a w drugim formularz, który podała mu do podpisania.

– Wie pan, że to nie jest rozsądne posunięcie – powiedziała oddziałowa. – Ma pan poważną ranę na głowie.

– Wszystko będzie dobrze. Zapewniam siostrę – odparł Kincaid. Już wkładał spodnie. – Dziękuję za wszystko.

Kiepsko wyglądał w dziennym świetle. Miał na sobie te same rzeczy, w których został przywieziony do szpitala. Nosił one ślady wyprawy na nasyp kolejowy. Ich czystość pozostawiała wiele do życzenia. Zanim wsiadł do taksówki, starał się otrzepać je z kurzu, lecz jego usiłowania nie na wiele się zdały. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Właśnie grzebał w kieszeniach szukając kluczy do drzwi wejściowych, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok. Serce podeszło mu do gardła. Nie miał sił do kolejnej walki. Odwrócił się powoli.

– Gdzie byłeś? – zapytała Eve Laing.

Kincaid aż się zatoczył. Zamknął oczy i odetchnął z ulgą.

– Dzięki Bogu! Bałem się...

– Czego się bałeś? – zapytała Eve.

– Nieważne – odparł krótko i odwrócił się, żeby otworzyć drzwi.

– Okropnie wyglądasz – zauważyła Eve.

– I okropnie się czuję – odparł Kincaid, kładąc się na kanapie. Oparł ciężko głowę i zamknął oczy.

– Byłeś w Fingleton Grange, prawda?

Tylko mruknął.

– No i co? – niecierpliwiła się Eve.

– Miałaś rację. Greta Marsh była w tym ośrodku. Jest upośledzona umysłowo.

– Wiedziałam. Po prostu wiedziałam.

Podczas gdy Kincaid opowiadał jej historię ubiegłej nocy, Eve włączyła piecyk i przygotowała kawę. Widział, jak patrzy na niego z rosnącym zdziwieniem.

– Ależ... to nieprawdopodobne! – krzyknęła. – Dlaczego tak cię urządzili i zostawili żywego na nasypie? Chyba że... – Słowa zamarzyły jej na ustach.

– Też się nad tym zastanawiałem – przytaknęła Kincaid.

– Ale takie historie zdarzają się tylko w filmach! – Eve nie mogła tego pojąć.

– A może jakiś głupek przestraszył się i nie pomyślał o konsekwencjach – powiedział Kincaid.

– A co na to policja?

– Nie powiedziałem im.

– Co?! – krzyknęła.

– Nie uwierzyliby ani jednemu mojemu słowu, a ja nie mógłbym podać im żadnego pieprzonego dowodu.

– Przecież znalazłeś Gretę Marsh! Przecież...

– Dawno ją stamtąd zabrali – przerwał jej Kincaid.

Eve patrzyła na niego z bezsilną wściekłością.

– Nie możesz im pozwolić! Nie mogą jej tak po prostu zabrać! – protestowała. – Musisz napisać artykuł o tym, co się stało.

– Nie mogę. Najpierw potrzebne są dowody – odparł Kincaid. – Nawet nie wiemy, kto za tym stoi. Żadna gazeta nie wydrukuje takiego tekstu bez konkretnych dowodów.

– To znaczy, że jeszcze raz musimy jej poszukać? – zapytała Eve.

– Albo znaleźć pomysłodawcę i poznać jego motyw i plany.

– Masz jakiś pomysł?

– Nie. A ty?

– Niestety – przyznała Eve.

Kincaid zastanawiał się przez chwilę.

– Spróbuję porozmawiać z kim trzeba – powiedział. – Trochę ich nastraszę.

– Doskonale.

– Powiedziałaś, że Gretę zabrano z oddziału. Na czyje polecenie?

– Nie mam pojęcia. Niektórzy podejrzewali, że Claire Affric maczała w tym palce.

Kincaid jęknął. Ból rozsadzał mu czaszkę.

– Na razie zapomnij o wszystkim – powiedziała Eve. – Musisz odpocząć. Przygotuję ci kąpiel, a potem położysz się do łóżka.

Kincaid nie protestował.

Kiedy wróciła z łazienki, zapytał o godzinę.

– Dziesiąta. Masz jakieś spotkanie?

– Mój ojciec będzie dzisiaj operowany. Powiedzieli mi, że o czwartej po południu będzie już po wszystkim. Muszę tam pojechać.

– Nastawię ci budzik.

– Masz dzisiaj dyżur?

Przytaknęła.

– Kończę w pół do ósmej.

- Spotkamy się?
- Jeżeli chcesz.
- Może wspólna kolacja?
- Dobrze.

Gdy Eve wyszła, Kincaid powlókł się do wanny i wziął gorącą kąpiel. Odpoczął chwilę. Wkrótce w jego głowie zrodziły się kolejne pomysły. Po pierwsze skontaktuje się z Fletcherem. Powie mu, że na razie nie wraca do Londynu. Poza tym, jeżeli ma zamiar zostać tu dłużej, musi sobie znaleźć jakiś ką. Przytulny pokoik położony jak najdalej od chłodnej atmosfery domu ojca. Potrzebny mu będzie samochód. Powinien ułożyć plan działań. Sen będzie musiał poczekać jeszcze jakiś czas.

Telefon w holu nie działał. Kincaid zaklął pod nosem, złapał marynarkę i wyszedł z domu. Na końcu ulicy stała budka telefoniczna, w której ktoś powybijał szyby, więc rozmowę z naczelnym co kilka sekund przerywał hałas przejeżdżających pojazdów. Kincaid starał się wypełnić dziury własnymi plecami i w ten sposób zmniejszyć natężenie dźwięku, lecz jego wysiłki nie przyniosły rezultatu.

- Czy ty może stoisz na samym środku autostrady? – zapytał Fletcher.
- Prawie – odparł Kincaid.
- Powiesz mi, o co chodzi?
- Jeszcze nie.
- Jak sobie życzysz, ale chciałbym wiedzieć, ile czasu ci to zajmie?
- Tydzień. Może dwa – odparł Kincaid. – Trudno powiedzieć.
- Niełatwo z tobą pracować – westchnął Fletcher.
- Bywam obowiązkowy.
- Właśnie – podsumował Fletcher. – Po Westminsterze krążą plotki, że Carlisle wkrótce obejmie przewodnictwo swojej partii.
- W Westminsterze zawsze aż wrzało od plotek – odparł Kincaid.
- Ta posiada wszelkie symptomy prawdopodobieństwa. Sprytni handlowcy uważają, że jeżeli grupa młodych biznesmenów dojdzie do władzy, to szybko wprowadzą gruntowne zmiany.
- W każdym razie oni nie tracą – powiedział Kincaid.
- To podpowiada zdrowy rozsądek, ale ludzie są wyjątkowo podatni na wszelkie obietnice. Wystarczy poruszyć czułą strunę, a gotowi wierzyć w cuda. Reformy Carlisle’ a nie wymagają żadnych dodatkowych pieniędzy, więc wszyscy traktują go jak młodego Midasa. Nowy meteor na politycznym firmamencie.
- Nie przesłyszałem się, powiedziałeś: bez dodatkowych kosztów? – zapytał Kincaid z niedowierzaniem.
- Właśnie tak. Wczoraj w parlamencie poruszono ten temat i mniej więcej tak brzmiała odpowiedź.

– Dobry Boże! Jeszcze chwila, a zamieni wodę w wino. – Kincaid wrzucił do aparatu kolejny żeton. – To już ostatni – powiedział.

– Podaj mi numer.

Kincaid odczytał cyfry z tabliczki umieszczonej pod aparatem i odłożył słuchawkę. Rzucił okiem na przeładowaną ciężarówkę, która z hukiem mijała jego budkę, wzbijając za sobą tumany kurzu. Usłyszał dzwonek telefonu.

– Potrzeba ci czegoś? – zapytał Fletcher.

– Samochodu i jakiegoś mieszkania.

– Myślałem, że zatrzymałeś się u ojca.

– Stary jest w szpitalu. Nie chcę mieszkać u niego.

– Byle oszczędnie, zgoda?

– Chyba mnie znasz?

– Żartowałem.

– Do diabła! To nie prywatny aparat – mruknęła pod nosem niemłoda kobieta stojąca przed budką. Miała na sobie stary, wytarty płaszcz i szal, który w połowie zasłaniał jej twarz.

– Przepraszam. Nie zauważyłem, że pani czeka – powiedział Kincaid.

– Tacy sami. Wszyscy jesteście tacy sami. – Ostentacyjnie minęła Kincaida. – Bezmyślni.

– Życzę miłego dnia! – mruknął Kincaid, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Jak długo zechce pan korzystać z wozu? – zapytał sprzedawca z sumiastymi włosami. W pierwszej chwili Kincaid zamierzał sprostować, że zależy mu tylko na „wynajęciu zwykłego samochodu”, ale zarzucił tę myśl.

– Tydzień, może dwa – odparł.

– Nie był pan karany?

– Nie.

– Od jak dawna pan prowadzi?

– Od piętnastu lat.

– Zawodowo czy dla przyjemności?

– I jedno, i drugie.

Sprzedawca oderwał wzrok od formularza i spojrzał na Kincaida.

– A kim pan jest z zawodu? – zapytał podejrzliwie.

– Kierowcą rajdowym.

– Słucham?!

– Żartuję. Dziennikarzem.

– Rozumiem. – Sprzedawca obrzucił go niechętnym spojrzeniem i wrócił do wypełniania formularza. – Jaki samochód?

– Nie za duży.

– Sierra? Cavalier? Dedra?

– Ten ostatni... Co to za wóz? – zapytał Kincaid.

– Lancia dedra.

– Będzie w sam raz.

- Szósta grupa ubezpieczenia.
- Zapłacę.
- Proszę tu złożyć swój podpis.

Gdy tylko podpisał formularz, wyszedł na parking, na którym stało sporo samochodów. Starszy mężczyzna pieczołowicie czyścił jeden z nich.

- Oto pański wóz – powiedział sprzedawca, wskazując otwarte drzwi lancii.

Kincaid przekręcił kluczyk w stacyjce – bak był pełny. Mógł ruszać przed siebie.

Znalezienie mieszkania nastęrczyło więcej trudności. Żadna agencja nie chciała przyjąć krótkoterminowego zlecenia. Kincaid już zamierzał opuścić trzecie biuro, gdy obsługujący go mężczyzna zapytał:

- A może odpowiada panu willa.
- Willa?

Mężczyzna podniósł leżącą przed nim kartkę i przeczytał:

– Haddow Cottage, Rose Lane, Otterby. Dwie sypialnie, wszelkie wygody, mały ogródek.

Kincaid zastanowił się chwilę. Otterby leżało zaledwie dziesięć mil od miasta. Jako chłopiec często tam jeździł na rodzinne pikniki.

- Ile? – zapytał.

Agent zmarszczył czoło, szybko przeliczył coś w pamięci i odpowiedział:

– Poprzedni klient wyprowadził się stamtąd kilka miesięcy wcześniej, niż przewidywała umowa. Dlatego jeszcze przez miesiąc dom będzie stał pusty. Nie mam wielkich szans, by wynająć go na tak krótki okres, więc powiedzmy... dwieście?

- Umeblowany?
- Wszystko poza bielizną.
- Umowa stoi.
- Nie chce pan najpierw obejrzeć?
- Wierzę panu na słowo.

Kincaid zabrał z domu swojego ojca kilka ręczników, komplet bielizny i ruszył do Otterby. Chociaż w prostej linii miejscowość leżała blisko miasta, to podróż była znacznie dłuższa, niż przypuszczał. Wąska, kręta szosa okrążała osiedla Newcastle, wijąc się wzdłuż koryta rzeki, które stanowiło naturalną granicą oddzielającą zurbanizowaną część miasta od terenów wypoczynkowych. Jadąc stromą aleją w kierunku mostu, był o krok od zmiany decyzji. Mieszkanie za miastem nie wydawało mu się już tak doskonałym pomysłem jak godzinę temu.

Kiedy tylko zobaczył dom, znowu zmienił zdanie. Willa była stara i wymagała remontu, ale miała styl, a ogród mógłby stanowić bajkową scenerię utworu Kennetha Grahame'a *O czym szumią wierzby*. Stał przez chwilę, rozkoszując się otaczającą ciszą.

Klamka u drzwi wejściowych była wykonana z wysokogatunkowej stali. Kincaid przyjrzał się jej z bliska. Miała kształt węża wijącego się wokół gałęzi. Na lewo od drzwi umieszczono wycieraczkę do butów. Wypróbował ją. Zastanawiał się, ile osób przed nim, w tym samym miejscu, wykonywało podobną czynność. Na środku salonu był kominek, a obok leżały suche polana. Meble przykryto perkalowymi pokrowcami. Znalazł kartkę z informacją, że reszta drewna jest za domem. Kincaid rozsiadł się wygodnie, nareszcie był u siebie. Podniósł słuchawkę i nakreślił numer.

– College Hospital, słucham?

– Proszę mnie połączyć z dyrektorem szpitala.

– A kto mówi?

– Nazywam się Kincaid.

– Czy mogę wiedzieć, w jakiej sprawie pan chce rozmawiać z dyrektorem? – zapytał kobiecy głos.

– Nie.

– Chwileczkę.

Kincaid spojrzął na zegarek. Było już południe, a on od wczoraj nic nie miał w ustach.

– Mówi Fields – usłyszał w słuchawce. – Czym mogę panu służyć?

– Chciałbym się z panem spotkać, żeby porozmawiać o Grecie Marsh – odparł Kincaid. Mówił spokojnie, chociaż ręce pocily mu się ze zdenerwowania.

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi, panie Kincaid – usłyszał niepewną odpowiedź.

– Jestem dziennikarzem. Chciałbym z panem porozmawiać o Grecie Marsh.

Zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili Fields powiedział:

– Nie wiem, o czym moglibyśmy rozmawiać. Panna Marsh opuściła już nasz szpital, zaczęła nowe życie i nie życzy sobie kontaktów z prasą.

– Panna Marsh jeszcze wczoraj wieczorem była w Fingleton Grange, a to chyba nie jest dla niej „nowe życie” – powiedział chłodno Kincaid.

– To oburzające! – krzyknął Fields.

– Zgadzam się.

– O Boże! Pijany intruz! – wybuchnął Fields. – Dostałem wczoraj raport o pijanym intruzie w Fingleton Grange. A więc to pan!

– Tak, to ja – zgodził się Kincaid. – Tyle tylko, że nie byłem pijany.

– Posiadam inne informacje, panie Kincaid. Powiadomiono mnie, że zeszłej nocy wokół domu kręcił się jakiś pijak. Przewrócił się i rozbił sobie głowę, więc personel wezwał karetkę. Zanim przyjechała, ten człowiek wstał i poszedł sobie. Zdaje się, że parę godzin później znalazła pana policja. Jeszcze wtedy pan nie wytrzeźwiał. – Ostatnie zdanie wypowiedział z odrazą.

– Nie byłem pijany, panie Fields. Naszpikowano mnie lekami.

– Doprawdy?! – Fields przybrał obojętny ton.

– Doprawdy. I to nie gdzie indziej, tylko w samym Fingleton Grange. Zrobiono wszystko, bym wyglądał na pijanego.

– Mogę tylko przypuszczać, że w dalszym ciągu jest pan pod wpływem halucynogenów. Nigdy w życiu nie słyszałem tak idiotycznej historii.

– Myślę, że czytelnicy nie będą skłonni podzielać pańskiego zdania, Fields, i na pewno zainteresuje ich historia Greta Marsh.

– Nie ma żadnej historii Greta Marsh. Dlaczego nie przyzna pan, że przeceenił swoje możliwości. Lepiej otwarcie przyznać się do występku, niż wymyślać na swoją obronę tak nieprawdopodobnie głupie historie.

– Dlatego, drogi panie, że obaj wiemy, iż to nie jest „nieprawdopodobnie głupia historia”, lecz szczerą prawdą. I niech pan wie, Fields, że zamierzam dotrzeć do sedna tej sprawy.

– Ostrzegąłem pana, Kincaid – odpowiedział Fields.

– Jestem już blisko celu.

– Zaprzeczmy wszelkim pańskim insynuacjom, wszystkiemu, co pan napisze. Nie pozwolę zrujnować dobrego imienia naszego szpitala. Użyjemy wszelkich dostępnych prawnie środków, wykorzystamy swoje wpływy i zniszczymy pana. Więc lepiej niech się pan ma na baczności. Radzę dokładnie wyważyć każde słowo i nie zapominać o dowodach.

– Nie zapomnę, Fields. Na pewno nie zapomnę. Nie omieszkam także odnaleźć Greta Marsh. W jej obydwu wcieleniach.

Gdy odłożył słuchawkę, zauważył, że drżą mu ręce. Złożył to na karb głodu. Wstał i wyszedł, aby odwiedzić miejscowy pub.

Kincaid przyjechał do College Hospital na kilka minut przed zakończeniem operacji. Wciąż jeszcze rozmyślał o Grecie Marsh, gdy zobaczył idącego w jego kierunku mężczyznę. Jasnowłosego chirurg miał trzydzieści kilka lat i nosił okulary. Był ubrany w strój operacyjny, zdjął tylko wierzchni fartuch i maseczkę. Zielona koszulka z krótkimi rękawami odślaniała owłosione ramiona. Usiadł przy stole.

– Pan Kincaid?

– Zgadza się. Jak się ojciec czuje?

– Dobrze. Operacja przebiegła planowo. Pański ojciec był bardzo dzielny. Żadnych problemów. Żadnych komplikacji.

– Bardzo się cieszę.

– Kolejna dobra wiadomość dotyczy tego, że guz w lewym płucu był dobrze odizolowany od zdrowych tkanek. Usunąłem go. Nie ma śladu rozsiewu nowotworowego.

– Czy to znaczy, że ojciec jest zdrowy?

Chirurg usiadł wygodniej, bo oto nadeszła pora, by popisać się swoją wiedzą.

– Tak i nie – odparł. – W takich przypadkach pozostaje jedno pytanie: jak szybko nastąpi nawrót choroby?

– A pana zdaniem? Jak szybko? – zapytał Kincaid.

– Przy braku jakichkolwiek ognisk przerzutowych dajemy pacjentom rok, może nawet dwa lata. Jeżeli poddamy pańskiego ojca chemioterapii, a moim zdaniem powinniśmy to zrobić, to rokowanie jest bardzo pomyślne.

– Kiedy będę mógł go zobaczyć?
– Odłożyłbym to do jutra – odparł chirurg. – Przez jakiś czas pański ojciec będzie bardzo senny, więc nie należy mu przeszkadzać.

Kincaid zgodził się z lekarzem i podziękował mu. Zastanawiał się, co zrobi z trzema wolnymi godzinami, jakie zostały mu do spotkania z Eve. Zdecydował, że odwiedzi swoją siostrę. Mając samochód bez trudu poruszał się po mieście i dojazd na osiedle, gdzie mieszkała Lisa, nie stanowił żadnego problemu. Mimo to popołudniowe korki na ulicach spowodowały, że znalazł się u niej później, niż planował. Siostra uściskała go serdecznie i zaprosiła do środka.

– W szpitalu powiedziano mi, że wszystko poszło dobrze – stwierdziła. – Dzwoniłam tam pół godziny temu.

– Właśnie stamtąd wracam – odparł Kincaid. – Wiem, że nie było żadnych niespodzianek. – Zauważył, że siostra robi na drutach ubranko dla dziecka. – Neutralne kolory – uśmiechnął się, widząc kłębek cytrynowożółtej wełny.

– Kevin jest pewny, że to będzie chłopak – roześmiała się – ale ja nie chcę zapeszyć.

– Wołałabyś chłopca czy dziewczynkę? – spytał Kincaid.

Lisa uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tak naprawdę to jesteśmy przede wszystkim szczęśliwi, że nareszcie nam się udało. Płeć dziecka nie jest najważniejsza. Wszystko jedno – chłopak czy dziewczynka. – Aż promieniała radością. Nagle spoważniała. – To prawda, co powiedzieli mi o tacie? Wszystko poszło dobrze? Nie okłamali mnie w szpitalu, prawda?

– Oczywiście, że nie okłamali – odparł Kincaid. Ujął jej drżącą dłoń. – Mówią, że minie ładnych kilka lat, zanim znowu pojawią się problemy.

Lisa otarła łzy z oczu.

– Tak bym chciała, żeby zobaczył jeszcze swojego wnuka.

– Albo wnuczkę – dodał Kincaid.

Lisa przytaknęła z uśmiechem.

– A co słychać u Kerry? – zapytała.

– Rośnie.

Lisa przyglądała się bratu, póki nie przyznał, że wie, iż nie chciała go zranić swoim pytaniem.

– W porządku – powiedział. – Niestety, nie ma radykalnej poprawy. Ale będzie. Potrzeba jej tylko więcej troski.

Lisa objęła go i uściśnięła.

– Myślisz, że powinnam częściej ją odwiedzać? – zapytała. – Mogłabym spróbować.

– Masz teraz dosyć spraw na głowie i przede wszystkim musisz troszczyć się o swoje dziecko – odparł Kincaid. – Poza tym jej potrzebny jest przede wszystkim dobry fachowiec. Wiesz, psycholog dziecięcy, ktoś taki.

– Jeżeli będę mogła w czymś pomóc, to mi powiesz, prawda? – rzekła Lisa.

Kincaid przytaknął z uśmiechem.

– Oczywiście, że tak. Dziękuję ci. A gdzież się podziewa twój mąż? – Wy-mownie spojrzął na zegarek. – Chyba powinien już być w domu o tej porze!

– Nie we wtorki. Chodzi z kolegami na piwo. Dlatego wraca później. Może coś zjesz? Właśnie miałam przygotować kolację.

Kincaid podziękował. Umówił się wieczorem w restauracji.

– Kto to jest? – zapytała Lisa.

– Pielęgniarka. Poznałem ją w szpitalu.

– To coś poważnego?

Kincaid roześmiał się.

– Daj mi trochę czasu. Znamy się dopiero kilka dni.

– Dobrze byłoby, gdybyś kogoś spotkał. Już tak dawno rozwiodłeś się z Julie.

– Oto cała siostrzyczka – skarcił ją Kincaid.

– Dobrze, dobrze. Już kończę – odparła Lisa. – Ale moim zdaniem, potrzebna ci odpowiednia kobieta.

– Pomyślę o tym – odparł Kincaid.

Kincaid zauważył Eve stojącą przed wejściem do hotelu dla pielęgniarek. Nie poznała go za kierownicą lancii, więc wychylił się z samochodu i zawołał ją.

– Ładny samochód – powiedziała, zbierając fałdy sukienki i wsiadając do środka.

– Ładna sukienka – odwzajemnił komplement, patrząc z podziwem na Eve. Po raz pierwszy widział ją w normalnym stroju i nie mógł zaprzeczyć, podobało mu się to, co zobaczył.

– Dziękuję. Jak się czuje twój ojciec?

– Powiedzieli mi, że wszystko poszło gładko. Nie ma jakiegoś przesiewu, wysiewu czy coś w tym rodzaju.

– Rozsiewu nowotworowego. Czyli przerzutów tkanki nowotworowej w inne miejsca.

– Tego się domyśliłem – odparł Kincaid.

– Cieszę się.

– Lekarz powiedział, że gdy tylko dojdzie do siebie po operacji, rozpoczną chemioterapię i przy odrobinie szczęścia minie sporo czasu, zanim choroba znowu się ujawni.

– To dobrze.

Zapadła cisza. Po kilku minutach, gdy utknęli w potężnym korku, Kincaid odezwał się:

– Opowiedz mi o sobie.

– O czym tu opowiadać? Mam dwadzieścia siedem lat. Skończyłam psychologię. Jestem dyplomowaną pielęgniarką w College Hospital. Urodziłam się w Kenii, ale gdy miałam dwa lata, moi rodzice wrócili do Anglii. Wychowałam się w Stroud w Gloucestershire. Tam chodziłam do szkoły. Potem skończyłam Durham University.

– Dlaczego nie pracujesz w swoim zawodzie? – zapytał Kincaid.

– W największym skrócie to było tak: przez rok pracowałam w amerykańskiej firmie w wydziale zatrudnienia. Moim zadaniem była rozmowa z przyszłymi pracownikami, określanie ich przydatności dla firmy.

– I nie byłaś tym usatysfakcjonowana?
– Nie. To była praca, którą mógł wykonywać każdy, kto miał choćby odrobinę zdrowego rozsądku. Firma zatrudniła osobę z dyplomem uniwersyteckim tylko po to, by podnieść swój prestiż. Odeszłam i znalazłam sobie prawdziwą pracę.

– Gotów jestem iść o zakład, że za połowę pensji.

– Dokładnie za jedną trzecią – poprawiła go.

– Powołanie? – zapytał Kincaid.

Eve roześmiała się.

– To zawsze brzmi tak śmiertelnie poważnie. Powiedzmy, że chciałam być pielęgniarką.

– A chłopak? – Kincaid badał grunt.

– Jestem mężatką.

– Ach, tak.

Zapadła chwila ciszy, po czym Eve dodała cicho:

– Żyjemy w separacji.

– Rozumiem.

– A ty?

– Rozwodnik. Już od jakiegoś czasu.

– Dzieci?

– Mam córkę, Kerry.

– Mieszka z matką, tak?

– Kerry jest upośledzona umysłowo. Mieszka w domu dla dzieci umysłowo chorych w Newcastle.

– Przepraszam. Nie chciałam być wścibska.

– Nic się nie stało.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Eve. Właśnie skręcili z głównej drogi i Kincaid prowadził wóz bocznymi uliczkami.

– Do najlepszej greckiej restauracji na północy – odparł Kincaid, a po chwili dodał: – Mam nadzieję, że lubisz grecką kuchnię?

– Uwielbiam.

W środku tygodnia ponad połowa stolików w restauracji była wolna.

– Dobrze, a teraz pozwól mi zaspokoić kobiecą ciekawość. Zamieniam się w słuch – powiedziała Eve, gdy tylko usiedli przy stoliku.

Podszedł kelner, aby zapalić świece. Kincaid milczał, dopóki nie zostali sami. W końcu odezwał się:

– A o czym mam ci opowiedzieć?

Eve popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Oczywiście o Grecie Marsh. O tym co się wydarzyło.

– Dzwoniłem do Fieldsa. Nie mogłem go złamać. Zaprzeczał każdemu mojemu słowu. Traktował mnie jak zamrozonego alkoholem dziennikarzynę, który wyszał z palca całą historię.

– Przecież nie mogą zostawić tak tej sprawy! – powiedziała Eve podniesionym głosem.

– Ktoś jest dziwnie pewny, że mogą – odparł Kincaid. – A to oznacza, że Greta Marsh jest teraz bardzo daleko, poza naszym zasięgiem.

Eve była wyraźnie poirytowana.

– Ale tobie nie wolno przestać! Musisz ich zdemaskować! Nie pozwól, żeby znowu im się udało.

– Daj mi się zastanowić – rzekł Kincaid.

– Nie ma czasu na zastanawianie, trzeba działać – nalegała Eve.

Kincaid ujął jej roztrzęsioną dłoń.

– Spokojnie – powiedział cicho. – Nie będę tłukł głową o ścianę, bo przegram. To oczywiste. Trzeba okrążyć ich powoli, przycisnąć do muru, zmusić do nierozważnego kroku i wtedy, będąc zupełnie pewnym swoich racji, zaatakować. Tylko w ten sposób mamy szansę wygrać.

– Ale...

– Uwierz mi, wiem, co mówię. Niejeden raz korzystałem z tego schematu.

Eve skinęła głową.

– Więc co mamy teraz zrobić? – zapytała.

– Greta przed operacją mieszkała w jakimś domu... – odparł Kincaid.

– W Harrington Hall.

Kincaid głośno myślał.

– Nie miała krewnych i właśnie dlatego szpital odważył się tak ją potraktować. Nikt się za nią nie ujmie. Ale w Harrington Hall musiał być chociaż jeden człowiek, który lubił Gretę, chciałby się z nią zobaczyć, pomóc jej w organizowaniu nowego życia.

– Słyszałam, że Greta była bardzo zżyta z przełożoną pielęgniarek – powiedziała Eve.

– Doskonale. W takim razie wybiorę się do Harrington Hall. Być może ta kobieta zgodzi się i zażąda od władz szpitala ujawnienia nowego adresu Grety Marsh.

– Ale oni jej odmówią – odpowiedziała Eve.

– Właśnie.

Eve nie nadała za jego tokiem myślenia.

– Więc? Jaki z tego zysk?

– Ich odmowa będzie pierwszym ogniwem łańcucha. Ludzie zainteresują się tematem. Oczywiście, nie chcą, aby nękali ją dziennikarze, ale starzy przyjaciele – to zupełnie inna sprawa.

– Przycisniesz ich do muru? – domyśliła się Eve.

– Z całej siły – odparł Kincaid.

– I myślisz, że szpital ugnie się i pozwolą przełożonej zobaczyć się z Gretą?

– Właśnie. I znowu przywiozą drugą Gretę.

– A pielęgniarka pozna, że to nie ona?

– Tak.

6

Kincaid wszedł do biura przełożonej pielęgniarek w Harrington Hall, wprowadzony przez asystentkę ubraną w różową sukienkę i czepek. Dziewczyna cierpiała na wadę wymowy, a poza tym dziennikarz zauważył, że miała protezę lewej dłoni i aby otworzyć drzwi, musiała sięgnąć do klamki zdrową ręką. Odsunęła się na bok i przepuściła Kincaida, który, dziękując jej za pomoc, wszedł do środka. Anna Keats odłożyła na bok pióro i uśmiechnęła się.

– Dziękuję, że tak szybko znalazła pani dla mnie czas – powiedział Kincaid.

– Skoro przychodzi pan w sprawie Grety, jakże mogłabym odmówić. Nie miałam od niej wieści od czasu operacji – odpowiedziała Anna Keats. Kincaidowi przypominała troskliwą babcie: pulchna, miała piękne srebrzystoszare włosy i cudowny, rozbrajający uśmiech – uosobienie spokoju. Zniknęła gdzieś nerwowość, jaką wyczuł w jej głosie podczas rozmowy telefonicznej. Doskonale panowała nad sobą.

– Chciałbym uprzedzić, że trudno będzie pani uwierzyć w moje słowa – powiedział Kincaid.

– Nie bardzo rozumiem.

Teraz mógł już tylko brnąć naprzód. Wziął głęboki wdech i zaczął:

– Obawiam się, że operacja Grety nie zakończyła się takim sukcesem, o jakim oboje mieliśmy okazję usłyszeć.

– Ale w gazetach...

Nielatwo było z nią rozmawiać. Kincaid przełknął ślinę i odetchnął głęboko.

– Mam powody, aby podejrzewać, że na konferencji nie zobaczyliśmy prawdziwej Grety Marsh.

Anna Keats spojrzała na niego zaskoczona. Rozłożyła ręce, jakby czekając na pomoc z nieba.

– O czym pan mówi, panie Kincaid?

Kincaid, czujnie obserwując reakcję kobiety, opowiedział o operacji i jej tragicznym zakończeniu, o próbach zatuszowania sprawy. Patrzyła na niego nieuf-

nie, z rosnącym napięciem. Kiedy skończył, zapadła cisza. Minęło kilka długich chwil, zanim się odezwała:

– Czy pan naprawdę chce, bym uwierzyła, że Greta została okaleczona w czasie operacji, że uszkodzono jej mózg, a teraz ukryto ją nie wiadomo gdzie?!

– Tak.

– To potworne, co pan mówi! Na miłość boską! Dlaczego?! I dlaczego przyszedł pan do mnie, a nie na policję?

– Jeszcze nie wiem, dlaczego tak postąpiono – odparł Kincaid. – Nie byłem na policji, bo na razie nie potrafię niczego udowodnić.

– Jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą, chociaż trudno mi w to uwierzyć, to dlaczego zwrócił się pan do mnie? – zapytała Anna Keats.

– Greta została ukryta, a ja nie wiem gdzie. Nie ma żadnych krewnych, którzy mogliby jej poszukiwać, a prasa została odsunięta od sprawy. Pozostała tylko pani, najbliższa Grecie osoba. Jeżeli poprosi pani o spotkanie z nią, to władzom szpitala będzie znacznie trudniej odmówić.

– A jeśli mimo to się nie zgodzą?

– To już będzie moja rola. Jeżeli odmówią pani, opublikuję tę historię na łamach naszej gazety. Wtedy na pewno ustąpią.

– Rozumiem – odparła Anna Keats, delikatnie gładząc opuszkami palców skórę twarzy. W pewnej chwili oparła ręce na stole i powiedziała:

– Nie chciałabym pana urazić, ale mogłabym podejrzewać, że dzięki mnie chce pan dotrzeć do Grety. To chwytliwy temat. Czy nie tak określicie podobne sytuacje? Nowe życie kobiety, której dopiero medycyna zapewniła ludzki wygląd.

– Ma pani rację, ale ja mam czyste intencje.

Anna Keats popatrzyła badawczo na Kincaida.

– Dobrze – powiedziała wreszcie z odrobiną rezygnacji w głosie. – Co mam zrobić?

Kincaid odetchnął z ulgą.

– Poprosić o spotkanie z Gretą – odparł.

– Kogo?

– Fieldsa, dyrektora College Hospital.

Anna Keats podniosła słuchawkę i nakręciła numer. W tej samej chwili usłyszeli pukanie do drzwi i stanęła w nich asystentka pchając przed sobą wózek z kawą i filiżankami. Na moment straciła panowanie nad wózkiem, który zaczepił kółkiem o krawędź dywanu.

Kincaid zerwał się z krzesła, aby jej pomóc, lecz zatrzymała go, obrzucając złowrogim spojrzeniem. Speszony usiadł z powrotem. Gdy dziewczyna ustawiała na stole filiżanki, Anna Keats uzyskała połączenie z Gordonem Fieldsem.

Kincaid słuchał dochodzących go fragmentów rozmowy, a jednocześnie obserwował dziewczynę nalewającą kawę. Zastanawiał się, jak przełożona zniesie odmowę Fieldsa. Anna Keats spojrziała w pewnej chwili na sekretarkę, zasłoniła słuchawkę dłonią i szepnęła:

– Dziękuję, Tilly.

Dziewczyna odpowiedziała niewyraźnie, spojrzała ze złością na gościa i wyszła. Kincaid odprowadził ją wzrokiem do samych drzwi. Odwrócił się do biurka w tej samej chwili, gdy Anna Keats odłożyła słuchawkę.

– Przykro mi z powodu Tilly. Sama wyznacza sobie granice.

– Co odpowiedział Fields? – zapytał Kincaid.

– Że nie widzi żadnego problemu – odparła Anna Keats.

Kincaid spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

– Zgodził się?! Jak on tego dokona? – Anna Keats przyglądała mu się podejrzliwie. – Zapewniam panią, że to co powiedziałem jest prawdą. Fields zapewne sądzi, że uda mu się oszukać panią, tak jak dziennikarzy. Ale pani ją rozpozna, prawda? Nawet ze zmienioną twarzą? Pozna pani Gretę Marsh. Głęboko w to wierzę.

– Tak, panie Kincaid. Poznam ją – odpowiedziała cicho Anna Keats.

– Czy umówiła się pani na określony dzień?

– Pan Fields powiedział mi, że musi się najpierw skontaktować z Gretą. Wstępnie umówiliśmy się na czwartkowe popołudnie. O trzeciej w szpitalu. I mnie, i jemu pasowała ta godzina.

– Z przyjemnością będę pani towarzyszył.

Anna Keats zawahała się.

– Nie – powiedziała.

– Nie?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Wierzę, że nie chodzi panu o dziennikarską sensację, lecz stanowczo nalegam, abym za pierwszym razem mogła się spotkać z Gretą sam na sam.

– Oczywiście – zgodził się Kincaid.

Eve wybiegła z hotelu i wsiadła do czekającego przed wejściem samochodu. Otrząsnęła z płaszcza krople deszczu.

– Co za pogoda! – westchnęła. Zapięła pasy i od razu zapytała: – Jak poszło?

Kincaid opowiedział jej o dzisiejszym spotkaniu.

– Co oni knują? – dziwiła się.

– Jeszcze nie wiem. Na razie nic nie przychodzi mi do głowy – odparł Kincaid. Włączył ogrzewanie, aby osuszyć zaparowane okna. Gdy czekali na światłach, wyjął ścierkę i dokładnie wytarł przednią szybę.

– Dokąd jedziemy? – spytała Eve.

– Do mnie.

Zanim dotarli na miejsce, deszcz prawie ustał i wiatr ucichł. Kiedy Eve wysiadła z samochodu, otaczającą ciszę mącił już tylko odgłos kropeł spadających z drzew i szum wody w rynnach. Rozejrzała się wokoło i odwróciła w stronę Kincaida.

– Uroczo tu. Nie miałam pojęcia, że takie miejsce w ogóle istnieje.

Kincaid uśmiechnął się.

– Kiedy moja siostra i ja byliśmy jeszcze dziećmi, ojciec często przywoził nas tutaj na pikniki. Kursowały tu tylko dwa autobusy. Jednym przyjeżdżaliśmy z samego rana, a drugim wracaliśmy pod wieczór.

Eve popatrzyła na niego.

– I gdzie spędzaliście cały dzień?

– Na łąkach. Rozciągają się od kościoła aż do samej rzeki.

Staruszek zawsze zabierał ze sobą kuchenkę turystyczną. Zazwyczaj pół dnia nie mógł jej uruchomić, a matka z sadystyczną radością wypominała mu, ile czasu musi czekać na filiżankę gorącej herbaty. „Na tych twoich piknikach można umrzeć z pragnienia i głodu – mawiała. – Jeszcze sekunda, złotko – odpowiadał. – Jeszcze sekunda”.

– A ty, po tylu latach, wynająłeś tutaj dom – podsumowała Eve.

– Takie jest życie – rzekł Kincaid. – To tutaj. – Otworzył furtkę do ogrodu i zaprosił ją do środka.

– Pięknie tu.

Kincaid zatrzymał się na chwilę, nim otworzył drzwi wejściowe, aby Eve mogła rozejrzeć się po ogrodzie. Było już ciemno, więc niewiele widziała.

– Cudownie pachnie – powiedziała.

– Nastawię wodę.

Dziewczyna weszła do środka. Usiadła na sofie i podwinęła pod siebie nogi.

Kincaid włączył czajnik i wrócił z kuchni.

Eve właśnie przyglądała się, stojącemu przy kominku, zdjęciu Kerry.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła.

Widziała, jak przez moment mięśnie jego twarzy zadrgały nerwowo, lecz natychmiast się opanował.

– Była normalną, małą dziewczynką. Wszystko stało się nagle. Podczas banalnej operacji zatrzymano dopływ tlenu. Przeżyła, ale doszło do trwałego uszkodzenia mózgu. Od tego czasu przebywa w zakładzie. Wegetuje jak roślina.

– A co mówią lekarze? Jakie są szanse?

– Nie spodziewają się żadnej poprawy.

– Ale ty im nie wierzysz? – wywnioskowała z tonu Kincaida.

– Powiedzmy, że nie zgadzam się z ich diagnozą.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała.

– Chcę doprowadzić do kolejnej komisji, która zaleci Kerry odpowiednią rehabilitację.

– I jak ci idzie?

– Na razie spotykam się głównie z odmowami, ale ciągle mam nadzieję, że to się zmieni.

– Naprawdę?

– Powiedziano mi, że w przyszłym tygodniu, w ramach *Northern Health Scheme*, rozpocznie urzędowanie nowy dyrektor ośrodków psychiatrycznych. Mają się ponoć poprawić warunki leczenia chorych – odparł Kincaid.

– Dobre wieści – rzekła cicho Eve, i dodała: – Ale istnieje taka możliwość, że nowy dyrektor zgodzi się z pierwszą diagnozą.

– Wtedy zabiorę Kerry do siebie.

– I jak się nią zaopiekujesz?

– Znajdę sposób – powiedział. – Ona potrzebuje czyjeś troski, kogoś, komu na niej naprawdę zależy, kto podaruje jej swoją miłość i czas.

– A jej matka? – zapytała Eve.

– Założyła nową rodzinę. Ma swoje życie. Tylko ja pozostałem Kerry.

– A twoja praca? Nie dasz sobie rady – powiedziała Eve.

– Rzucę pracę – odparł Kincaid.

– Naprawdę to zrobisz? – Obawiała się determinacji Kincaida.

– Mam trochę oszczędności. Poza tym mogę brać zlecenia do domu.

– Musisz ją bardzo kochać – szepnęła Eve.

– Jest moją córką. Pamiętam, jaka była kiedyś.

Kincaid mówił to zupełnie spokojnie. Do tej pory zawsze odnajdywała w jego oczach napięcie i niepokój, a teraz, po raz pierwszy, był spokojny. Nie potrafiła zaprzeczyć, podobał się jej.

– Kiedy rozpatrzą twój wniosek? – zapytała.

– Człowiek, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że już powołano nowego dyrektora. Rozpocznie pracę w tym, może w przyszłym tygodniu.

Kincaid poszedł do kuchni, żeby przygotować kawę, a Eve ostrożnie odstawiła zdjęcie. Kiedy wrócił, zapytała, czy pojedzie z Anną Keats do College Hospital.

– Nie. Ona mi nie ufa. Chce pójść sama.

– Nie możesz jej za to winić – zauważyła Eve, podnosząc do ust filiżankę gorącej kawy.

Kincaid spojrzał na nią mrużąc oczy.

– Co masz na myśli?

– Jesteś dziennikarzem – stwierdziła Eve, jakby to był wystarczający powód.

– Tak. I co z tego? – zapytał Kincaid. Rozdrażniła go tym stwierdzeniem.

– Dobrze. Spójrzmy na to z innej strony. Dziennikarze cieszą się mniej więcej takim samym zaufaniem jak handlarze na pchlim targu.

– Do stu tysięcy... – zaczął Kincaid i nagle spojrzał na Eve. Po jej twarzy błąkał się uśmiech. – Chcesz mnie sprowokować! – wybuchnął.

– Już to zrobiłam – roześmiała się Eve.

Potargał jej włosy. Nagle zatrzymał się, lecz nie zabrał ręki. Eve podniosła wzrok. Wciąż się uśmiechała, ale w oczach pojawiło się pytanie.

Kincaid delikatnie pogładził palcami jej policzki, ujął podbródek i pocałował delikatnie usta. Czuł, że odwzajemnia jego starania, więc ujął ją mocniej i pocałował jeszcze raz, bardziej namiętnie. Gdy oderwali się od siebie szepnęła:

– A jeżeli chodzi o twójego męża...

– On należy do przeszłości – odparła Eve.

– To dobrze – powiedział. Usiadł obok i otoczył dziewczynę ramieniem. – Opowiesz mi o nim?

– Co mam powiedzieć? Gavin opuścił mnie dwa lata temu.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Nigdy nie byliśmy ze sobą szczęśliwi. Należał do tych mężczyzn, którzy na zawsze pozostają chłopcami i nigdy nie wyrastają ze szcze-

nięcych lat. Jak większość wykształconych facetów, nie umiał postępować z kobietami. Tacy jak on albo robią z nas niewolnice, albo uwielbiają jak madonny. Gavin należał do tych drugich. Niestety, mnie nie interesowała kariera Mary Poppins*, więc w końcu powiedziałam mu, żeby poszedł do diabła. Tak się to skończyło.

Kincaid miał ochotę się roześmiać, ale nie wiedział, czy wypada.

Zerknął na Eve kątem oka. Od razu wiedział, że ona nie ma nic przeciwko temu.

– Nie powiedziałaś mu tego...? – zapytał.

– Powiedziałam – rzekła.

Popatrzyli na siebie i parsknęli śmiechem.

Tolkien spóźnił się na wieczorny dyżur. Wchodząc, zajrzał do poczekalni – była prawie pełna. Starszy mężczyzna w ciepłym płaszczu, z opaską przykrywającą uszy, wycierał nos w brudną chusteczkę. Miał załzawione oczy i aż się zarumienił z wysiłku.

Chłopiec siedzący na kolanach swojej matki głośno płakał, a ona bezskutecznie próbowała go uciszyć. Starsze dziecko, podwinąwszy nogę, siedziało na krześle i bezmyślnym wzrokiem gapił się na kobietę i jej synka. Większość ludzi była pochłonięta lekturą czasopism „Country Life”, „Vogue” i „What Car?” Myślni błędzieli w zupełnie innym świecie. Przecież wystarczyło tylko wykupić bilet na mecz piłki nożnej i skreślić osiem odpowiednich cyfr na kuponie, aby czarne porsche 911 albo wycieczka do Paryża nabrały realnych kształtów.

Dość pomyśleć: gorący paryski wiatr rozwiewa włosy, uśmiechnięte stewardesy, kelnerzy i szofer czekają, gotowi na każde skinienie. Bieda, bezrobocie i choroba to tylko chwilowy postój na drodze do szczęścia.

– Dobry wieczór – powiedział Tolkien.

Kilka osób zwróciło na niego uwagę i pokiwało głowami. Już miał zamknąć za sobą drzwi, gdy zauważył w kącie młodego chłopaka. Siedział ze spuszczoną głową, lecz kiedy Tolkien wszedł, chłopak podniósł na niego oczy. Lekarz znał tę twarz. W pierwszej chwili nie potrafił skojarzyć jej z żadnym wydarzeniem, więc pokrył zakłopotanie niepewnym uśmiechem. Wreszcie przypomniał sobie. To był Terry Feenan, pacjent z kliniki odwykowej. Lekarz nie wiedział, dlaczego czeka w poczekalni i ta myśl nie dawała mu spokoju.

Tolkien przejrzał korespondencję czekającą na biurku. Ponad połowę listów wyrzucił bez otwierania. Przesyłki były zmartwieniem jego pracy. Otworzył tylko kopertę z wynikami badań z laboratorium. Wysypał jej zawartość. Trzy dodatnie i jeden ujemny test ciążowy. Sprawdzał numery badań z kartami pacjentek. Dwie kobiety będą szczęśliwe, ale nie trzecia. Kilkunastoletnia, niezamężna dziewczy-

* Mary Poppins – tytułowa bohaterka cyklu powieści fantastycznych autorstwa Pamela L. Travers. Mary Poppins to wróżka, niańka dzieci, które dzięki niej przeżywają cudowne przygody (przyp. tłum.).

na zostanie wkrótce matką. Tolkien wzdrygnął się. Poczul dziwne ukłucie w okolicy serca. Jak na ironię, wynik testu kobiety, której bardzo zależało na urodzeniu dziecka, był negatywny. Miała już ponad trzydziestkę i od siedmiu lat bezskutecznie starała się zająć w ciążę. Może powinien dać jej skierowanie na zapłodnienie *in vitro*?

Podobno nowy program miał stworzyć kobietom takie możliwości. Tolkien przerzucił kilka rutynowych testów przysłanych z biochemii i zatrzymał się przy specjalistycznym badaniu z College Hospital. Miał rację co do Franka Golightly'ego – badanie krwi ujawniło obecność wirusa HIV. Chory miał pełnoobjawowy zespół AIDS. Przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę za przygodę w Niemczech.

Tolkien uruchomił komputer i zdjął przykrycie z klawiatury.

Golightly będzie musiał natychmiast otrzymać AZT, żeby chociaż trochę opóźnić postęp choroby. Poza tym, po pierwszym okresie terapii zostanie skierowany do College Hospital, aby usunięto nowotwór i wykonano bardziej szczegółową diagnostykę AIDS. Tolkien po raz pierwszy miał okazję skorzystać z nowego systemu komputerowego. Wpisał do pamięci komputera dane o pacjencie z karty chorobowej. Na ekranie pojawiły się polecenia:

ZALECANE LECZENIE?

Tolkien wpisał: AZT.

POTWIERDZAM – odpowiedział komputer.

DAWKA?

Tolkien wpisał cyfry.

POTWIERDZAM. MIEJSCE ODBIORU?

Lekarz zapytał, czy komputer może wysłać lek do jego gabinetu, gdzie Golightly odebrałby go, gdy przyjdzie po wyniki badań. Tolkien sprawdził w notatniku – pacjent miał wizytę wyznaczoną na następny dzień.

DALSZE POSTĘPOWANIE?

Tolkien wpisał: Skierowanie do szpitala.

POTWIERDZAM.

Terry Feenan wszedł jako czwarty z kolei.

– Mam nadzieję, że nie gniewa się pan, że tutaj przyszedłem? – spytał chłopak stając w drzwiach.

– Nie byłeś zapisany – rzekł Tolkien. – Każdy może tu wejść, ale przede wszystkim powinieneś porozmawiać ze swoim lekarzem.

– On ma to wszystko gdzieś – powiedział Feenan przez zaciśnięte zęby.

Tolkien porzucił myśl o wykładzie na temat etyki zawodu lekarza.

– O co chodzi? – zapytał.

– O Karen i o małą.

– Słucham cię.

– Próbowałem ją przekonać, żeby przyszła do pana, ale nie zgodziła się.

- Dlaczego?
- Ona nienawidzi lekarzy.

Tolkien wzruszył ramionami.

- W takim razie, chyba nie potrafię wam pomóc.

Chłopak podszedł bliżej i oparł dłonie na biurku.

- Pomyślałem... – zaczął niepewnie. – Pomyślałem, że jeżeli przyjdę i poproszę pana... Czy mógłby pan przyjechać i porozmawiać z nią? Może zmieniłaby zdanie.

Odruchowa reakcja Tolkiena uzmysłowiła chłopakowi, że lekarz nie akceptował takich sposobów postępowania.

- Wiem, ja wszystko wiem – mówił dalej. – To jest wbrew zasadom. Ale to jedyne wyjście, niech mi pan uwierzy, jedyne. Błagam, niech pan nie odmawia.

Feenan spuścił głowę i znowu wbił wzrok w podłogę. Ukradkiem otarł łzę kręcącą się w oku.

Przez dłuższą chwilę Tolkien siedział w milczeniu. Wszystkie zmysły podpowiadały mu, aby nie ulegał prośbie chłopca, lecz sama myśl, że naprawdę mógł pomóc tej biednej dziewczynie, powstrzymywała go przed kategorię odmową. Bezradnie potarł czoło.

W końcu do głosu doszedł zdrowy rozsądek. Odpowiedział wprost:

- Nie. Nie ma mowy. Ona musi przyjechać do gabinetu.
- Proszę. Tylko ten jeden raz. Niech pan z nią porozmawia – błagała Feenan. Tolkien uległ głosowi sumienia. Wziął do ręki długopis.
- Podaj mi adres. Przyjadę po dyżurze.

Następną pacjentką była pani Harrison. Starsza kobieta miała poważne kłopoty z opieką nad starzejącym się, niedołącznym mężem. Była bardzo wyczerpana. Tolkien wstał od stolika i pomógł jej usiąść.

– Przyszłam, żeby się dowiedzieć, czy jest już jakieś miejsce dla Harry’ego – powiedziała.

– Jeszcze nie – odparł Tolkien. Było mu przykro, że nie miał dla niej bardziej pomyślnych wiadomości.

– Rozumiem. – Oparła dłonie na kolanach i opuściła głowę, starając się uniknąć wzroku lekarza.

- Czy jest bardzo źle? – zapytał Tolkien.

Kobieta skinęła głową.

- Tak.

Tolkien miał jeszcze jeden pomysł.

– Proszę posłuchać – powiedział. – Skontaktuję się z oddziałem geriatrycznym w College Hospital. Może przyjmą pani męża na kilka dni, a pani w tym czasie odpocznie.

Widział, jak wstępuje w nią nadzieja.

– Myśli pan, że to możliwe? – spytała. – Jestem pewna, że jeżeli będę miała choć kilka spokojnych nocy, to wrócą mi siły i znowu będę mogła się nim zająć.

– Zaraz się dowiem – odparł Tolkien podchodząc do komputera. Pierwszy raz miał w ten sposób załatwić sprawę. Nie wiedział, czy zdoła przekonać komputer. Przywykł już do dyskusji ze szpitalnym personelem, kiedy słodkim głosem tłumaczył, że trzeba dać rodzinie czas na odpoczynek od starego, schorowanego człowieka, od piekła przewlekłej, wyniszczającej choroby. Lecz przemawianie do ludzkich uczuć w wypadku komputera miało się z celem. Wpisał dane Harry’ego Harrisona i czekał na dalsze pytania.

ZLECENIE?

Przyjęcie do szpitala – napisał Tolkien.

DIAGNOZA?

Diagnostyka szpitalna.

DODATKOWE INFORMACJE.

Tolkien uśmiechnął się. Od razu wiadomo, że ten program przygotowywała administracja szpitala. To było ich ulubione sformułowanie. Zawsze prosili albo o „dodatkové informacje”, albo o „umotywowanie próśby”. Tych dwóch zwrotów używali zamiennie. Przyjęcie do szpitala – napisał ponownie.

I jeszcze raz – diagnostyka szpitalna. Szarada. Rzadko przyjmowano starszych ludzi do domów opieki na krótki czas. Zazwyczaj umieszczano ich w szpitalach, gdy rodzina nie była w stanie zapewnić opieki. Chcąc pomóc Harry’emu, Tolkien licytował się z bezduszną maszyną.

Minęło kilka sekund, aż na monitorze ukazał się wydruk:

PRZYJĘTY NA ODDZIAŁ 17 COLLEGE HOSPITAL.

Tolkien był zadowolony. Uśmiechnął się do pani Harrison.

– College Hospital przyjmie pani męża na kilka dni. Kto wie, może przez ten czas znajdzie się miejsce w domu opieki?

– Nie wiem, jak mam panu dziękować, doktorze. – Kobieta była bliska łez.

– Nie trzeba – odpowiedział Tolkien. – Powinna pani odpocząć.

– Kiedy go zabiorą?

Tolkien wrócił do komputera. Poprosił o podanie godziny przyjęcia. Na monitorze ukazała się data następnego dnia i godzina dziesiąta rano.

Zamawiam przewiezienie chorego – napisał Tolkien.

POTWIERDZAM – odpowiedział komputer.

Pani Harrison wyszła z gabinetu. Tolkien był zadowolony. Od tej pory będzie mógł załatwiać podobne sprawy nie wstając nawet z krzesła. Poruszał się w nowym systemie komputerowym jak ryba w wodzie.

Skończył dyżur o wpół do dziewiątej. Tym razem nie czuł tej ulgi, która pojawiała się każdego dnia, gdy ostatni pacjent zamykał za sobą drzwi. Jeszcze nie skończył pracy. Tak jak obiecał Feenanowi, musiał pojechać do Karen. Wyszedł

z gabinetu i jak zawsze, pchnął barkiem drzwi, by sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. Wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu. Musiał przejść chodnikiem do miejsca, gdzie zawsze parkował w czasie dyżuru.

Coraz bardziej podobało mu się to miejsce. Był dumny widząc, jak się zmienia. Gdy przyjechał tu pierwszy raz do swojego gabinetu, powybijano mu lusterka, ktoś ukradł radio samochodowe, a innym razem odkręcono koło, a wóz stał na krawężniku podparty kilkoma cegłami. Od tamtej pory minęło sporo czasu. Powstawał coraz większy opór przeciw chulikańskim wybrykom. Nie znał mechanizmów tego zjawiska, ale też nigdy nie miał czasu, aby się nad nimi bardziej wnikliwie zastanowić. Był zadowolony. I on, i jego firma ubezpieczeniowa.

Terry i Karen mieszkali w bloku. Tolkien zaparkował na niewielkim placu przed budynkiem i skierował się do wejścia. Dochodziło go dzikie ujadanie psów i odgłosy meczu piłkarskiego rozgrywanego za blokiem, mimo zapadającego zmroku. Rozejrzał się wokoło. Z pewnością było tu ładniej w nocy niż o dowolnej porze dnia. Piętnastopiętrowy, oświetlony budynek nie wyglądał tak obskurnie, można nawet powiedzieć, że stanowił symbol współczesności.

Tolkien wiedział, że mieszkańcy mieli na ten temat inne zdanie. W tym miejscu rozegrało się wiele ludzkich tragedii. Pomysł zgrupowania na małej powierzchni tylu ludzi, z początku doskonały, okazał się fiaskiem. Nikt, kto tu nie mieszkał, nie zdawał sobie z tego sprawy, ale on przepisał przez te wszystkie lata zbyt wiele leków uspokajających, aby nie dostrzec problemu.

Jedna z wind była zepsuta, a w drugiej śmierdziało uryną. Tolkien starał się wstrzymać oddech, zanim trzeszczące, metalowe pudło, galeria podwórkowych malarzy i miejsce tortur dla pasażerów, wjechało na dziewiąte piętro. Z trudem otworzył drzwi i wydostał się na korytarz. Kuchenne zapachy, dochodzące ze wszystkich mieszkań, mieszały się ze smrodem z windy. Wydawało mu się, że czuje zapach smażonej cebuli, ale nawet tego nie był pewien. Drzwi do mieszkania Feenanów miały głęboki odcień granatu, ale ktoś poświęcił im wiele czasu i pracy, starannie odrapując dolną część z farby tak, że prześwitywały gołe deski. Tolkien nacisnął dzwonek.

Otworzył mu Terry Feenan. Nie uśmiechnął się widząc lekarza, ale Tolkien dostrzegł ulgę malującą się w jego oczach. Zdawał sobie sprawę, że Terry nie miał wielu powodów do radości i uśmiech rzadko gościł na jego twarzy. Tolkien został wprowadzony do skąpo umeblowanego pokoju, gdzie na środku siedziała młoda, dwudziestokilkuletnia dziewczyna i pojadając chipsy, oglądała telewizję.

– Karen, to jest doktor Tolkien. Chciałbym, żebyś posłuchała, co ma do powiedzenia.

– Chryste Panie! Czego on tu chce? – krzyknęła dziewczyna.

– Doktor może nam pomóc – spokojnie odpowiedział Feenan.

– Nie powiedziałaś, że ma przyjść! – krzyknęła ze złością.

Odrzuciła się i spojrzała na Tolkiena. Dostrzegł w jej oczach wrogość.

– Karen, on jest w porządku – nalegał Feenan. – Chce nam pomóc. Uwierz mi.
– Dlaczego? – zapytała krótko. – Jak tacy jak on mogą nam pomóc? No, powiedz!

– Spójrz prawdzie w oczy, Karen, my potrzebujemy pomocy, musimy kogoś zaufać. Powtarzam ci już chyba setny raz, że on jest w porządku. Błagam cię, ze względu na Judith, chociaż z nim porozmawiaj.

Karen wciągnęła głęboko powietrze i powoli je wypuściła.

– Dobrze. Porozmawiam – powiedziała. – Ale żadnych obietnic.

Tolkien zdołał już przywyknąć do histerycznych zachowań u narkomanów i dlatego stojąc z boku, przysłuchiwał się kłótni. Nie podobało mu się, że jego wizyta była zaskoczeniem dla dziewczyny. W końcu Karen usiadła spokojnie i dopiero wtedy lekarz odezwał się. Powiedział jej o przyszłości, o niej samej, jej mężu, ich dziecku i wspólnym życiu.

– Gdzie jest mała? – zapytał.

– Śpi.

– Mogę ją zobaczyć?

– Założmy, że tak – odparła Karen niechętnie.

Przyniosła dziecko z sąsiedniego pokoju. Tolkien wziął je na ręce. Zapytał, ile ma lat. Odpowiedź zgadzała się z jego przypuszczeniami. Dziecko nie było niedożywione, wagą odpowiadało swojemu wiekowi. Mała miała na sobie czyste ubranka i pachniała dziecięcym olejkiem.

– Chyba jest zadowolona – zwrócił się do Karen.

– Jest – odparła. Gdy mówiła o dziecku, była bardziej spokojna.

– Karen, Terry próbuje zerwać z narkotykami. Byłoby mu o wiele łatwiej, wam obojgu byłoby łatwiej, gdybyście spróbowali razem.

– Ja nie potrafię.

– Chociaż spróbuj – odparł Tolkien. – Wiem, że to niełatwe, ale pomyśl o Judith. Zrób to dla niej, a wtedy dasz radę. Pomyśl, jeżeli was zabraknie, to kto będzie z nią chodził na szkolne zabawy?

Karen nie odezwała się. Cały czas patrzyła na Judith.

– Karen! Pozwól sobie pomóc! – wtrącił się Feenan.

– Tylko pomyśl, ile to może zmienić – kontynuował Tolkien. – Ty i Terry staniecie się prawdziwą rodziną. Judith, kiedy dorośnie, będzie dumna ze swoich rodziców. Zastanów się nad tym.

Karen spoglądała to na Tolkiena, to na swojego męża. Ich wspólne wysiłki dały oczekiwany rezultat.

– W porządku – powiedziała wreszcie. – Spróbuję.

– Dobrze – odparł Tolkien. Teraz był pewny, że jego wizyta miała sens. – Zapiszę twoje dane, zbadam cię, a potem zastanowimy się nad podaniem ci meta-donu. Zostaniesz wpisana w rejestr pacjentów naszej kliniki. Tak jak Terry.

Chłopak powiedział, że poczeka w sąsiednim pokoju. Tolkien otworzył swoją torbę, wyjął z niej stetoskop i aparat do mierzenia ciśnienia.

– A to po diabła? – zapytała Karen. Tolkien wyczuł w jej zachowaniu narastającą agresję.

– Chcę ci zmierzyć ciśnienie krwi.

– Wygląda jak sprzęt do nurkowania.

Tolkien zignorował komentarz. Określił mankiet wokół jej ramienia, nadmuchał go i spojrzał na skalę.

– Nieźle – powiedział. – Weź głęboki oddech... i jeszcze jeden.

Bez żadnego komentarza obejrzał blizny na jej rękach. Wokół jednej z nich zauważył wyraźnie odbarwiony obszar skóry. Przejechał po nim palcem.

– Po zakażeniu – powiedziała Karen.

– Czy używałaś kiedyś starych igieł? – zapytał Tolkien.

– Tylko od Terry'ego.

– I od nikogo więcej?

– Ostatnio nie.

– A dawniej?

– Jasne. Wiele razy.

Tolkien skinął głową i kontynuował badanie.

– Coś ci się stało w plecy? – rzuciła zniecierpliwiona Karen.

– Co masz na myśli? – Tolkien spojrzał na nią. Nie okazywał tego, ale dziewczyna trafiła w jego czuły punkt.

– No wiesz, kiedy stoisz. Jesteś jakiś krzywy.

– Bo ja też choruję. To się nazywa *spondylitis**.

– Aha – odparła Karen. – Ja też w dzieciństwie miałam garb.

Tolkien zdrewniał. Dziewczyna dopiero teraz uświadomiła sobie swój błąd.

– O, cholera! Ja nie mówiłam... Nie myślałam o... cholera!

– W porządku. Chciałbym ci pobrać próbkę krwi. Oddam ją do laboratorium.

Tam sprawdzą, czy nie masz anemii albo innych chorób.

Karen nie odwróciła głowy, gdy Tolkien wbijał igłę. Pobrał dwadzieścia centymetrów sześciennych krwi, przelał krew ze strzykawki do małej sterylnej probówki i zabezpieczył ją korkiem.

– Doskonale pan robi zastrzyki – powiedziała z podziwem Karen. – W ogóle nie poczułam.

– To dobrze – uśmiechnął się Tolkien. – Od dzisiaj już nikt, poza lekarzem i pielęgniarką, nie będzie ci robił zastrzyków.

Terry wrócił do pokoju.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– W porządku – odparł Tolkien zamykając torbę. – Już skończyłem. Ty i Karen możecie jutro odebrać metadon w waszej aptece.

– Dziękuję, doktorze – powiedział Terry i otworzył drzwi przed Tolkienem.

– Proszę bardzo – odrzekł lekarz. – Może to pusty frazes, ale pamiętajcie, że od jutra zaczyna się dla was nowe życie.

Tolkien zatrzymał się przy oknie. Spojrzał na pogrążone we śnie miasto. Ta dziewczyna zauważyła, że się garbi, a to oznacza, że znowu nastąpiło pogorszenie.

* *spondylitis* – zapalenie stawów kręgosłupa. Najczęściej występuje na podłożu reumatycznym (przyp.tłum.).

Minęło już trzynaście miesięcy, kiedy pierwszy raz zauważył zmiany. Od razu zwrócił się o konsultację do College Hospital. Wciąż ma przed oczami tę sytuację. Podejrzewał, co mu dolega, ale gdy zobaczył wydruk komputerowy z diagnozą lekarską, serce podeszło mu do gardła. Pustkę wypełniły momentalnie panika, złość, a w końcu bezsilność. Musiał zaakceptować wyrok.

Kiedyś miał nieodpartą chęć, by przerwać studia i wyruszyć w świat. Porzucił tę myśl, gdy zrozumiał, jak wiele ten zawód dla niego znaczy. Sam był tym zaskoczony, ale cenił swoją pracę znacznie bardziej niż perspektywę odwiedzenia egipskich piramid czy Ziemi Świętej, bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Nic nie mogło tego zmienić. Będzie prowadził swój gabinet, póki starczy mu sił. Nie miał ani żony, ani rodziny, nie miał nikogo, o kogo musiałby się troszczyć. Medycyna była całym jego światem.

Wrócił do windy. Ból w kręgosłupie nasilał się. Nadeszła pora na następną tabletkę przeciwbólową.

7

Telefon zadzwonił o czwartej nad ranem. Minęło kilka chwil, zanim Kincaid ocknął się i w ciemnościach obcego domu odnalazł telefon i podniósł słuchawkę.

- Tak? – powiedział zaspanym głosem.
- Czy pan Kincaid? Dzwonię z College Hospital.

Kincaid czuł, jak zamiera mu serce. Istniał tylko jeden powód, dla którego mogli telefonować do niego o tej porze.

- Tak?
- Chodzi o pańskiego ojca – powiedział kobiecie głos. – Obawiam się, że mamy z nim kłopoty.
- Będę tam za pół godziny – odparł Kincaid.
- Nie ma powodu do pośpiechu, ale doktor Leslie stwierdził, że należy pana zawiadomić.

– Przyjadę.

W zimny, rzeński poranek nie było dużego ruchu i lancia mknęła szosą prowadzącą do miasta. Kincaid minął bramę szpitala i zatrzymał samochód obok postojów karetek. Później zajmie się przepisowym zaparkowaniem wozu. Na szpitalnych korytarzach panowała martwa cisza, jego kroki odbijały się echem w pustych ścianach. Gdyby nie zapach eteru, mógłby sądzić, że błądzi po opuszczonym zamczysku. Otworzył szklane drzwi prowadzące na oddział, gdzie leżał ojciec. Pielęgniarka pełniąca nocny dyżur wychyliła się z dyżurki.

- Pan Kincaid? – zapytała.
- Tak.

Wyszła do niego.

- Przykro mi, ale u pańskiego ojca wystąpiły komplikacje pooperacyjne.
- Jakie komplikacje?
- Infekcja. Lekarz osobiście wszystko panu wyjaśni. Wróci za kilka minut. Może zechce pan tu poczekać.

Wprowadziła Kincaida do małego pokoiku i zamknęła za sobą drzwi. Kincaid został sam. W pomieszczeniu było kilka krzeseł i stolik ze szklanym blatem, gdzie leżały rozrzucone czasopisma i duży kalendarz, w którym niektóre daty pozakreślano niebieskim flamastrem. Kincaid starał się logicznie myśleć, ale nie potrafił skupić uwagi.

Do pokoju wszedł młody mężczyzna w białym kitlu, z niedbale zarzuconym na szyję stetoskopem. W jednym ręku trzymał okulary, a drugą zamknął za sobą drzwi.

- Jestem doktor Leslie – przedstawił się.
- James Kincaid.
- Obawiam się, że mamy kłopoty z pańskim ojcem.

Kincaid odniósł wrażenie, że lekarz sztucznie obniża tembr głosu, chcąc dodać sobie powagi. Był bardzo młody, miał nie więcej niż dwadzieścia cztery lata.

– Pielęgniarka powiedziała mi, że ojciec ma infekcję. Niestety, nie powiedziała jaką.

- Zapalenie płuc. To jest dość poważne powikłanie.
- Co to znaczy „dość poważne”?
- Podaliśmy dużą dawkę antybiotyku – odparł Leslie. – Są szanse, że pański ojciec wyjdzie z tego, ale pomyślałem, że należy pana zawiadomić.
- Dziękuję – powiedział Kincaid. – Czy mogę go zobaczyć?
- Oczywiście. Nie będzie w stanie z panem rozmawiać, ale może pan przy nim czuć.

Leslie bez słowa zaprowadził Kincaida do pokoju ojca. Kiedy weszli, starzec leżał z zamkniętymi oczami. W nosie umieszczono dreny dostarczające tlen, grubsza rurka wystawała mu z ust. Po monitorze ustawionym obok łóżka płynęła bez przerwy fala elektromagnetyczna. Otaczającą ciszę zakłócał tylko sygnał dźwiękowy rejestrujący falę tętna. W sali było bardzo duszno.

– Dobry Boże! – jęknął Kincaid. Był zaszokowany, widząc ojca w tym stanie.

– Niestety, w takich przypadkach nader często dochodzi do zakażeń pooperacyjnych – powiedział Leslie.

– Dlaczego? – zapytał Kincaid. To pytanie zaskoczyło lekarza, który przyzwyczał się, że rodzina czepiała się kurczowo każdego jego słowa jak ostatniej deski ratunku, nie dociekając istoty sprawy.

– Nie jestem w stanie dokładnie tego wyjaśnić – przyznał. – To wynika z naszych obserwacji. Niewątpliwie jedną z przyczyn jest większa podatność na infekcje u starszych osób.

- Powiedział pan, że podjęliście już leczenie.

Leslie przytaknął.

- Podałem penicylinę, więc bądźmy dobrej myśli.

Kincaid nie mógł oderwać wzroku od ojca. Gdy leżał na łóżku, otoczony aparaturą, wydawał się taki mały i bezbronny. Trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który z taką pasją opowiadał w klubie niesamowite historie i od lat bawił ludzi swoimi dowcipami.

- Proszę mnie powiadomić, jeżeli cokolwiek się stanie.
- Oczywiście – odparł Leslie.

Kincaid zadzwonił do siostry o dziesiątej rano. Przedtem sprawdził, czy stan ojca nie zmienił się. Rozmawiając z Lisą zauważył, że używa tych samych ogólników, jakimi potraktował go doktor Leslie.

- To tylko niewielkie pogorszenie. Podano ojcu antybiotyki.
- Na pewno? – dociekała Lisa. – Czy ty niczego przede mną nie ukrywasz?
- Oczywiście, że nie – odparł Kincaid. Mówił stanowczym tonem, aby zatuzsować swoją niepewność. Gdy widział go rano, ojciec był taki bezbronny wobec bezdusznej maszynierii podłączonej do jego ciała. – Zadzwonię do ciebie, jeśli coś się zmieni.

- A może powinnam przyjechać do szpitala – zaproponowała. Kincaid z trudem zdołał ją odwieść od tego zamiaru. Rozsądek nakazywał, aby spokojnie czekać. Miał nadzieję, że antybiotyki zaczną działać i ojciec odzyska przytomność, zanim Lisa odrzuci jego argumenty i pojedzie do szpitala. Ledwie zdążył odłożyć słuchawkę, gdy rozległ się dzwonek telefonu. To była Eve.

- Zabierzesz mnie na lunch? – zapytała.
- Oczywiście. Czy coś się stało? – Kincaid miał wrażenie, że była zdenerwowana.
- Nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała Eve.

Umówili się o wpół do pierwszej.

Gdy przyjechał, Eve już czekała. Uśmiechnęła się widząc go, ale Kincaid od razu zauważył, że coś ją dręczy.

- Co się stało? – zapytał.
- Eve otworzyła gazetę, którą przyniosła ze sobą.
- Wiesz, kto to jest? – Pokazała mu zdjęcia kobiety umieszczone wewnątrz numeru.

Kincaid wziął od niej gazetę i spojrzał na nagłówek: „Nasza aktorka nie żyje”. Nazwisko ani zdjęcie nic mu nie mówiło. W krótkiej notatce przeczytał, że Moira Gaines, aktorka urodzona w Gateshead, która kilkakrotnie kreowała drugoplanowe postaci w telewizyjnych operach mydlanych, zmarła w College Hospital po krótkiej chorobie, mając czterdzieści dwa lata.

- Przykro mi – powiedział Kincaid oddając gazetę. – Nie znam jej.
- Spójrz jeszcze raz – poprosiła Eve.

Kincaid znowu obejrzał zdjęcia.

- Spójrz na to z rozpuszczonymi włosami i to, gdzie uczesano ją na bok.
- O, mój Boże! – jęknął. Nareszcie zrozumiał, o czym mówiła. – Greta Marsh!
- Sobowtór Grety Marsh – poprawiła go Eve. – Była aktorką.
- A teraz nie żyje – mruknął Kincaid.

Przez krótką chwilę wpatrywali się w zdjęcie Moiry Gaines.

– Zapadła nagle na zdrowiu i umarła – szepnęła Eve.
Kincaid patrzył podejrzliwie.
– Anna Keats miała się z nią spotkać jutro po południu – powiedział ochry-
płym głosem.
– Boję się – wzdygnęła się Eve. – W powietrzu wisi coś strasznego.
Kincaid tylko pokręcił głową.
– Wiem, o czym myślisz. Sprawy wymykają się spod kontroli.
Eve z uporem wpatrywała się w fotografię. Odsunęła gazetę, aby spojrzeć
z innej perspektywy.
– A może to nie ona – stwierdziła. – Może to ktoś inny, bardzo podobny
do niej.
Kincaid chciał w to uwierzyć, ale nie potrafił.
– Oboje wiemy, że to ona – rzekł twardo.
– Pogrzeb jest jutro po południu – powiedziała Eve. – Ja będę na dyżurze,
Więc może ty byś tam poszedł?
– Myślisz, że powinienem?
– Może uda ci się od kogoś dowiedzieć, gdzie Moira ostatnio pracowała.
Kincaid skinął głową. Rzeczywiście. Warto było zaryzykować.

Kincaid odwiózł Eve do szpitala i po drodze opowiedział jej o ojcu.
– Przykro mi – odparła. – Tak czasem bywa.
– Opowiedz mi o tych infekcjach pooperacyjnych – poprosił.
– Nie są już tak powszechne jak kilka lat temu, ale wciąż jeszcze się zda-
rzają.
– Właśnie takiej odpowiedzi spodziewałem się od medyka – stwierdził Kin-
caid.
Eve zignorowała uwagę. Pozwoliła, żeby w tak nieszkodliwy sposób wyła-
dował swoją złość.

– Trudno odpowiedzieć na takie pytanie – powiedziała wreszcie. – Jest tyle
różnych odmian klinicznych, zależności. Dużą rolę odgrywa wiek pacjenta, stopień
obniżenia odporności organizmu. A przecież łut szczęścia...
– I braki w wykształceniu – dokończył Kincaid.
– Przestań! – powiedziała ostro.
Kincaid był zaskoczony reakcją Eve, ale ona nie pozwoliła mu dojść do głosu.
– Niedobrze mi się robi od tego twojego sarkazmu i użalania się nad sobą.
– Użalania się?! – Kincaid nie dowierzał własnym uszom.
– Tak, użalania się – dobitnie powtórzyła Eve. – Przykro mi z powodu two-
jej córki, ale nawet to nie daje ci prawa, aby wszystkich lekarzy traktować jak
zwykłych szarlatanów.

Kincaid opanował złość, ale nie zamierzał się poddać.
– Dobry Boże! To oni tyle czasu leczyli mojego ojca na zapalenie oskrzeli!
Miał raka płuc, a dostawał syrop na kaszel! I ty twierdzisz...
Przerwała mu.

– Możliwe, że przy następnej wizycie lekarz postawiłby prawidłową diagnozę. Kincaid wlepił wzrok w drogę przed sobą. Był wściekły, ale nie powiedział ani słowa. Eve kontynuowała wywód.

– W tym szpitalu pracuje wielu dobrych lekarzy. Wykorzystują całą swoją wiedzę, aby pomóc twojemu ojcu i każdemu, kto będzie potrzebował ich pomocy. To niesprawiedliwe, że mówisz o nich w ten sposób.

Kincaid gwałtownie zatrzymał samochód. Ręce oparł na kierownicy, spuścił głowę i głęboko odetchnął.

– Przepraszam – powiedział. – Masz rację. Tkwi we mnie tyle żalu, że czasami nie dostrzegam dobra, tylko samo zło. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Przykro mi.

Eve nie odezwała się ani słowem, dopóki Kincaid nie podniósł głowy i nie spojrzął na nią.

– W porządku. Rozumiem cię.

Uruchomił silnik. Zjechali z pobocza i ruszyli w dalszą drogę. Kilka minut później Kincaid poprosił:

– Opowiedz o sir Martinie Freemanie.

– Był typowym chirurgiem – powiedziała Eve. – Hałaśliwy, rozpychający się łokciami, ekstrawertyk, chwycił życie na gorąco. Znasz ten typ ludzi.

– Ale wybitny?

– Tak, chyba tak – odparła niepewnie.

– Masz jakieś wątpliwości?

– Był bardzo popularny – ciągnęła Eve. – Niektórzy twierdzą, że niewspółmiernie do osiągnięć.

– Jak bardzo?

– To kontrowersyjny temat. Słyszałam, gdy pewnego razu jeden z chirurgów mówił, że Freeman wcale nie jest takim geniuszem i innowatorem, za jakiego się podaje. Najlepszym przykładem była operacja Grety Marsh...

– Tak?

– Jedna z pielęgniarek na moim oddziale spotyka się z pewnym chirurgiem. On powiedział, że ta operacja wcale nie była wykonywana po raz pierwszy. Ktoś to robił przed Freemanem.

– Ale Freeman zorganizował konferencję prasową, prawda?

– Tak – zgodziła się Eve.

– Nie zrobiłby tego, gdyby ta operacja była banalnie łatwa i wykonywana w co drugim szpitalu.

– Nikt nie mówi, że to rutynowy zabieg – przerwała mu Eve. – Chodzi o to, że nie on wykonał ją po raz pierwszy.

– Takie oskarżenia są dość ryzykowne – stwierdził Kincaid.

– Tak – odparła Eve – a chirurdzy są ryzykantami.

– Nie wtedy, gdy chodzi o ich własną skórę.

Gdy Eve rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, Kincaid uśmiechnął się.

– Przepraszam – powiedział. – To naprawdę wielkoduszne i nadzwyczaj serdeczne istoty.

– Po prostu ludzie – odparła Eve. Nie pozwoliła się sprowokować. W samochodzie zapadła cisza, lecz po dłuższej chwili Kincaid zapytał:

– Dlaczego doktor Claire Affric zaważyła tę operację?

– Freeman upadając, rozciął jej twarz skalpelem. Wystarczy, czy mam ci dalej tłumaczyć?

– Wystarczy. Nie wiedziałem o tym. Nie chciałem nikogo krytykować. Po prostu zapytałem.

– To ja powinnam cię przeprosić – powiedziała Eve. – Ostatnio jestem drażliwa. Po prostu żal mi tej kobiety. Musi teraz przeżywać koszmar. Wszyscy jej współczujemy.

– Widziałas ją po operacji? – zapytał Kincaid.

Eve pokręciła przecząco głową.

Przyjechali do szpitala i Eve szybko wysiadła z samochodu.

Kincaid patrzył za nią, dopóki nie zniknęła w drzwiach. Pragnął, żeby odwróciła się i spojrzała na niego, aby mógł jeszcze raz zobaczyć jej uśmiech. Niestety, nie zrobiła tego. Znali się dopiero kilka dni, a już podejrzanie często gościła w jego myślach. Dyplomowana pielęgniarka Eve Laing.

W kaplicy przykrematoryjnej było zimno, a w powietrzu unosił się zapach lizolu. Na uroczystość żałobną przybyło nie więcej niż dwadzieścia osób, choć ławki pomieściłyby dziesięć razy tyle. Wśród zebranych Kincaid poznał jednego mężczyznę. Widział go kilkakrotnie w telewizji, choć nie kojarzył z żadnym programem ani konkretnym tematem. Prawdopodobnie pracował razem z Moirą Gaines. W końcu była przecież aktorką. Nie zauważył nikogo, kto mógłby być mężem zmarłej; żadnych krewnych, ani jednego dziecka. Wszyscy obecni byli w podobnym wieku, trzydziestu kilku lat.

Czekając na pastora, Kincaid rozmyślał o życiu zmarłej. Majestatyczne akordy kościelnych organów pasowały do jego refleksji, w których Moira nie jawiła się jako osoba szczęśliwa. Tylko dwadzieścia osób chciało ją pożegnać. Właściwie dziewiętnaście – poza Kincaidem, który w ogóle jej nie znał. Na dodatek żaden z gości nie poznawał pozostałych. Kincaid nie zauważył między nimi nici porozumienia. Spodziewał się przynajmniej małej grupki kobiet – najbliższych przyjaciółek Moiry, ale ich też nie było.

Organista zaintonował psalm dwudziesty trzeci i w bocznych drzwiach, tuż obok głównego wejścia, pojawił się duchowny. Tłuste ciało okrywał obszerne ornat. Kapłan spojrzał po zgromadzonych przestraszonym wzrokiem. W pierwszej chwili Kincaid pomyślał, że to wyjątkowo płochliwy i roztargniony człowiek, ale szybko doszedł do wniosku, że ludzie jego pokroju zawsze wyglądają podobnie. Zdarzali się wśród nich tacy, którzy nawet po nocy spędzonej na męskich rozrywkach mieli miny niewinne jak oseski. Inni zawsze sprawiali wrażenie pokrzywdzonych przez los i bliźnich.

Kapłan niewątpliwie należał do ostatniej grupy. Włosy, układające się na głowie w artystycznym nieładzie, posmarował jakimś tłustym specyfikiem, który je-

dynie podkreślał ich brzydotę. Okulary dostojnie, aczkolwiek nierówno, spoczywały mu na nosie, wyraźnie skłaniając się ku prawej połowie twarzy, a zbyt ciasna koloratka wbijała się w szyję i dusiła nieszczęśnika. Na lewym policzku wyrosła olbrzymia brodawka i Kincaid był ciekaw, jak też pastor goli się codziennie rano. Mógł się tylko domyślać, że był to dla niego kolejny powód piekielnych mąk. Pod fałdami rozłożystej sutanny kryło się ciało umęczonego przeciwnościami losu kapłana.

Kincaid doszedł do wniosku, że to jeden z etatowych pastorów zatrudnionych w kaplicy przykrematoryjnej. Przywożono tu tylko tych zmarłych, których zwłoki nie zostały odebrane przez rodzime parafie. Wtem stanęła mu przed oczami postać ojca i ciarki przebiegły po plecach. Patrzył na kapłana, który zdrętwiałymi palcami przerzucał kolejne strony mszału.

Pastor najwyraźniej powtarzał te same czynności setki razy, bo gdy rozpoczął żałobną mszę obrządku anglikańskiego, na jego twarzy malowało się znużenie. Krótko podziękował Bogu za życie, którym raczył obdarzyć Moirę Gaines, a następnie odmówił modlitwę, zaintonował hymn i nacisnął jakiś guzik. Płaska sosnowa trumna przesunęła się na niewidzialnych szynach i zniknęła za purpurową aksamitną kotarą.

Żałobnicy powoli opuszczali kościół, lecz uwagę Kincaida przykuła elegancka kobieta w idealnie dopasowanym czarnym kostiumie. Swoją niewymuszoną elegancją przywodziła na myśl paryski szyk. Kincaid do tej pory pamiętał weekend, który spędził jako niespełna dwudziestolatek w Paryżu. Mały, czarny kapelusik pasował i rozmiarem, i fasonem do fryzury tajemniczniej damy, a twarz przysłaniała harmonizująca z resztą stroju woalka. Kincaid chciał dokładniej przyjrzeć się kobiecie, mając nadzieję, że ją rozpozna. Sądził, że jest związana ze sceną.

Podszedł bliżej. Kobieta odwróciła się w jego stronę i w tej samej chwili Kincaid poczuł ściskanie w gardle. Jej twarz była zeszpecona ogromną, świeżo zagojoną blizną.

Zostawiła wóz na parkingu, tuż obok terenów krematorium. Już zamierzała wsiąść do samochodu, gdy Kincaid zagadnął ją:

– Przepraszam. Doktor Affric? – zapytał. – Pani doktor Affric. Nie mylę się, prawda? Pani doktor Claire Affric?

W obronnym geście, zupełnie nieświadomie, kobieta dotknęła ręką pokiereszowanej twarzy.

– Przykro mi... – powiedziała. – Nie sędzę, żeby...

– Nazywam się Kincaid.

– Tak? – Nadal nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi.

– Jestem dziennikarzem.

Pomimo woalki Kincaid dostrzegł niepokój malujący się na jej twarzy. Nie wiedziała, co robić.

– Czego pan chce? – bąknęła.

– Prawdy – odparł Kincaid. – Przed chwilą byliśmy na pogrzebie jednej Greta Marsh. Chciałbym usłyszeć historię drugiej.

Claire Mric czuła, że traci grunt pod nogami. Oparła się o samochód i stała tak nieruchomo przez dłuższą chwilę, z głową opuszczoną bezwładnie między ramionami.

– Dobrze – powiedziała z rezygnacją. – Opowiem panu o wszystkim. – Schowała kluczyki od samochodu. – Możemy się przejść?

Kincaid przytaknął. Ruszyli w stronę ogrodów otaczających krematorium. Przez kilka minut słychać było tylko chrzęst żwiru pod ich stopami.

– Powinam przewidzieć, że to się nie uda i w porę zaprotestować. Ale ja się po prostu bałam, nie miałam sił do walki. Pan Fields, dyrektor szpitala, powiedział mi, że znalazł metodę, jak w prosty sposób ocalić moją karierę. Kiedy patrzę z perspektywy czasu uważam, że to był poroniony pomysł, lecz wtedy nie widziałam innego rozwiązania.

– Proszę mówić dalej.

– Wolę nie wspominać tamtej operacji. To był koszmar. Drżały mi ręce, oczy zalewała krew. Na dodatek doskonale zdawałam sobie sprawę, że ta chwila wycisnie piętno na moim życiu.

– Nie najlepsze warunki pracy dla chirurga – skomentował Kincaid.

– Nawet kiedy skończyłam, wciąż drżałam na całym ciele. Byłam w szoku, nie miałam pojęcia, co zrobiłam. Dopiero Gordon Fields powiedział mi o wszystkim. Wysłano mnie na zwolnienie, a potem któregoś dnia on zadzwonił i powiedział, że ma opracowany plan działania. Na początku protestowałam, ale nalegał. Tłumaczył, że najgorsze już się stało i nie ma odwrotu. Wiedziałam, że rozgłos nie pomoże Grecie. Fields przekonał mnie, że jeśli się zgodzę na jego plan, nikt już nie ucierpi z powodu tej fatalnej sprawy. Moja kariera zostanie uratowana, a szpital uniknie oskarżeń w brukowcach.

– Rozumiem – przytaknął Kincaid.

– Mogłam przypuszczać, że to się wyda. Kłamstwo ma krótkie nogi – powiedziała Claire.

– Mówiła pani, że gdyby prawda wyszła na jaw, pani kariera byłaby zrujnowana. Dlaczego? Ludzie zrozumieliby. Przecież w tych okolicznościach...

– Ludzki umysł odbiera na nieco innych falach – odparła Claire. – Pilotom i chirurgom nie wybacza się pomyłek. Niezależnie od okoliczności. Niech się pan postawi w sytuacji partnera. Załóżmy, że znalazłby się pan na chirurgii i dowiedział się, że operować pana będzie Claire Affric, chirurg, o którym czytał pan w Sun, że okaleczyła pacjentkę. I co pan na to?

Kincaid dyplomatycznie milczał.

– Tak. To, oczywiście, czysto teoretyczne rozważania. Moja kariera zawodowa legła w gruzach. Pozostało jeszcze jedno pytanie: jak wielką cenę przyjdzie mi za to zapłacić?

– Kto kazał mnie wyrzucić na nasyp kolejowy? – Kincaid zapytał wprost.

– Ach! Przepraszam pana za to – odpowiedziała Claire. – Pracownicy Fingleton Grange nie wiedzieli, kim jest Greta. Traktowali ją jak jedną z wielu pacjentek przysyłanych z College Hospital. Telefonowali do Fieldsa i powiedzieli, używając ich żargonu, że „jakiś czubek” wdarł się do pokoju pacjentki, a teraz leży nieprzytomny na

podłódze. Pytali, czy mają wezwać policję. Fields odparł, że wzywanie policji w takich przypadkach jest bezsensowne. Już samo zebranie zeznań zabrałoby wiele czasu, nie wspominając o papierkowej robocie. I w końcu pielęgniarze, z którymi miał pan do czynienia, zaoferowali, że sami pana „usuną”. Byli nadgorliwi.

– Rzeczywiście – zgodził się Kincaid.

Doszli już do skraju cmentarza, więc przystanęli na chwilę, zanim ruszyli w powrotną drogę.

– Proszę opowiedzieć o Moirze Gaines – poprosił Kincaid.

– Gordon zatrudnił ją, aby zagrała rolę Grety.

– Znał ją osobiście? – zapytał Kincaid.

– Moira chorowała na serce. Od czterech lat była stałą pacjentką College Hospital. Dobrze ją znałam i dlatego przyjechałam tu dzisiaj. Z powodu choroby nie mogła pracować w swoim zawodzie. Była w sytuacji, w której liczył się każdy grosz.

– Kto jej płacił?

– Fields się tym zajął.

– A pani?

– Ja nie.

Odeszli kilka kroków dalej.

– I co teraz będzie? – zapytała Claire. – Powinam stąd wyjechać?

Kincaid wiedział, że mówiła śmiertelnie poważnie, a mimo to zignorował jej pytanie.

– Gdzie jest prawdziwa Greta Marsh? – zapytał.

– W domu w Midlands. Zapewnią jej tam odpowiednią opiekę.

– Ale nie należy liczyć na poprawę?

– Nie – cicho odpowiedziała Claire. Zatrzymała się, odwróciła do Kincaida i spojrzała mu prosto w oczy. – Gdybym mogła, sama zajęłabym jej miejsce. Niestety, to niemożliwe. Greta pozostanie w tym domu, a ja do końca życia muszę żyć ze świadomością, że skrzywdziłam niewinnego człowieka.

Kincaid opuścił głowę.

– Nawet nie mogę nikomu powiedzieć, co czuję – dodała Claire. W jej spojrzeniu odbijało się ogromne cierpienie. – Przedtem nie wiedziałam, co to są senne koszmary, a teraz nie wiem, czy kiedykolwiek się skończą.

Gdy doszli do parkingu, Kincaid otworzył przed nią drzwi do samochodu. Wsiadła.

– Ile czasu da mi pan, zanim czytelnicy znajdą tę historię w gazecie? – zapytała spokojnie.

– Może nigdy jej nie znajdą – odparł Kincaid.

Claire nie wierzyła własnym uszom. Opadła na fotel kierowcy i wypuściła z ręki pas bezpieczeństwa.

– Pan nie żartuje? – zapytała cicho. – Czy ja dobrze zrozumiałam?

Kincaid stanął przy drzwiach i popatrzył na Claire.

– Nic, co zrobię albo napiszę, nie przywróci zdrowia Grecie Marsh – odpowiedział. – To, co zrobiliście z Fieldsem, było bardziej głupie niż perfidne. Nie chcę rujnować pani kariery czy też szkodzić jej jeszcze bardziej. Moim zdaniem

powinna pani pojechać na długie wakacje, a potem wrócić do pracy i zacząć wszystko od początku.

Claire zaniemówiła z wrażenia. Kilka razy próbowała otworzyć usta, ale dopiero po chwili wyszeptła:

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć – zająknęła się. – Jak mam panu dziękować?

– Nie ma za co. Do zobaczenia – powiedział i odszedł do swojego samochodu.

W drodze powrotnej do miasta zatrzymał wóz i wysiadł. Musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. Czuł się oszukany, bo miał czyste intencje i zasługiwał na to, aby go doceniono, a zamiast spodziewanego zadowolenia, miał wyrzuty sumienia. „Za kogo ty, do diabła, się uważasz? – pytał samego siebie. – Jesteś dziennikarzem, co znaczy, że masz przekazywać ludziom informacje. Im pozostaw ocenę. No powiedz, kim ty, u diabła, jesteś?”

Starął się przekonać własne sumienie. Powtarzał w duchu, że przede wszystkim jest człowiekiem, dopiero potem dziennikarzem. Jego zawód wcale nie jest tak cholernie ważny. Dlaczegoż miałby być? Czy przekazanie prawdy to wyłączny imperatyw? Cholera jasna! Nie potrafił działać jak automat. Był żywym człowiekiem, czuł jak żywy człowiek, myślał jak żywy człowiek i miał prawo rozstrzygnąć we własnym sumieniu, czy przemilczeć błędny krok dyrektora szpitala, czy zrujnować karierę młodemu wykształconemu chirurgowi. Podjął decyzję: nie pozwoli, żeby ta historia złamała kolejne ludzkie życie. „Bdziesz w bagno – ostrzegało go sumienie. – Przynajmniej Eve będzie zadowolona” – uspokajał je. Kto by pomyślał, że on, Kincaid, opowie się po stronie lekarza?

Siedział na kanapie ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt na ścianie. Z odrętwienia wyrwał go dzwonek telefonu. W słuchawce usłyszał głos Anny Keats.

– Pan Kincaid? Pomyślałam, że powinien pan wiedzieć, iż nie spotkałam się dzisiaj z Gretą Marsh.

Rozmowa z Claire Affric tak zaprzętnęła myśli Kincaida, że zupełnie zapomniał o spotkaniu Anny Keats z Gretą.

– Naprawdę? Co się stało!

– Fields był bardzo uprzejmy. Powiedział, że Greta paskudnie się przeziębiła i lekarz kazał jej zostać w łóżku. Bardzo jej zależy, żeby wyzdrowieć do końca tygodnia, bo od poniedziałku ma zacząć samodzielne życie.

– A powiedział, dokąd się wyprowadza?

– Nie. Przekazał mi tylko pozdrowienia od niej i obietnicę, że skontaktuje się ze mną, kiedy tylko skończy przeprowadzkę.

– Rozumiem – odparł Kincaid. Nie miał pojęcia, w jaki sposób odwrócić uwagę przełożonej od tej sprawy. Niepotrzebnie powiedział jej o wszystkim. – I co pani na to? – zapytał wstrzymując oddech.

– Mam powody, żeby wierzyć pańskiemu słowu. Jeżeli Greta nie skontaktuje się ze mną w przyszłym tygodniu, będę musiała osobiście zająć się tą sprawą. Czy zgadza się pan ze mną?

Kincaid zamknął oczy. Cóż on najlepszego zrobił? Nie potrafił powiedzieć Annie Keats, najbliższej przyjaciółce Greta, że powinna zapomnieć o całej sprawie, aby uratować karierę Claire Affric. Czuł się jak przestępca. Jeżeli przełożona spełni swoje postanowienie, to Kincaid pograży się po same uszy.

- Oczywiście, że się zgadzam – odpowiedział.
- A więc, jakie są plany? – zapytała.
- Uważam, że powinniśmy dać im kilka dni na kolejny ruch.
- Dobrze. Będę czekać na pański telefon.

Kincaid odłożył słuchawkę i z trudem wypuścił powietrze. Do stu tysięcy diabłów! Co miał teraz zrobić?

Kincaid zabrał Eve ze szpitala i pojechali do włoskiej restauracji. Zamówili *lasagne* i butelkę *valpolicelli*. Mimo pogodnej atmosfery włoskiej Riwieri i promiennych uśmiechów kelnerów, Eve czuła, że Kincaid miał kłopoty. Nie wypytywała go, bo wiedziała, że kiedy nadejdzie odpowiedni moment, sam jej o wszystkim powie.

- Spotkałem doktor Affric na pogrzebie.
- Eve spojrzała na niego zdumiona. Kincaid unikał jej wzroku.
- I co? Przyznała się?
 - Tak.
 - Żartujesz! – zawołała.
- Kincaid pokręcił głową.

– Nie. Opowiedziała mi o wszystkim. Mieliliśmy rację. Fields zapłacił Moirze Gaines za odegranie roli Greta Marsh. A zrobił to, żeby uratować skórę Claire Affric i nie dopuścić do nagonki w prasie.

- Ach tak! – odparła Eve. Czekala na ciąg dalszy.
- Obiecałem jej, że nie rozdmucham tej sprawy.
- Co zrobiłeś?!

Kincaid po raz pierwszy tego wieczoru popatrzył jej prosto w oczy.

– Dobrze słyszałaś – powiedział cicho. Krótko wyjaśnił jej powód swojej decyzji.

- No, tak – odparła Eve z nutą rezygnacji w głosie. – Kto by pomyślał?
- Uważasz, że źle zrobiłem, prawda?

Eve spuściła głowę i w ciszy bawiła się sztućcami.

– Nie mam prawa tego oceniać – powiedziała pojednawczo. – Mogę uznać argumenty obydwu stron. Żadne rozwiązanie nie jest idealne i chyba właśnie dlatego liberalni demokraci mają zawsze kwaśne miny...

Kincaid uśmiechnął się doceniając jej wysiłki. Chciała mu poprawić humor.

– Pomyślałem, że będziesz zadowolona. Dałem przecież lekarzowi szansę. Nie poderżnąłem jej gardła, chociaż miałem ku temu okazję.

Teraz Eve powinna się uśmiechać.

– Mam nadzieję, że nie dlatego stanąłeś po jej stronie.

– Ale miałas wtedy rację – stwierdził Kincaid. – Poza tym mamy kolejny kłopot. Tym razem z Anną Keats.

Eve zakryła dłonią usta.

– No tak! – omal nie krzyknęła. – Ona wiedziała o wszystkim. Powiedziałeś jej.

– Nie mogłem jej nie powiedzieć.

– Może zasugerujesz, że to była pomyłka – zaproponowała Eve, chociaż od razu wiedziała, że to nie ma sensu. – Oczywiście, że nie zrobisz tego. Nie możesz.

Kincaid z góry odrzucał każdy plan, który wiązał się z koniecznością okłamania Anny Keats. Gdyby to zrobił, zostałby mimowolnie wciągnięty w spisek, którego ofiarą była Greta Marsh. Nie widział żadnego logicznego rozwiązania i dlatego był wściekły.

– To prawda, co mówią o kłamstwach – powiedziała cicho Eve. – Od rzymczka do koniczka, a od koniczka do stryczka.

Kincaid spojrział na nią krzywo i przypomniał, że on jeszcze nigdy nikogo nie okłamał.

– Przepraszam – rzekła ujmując jego dłoń. – Wiem, że podjąłeś decyzję i szanuję to. Mam nadzieję, że Claire Affric także doceni twój gest.

– Ja również – potwierdził Kincaid.

– Przejdźmy się trochę – zaproponowała Eve, gdy wyszli z restauracji. Kincaid skinął głową. Dziewczyna starała się podtrzymać rozmowę, ale gdy kolejny raz jej wysiłki spełzły na niczym, poddała się i dalej szli w milczeniu.

– Jamesie Kincaidzie, chyba nie jesteś w tej chwili najszcześliwszym człowiekiem na ziemi – szepnęła. – Chciałabym ci pomóc.

Kincaid wziął ją za rękę i przeprosił za swój marny humor.

– Wciąż myślisz o Annie Keats?

Przytaknęła.

– Tak, chyba tak. Powinienem był pamiętać o niej, zanim złożyłem obietnicę Claire Affric.

– Powiedz jej prawdę – zaproponowała Eve. – Mówiłeś mi, że to bardzo sympatyczna kobieta, że ją lubisz. Więc powiedz jej prawdę i niech ona zdecyduje. Przecież istnieje szansa, że spojrzy na tę sprawę tak samo jak ty. „Niech się dzieje wola nieba...”

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Kincaid. Podobał mu się ten pomysł.

Następnego ranka Kincaid zadzwonił do szpitala. Poinformowano go, że stan zdrowia ojca nie uległ zmianie. Skontaktował się z Lisą, lecz okazało się, że ona również telefonowała do szpitala.

– Mam zamiar pojechać tam dzisiaj po południu – powiedziała.

Kincaid nie protestował.

– Chyba nie ma sensu, abyśmy siedzieli przy nim oboje – zgodził się. – Odwiedzę po południu Kerry i zadzwonię do ciebie po powrocie. Jeżeli nastąpi jakakolwiek poprawa, zdążę jeszcze przyjechać do niego wieczorem.

Skoro tylko decyzja została podjęta, zatelefonował do Harrington Hall, aby umówić się na spotkanie z Anną Keats. Zupełnie zaschło mu w gardle. Cierpliwie czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę.

– Obawiam się, że panna Keats wyjechała już na weekend. Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytał głos w słuchawce.

– Nie, dziękuję. Zadzwonię kiedy indziej – odparł Kincaid. Odetchnął z ulgą. Przygotował sobie mocną kawę i wyszedł do ogrodu. Usiadł podpierając głowę obiema rękami. Miał przed sobą wolny weekend. Nie, nie „wolny” – miał przed sobą weekend piekielnego niepokoju. Wrócił do domu. Postanowił przeczytać dwa poranne dzienniki.

W obu pisano zgodnie, że minister zdrowia, John Carlisle, uzyskał zgodę na przyspieszenie reformy służby zdrowia i rozszerzenie na cały kraj udanego eksperymentu z północy. Okazało się, że reforma była tańsza, niż przypuszczali ekonomiści w swych najśmielszych prognozach.

Opozycja, wywodząca się głównie z ugrupowania ministra, wysuwała zastrzeżenia dotyczące głównie samej polityki, a nie sposobu wprowadzania zmian. Centralizacja zarządzania niejednemu spędzała sen z powiek, a wielu polityków poświęciło swe kariery walcząc z taką filozofią sprawowania władzy. Trudno im było radykalnie zmieniać poglądy, więc uciszali sumienia głosząc, że członkowie rządu wprowadzają metody, którym sami kiedyś się sprzeciwiali. Kincaid uśmiechnął się gorzko: niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Miał zamiar wyjść z domu, gdy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał głos szefa.

– Długo się nie odzywałeś – powiedział Fletcher.

– Przykro mi.

– Jak tam twoje śledztwo?

– Skończone. Falstart. – Kincaid miał znowu to piekielne poczucie winy. Ostatnio przytrafiało mu się to nader często.

– Szkoda – odparł Fletcher, czekając na wyjaśnienia.

– Po prostu. Jedna z tych spraw – odparł Kincaid. – Wiesz, jak to jest.

– Tak, nie zawsze trafia się w dziesiątkę – powiedział Fletcher.

Kincaid miał wrażenie, że usłyszał w głosie szefa cień podejrzenia, może nawet powątpiewania, lecz szybko zrzucił to na karb dręczącego go poczucia winy.

– W takim razie szybko do nas wrócisz?

– Ojciec jest chory. Zostanę z nim jeszcze kilka dni.

– Jak chcesz. Ale dom i samochód...

– Wiem – przerwał mu Kincaid. – Pokryję wszelkie koszty. A co u was słychać?

– Wokoło aż huczy od plotek, że Carlisle jeszcze przed wakacjami obejmie fotel premiera.

– Skoro zdołał przyspieszyć termin wprowadzenia reformy...

– Niektórzy twierdzą, że bardziej operatywni posłowie, przewidując gwałtowną zmianę kierunku wiatrów wiejących nad rządem, już zbierają punkty u nowego premiera.

– Cóż za zapobiegliwość – odparł Kincaid.

– W przyszłym tygodniu mamy zamiar przedstawić postać Carlisle’a. Masz jakieś propozycje?

– Raczej nie. Nie znam człowieka i niewiele o nim słyszałem. Nawet nie wiem, skąd pochodzi.

– Niewielu wie. Stąd nasz pomysł. A co u Kerry?

– Właśnie dzisiaj do niej jadę.

– Ucałuj ją i zawiadom mnie, gdy postanowisz wracać.

Przede wszystkim musiał zrobić zakupy. Na początku zajrzał do supermarketu. Załadował wózek wszystkim, cokolwiek wpadło mu w ręce. Nie miał pojęcia, po co mu aż trzy gatunki kawy i ekspres, w dodatku plastikowy, skoro zawsze kupował metalowe. Zdecydował jednak, że woli kupić ten, niż jechać gdzieś indziej. Nienawidził zakupów. Załadował wszystko do samochodu i ruszył w poszukiwaniu sklepu z zabawkami. Chciał kupić kilka rzeczy dla Kerry.

Gdy szedł ulicą, zauważył, że wielu przechodniów spogląda na niego z rozbawieniem. Z początku nie wiedział, co się dzieje, ale szybko zrozumiał, że to wielka, plastikowa blond piękność, którą niósł pod pachą, zwracała ich uwagę. Świat był o wiele weselszy, gdy ludzie uśmiechali się do siebie. Włożył zabawki do samochodu i spojrzął na zegarek. Zdecydował, że zanim odwiedzi Kerry, zdąży jeszcze coś zjeść.

– Proszę, proszę. Wreszcie dopiął pan swego – przywitała go Ethel Wilton.

– Doprawdy, siostrzo? – zmusił się do uśmiechu. Pierwszy raz w życiu zwrócił się do niej tak oficjalnie. – A cóż ja takiego zrobiłem?

– Mamy nowego dyrektora ośrodków psychiatrycznych. Jest z Partii Pracy. Doktor Sutton zgodził się na pańskie warunki i podpisał podanie o postawienie Kerry przed kolejną komisją.

Nawet się nie uśmiechnęła, przekazując mu tę wiadomość. Według niej rehabilitacja Kerry była stratą czasu. Dla Kincaida w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia – był szczęśliwy. Kerry otrzyma jeszcze tę jedną, upragnioną szansę!

8

Tolkien milczał pozwalając, aby Frank Golightly oswoił się z myślą o chorobie. Pacjent przyjął druzgoczącą wiadomość spokojnie, znacznie lepiej niż lekarz się spodziewał, lecz potrzebował trochę czasu, żeby to przemyśleć. Początkowa złość i desperacja ustąpiły miejsca bezsilnej rezygnacji.

- Jak długo to potrwa? – zapytał cicho.
- Trudno powiedzieć – odparł Tolkien. – Kilka, może kilkanaście lat.
- Co się ze mną stanie?
- Wirus HIV zaatakuje układ immunologiczny odpowiadający za odporność organizmu, więc będzie pan podatny na wszelkie zakażenia. Oczywiście zniszczymy każdą infekcję na początku, zanim jeszcze zdąży się rozwinąć. Ze względu na mięsaka Kaposiego w szpitalu wdrożą chemioterapię, a poza tym stale będzie pan przyjmował AZT, aby zahamować replikację wirusa.
- O jakich infekcjach pan mówi? – zapytał Golightly.
- Trudno powiedzieć, z której strony mikroorganizmy zaatakują. Znamy kilka chorób, które szczególnie często występują u pacjentów z AIDS. Naczelne miejsce zajmuje pneumocystoza płuc, a poza tym dość często dochodzi do zakażeń prątkami gruźlicy. Wszystkie te choroby potrafimy leczyć.
- A dieta? Sport?
- W fachowej prasie medycznej są doniesienia, które mówią, że im lepszą kondycję utrzymuje pacjent, tym łatwiej mu zwalczyć wszelkie infekcje.
- Ale i tak nie ma szans na wyleczenie?
- Nie, jeszcze nie – odparł cicho Tolkien. – W College Hospital znajdzie się pan pod opieką fachowców. Pomogą panu uporać się z nowymi problemami.
- Pomoc społeczna – skrzywił się Golightly.
- Będą tam pielęgniarki, które zostały przygotowane do pracy z takimi chorymi. Przekona się pan, jak wiele potrafią.
- Skoro pan tak twierdzi... – Golightly miał wątpliwości. Wstał z krzesła.

– Chciałbym umówić pana na wizytę w szpitalu – powiedział Tolkien.

Golightly spojrzął na niego, ale nie zaprotestował.

– Jeżeli trzeba...

Tolkien wpisał dane do komputera. Wizyta została wyznaczona na piętnastą tego samego dnia.

– Czy powiedział pan już żonie? – zapytał jeszcze.

Golightly pokręcił głową.

– Wiele razy próbowałem – odparł – ale nie potrafię.

– Niech pan i o tym porozmawia w klinice.

– Porozmawiam – przytaknął Golightly i wyszedł.

Tolkien utkwiał wzrok w drzwiach, za którymi zniknął pacjent.

Nie okłamał Golightly'ego, ale też nie powiedział mu całej prawdy. Chory nadal nie zdawał sobie sprawy, jaki koszmar niesie ze sobą zakażenie wirusem HIV. Organizm pozbawiony układu immunologicznego w świecie, w którym aż roi się od zjadliwych bakterii i wirusów, jest jak bezbronne jagnię w dzikiej puszczy. Tyle tylko, że śmierć nie przychodzi tak szybko. Legiony mikroorganizmów drążą ciało chorego, grzyby zajmują wszystkie słuzówki, póki z człowieka nie zostanie tylko ludzki szkielet, w którym choroba nie oszczędziła żadnego narządu.

Medycyna była pasją życia Tolkiena, ale czasami, w takich przypadkach jak ten, miał uczucie, że przygrywa w nierównej walce. Kiedyś wszystko było bardzo proste – poprawa warunków życia i postęp medycyny miały pozwolić człowiekowi na długie, dostatnie życie. Teraz, gdy zdobył doświadczenie, nie był już optymistą, bo w tej grze nikt nie stosował zasad fair play. Wszelkie luki były natychmiast wypełniane, rozsadzając system od środka. Każdą chorobę, którą medycyna nadludzkim wysiłkiem zdołała opanować, zastępowała następna, znacznie gorsza od poprzedniej. Lecz pojawienie się wirusa HIV było czymś wyjątkowym. Od czasu wielkich epidemii tyfusu, cholery czy czarnej ospy nie zdarzyło się w historii ludzkości nic bardziej potwornego, nic, co tak bezlitośnie niszczyłoby ciało i duszę człowieka.

AIDS, które większość społeczeństwa z prawdziwą determinacją ignorowała, twierdząc, że choroba dotyka tylko ludzi z marginesu społecznego i jest dla nich karą za rozwiązłe życie, zbierało coraz większe żniwo. Wirus, roznoszony przez takich jak Golightly, rozprzestrzeniał się wśród heteroseksualistów. Bardzo prawdopodobne, że żona Golightly'ego też już była HIV-dodatnia. Z pewnością, jak miliony innych ludzi, przypuszczała, że AIDS jej nie dotyczy, że atakuje tylko tych, którzy sobie na to zasłużyli. Ilu jeszcze biznesmenów przywiezie do swoich domów coś więcej niż tylko poczucie winy? Ile czasu upłynie, zanim ludzie docenią wagę problemu?

Wyjątkowo mocno bolał go kręgosłup. Już wcześniej Tolkien zauważył wyraźny związek nastroju z dolegliwościami: im gorszy miał dzień, tym bardziej dokuczliwy stawał się ból. A dobre dni były wtedy, gdy wszystkim swo-

im pacjentom mógł zaproponować skuteczne leczenie, gdy nie było przypadków, kiedy rozkładał bezradnie ręce. Ostatnio zbyt często spotykał nieuleczalnie chorych.

Sięgnął po buteleczkę ze środkami przeciwbólowymi, połknął szybko dwie tabletki i poprosił następnego pacjenta.

Madeline Bell, dziecko z zespołem Downa, miała pięć lat. Jej matka, Angela Bell, była już po czterdziestce, gdy zaszła w ciążę. Wykonano jej punkcję owodniową, aby wykryć ewentualne wady płodu i stwierdzono zespół Downa. Wtedy lekarze zaproponowali aborcję, lecz Angela była nieugięta: nie chciała słyszeć o usunięciu ciąży. Twierdziła, że dzieci z zespołem Downa, tak samo jak wszystkie inne, mają prawo do godnego życia. Donosiła ciążę i urodziła Madeline. Tolkien z radością stwierdził, że Angela dokładnie przemyślała tę decyzję. Bardzo kochała swoje dziecko.

– Co słychać, Madeline? – zapytał dziewczynkę.

– Nie czuje się dobrze – odpowiedziała matka. – Jest przeziębiona i boję się, czy nie ma zapalenia płuc.

Jak na zawołanie Madeline głośno zakasłała.

Tolkien wyjął stetoskop i zbadał dziecko.

Madeline, trzymana przez matkę na kolanach, początkowo broniła się, ale zaraz usiadła spokojnie i lekarz mógł osłuchać płuca.

– Madeline, oddychaj głęboko – poprosił, pokazując jej, jak to robić. Dziewczynka przypuszczając, że Tolkien proponuje nową zabawę, wzięła głęboki wdech i zatrzymała go, zerkając filuternie na lekarza.

– Madeline, bądź grzeczną dziewczynką – skarciła ją matka.

Ponieważ nie doczekała się następnej części zabawy, doktor Tolkien i jego stetoskop szybko przestali ją interesować. Mimo to lekarz zdążył ją zbadać.

– Miała pani rację – zwrócił się do matki. – Płuca nie są czyste. Zapiszę jej leki.

Zapytał Angelę, do której apteki ma skierować zamówienie i wpisał dane do komputera.

– Za godzinę będzie je pani mogła odebrać – powiedział.

Jakkolwiek Tolkien cynicznie patrzył na otaczający świat, to dla ludzi pokroju Angeli Bell żywił ciepłe uczucia. Dzięki niej wierzył w prawdziwą miłość i przywiązanie do drugiego człowieka. Kochała swoje dziecko i z determinacją walczyła o godne życie dla Madeline. Zasługiwała na szczerzy podziw tym bardziej, że wszystko i wszyscy sprzysięgli się przeciwko matce i córce, czego, będąc bardzo inteligentną osobą, Angela nie mogła nie zauważyć.

Z drugiej strony, mimo podziwu, nie potrafił jej zrozumieć. On sam często znajdował się w rozterce pomiędzy swoimi pragnieniami, głosem sumienia i czystą, ludzką logiką. A ta logika poparta wiedzą medyczną i doświadczeniem mó-

wiła mu, że po badaniach prenatalnych, które wykryły zespół Downa u płodu, Angela powinna była poddać się zabiegowi usunięcia ciąży. Mimo to nie ugięła się i była przekonana o swojej racji. „Jakże one muszą się kochać” – pomyślał.

Miłość pozwala ludziom przekraczać granice pozornie niemożliwe do pokonania. Ta sama miłość kazała pani Harrison zajmować się swoim mężem, a Teddy’emu z taką troską opiekować Karen i Judith. Ludzie przyjmowali ją i akceptowali jak naturalną rzecz. Nie zastanawiali się nad tym. Tylko tacy jak Tolkien, którzy nie doświadczyli w życiu prawdziwej miłości, potrafili na zimno analizować uczucia.

Tolkien był jedynakiem. Urodził się dość późno, kiedy jego rodzice zarzucili już myśl o posiadaniu potomstwa i ułożyli sobie wygodne życie we dwoje. Choć dali mu wszystko, czego może potrzebować mały chłopiec, zabrakło w jego dzieciństwie uczucia. Wiele słyszał o powinnościach rodziców wobec dzieci, a mało otrzymywał spontanicznej miłości, niewymuszonych pocałunków i uścisków. Dobrze czuł się tylko w towarzystwie książek. Były jego sposobem na pokonanie samotności, ucieczką od domu, w którym panowała cisza wygodna dla starzejących się rodziców i oziębłość uczuć. Oczywiście, cieszyli się, gdy przynosił ze szkoły szóstki, ale była to tylko powierzchowna radość pokrywająca wewnętrzną obojętność.

Rodzinny dom stał na uboczu, z dala od szkoły i domów jego kolegów, więc Tolkien był skazany na samotność. Nie przepadał za sportem, nie uczestniczył w sobotnich meczach rugby czy w treningach piłki nożnej. Poza tym był niski i miał odstające uszy, a taki wygląd nie budził zainteresowania żeńskiej części szkoły. Nie miał szczęścia w miłości ani wtedy, ani później.

Przed rozpoczęciem studiów medycznych nie sypiał z żadną dziewczyną. Tak też zostało. Rzecz nie w tym, że nie był lubiany. Po prostu należał do grupy książkowych moli, takich, z którymi zawsze pozostawało się wyłącznie na stopie koleżeńskej. Nie przeszkadzało mu to, ponieważ nigdy w życiu nie zaangażował się emocjonalnie. Domyślał się tylko, że dbanie o drugą osobę, zwłaszcza gdy nie było to wyłącznie platoniczne uczucie, musi być bardzo przyjemne.

Sytuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy rozpoczął pracę w szpitalu miejskim w Birmingham. Pewna młoda, przedsiębiorcza pielęgniarka postanowiła poderwać lekarza. Jej wybór padł na Tolkienu. Nie był pierwszą ofiarą, którą złowiła w swoje siła, ale wtedy nie chciał o tym myśleć. Dbała o niego i pozwoliła, aby uwierzył, że naprawdę ją kocha. Nie była to trudna sztuka wobec młodego mężczyzny, który nie miał żadnego doświadczenia w postępowaniu z kobietami i pamiętał tylko niektóre szczegóły ich fizjologii ze studiów.

Zaloty były starannie przemyślane. Na początku kradzione pocałunki w świetle księżycy, potem niby niechcący pozwoliła mu na drobne pieszczoty, stopniowo odsłaniała przed nim wszystkie uroki kobiecego ciała, a na koniec wpuściła do łóżka. Kilka tygodni później oświadczyła, że jest w ciąży, a w następnie zapytała, kiedy się z nią ożeni.

Tolkien, wiedziony poczuciem obowiązku, przystał na małżeństwo, wmawiając sobie, że to jeszcze nie koniec świata i że właściwie zawsze tego pragnął.

Kupił obrączki, zaprosił przyjaciół na wieczór kawalerski i zaczął snuć plany na przyszłość. Kilka tygodni później złożył wybrance serca nie zapowiedzianą wizytę i zastał ją in flagranti ze swoim przełożonym. Tolkien, zgodnie z własną filozofią życia, nie był wściekły, tylko bardzo zaskoczony. Ślub został odwołany. Claire przyznała, że nigdy nie była w ciąży, i opuściła szpital w poszukiwaniu nowych terenów łowieckich.

Początkowo był zdziwiony, a potem z ulgą przyjął fakt, że cała sprawa wcale go nie obeszła. To także dobre rozwiązanie. Może samotność nie jest taka zła i może właśnie jej, tak naprawdę, pragnął.

Tolkien wrócił do rzeczywistości. Spojrzał na kartkę papieru, którą wręczyła mu recepcjonistka. Była to lista pacjentów czekających na wizyty domowe. Umieszczono na niej siedem nazwisk. Nie musiał się spieszyć, nie było żadnych nagłych przypadków. Przy odrobinie szczęścia skończy około wpół do drugiej i będzie miał popołudnie do własnej dyspozycji. Chciał pójść na wystawę dzieł francuskich impresjonistów.

O wpół do trzeciej Tolkien znalazł się w galerii. Zdziwiła go panująca tam cisza. Był to dopiero drugi dzień wystawy i spodziewał się tłumów. Może przeceeniał zamiłowanie do sztuki innych mieszkańców, a może to paskudna pogoda odstraszyła ich od wyjścia z domu. Stał sam na środku sali, w której prezentowano siedem prac Moneta. Wziął do ręki katalog, usiadł na ławce i w ciszy rozkoszował się pięknem obrazów.

Drzewa i kwiaty odbijały się w niewielkim stawie. Liście i płatki kwiatów unoszące się na wodzie, chociaż podobne, wyraźnie różniły się od tych na drzewach. Tolkien z zachwytem wpatrywał się w barwy płótna, w piękno natury oddanej ręką mistrza. To nie było samo delektowanie się sztuką, lecz coś o wiele ważniejszego: on naprawdę słyszał nad głową szum drzew i czuł na twarzy gorące promienie letniego słońca, zobaczył przelatującego trzmiela i miał w nozdrzach zapach kwiatów.

– Cudowne, nieprawdaż? – usłyszał głos za plecami.

Poderwał się w jednej chwili. Tak bardzo pochłonął go obraz Moneta, że nie zauważył obecności drugiej osoby. Stał przed nim James Kincaid.

– Tak, cudowny – odparł z rozrzewnieniem. – Czy pan także jest miłośnikiem jego sztuki?

– Wygląda na to, że tylko my dwaj – rzekł Kincaid wymownie rozglądając się dookoła.

– Nie lubię tłumów, więc nie mam nic przeciwko temu – powiedział Tolkien.

– Ani ja – dodał dziennikarz.

– Jak się czuje pański ojciec?

– Szczyrze mówiąc nie najlepiej. Nabawił się zapalenia płuc.

– Przykro mi.

– A jak prosperuje skomputeryzowana służba zdrowia?

– Doskonale – odpowiedział Tolkien. – Nie mam powodów do narzekań. Dostałem dokładnie to, czego mi było trzeba. Jestem usatysfakcjonowany.

– Tak, to leży w ludzkiej naturze – zamyślił się Kincaid. Usiadł na ławce obok Tolkiena.

W drzwiach pojawił się strażnik i popatrzył na nich. Jedno spojrzenie Kincaida wystarczyło, aby wycofał się i wrócił do poprzednich zajęć.

– Dlaczego tutaj jest tak ciemno? – narzekał Tolkien. Nie podobało mu się sztuczne oświetlenie. – Jeżeli będzie pan miał kiedykolwiek okazję, to radzę obejrzeć dzieła Moneta w Musée D’Orsay w Paryżu. Widział je pan?

Kincaid nie widział.

– To zaadaptowany do celów muzealnych stary dworzec kolejowy. Przebudowując go zachowano szklany dach. Czasami nawet żabojady mają dobre pomysły. Dzieła oglądane są w naturalnym oświetleniu tak, jak widzą je artyści w pracowniach malarskich. Nie powinny być eksponowane w takich zatęchłych, ciemnych salach jak ta.

Kincaid wskazał na obraz w tonacji błękitu, przedstawiający młodą dziewczynę w winnicy.

– Wygląda jak moja córka – powiedział. – Chyba opowiadałem panu o niej?

– Tak, pamiętam. Uszkodzenie mózgu. Chciał pan, aby komisja lekarska jeszcze raz ją zbadła.

– Właśnie. Niech pan sobie wyobrazi, że się zgodzili.

– To doskonale. Bardzo się cieszę – odparł Tolkien.

– Wczoraj, gdy pojechałem odwiedzić Kerry, przełożona powiedziała mi o tym.

– Czy wie pan, kto będzie w komisji?

– Gość o nazwisku Sutton. Nowy dyrektor ośrodków psychiatrycznych.

– Nigdy o nim nie słyszałem – stwierdził Tolkien. – Chyba nie pochodzi stąd.

– Okazało się, że sporą grupę dzieciaków skierowano na rehabilitację. Takie potrzeby uwzględniono ponoć w planach reformy.

– Wszystko poprawia się niemal z dnia na dzień – odparł Tolkien. – Potrzeba nam jeszcze kilku oddziałów geriatrycznych, a może lepiej psychiatryczno-geriatrycznych. Czekam z niecierpliwością, aż minister Carlisle kolejny raz dotknie swoją czarodziejską różdżką. Mam coraz więcej pacjentów z postępującą demencją, których nie ma gdzie leczyć.

– Dlaczego tak się dzieje?

Tolkien wzruszył bezradnie ramionami.

– Ludzie żyją dłużej niż kiedyś, a im starsze jest społeczeństwo, tym więcej problemów ze starymi ludźmi. To bardzo proste.

– Cena postępu – uśmiechnął się Kincaid.

– Można tak powiedzieć.

– Zawsze myślałem, że wszystkie badania prowadzone we współczesnej medycynie służą podniesieniu standardu życia, a nie przedłużeniu wegetacji. Lecz

pieniądze przeznaczane są tylko na zwalczanie chorób śmiertelnych, a nie tych prowadzących do kalectwa.

– Właśnie tak – odparł Tolkien. – Rak zabiera asy, a reumatyzm dotyka zwykle pionki.

– Oczywiście – przytaknął Kincaid zadowolony, że Tolkien zgadza się z jego opinią. – Życ do dziewięćdziesiątki, gdy człowiek jest ślepy, głuchy, robi pod siebie i traci kontakt z otoczeniem, to koszmar.

– Niestety, tak to często wygląda. Chorzy domagają się transplantacji serca, a nie dbają o to, że są głusi. Guzy mózgu to ogromny problem, a to, że człowiek nie potrafi się sam załatwić, jest lekceważone.

– Czemu tak jest? – zapytał Kincaid.

– Nie wiem – odparł Tolkien. – Może należałoby przeprowadzić specjalne badania naukowe?

Uśmiechnęli się do siebie kończąc rozmowę i w ciszy kontemplowali obrazy. Kincaid postanowił, że zostawi lekarza samego, aby mógł w spokoju studiować dzieła Moneta, i przeszedł do sąsiedniej sali. W drzwiach minęły go dwie starsze panie w futrach i kapeluszach na głowie, trzymające w rękach olbrzymie torby z zakupami. Najwidoczniej szukały w galerii schronienia przed deszczem. Kincaid odwrócił się, mrugnął porozumiewawczo do doktora i wyszedł.

W odpowiedzi Tolkien uśmiechnął się.

– Dlaczego jesteś taki radosny? – zapytała Eve, gdy spotkali się wieczorem. Kincaid opowiedział jej o Kerry.

Choć Eve ucieszyła się, Kincaid miał jednak wrażenie, że jej entuzjazm nie jest szczery.

– O co ci chodzi? – zapytał wreszcie.

Eve położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam cię. To naprawdę wspaniała nowina, tylko nie chciałabym, żebyś się potem rozczarował. Kerry przeszła już jedną komisję i...

– Oni się pomylili! – Kincaid przerwał jej ostro. – Tym razem będzie inaczej.

– Kto przewodniczy komisji? – zapytała Eve.

– Nowy dyrektor ośrodków psychiatrycznych. Nazywa się Sutton. Nie pochodzi stąd.

– Skąd wiesz?

Kincaid popatrzył na nią zdziwiony.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – To chyba normalne, że ludzie przyjeżdżają z innych miast.

– Nie – odpowiedziała Eve. – To nie jest normalne.

– Więc może stanowi część nowego programu.

– Bardzo dziwne – zamyśliła się Eve.

– Co w tym dziwnego?

– Sposób, w jaki Londyn załatwia z nami wszystkie sprawy. Nie wiadomo skąd pojawia się nikomu nie znany człowiek i zaczyna się panoszyć.

– A jeśli to dobra metoda – zasugerował Kincaid. – Może właśnie dlatego wszystko tak dobrze działa? Odcinają zeschnięte konary drzewa, a na ich miejsce zaszczepiają nowe.

– Ja stanowczo opowiadam się za doświadczeniem i odpowiedzialnością – oświadczyła oficjalnym tonem Eve.

– W tej sytuacji zdecydowanie głosuję na profesjonalizm.

Eve uśmiechnęła się. Nie chciała przedłużać dyskusji, bo Kincaid był zbyt szczęśliwy z powodu Kerry, aby mogła się z nim droczyć. Zapytała tylko:

– Co będziemy dzisiaj robili?

– Po pierwsze zadzwonię do Lisy. Jeżeli mój ojciec czuje się lepiej, to chciałbym go odwiedzić.

– Oczywiście – odparła Eve.

Słuchawkę podniósł mąż Lisy, Kevin Hardesty. Powiedział, że Lisa telefonowała ze szpitala przeszło godzinę temu. Przekazała, że ojciec jest umierający i prosiła, żeby Kincaid przyjechał do szpitala tak szybko jak to możliwe. Lisa była tam cały czas.

– Złe wieści? – zapytała Eve widząc wyraz twarzy Kincaida.

– Ojciec umiera.

W drodze do miasta Kincaida wyprowadzał z równowagi każdy korek, każde światła, na których musieli się zatrzymać. Eve położyła dłoń na jego pięści zaciśniętej kurczowo na dźwigni zmiany biegów. Milczała, nie musiała nic mówić.

– Myślałem, że zostanie nam więcej czasu – powiedział cicho. – Tyle rzeczy chciałem mu powiedzieć, zanim... Tyle spraw... Ja muszę...

– Tak. Musisz mu powiedzieć, jak bardzo go kochasz – pomogła mu Eve.

Kincaid zdjął rękę z kierownicy i wytarł spocone czoło.

– Tak. Chyba tak.

– Właśnie tak – poprawiła go Eve. – Wszystko w porządku. Mężczyznom też wypada mówić takie rzeczy. Nie miałbyś takich oporów, gdybyś urodził się we Francji, Hiszpanii może Włoszech. Lecz ty jesteś dumnym Szkotem i uważasz, że okazywanie uczuć nie przystoi mężczyźnie.

– On też – powiedział Kincaid.

– To ty mu powiedz. Gdy tylko tam przyjedziemy. Powiedz mu.

– Jeżeli zdążymy na czas – odparł ze złością Kincaid, kiedy zatrzymali się na kolejnych światłach.

– Przykro mi. Pański ojciec jest w bardzo ciężkim stanie – poinformowała ich pielęgniarka, gdy znaleźli się na oddziale. – Pańska siostra jest przy nim.

Eve poklepała go po ramieniu i została na korytarzu, gdy Kincaid wszedł do sali. Lisa odwróciła się. Jej krzesło stało u wezgłowia łóżka. Kincaid pocałował ją w policzek i zapytał szeptem:

– Jak on się czuje?
– Nie odzyskał przytomności. Siedzę tu przy nim i wspominam te wszystkie dobre chwile, gdy byliśmy razem. Całe nasze dzieciństwo.

Kincaid wziął krzesło stojące w rogu sali i postawił je po przeciwnej stronie łóżka.

– Pamiętasz te wakacje w Blackpool, gdy wrzuciłeś do morza dmuchaną piłkę? Pamiętasz, jak tata popłynął za nią?

Kincaid uśmiechnął się ze smutkiem. Czy pamięta?

– A ten ogromny dół w piasku? Nie zauważył go.

– Wpadł prosto w twoją pułapkę. – Lisa zasłoniła usta dłonią, aby się nie roześmiać.

– I jak kłął, gdy wreszcie się wygrzebał – przypomniał Kincaid.

– Mama poczerwieniała ze wstydu.

Starzec poruszył się na łóżku i jęknął cicho.

– Myślisz, że słyszał? – zapytała z nadzieją w głosie Lisa.

– Mówią, że nieprzytomni długo jeszcze słyszą, co się wokół nich dzieje. Później, gdy odzyskują przytomność, też najszybciej wraca im słuch – odparł Kincaid. – Tato, słyszysz nas? To my, Lisa i Jim.

Starzec znów się poruszył. Kincaid miał wrażenie, jakby ojciec budził się z głębokiego snu.

– Chcieliśmy ci powiedzieć.... Bardzo cię kochamy, tato.

Minęło kolejnych kilkanaście minut i Kincaid zaproponował siostrze, żeby odpoczęła chwilę i wypija w barze filiżankę gorącej herbaty. Wyprowadził ją z sali i przedstawił Eve. Obie poszły do kawiarni, a Kincaid wrócił do ojca. Widząc, jak jego organizm zмага się w nierównej walce z chorobą, przywołał na myśl wiersz Alaistera Reida, w którym poeta opisywał śmierć swojego ojca. Starą się przypomnieć sobie:

*Kochany, stary człowieku,
Tak wiele słów nie zostało wypowiedzianych.
Nie słyszę twego oddechu,
Nie jestem przygotowany...*

*Jakie myśli zabierasz ze sobą?
Tak się boję twojego odejścia,
Nie wiem, jak żyć z tą wielką żalobą,
Los nie posiada serca...*

Na oczach Kincaida ojciec konał. Policzki zapadły się jeszcze bardziej, a oddech, płytki jak nigdy dotąd, chwilami w ogóle zamierał. W pewnej chwili, gdy ojciec przestał oddychać, Kincaid pochylił się nad nim, aby za Reidem sprawdzić, czy złoty motyl oddechu sfląknął w ramiona śmierci.

Lisa wróciła. Spojrzała na niego pytająco.

– To nie potrwa długo – szepnęła.

W oczach siostry zakreśliły się łzy, więc Kincaid ujął delikatnie jej dłoni i położył ich splecione ręce na chłodnej dłoni ojca spoczywającej bezwładnie na piersi.

Poruszył lekko palcami, dał znak, że czuje ich obecność. Uśmiechnęli się do siebie siedząc tak przez chwilę, zjednoczeni jak prawdziwa rodzina. Wtem oddech starca gwałtownie się zmienił. Kincaid czuł, jak palce Lisy kurczowo zaciskają się na jego dłoni. Ojciec ostatkiem sił łapał powietrze. Potem usłyszeli tylko przeciągły świst i głowa starca opadła ciężko na poduszki.

Lisa zaczęła szlochać, Kincaid objął ją delikatnie i wyprowadził z pokoju.

– On odszedł, kochanie – szepnęła. – Bezboleśnie. Wiedział, że jesteśmy przy nim.

Eve zajęła się Lisą, a Kincaid rozmawiał z doktorem Lesliem.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedział lekarz. – Był zbyt słaby, by pokonać tę infekcję.

Kincaid podziękował mu za próby pomocy.

Eve zaproponowała, że zabierze Lisę do domu, aby Kincaid mógł załatwić wszelkie formalności. Przystąpił na tę propozycję, obiecując siostrze, że załatwi wszystkie niezbędne dokumenty. Nie musiała się tym martwić. Starł się zapewnić siostrze spokój, bo nie przebaczyłyby sobie, gdyby te wydarzenia w jakikolwiek sposób zaszkodziły jej dziecku. Wiedział, jak bardzo chciała, żeby ojciec mógł poznać, a choćby tylko zobaczyć, jej potomka. Los zrzucił inaczej.

Kincaid czekał cierpliwie w gabinecie doktora Lesliego, zanim ten przybrał odpowiednio współczujący wyraz twarzy. Gotów był iść o zakład, że lekarz długo ćwiczył tę minę przed lustrem. Za każdym razem, gdy Kincaid zadawał mu pytanie, Leslie pochyłał się ociężale nad stołem i z zatroskaną miną cedził każdą sylabę.

Kincaidowi przyszło do głowy, że nadejdzie taki dzień, gdy tę farsę będą już odgrywać nie ludzie, lecz komputery. Niemal rozbawiła go ta myśl. Podpisał wszystkie dokumenty, które lekarz mu podał. Do gabinetu weszła pielęgniarka i położyła na stole plastikową torbę.

– Rzeczy zmarłego – powiedziała.

Kincaid zdjął torbę ze stołu i postawił przy krześle. Była przeźroczysta, widział więc szczoteczka do zębów i slipy ojca.

Pierwszą rzeczą, jaka mu przyszła do głowy, była nieodparta chęć unieczyszczenia, wyrzucenia, spalenia tych rzeczy, by nie przypominały mu, jak niewiele zostaje po człowieku. Pielęgniarka przyniosła także małą kopertę. Leslie podał ją Kincaidowi.

– Jeszcze obrączka – rzekł smutno.

Kincaid wziął ją i bez żadnego komentarza schował do portfela. Ogarnęło go przerażenie. Musiał jak najszybciej opuścić ten pokój. Lekarz zdjął okulary i na pożegnanie podał Kincaidowi rękę.

– Proszę przyjąć kondolencje – wyrzekł uroczyście.

Kincaid czuł przemożną potrzebę powiedzenia lekarzowi, jak kiepskie było jego przedstawienie, ale odparł tylko:

– Dziękuję, doktorze. Jestem przekonany, że zrobił pan co w ludzkiej mocy.

Gdy znalazł się nareszcie przed szpitalem, zacerpnął głęboko świeżego powietrza. Wciąż trzymał w ręku torbę z rzeczami ojca i już zaczął się rozglądać za jakimś koszem, kiedy zobaczył nadjeżdżającą lanię. Za kierownicą siedziała Eve. Wsiadł do samochodu i rzucił torbę na tylne siedzenie.

– Ty prowadź – powiedział tylko.

– Dokąd?

– Do zakładu pogrzebowego.

– Którego?

– Wszystko jedno.

– Myślisz, że pracują o tej porze? – zapytała.

– Zobaczymy. Może – odparł. Wydawało mu się, jakby nad ich głowami, na drzewie, siedział w ciemności sęp. I czekał. Nic, tylko czekał.

Wieczorny Dzwon – głosił napis na mosiężnej tabliczce. Kincaid nacisnął dzwonek i mocno objął Eve. Chciał jej podziękować, że była z nim, chciał powiedzieć, jak wiele to dla niego znaczy, ale słowa uwięzły mu w gardle. Jakiś mężczyzna otworzył im drzwi.

– Przepraszam, że musieli państwo czekać. Proszę do środka – rzekł.

Poprowadził ich wąskim korytarzem, oświetlonym jedynie słabą, może sześćdziesięciowatową żarówką. Mężczyzna skrzył do niewielkiego pokoiku, usiadł za stołem, zapalił lampę i poprosił, żeby zajęli stojące przed biurkiem krzesła.

– Chciałbym podać państwu kilka informacji o świadczonych przez nas usługach – zaczął.

Kincaid zauważył, że w kąciку ust mężczyzny tkwi kawałek jajka. Musieli oderwać go od kolacji. Zastanawiał się, czy wróci do posiłku, skoro tylko zamknie za nimi drzwi. Być może żona podgrzeje potrawy na kuchence i zapyta z wyrzutem, dlaczego nie było go tak długo. „Zawsze to samo” – będzie zrędzić. – „Za każdym razem, gdy siadasz do stołu, dzwoni ten cholerny dzwonek”.

Kincaid zdał sobie sprawę, że postawiono mu pytanie, ale był tak pochłonięty swoimi myślami, iż nie usłyszał go. Oboje, i Eve, i przedsiębiorca pogrzebowy, spoglądali na niego wyczekująco.

– Słucham? – zapytał.

– Zamawia pan kremację zwłok czy normalny pogrzeb?

– Ee... pogrzeb – wykrztusił.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Czy pana ojciec miał swojego kapłana?

– Nie.

– Rozumiem. Czy wolno mi zapytać...?
– Szczegóły omówimy jutro – przerwał mu Kincaid. Musiał załatwić jeszcze sprawę u św. Marii.

– Doskonale – odparł mężczyzna sięgając do szuflady po katalog. – Może przejdziemy do kolejnej kwestii?

Eve zauważyła, że Kincaid aż zadrżał patrząc na otwarty przed nim katalog z wzorami trumien.

– Może zechciałby pan obejrzeć i wybrać coś odpowiedniego dla swego ojca? – Przedsiębiorca pogrzebowy uśmiechnął się przymilnie, spoglądając spoza okularów to na Kincaida, to na Eve.

– Ta będzie dobra – Kincaid wskazał pierwsze z brzegu zdjęcie. Zamknął katalog i położył go na biurku.

– Nasz standardowy model – powiedział przedsiębiorca przez zaciśnięte zęby, jakby każde z tych słów sprawiało mu fizyczny ból. – Jeżeli to ostateczna decyzja...

– Tak, ostateczna.

– Bardzo dobrze. W takim razie proponuję, aby teraz wybrać odpowiednie uchwyty i... – Mężczyzna znowu zaczął przerzucać karty katalogu.

Kincaid mu przerwał.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy ma pan w tym swoim katalogu najprostszą sosnową trumnę, w której grzebiecie zwykłych ludzi?

– Tak, ale...

– Właśnie o taką mi chodzi. Nie potrzebna mi ani klimatyzacja, ani wieża stereo. Nie chcę dywanów ani podwójnie lakierowanego wieku. Po prostu, zwykła sosnowa trumna. Czy wyrażam się jasno?

– Oczywiście – odparł mężczyzna. Na jego oczach ktoś ośmielił się podważać uroki prowadzenia zakładu pogrzebowego.

Eve popatrzyła kątem oka na Kincaida. W tym spojrzeniu kryła się i krytyka, i podziw.

– Krwawe sepy – mruknął Kincaid, gdy opuścili zakład.

– Na tym polega ich praca – rzekła Eve, biorąc go pod ramię.

Kincaid zaklął pod nosem.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że jesteś tak nietolerancyjny. Zawsze mówiłeś co innego – powiedziała Eve.

– Nigdy ci o tym nie mówiłem – zaprotestował Kincaid.

– Ależ mówiłeś. I to bardzo często – nalegała Eve. – Może nie wprost, ale wspominałeś o tym za każdym razem, gdy jedno z nas miało kiepski humor.

Kincaid starał się znaleźć jakąś błyskotliwą odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc uśmiechnął się lekko.

– Jesteś dla mnie taka dobra – powiedział.

– Chociaż w tym się zgadzamy – odwzajemniła uśmiech.

Kincaid spojrział na zegarek, było wpół do jedenastej. Na ulicach wciąż jeszcze panował duży ruch. Był przecież sobotni wieczór. Jego ojciec umarł, a nikt na świecie nawet tego nie zauważył. Życie toczyło się tak, jakby nic się nie stało.

Ludzie bawili się, śmiali, odwiedzali znajomych, oglądali telewizję i nastawiali wodę na herbatę. Zupełnie jak w każdą inną sobotę. Nie pojawiła się nawet jedna niewielka rysa, chociaż zabrakło któregoś trybu. Tak było z jego ojcem, tak będzie z nim i z każdym człowiekiem.

- O czym myślisz? – zapytała Eve.
- O niczym – odparł Kincaid.

Po przeciwnej stronie miasta stał dom, do którego prowadziła kręta droga wysadzana drzewami wiśniowymi. Za niecałe sześć tygodni będą już miały pierwsze owoce. W tym domu, przed telewizorem, siedział Frank Golightly i nerwowo zaciskał pięści. Normalnie o tej porze wracał z pubu, lecz dzisiaj w ogóle tam nie poszedł. Cały wieczór wałęsał się po ulicach i rozmyślał, jak powiedzieć żonie o tym, co się stało.

Mary Golightly spojrzała na niego podejrzliwie.

- Powiesz mi wreszcie, co się z tobą dzieje? – zapytała stanowczo.
- Nic – skłamał pocierając nerwowo łysinę.
- Owszem, coś się stało. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?
- Mary, ja...
- No, wyrzuć to z siebie.
- Nie wiem, od czego zacząć. To takie straszne.

Mary Golightly odłożyła na bok robótkę. Serce jej zamarło. Musiało się stać coś bardzo złego, bo nie pamiętała, aby jej mąż zachowywał się kiedykolwiek w taki sposób, nigdy też nie patrzył na nią tak przerażonym wzrokiem. Może tylko wtedy, gdy zmarła jej matka, a Frank odebrał telefon. Lecz wtedy był smutny, może skonfudowany, a tym razem w jego spojrzeniu odnalazła autentyczny strach.

– Kocham cię, Mary... Zawsze cię kochałem... Ale, gdy byłem za granicą... Wiesz, my to traktujemy inaczej... Kobiety inaczej pojmują seks, więc...

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytała cicho, drżącym ze strachu głosem. Jej ciało w jednej chwili zrobiło się zbyt ciężkie, by zmusić je do najmniejszego ruchu.

– W czasie mojego ostatniego wyjazdu, wiesz, w Niemczech, poznałem dziewczynę i...

Cały świat, który budowała z takim trudem, w jednej chwili legł w gruzach.

- Chcesz powiedzieć, że kochasz inną kobietę? – zapytała ostro.
- Nie, nic podobnego – zaprzeczył gwałtownie Golightly.
- Więc?

– Przespałem się z nią – wyrzucił jednym tchem. – Przygoda na jedną noc, ale przespałem się z nią i... ona zaraziła mnie...

– O, Boże! – krzyknęła Mary chwytając się za głowę. – Zaraziła cię francuską chorobą. Masz chorobę weneryczną! I ty zaraziłeś nią... O mój Boże! Boże miłosierny! Jak mogłeś! – Mary dostała wypieków na twarzy, ręce jej drżały jak w febrze.

Golightly poczuł na piersi ogromny ciężar. Nie mógł oddychać. Nadszedł czas na najgorsze.

– Nie. – Głos mu się łamał. – To nie choroba weneryczna. Ona zaraziła mnie AIDS.

Na kilka sekund czas stanął w miejscu. Mary zamarła. Zapadła makabryczna, trudna do zniesienia cisza. Kiedy żona spojrzała na niego, Frank widział w niej obcą osobę. Nigdy, przez te wszystkie lata, nigdy w życiu nie patrzyła na niego w ten sposób.

– Ty skurwielu! – Ten głos omal nie doprowadził go do obłędu. – Ty obrzydliwy skurwielu!

9

Św. Maria była malutkim kościółkiem zbudowanym w uroczej okolicy. Niewielka parafia leżała z dala od dymiących fabrycznych kominów, wśród czystego powietrza i wody. Wokoło rozciągały się łany starannie pielęgnowanej murawy, przecinane równo zagrabionymi grządkami, na których rosły rzędy pięknych kwiatów. Tutaj właśnie w niedzielne poranki zajeżdżały lśniąca samochody BMW i volvo, a w otaczającej ciszy rozlegał się gwar radosnych rozmów ludzi, którzy chcieli na łonie natury bawić się i prosić Boga, by jednych pozostawił w spokoju, a innym, w swojej łaskawości, nie szczędził łask.

Kincaid przyjrzał się oryginalnej tablicy informacyjnej – w formie domku – ustawionej przy wjeździe. Napis na tablicy głosił, że pastorem parafii jest niejaki Nigel Rees mieszkający na plebanii, w bok od głównej drogi.

Kincaid nie miał pojęcia, w jaki sposób przekonać pastora, aby spełnił ostatnią wolę ojca. Postanowił przejść się po terenie przyległym do kościoła, aby zebrać myśli. Usiadł w miejscu, o którym opowiadał jego ojciec. Starzec miał rację, było tu pięknie. Drzewa, trawa, krzewy i zarośla, wszystko tworzyło wspaniałą harmonię, cieszącą oko i uspokajającą zboląłą duszę. Kincaidowi przyszły na myśl dzieła Moneta, które tak podziwiał. Siedział przez kilka chwil w błogiej ciszy, gdy nagle przypomniał sobie, że jeżeli zamierza wypełnić ostatnią wolę ojca, to czeka go trudna rozmowa z pastorem. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że nie ma żadnych argumentów, które mogłyby przekonać kapłana.

Drzwi plebanii otworzyła gospodyni pastora. Domyślił się tego, bo małżonki, w przeciwieństwie do gospodyń, nigdy nie nosiły fartuchów ani czepeków.

- O co chodzi?
- Chciałbym zobaczyć się z pastorem Reesem – powiedział Kincaid.
- Był pan umówiony? – zapytała. Zaróżowiona twarz i zmęczone spojrzenie dobitnie świadczyły, ile trudu kosztowała ją ta praca. Nawet rozmawiając

z Kincaidem, trzymała w rękę szczotkę. Przypominała mu dziewczynę pracującą u Anny Keats. „Co we mnie jest takiego – zastanawiał się – że one przyglądają mi się w taki sposób?” Doszedł do wniosku, że zapewne odnoszą się tak do każdego gościa i nie powinien mieć o to pretensji.

– Nie – przyznał Kincaid, który do tej pory nie brał pod uwagę, że samo spotkanie z pastorem może nastęrczać trudności.

– Pańskie nazwisko?

– Kincaid.

Kobieta zniknęła za drzwiami. Wróciła po chwili.

– Tędy, proszę – powiedziała.

Kincaid poszedł za nią. W powietrzu unosił się zapach biblioteki; drewnianych półek, starych książek i kurzu. Na korytarzu stał pojemnik na parasole w kształcie słoniowej nogi. Gospodyni wprowadziła go do gabinetu.

Niewysoki, przykurczony łysawy mężczyzna podniósł się z fotela, wyciągając rękę.

– Neil Rees – powiedział ze szkockim akcentem. – Chyba nie miałem przyjemności pana poznać.

Kincaid uściśnął wyciągniętą rękę, przyznając, że nie mieli dotąd okazji, żeby się spotkać.

– Czym mogę panu służyć, panie Kincaid?

– Ma pan bardzo piękny kościół, pastorze – zaczął Kincaid.

– Nie pan pierwszy to zauważył – odparł Rees. – Rzeczywiście, jest uroczy.

– Przechodząc do sedna sprawy... W sobotę, w College Hospital, zmarł mój ojciec.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Jego ostatnią wolą było, aby pochowano go na cmentarzu u św. Marii.

– Czy pański ojciec był naszym parafianinem?

Kincaid zaprzeczył.

Zapadła krępująca cisza. Kincaid wiedział, że odmowa wisi w powietrzu, a pastor stara się jedynie ubrać ją w najbardziej delikatne słowa.

– Panie Kincaid – zaczął ostrożnie, wążąc każde słowo. – Obawiam się, że będę zmuszony odmówić. Pański ojciec nie należał do naszej parafii, a ja nie mogę łamać raz przyjętych zasad. Wierzę, że zrozumie pan moją decyzję.

– Mnie, pastorze, chodzi jedynie o pochowanie ojca – odparł Kincaid – a nie o łamanie pańskich reguł.

– Lecz to byłoby właśnie złamanie reguły – skwitował krótko Rees i wziął na kolana kota, który łąsił się u jego stóp.

– Czy nie pochowano tu żadnego z pracowników stoczni? – zapytał nagle Kincaid.

– Doprawdy, drogi panie Kincaid! Muszę zaprotestować. Te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Odpowiedź jest prosta: na naszym cmentarzu nie ma miejsca dla wszystkich, którzy chcieliby znaleźć tu wieczny spoczynek. Myślę, że wyczerpaliśmy temat.

– Ilu ludzi spoza pańskiej parafii zwróciło się do pana z podobną prośbą? – zapytał Kincaid.

Rejs zaczerpnął głęboko powietrza. Drażniła go natarczywość Kincaida.

– Ani jeden – odparł cicho.

Kincaid usiłował wytłumaczyć swoje zachowanie.

– Jestem bardzo samolubny, pastarze – powiedział. – Nie proszę, aby grzebał pan tutaj wszystkich nieboszczyków. Przynależę mojemu ojcu, że zrobię, co w ludzkiej mocy, aby spełnić jego ostatnią wolę, i tylko dlatego dziś tu jestem.

– Rozumiem i cenię pańskie przywiązanie, ale z tym większym żalem muszę odmówić.

– Zanim tu przyszedłem, przespacerowałem się po terenie parafii – powiedział Kincaid.

Rees był skrępowany tą rozmową i niepewnie wzruszył ramionami.

– To spory kawałek gruntu...

– Tak się wydaje, ale...

– Szczerze mówiąc, wykorzystujecie tylko małą część ziemi. – Duży teren, prawda? Ile jeszcze grobów się na nim zmieści? Sto? Może dwieście?

– Panie Kincaid, nie ma znaczenia czy sto, czy dwieście. Chodzi o ogólną zasadę. Sprawa jest zamknięta. Naprawdę, przykro mi.

Rees niecierpliwie podniósł się ze swego fotela, dając znak, że audyencja została zakończona.

Ten jeden gest wydawał się Kincaidowi znajomy, widział go już wcześniej: wściekły walijski pastor zasłaniający twarz przed napierającymi ekipami telewizyjnymi. Tylko napomknij o sprawie. Popatrz na Reesa.

– Może gdyby obok pańskiej plebanii postawiono stajnię, nie miałyby pan takich oporów przed pochówkami?

Rees zgonił kota z kolan i spojrzął na gościa z wściekłością.

– Chyba muszę powiedzieć wprost: proszę opuścić ten dom.

Kincaid przypomniał sobie.

– To było w 1984 roku. Nie myłę się, prawda? A może w 1985?

Rees zbladł.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł. – Już raz powiedziałem: proszę opuścić ten dom.

– Winchester? – kontynuował Kincaid. – Dobrze pamiętam? Obóz skautowski... chłopięcy... i dwóch dwunastolatków...

Rees opadł na krzesło. Opuściła go złość, a na jej miejsce pojawiło się przeżalenie.

– Gdzie, u diabła, pan to znalazł? – zapytał.

– Niczego nie szukałem – powiedział szczerze Kincaid. – Przed chwilą przyszło mi to do głowy. Jestem dziennikarzem i zapamiętuję takie historie.

– Zostałem uniewinniony – niemal krzyknął Rees.

– Został pan – zgodził się Kincaid. – Ale został pan także karnie przeniesiony. Założmy, że pańscy parafianie dowiedzieliby się o tym... uniewinnieniu.

Wyraz twarzy Reesa zmienił się w jednej chwili.

Kincaid czuł, jak wali mu serce. To prawda, że dopiero przed chwilą zorientował się, kim jest Rees, ale nie znając szczegółów, balansował na granicy szantażu. Obawiał się każdego następnego słowa. Jego własna pamięć płatała mu figle. Nie wiedział, jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić.

– Byłem niewinny – powiedział cicho Rees. – Te diabły wcielone wszystko ukartowały.

– Został pan uniewinniony – jeszcze raz powtórzył Kincaid.

– Ale pozostała pamięć ludzka – odparł Rees. – Nie ma dymu bez ognia. Chyba tak o tym mówicie?

– Podobnie jak ci, którzy ciężką pracą chcą odpokutować winy – dodał Kincaid. – Mogą być najlepsi, a ich ziomkowie i tak nie chcą ich znać.

– Dokąd to nas zaprowadzi? – zapytał Rees.

Kincaid podniósł rękę.

– Dopóki nie popełni pan fałszywego kroku, nie wspomnę o tym żadnemu z pańskich parafian, ani nikomu innemu. Przyrzekłem ojcu, że zrobię wszystko, aby spełnić jego ostatnią wolę i dotrzymałem obietnicy. Nie zgodził się pan – trudno. Sprawa jest zamknięta.

Rees popatrzył na niego smutno i powiedział:

– Chyba panu wierzę.

– Sąd orzekł pańską niewinność. Mnie to wystarczy.

– Jestem bardzo wdzięczny. Jeśli pan pozwoli... Zmieniłem zdanie. Spełniemy ostatnią wolę pańskiego ojca, spocznie na tym cmentarzu. Proszę tylko podać mi niezbędne dane. Zaraz pójdziemy i wybierzemy dogodne miejsce.

Później, gdy Kincaid opuszczał już teren parafii, spojrzął na pastora i zapytał:

– Chciałbym tylko zaspokoić moją ciekawość...

– Chce pan wiedzieć, czy wciąż jeżdżę na obozy z młodzieżą? Nie, panie Kincaid, nie jeżdżę ani na obozy, ani na wycieczki, ani na żadne zloty – nigdzie, gdzie znajdują się mali chłopcy. Istnieje ku temu tylko jeden powód.

– Jaki?

– Po tym, co mi zrobili, drogi panie, nienawidzę tych małych kurwizszonów.

Kincaid opuścił plebanię z mieszanymi uczuciami. Czy aby nie dopuścił się szantażu? Może postąpiłby lepiej, gdyby nie wracał do tamtej historii i pogodził się z tym, że pastor odmówił pochowania jego ojca? Może był na najlepszej drodze do popełnienia przestępstwa? Z ulgą stwierdził, że nie warto zaprzętać sobie głowy. Osiągnął to, co pozornie wydawało się niemożliwe – jego ojciec będzie pochowany na cmentarzu u św. Marii. Uskrzydłony tą myślą poszedł do samochodu. Wróciwszy do miasta, skontaktował się z zakładem pogrzebowym, gdzie

ustalił ostateczny termin pogrzebu. Zadzwonił do Lisy. Jego siostra też się ucieszyła, że Kincaidowi udało się załatwić sprawę.

– Jak tego dokonałeś? – zapytała.

– Pastor okazał się bardzo rozsądnym człowiekiem – odparł Kincaid, czując się jak sam Ojciec Chrzestny.

– Co za szczęście! Nie przypuszczałam, że ci się uda.

– Niezbadane są wyroki niebios – powiedział Kincaid, myśląc o tym, jak wiele ryzykował, aby dopiąć celu. Obiecał siostrze, że będzie z nią w kontakcie i odłożył słuchawkę. Znał termin pogrzebu, mógł więc określić, kiedy wróci do pracy. Zadzwonił do Fletchera, aby powiedzieć mu o śmierci ojca. Naczelny przekazał kondolencje, ale szybko dodał, że chętnie zobaczyłby Kincaida w Londynie.

– A co z rozpracowywaniem Carlisle’a? – spytał Kincaid. – Nie widziałem jeszcze artykułu w gazecie.

– Na razie nic z tego – rzekł Fletcher. – Nie możemy znaleźć żadnych informacji.

– A w Central Office?

– Owszem, jest dużo materiałów od czasu zdobycia mandatu poselskiego, ale lata wcześniejsze... *tabula rasa*. Wygląda na to, że nie wychylał się ani w szkole, ani na uniwersytecie. Nikt nie umie powiedzieć o nim nic poza tym, że był czarującym, słodkim chłopaczkiem bez żadnych szczególnych zainteresowań.

– Spóźniony geniusz – stwierdził Kincaid.

– Może. Przypuszczam, że to chybiona propozycja, ale czy nie wzięłyś tej sprawy?

– Nie, serdeczne dzięki – odparł Kincaid. – Wiesz, że z dwojga złego wolałbym już przeczytać książkę telefoniczną.

– Domyślałem się, że to powiesz – podsumował Fletcher.

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy tylko pomyślał o rozmowie z Anną Keats. Jak zareagowałby stary, poczciwy Fletcher, gdyby dowiedział się, jaki wspinały kasek przeszedł mu koło nosa. Nie musiał pytać, świetnie znał odpowiedź.

Neil Tolkien odetchnął głęboko. Był niedzielny wieczór i kończył się kolejny weekend. Nie, żeby miał coś przeciwko temu, ale był zadowolony, że ktoś przyjmował zamiast niego telefony i zbierał informacje, które on dostanie jutrzejszego ranka. Mijający tydzień nie należał do udanych chociażby ze względu na przekłętą ból kręgosłupa. Choć nie był bardzo silny, to nie ustępował, podstępnie drążył jego ciało i nerwy. Lekarz łatwo wpadał w gniew i depresję.

Nie pomagały mu żadne leki przeciwbólowe. Dzisiejszego wieczora ulży sobie pijąc pigułki szklaneczką whisky. Nigdy nie pozwoliłby na to swoim pacjentom, ale ta zasada nie zawsze obowiązywała obie strony. Łączenie alkoholu i leków tworzyło mieszkankę wybuchową i, dzięki Bogu, skuteczną. Działała jak

morfina, lecz nie powodowała tak silnego uzależnienia. Najpierw, pomyślał, wezmę długą, gorącą kąpiel.

W łazience na parapecie stało małe radio tranzystorowe. Tolkien włączał je każdego ranka przy goleniu, żeby dowiedzieć się, co słychać na świecie. Już kilka dni temu miał kupić nowe baterie, lecz zapomniał o tym, ilekroć wychodził z domu. Włączył odbiornik. Dobiegło go potworne rzępolenie, więc szybko poszukał BBC-3. Alfred Brendel grał Schuberta, ale z aparatu dobywały się jedynie żałosne strzępy wspaniałej muzyki.

Tolkien usiadł w wannie. Oparł się wygodnie pozwalając, by piana opływała mu ramiona. Pękające mydlane bańki szumiały cicho. Właśnie błogo zamknął oczy, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Postanowił go zignorować, ale niestety, tak jak wielokrotnie przedtem, zmienił zamiar. Wyszedł z wanny, owinął się ręcznikiem i podszedł do aparatu, zostawiając na podłodze mokre ślady.

– Słucham, Tolkien.

– Doktorze, bardzo przepraszam, że pana niepokoję...

Tolkien zdążył pomyśleć, jak bogatym byłby człowiekiem, gdyby każde takie zdanie kosztowało pacjenta tylko jednego funta. Nagle wyczuł w głosie kobiety ogromne napięcie.

– Kto mówi? – zapytał spokojnie. Zawsze starał się na początku poprosić o nazwisko albo adres, bowiem często zdarzało się, że w trakcie rozmowy zdeperowany pacjent rzucał słuchawkę.

– Nazywam się Mary Golightly.

Tolkien zamarł. To była żona Franka Golightly’ego. Musiał wyznać jej prawdę.

– W czym mogę pani pomóc, pani Golightly?

– Chodzi o Franka...

– Co się stało?

– Dźgnęłam go...

Tolkien nie zapanował nad sobą. Krzyknął z przerażenia.

– Co pani zrobiła?!

– Dźgnęłam go nożem. Chyba nie żyje.

Początkowe przerażenie ustąpiło miejsca zdecydowaniu.

– Zaraz tam będę – powiedział twardo. – Proszę zrobić co w pani mocy, żeby zatamować krwotok.

– Nie!

– Musi pani! – nalegał ostro Tolkien.

– Nie dotknę go!

Tolkien rzucił słuchawkę, zaklął w duchu i znowu ją podniósł. Zadzwonił na pogotowie. Podał im adres Golightlych i wyjaśnił okoliczności.

– Jeszcze jedno – dodał.

– Tak?

– To chory z grupy wysokiego ryzyka.

– Rozumiem – odparł kontroler.

Następnie Tolkien zawiadomił policję, podając im te same informacje.

„Złośliwość przedmiotów martwych” – pomyślał, próbując po raz kolejny wciągnąć nogawkę spodni. Nie wytarł się dokładnie, a to jeszcze bardziej utrudniało ubieranie. Nie było czasu do stracenia. Ruszył do drzwi zabierając w biegu swoją torbę lekarską. Zostawił wannę pełną wody, a po jej powierzchni smętnie, jak jesienne liście, pływały resztki piany. Nie wyłączył światła, a z radia wciąż płynęły zniekształcone dźwięki muzyki Schuberta.

Tolkien nie musiał sprawdzać numeru domu, bo właśnie zatrzymała się przed nim karetka. Zaparkował tuż za nią i ruszył do drzwi, gdy za plecami usłyszał wycie policyjnych syren.

– Czy dobrze zna pan tę kobietę? – zapytał inspektor policji.

– Nie najlepiej – odpowiedział Tolkien. – Jest moją pacjentką, ale nie była w gabinecie już ponad rok.

– Zdaje się, że to wariatka – stwierdził policjant.

Tolkien pokręcił przecząco głową.

– Nic z tych rzeczy.

– Ale ona zasztyletowała swojego męża. Nie mogę ryzykować życia moich chłopców.

– Nie wydaje mi się, żeby była groźna dla pańskich ludzi – odparł Tolkien. – Nie ona sama. Tylko krew.

– Słyszałem. Powiedziałem chłopcom, żeby włożyli rękawiczki.

– Pozwólcie, że ja pójde pierwszy – zaproponował Tolkien. – Może on jeszcze żyje. – Tolkien zapukał do frontowych drzwi i zawołał: – Pani Golightly! To ja, doktor Tolkien.

Nie musiał powtarzać po raz drugi. Drzwi powoli się otworzyły i stanęła w nich Mary Golightly. Całą sukienkę miała pobrudzoną krwią i patrzyła na lekarza pustym wzrokiem.

– Zasłużył na to – powiedziała tylko.

Tolkien odwrócił się. Policjanci stali niepewnie w progu i z obrzydzeniem patrzyli na kobietę. Potrafił ich zrozumieć – Mary Golightly była cała we krwi i ich białe, gumowe rękawiczki zupełnie nie przystawały do tej sytuacji. Sanitariusze z karetki wkładali fartuchy i czepki. Tolkien minął Mary Golightly i spojrział na jej męża. Leżał na środku pokoju w kałuży krwi.

Ślady krwi były także na ścianach i meblach, co wskazywało, że ofiara nie od razu padła na ziemię, lecz najpierw słała się, chwytając wszystko, co miała pod ręką, i zrywając jedną zasłonę. Nieboszczyk wciąż trzymał ją w zaciśniętej kurczowo dłoni. Oczy miał otwarte, ale Tolkien wiedział, że dusza Franka Golightly’ego opuściła już jego ciało. Lekarz włożył parę chirurgicznych rękawiczek i sprawdził tętno na tętnicy szyjnej. Nie wyczuł pulsacji.

Tolkien podniósł wzrok i zobaczył że Mary Golightly obserwuje go. Policjant był o krok za nią, ale utrzymywał dzielący ich dystans.

– Czy on nie żyje? – zapytała.

– Obawiam się, że tak – odparł Tolkien.

Patrząc na zwłoki, uśmiechnęła się złowrogo, lecz Tolkien dostrzegł w jej oczach śmiertelny strach.

Potworność sceny podkreślało miejsce zbrodni, nadając jej surrealistyczną wymowę. Na meblach stały, starannie oprawione, fotografie szczęśliwej rodziny, puchar za mistrzostwo w piłce nożnej, na fotelu leżała robótką Mary, na drzwiach szafy wisiały czyste, wyprasowane koszule. Zbędna praca, Frank ich nie włożył. Już nigdy w tym domu nie będzie tak jak dawniej. Nawet gdy wprowadzą się tu nowi lokatorzy, sąsiedzi opowiedzą im przyciszonym głosem o rozegranej tragedii. Ludzie będą wytykać ten dom palcem, dzieci będą szukać tu duchów.

– Pani Golightly? Proszę usiąść – powiedział ostrożnie Tolkien.

Mary nawet nie spojrzała na lekarza, machinalnie wykonując jego polecenie. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w leżące na środku pokoju zwłoki. Kiedy tylko usiadła, w drzwiach stanął inspektor policji i skinął na Tolkiena.

– Co, do jasnej cholery, mam z nią zrobić? – zapytał tonem niecierpiącym zwłoki.

– O co panu chodzi? – rzekł Tolkien.

– Chryste! Człowieku, spójrz na nią, jest cała upaprana krwią.

– Więc będziemy musieli ją umyć.

– Nie sądzę, żeby...

– Ja to zrobię – uciął dyskusję Tolkien. – Niech ktoś przygotuje kąpiel. Będzie też potrzebna ekipa ze służb sanitarnych ze środkami odkażającymi.

Inspektor cofnął się i zabrał swoich ludzi. Tolkien słyszał, jak przyciszonym głosem wydawał polecenia. Lekarz usiadł naprzeciwko Mary Golightly.

– Co się ze mną stanie? – spytała, nie odrywając wzroku od zwłok męża.

– Nie wiem, Mary – przyznał Tolkien.

– Pewnie wsadzą mnie do więzienia.

– Może nie. Byłaś kompletnie załamana. To musiał być dla ciebie prawdziwy szok.

– Kiedy się dowiem, czy mam AIDS?

– Przeprowadzimy badania na obecność wirusa HIV we krwi, ale nawet jeżeli wyniki okażą się niepomysłne, to jeszcze nie będzie jednoznaczne z chorobą. Niektórzy ludzie nie chorują. Poza tym upływa zazwyczaj dość długi okres od zakażenia do wystąpienia zespołu AIDS.

– Myśli pan, że jestem zakażona?

– To prawdopodobne – odparł Tolkien.

– Dziękuję – odpowiedziała Mary.

Tolkien spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Dziękuję, że nie próbował mnie pan okłamać – wyjaśniła Mary Golightly. Schyliła się i podniosła z podłogi ostro zakończony nóż kuchenny. Ślady krwi na ostrzu świadczyły, że trzymała w ręku narzędzie zbrodni.

Tolkien wstrzymał oddech, patrząc na nią z przerażeniem.

– Będziecie tego potrzebować – powiedziała Mary, kładąc go obok zwłok.

Lekarz odetchnął z ulgą.

Kobieta w jednej chwili powróciła do rzeczywistości. Popatrzyła na niego przytomnym wzrokiem. Schyliła głowę i spojrzała na zakrwawioną sukienkę.

– Muszę być niebezpieczna dla otoczenia – powiedziała.

Głos uwiązył mu w gardle. Widział teraz Mary taką, jaka była naprawdę. Jeden tragiczny raz straciła kontakt z rzeczywistością, a w tej chwili znowu zachowywała się jak normalna kobieta i żona.

Tolkien powiedział, że powinna wziąć kąpiel i przebrać się.

– A co z...? – Mary znowu spojrzała na sukienkę.

– W plastikową torebkę – odparł Tolkien. – Ma pani taką?

– W kuchni – wskazała ręką na drzwi.

Tolkien widział, jak policyjny radiowóz zabiera Mary Golightly. Ciało jej męża, zapakowane w czarny worek, wynieśli mężczyźni w białych fartuchach. Zdażyli odjechać, gdy pojawiła się grupa sanitarna ze sprzętem do odkażania. Czekali, aż policyjna ekipa śledcza zakończy zbieranie dowodów. Okoliczności morderstwa były tak oczywiste, że inspektor ograniczył ich pracę do minimum.

– Co za koszmar – westchnął, gdy Tolkien zamknął swoją torbę, zbierając się do wyjścia. – Myślałem, że już nic mnie nie zaskoczy.

– Ja też – odparł ponuro Tolkien i wyszedł.

Kincaid spędził poniedziałkowe przedpołudnie porządkując rzeczy w domu swojego ojca. Wiedział, że to nieuniknione, ale odwiedził rodzinny dom z bólem serca. Ustalili wspólnie z Lisą, że nie zabiorą stąd niczego poza kilkoma meblami, pozostało mu więc tylko uporządkować rzeczy i zaprosić pracowników pomocy społecznej, aby zabrali to, co im się przyda. Potem już tylko wycena domu i sprzedaż.

Kincaid z nostalgią brał do ręki każdą rzecz i odkładał ją pośpiesznie. W domu było mnóstwo drogich mu przedmiotów, przywołujących wspomnienia z dzieciństwa, ale nie mógł się poddać sentymentom. Choć tego nie chciał, w tym miejscu nie można było uciec od przeszłości. Ojciec prawdopodobnie nakładał od czasu do czasu okulary matki, bo Kincaid zauważył leżące na kredensie etui, w którym zwykła je chować. W jednej chwili matka stanęła mu przed oczami jak żywa. Znalazł też talię kart ze wzorem w szkocką kratę, którymi wiele lat temu rozgrywali z Lisą zacięte potyczki w oczko. Niemal słyszał podekscytowane głosy, czuł wzrastające napięcie, gdy coraz więcej i więcej kart leżało na stole, a gracze milczeli jak zakłęci.

Kincaid opróżnił wszystkie szuflady i kredensy. Zabrał kilka paczek herbaty i doszedł do wniosku, że zrobił już wszystko, co mógł. Gdy na dworze zaczął padać deszcz, przypomniał sobie o zerwanej rynnie. Poszedł do kuchni i wyjrzał przez okno. Miał zamiar zreperować ją przed wyjazdem, ale teraz pozbył się kłopotu. Ktoś inny będzie się tym martwił.

Po południu Kincaid pojechał do Kerry. Pani Wilton miała wolne, a jej zastępczyni poinformowała go, że powiadomienie o dacie kolejnej komisji w spra-

wie Kerry jeszcze nie nadeszło. Kincaid ze stoickim spokojem stwierdził, że czeka już tak długo, iż kilka dodatkowych dni nie robi mu żadnej różnicy. Zaskoczył samego siebie, bo nie przypuszczał, że fakt skierowania dziecka na powtórne badanie jest wystarczającym powodem do absolutnego szczęścia.

Kerry siedziała samotnie. W pokoju było kilkoro innych dzieci i dwie opiekunki, ale dziewczynka najwyraźniej nie potrzebowała ich towarzystwa i ostentacyjnie ignorowała wszystkich, zajmując się wyłącznie własną stopą. Kincaid skinął na jedną z pielęgniarek i wskazał na Kerry. Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi. Mężczyzna podszedł do córki.

Kerry początkowo nie zauważała jego obecności, jednak po chwili puściła stopę i zadzierając głowę, spojrzała na niego. Kincaid uśmiechnął się do swojego najdroższego skarbu. Odpowiedziała spontanicznym uśmiechem i z powrotem zajęła się swoim palcem. Po chwili jednak znów podniosła głowę i popatrzyła na Kincaida. Miał wrażenie, że stara się coś mu przekazać. Ukłękł obok niej. Przypomniał sobie wyliczankę, którą tak lubiła. Dotknął palucha jej stopy.

– Tu sroka kaszkę warzyła. Temu dała na miseczkę, temu dała na łyżeczkę...

Kerry zaniemówiła, spoglądając z zachwytem na swoje palce.

– ...temu dała drobineczkę, temu nic nie dała...

Kerry nawet nie drgnęła.

– ...a temu łepkę urwała i frrr, poleciała.

Umilkł, widząc, jak twarz dziewczynki rozjaśnia się uśmiechem, jak Kerry pokonuje dzielącą ich przepaść. Spojrzał na córkę bojąc się, by ta cudowna chwila nie przysnęła jak mydlana bańka. Kerry rozumiała go! Pamiętała! Pamiętała słowa wyliczanki! Wiedziała, co będzie potem!

Tym razem to Kincaid zaniemówił ze wzruszenia. Dla Kerry ta chwila już minęła i dziecko zajęło się swoimi sprawami, lecz Kincaid wiedział, co się wydarzyło. Kerry dała prosty dowód na to, że pamiętała przeszłość, a więc istniała dla niej przyszłość.

– Miałem rację – szepnął do siebie. – Wiedziałem. Zawsze wiedziałem.

– Panie Kincaid? Czy wszystko w porządku? – zaniepokoiła się jedna z pielęgniarek. Stała tuż za nim.

– Tak, siostrze. Wszystko w porządku – odparł Kincaid. Nawet nie odwrócił się do niej, wpatrując z zachwytem w Kerry. – W porządku – dodał jeszcze.

Starał się znaleźć jeszcze inne oznaki powrotu Kerry do zdrowia, ale bez rezultatu. Dziewczynka zainteresowała się zabawkami, którymi bawiły się pozostałe dzieci i dołączyła do nich.

Kincaid chciał jak najszybciej powiedzieć Eve o swoim odkryciu, z tym większą niecierpliwością czekał wieczornego spotkania.

– Ona naprawdę rozumiała! – przekonywał ją.

Eve roześmiała się. Miała przed sobą dorosłego mężczyznę, który zachowywał się jak rozbawione szczenię.

– Naprawdę się cieszę – powiedziała. – To doskonała wiadomość!

– Przepraszam. Powinienem być zapytać, jak ci minął dzień – skarcił siebie Kincaid.

– W porządku – uśmiechnęła się Eve. – Opowiedz mi lepiej o Kerry.

Kincaid jeszcze raz opowiedział tę historię, i dla Eve, i dla własnej przyjemności.

– To znaczy, że miałem rację – przekonywał ją. – Kerry może wrócić do normalnego życia. Ona wyzdrowieje.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała Eve. – Naprawdę.

– Problem polega na tym, że będzie musiał zgodzić się z tym także tajemniczy doktor Sutton, gdy wreszcie przyjedzie.

– Dowiedziałam się czegoś o nim – odparła Eve. – To facet z Londynu.

– Nadal ci to przeszkadza? – zapytał Kincaid.

– Tak – przyznała Eve. – Sutton przyjedzie tutaj i nagle weźmie w swoje ręce sprawy leczenia ludzi upośledzonych umysłowo, mimo że nie ma rekomendacji miejscowych władz. Londyn kontroluje już całą służbę zdrowia na północy, a ludzie znający tutejsze problemy nie mają nic do powiedzenia.

– Już raz rozmawialiśmy na ten temat – stwierdził Kincaid. – Jeżeli to podniesie jakość leczenia, to czy gra nie jest warta świeczki?

– Jeżeli potrafią podnosić i tak wysoki poziom leczenia, to może jeszcze lepiej poradziliby sobie tam, gdzie służba zdrowia podupada?

– Rozumiem twoje argumenty – odparł spokojnie Kincaid. – Ale dlaczego miejscowe władze nie protestują przeciwko podobnym praktykom? Gdyby dostrzegli poważne uchybienia, z całą pewnością nie pozwoliliby na to.

– Z całą pewnością – zgodziła się Eve.

Poszło mu wyjątkowo gładko. Kincaid wyczuł w tym jakiś podstęp.

– Naszym władzom zaprezentowano w Londynie nowy model, wedle którego przy obecnym rządzie powstanie specjalny komitet do spraw objętej reformą służby zdrowia na północy kraju. Prace tego komitetu byłyby opłacane przez Londyn. Poza tym posiadalibyśmy własny budżet zasilany funduszami z Londynu. W ten sposób nie ponosilibyśmy żadnych kosztów własnych. Stare władze pracowałyby jak dotąd, a Londyn przekazywałby pieniądze na wszelkie „inwestycje” i „nieprzewidziane koszty reformy”.

– Te same pieniądze, ale mniej wydatków? – zapytał.

– Właśnie.

– A co z radą? Przecież stracą na tym, że będą sterowani z góry.

– Tak mogłoby się wydawać.

– Więc dlaczego nie protestują? – zapytał Kincaid.

– No właśnie, dlaczego? – odparła Eve.

Przez moment Kincaid zgubił wątek, ale po chwili zrozumiał:

– Chyba nie sugerujesz, że zostali przekupieni? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nic takiego nie powiedziałam. Po prostu szukam odpowiedzi na pytanie.

– Może są aż tak dalekowzroczni, że widzą przyszłe korzyści wynikające z reformy dla regionu i jego mieszkańców? – zastanawiał się Kincaid.

– Może – odparła Eve tonem, który sugerował, że myśli wręcz odwrotnie. W duchu podzielała jej obawy. Nie znał polityka, który oddałby bez walki pole przeciwnikowi.

– Jesteś dziennikarzem. Dlaczego ich o to nie zapytasz? – spytała Eve.

– A kogóż, twoim zdaniem, powinienem zapytać?

– Przewodniczącego rady. Nazywa się Peter Gilmore. Adres znajdziesz w książce.

– Mogłabyś mi podać nazwiska pozostałych członków?

– Jutro – powiedziała Eve.

10

W wtorek rano Kincaid pojechał do Harrington Hall. Kiedy tylko tam wszedł, zauważył, że brakuje temu miejscu poprzedniej atmosfery. Odczuł to wyraźnie, gdyż podczas pierwszej wizyty nabrał pewności co do kompetencji i dobrej współpracy personelu. Kincaid wszystkie zasługi przypisywał chwalebniemu przykładowi przełożonej Anny Keats, bo przecież motywacja do pracy była niezbędnym warunkiem funkcjonowania każdego oddziału szpitalnego. Nie rozumiał, skąd wzięła się ta nagła zmiana, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać, gdyż od razu wprowadzono go do gabinetu przełożonej.

– Mam nadzieję, że miło pani spędziła weekend? – zapytał grzecznie Kincaid. Chciał sprawić wrażenie spokojnego i zrównoważonego, mimo że w głębi duszy czuł się potwornie. Na dodatek ścisnęło go w dołku.

Anna Keats popatrzyła na niego, ignorując wszelkie uprzejmości.

– Przez ostatnie dni miałam czas, żeby się nad wszystkim zastanowić i podjęłam decyzję – powiedziała wbijając wzrok w biurko.

– Tak? – Kincaid czuł, że oto zbliża się najgorsze, przełożona chciała podać szczegóły sprawy do publicznej wiadomości.

– Postanowiłam, że nie będę nalegała na spotkanie z Gretą Marsh.

Kincaid zamarł. Pragnął usłyszeć te słowa, ale spodziewał się długiej, zaciętej dyskusji. Przyparty do muru chciał nawet napomknąć o zrujnowanej karierze Claire Affric. Milczał przez chwilę zbierając myśli, a kiedy doszedł do siebie, zapytał, dlaczego zmieniła zdanie.

– Nie chcę się narzucać – dodała Anna Keats nie podnosząc oczu znad biurka. Była smutna, a i ta dziwaczna argumentacja nie przekonała Kincaida. Mimo to nie zamierzał prowokować własnego szczęścia. Jeżeli sam żołnierz nie chciał strzelać, to dlaczego on miał nadstawiać karku? Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Tykał miarowo. Tylko tętno w tętnicach szyjnych przełożonej zagubiło gdzieś stały rytm. Po wystarczająco długiej, jego zdaniem, przerwie powiedział:

– Skoro tak... Uszanuję decyzję siostry.

Anna Keats spojrzała na niego w taki sposób, że przeszedł go zimny dreszcz. W jej wzroku kryło się wszystko – zmęczenie, ulga, ból i Bóg jeden wie, co jeszcze. Miała problem, który przysłonił jej nawet kłopoty z Gretą Marsh, przyćmił wszystkie inne sprawy.

Kincaid zwrócił się do niej:

- Siostró, czy mógłbym pani pomóc? Wydaje mi się, że coś panią dręczy.
- Dziękuję za troskę, ale nie. Gdyby mógł mi pan wybaczyć...

Kincaid podniósł się z krzesła.

- Jest pani pewna? – zapytał jeszcze.
- Tak, chyba tak – odpowiedziała.

Z niepokojem opuszczał gabinet. Lubił Annę Keats i mimo że był zadowolony z obrotu sprawy, martwił się o nią. Zastanawiał się, czy nie powinien jeszcze raz zaoferować swoją pomoc, jednak zaraz porzucił tę myśl. Jednoręka sekretarka obserwowała go podejrzliwie od chwili, gdy otworzył drzwi gabinetu przełożonej. Uśmiechnął się do niej, ale w odpowiedzi ujrzał tylko krzywy, mrozący krew grymas.

Nie chciał o nic pytać, bo dziewczyna i tak nie powiedziała mu ani słowa. Pozostały personel z pewnością także wiedział o kłopotach przełożonej. Prawdopodobnie dlatego Kincaid czuł się tak dziwnie, gdy tu wszedł tego ranka.

Idąc do wyjścia, starał się znaleźć kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Zobaczył pielęgniarkę, która zaraz jednak skrzyła w boczny korytarz. Pozostali jeszcze pracownicy recepcji, lecz Kincaid nie chciał ich zaczepiać. Doświadczenie uczyło, że byli powściągliwi w rozmowie, stanowili pierwszą zaporę w przepływie informacji.

Na zewnątrz dwóch ogrodników kopało długą grządkę pod kwiaty. Ziemia była wilgotna i łatwo przyklejała się do szpadli, więc co chwila musieli ją strząsać. Jeden z nich wstał ciężko, rozmasował ręką zboląły krzyż i oparł się o szpadel. Jego kolega musiał powiedzieć coś zabawnego, bo obaj wybuchnęli śmiechem. Kincaid postanowił zaryzykować.

- To chyba ciężka praca – zagadnął, gdy znalazł się w pobliżu.

– Nie chyba, tylko na pewno – odparł starszy z nich, wymownie masując kręgosłup.

- Bo to kiepska ziemia – zauważył Kincaid.

- Człowieku! Chłonie wodę jak gąbka.

– Przydałaby się wam jakaś maszyna – zaczął Kincaid. – Na przykład glebogryzarka...

- Porozmawiam z przełożoną – roześmiał się jeden z ogrodników.

– Dzisiaj nie radziłbym – odparł Kincaid, wykorzystując nadarzającą się okazję. – Jest w złym humorze.

- To przez psa – przypomniał sobie ogrodnik.

- Psa? – zagadnął Kincaid.

– Tak. Podczas weekendu zginął jej pies – wyjaśnił mężczyzna. – Ona kochała tego zwierzaka.

- Wpadł pod samochód? – domyślił się Kincaid.

- Raczej pod siekiere – poprawił go młodszy ogrodnik. Kincaid kolejny raz miał wrażenie, że się przesłyszał.
- Pod co?!
- Pod siekiere. Jakiś cholerny sukinsyn odraubał stworzeniu łeb. Kincaid zamilkł.
- Pieprzone świry – dodał starszy z nich.
- Takim to sam skreciłbym kark – zapalił się młodszy.
- Psiak był dla niej całym światem.
- Straszna historia.

Kincaid musiał się napić. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się pora lunchu, więc wszystkie puby powinny być otwarte. Niedaleko od zakładu, tuż przy skrzyżowaniu, stała, o ile dobrze pamiętał, knajpka Duke of Norhumberland.

W barze było tylko trzech gości siedzących przy piwie. Kincaid zamówił gin z tonikiem i zajął stolik w miejscu, gdzie przez poplamione szyby padały promienie słońca. O tej porze dnia popielniczka była jeszcze czysta i lśniąca. Kincaid, rozmyślając o wydarzeniach dzisiejszego ranka, obracał ją w palcach, aż złapał promień światła. Na ścianie pojawił się zajacek.

Nie potrafił przewidzieć, że w jego rozmowie z Anną Keats tak ważną rolę odegra zakatowany pies. Poruszyło go nie tyle samo bezmyślne okrucieństwo oprawców bezbronnego zwierzęcia, ile inne, bliżej nieokreślone uczucie. Przeszło mu przez myśl, że powinien poszukać wspólnego mianownika dla ostatnich wydarzeń. Był rozkojarzony. Ze wszystkich sił starał się stłumić w sobie wszelkie podejrzenia. Nie zamówił lunchu, szybko opuścił pub.

Neil Tolkien miał tego dnia wyjątkowo paskudny ranek. Nie otworzył gabinetu, bo najpierw musiał uporać się z dokumentacją, a zaraz potem przyjechali policjanci, aby przyjąć od niego zeznania w sprawie wydarzeń niedzielnego wieczoru. Poczta też nie przyniosła pocieszających wieści – nadeszły wyniki badań Terry'ego i Karen Feenanów. Najczulsze testy wykonane w laboratorium College Hospital wykazały, że oboje byli nosicielami wirusa HIV. „Chryste! Co za dzień!” – westchnął w duchu czytając opis badania. Ich dziecko miało negatywny wynik, więc istniała szansa, że przyszło na świat, zanim Karen zaraziła się wirusem. Gdyby nawet udało się uratować dziewczynkę, to jej przyszłość i tak nie rysowała się w różowych barwach. Dziecko wkrótce zostanie sierotą.

Tolkien wpisał do komputera zamówienie na AZT. Zlecenie zostało przyjęte bez żadnych dodatkowych pytań. Musiał rozmawiać z tymi młodymi ludźmi w taki sposób, aby zechcieli podjąć leczenie. Obawiał się, że w tych okolicznościach, powrócą do narkotyków.

Nie było szans, aby ktokolwiek przetrwał informację o zakażeniu HIV będąc na głodzie. Terry Feenan umówił się na wizytę we wtorkowy wieczór. Do tego czasu lekarz musiał dokładnie przemyśleć tę sprawę.

Był też list z jedenastego oddziału College Hospital: Harry Harrison podczas hospitalizacji nabawił się zapalenia oskrzeli. Wdrożono leczenie, ale pacjent miał pozostać na oddziale dłużej, niż planowano. „Im dłużej, tym lepiej” – pomyślał Tolkien. Pani Harrison dostanie w prezencie kilka wolnych dni.

Było już wpół do dwunastej, gdy lekarz wyszedł na wizyty domowe. Tego dnia musiał odwiedzić czworo pacjentów. Troje z nich było stałymi klientami, ale czwarte wezwanie pochodziło od Angeli Bell. Coś się musiało przytrafić Madeline. Gdy przyjechał, Angela wyglądała nerwowo przez okno.

– Tak się cieszę, że pan przyszedł – powiedziała. – Maddy nie wraca do zdrowia.

Tolkien wszedł za nią do przestronnego, wywietrzonego pokoju, w którym leżała Madeline. Dookoła łóżeczka były porozrzucane zabawki, a na ścianie wisiała historyjka obrazkowa o trzech białych misiach. Madeline, spokojna i bardzo blada, leżała na boku. Jedną ręką wystawała spod kołdry i Tolkien zauważył, że dziewczynka była spocona. Lekarz usiadł na krawędzi łóżka i odgarnął włosy z twarzy dziecka.

– Co się dzieje? – zapytał łagodnie.

Nie oczekiwał od niej odpowiedzi. Matka podała mu niezbędne szczegóły. Madeline jeszcze poprzedniego wieczoru czuła się dobrze. Dopiero w nocy pojawiła się wysoka gorączka i wymioty. Nad ranem, gdy wciąż nie było poprawy, a dziecko nie chciało jeść, Angela zadzwoniła po lekarza.

– Dobrze pani zrobiła – powiedział Tolkien, osłuchując Madeline. – Rzekłyście, nie ma poprawy. Czy wykupiła pani lek, który przepisałem?

– Oczywiście.

Nie musiał pytać, czy podała go dziecku. Angela Bell była najbardziej staranną i opiekuńczą matką, jaką znał.

– Sądę, że powinniśmy położyć małą do szpitala – rzekł wreszcie Tolkien.

Angela popatrzyła na lekarza z przestraszaniem.

– Czy to konieczne? – spytała. – Gdyby powiedział mi pan, co mam robić, sama opiekowałabym się małą.

Tolkien pokręcił głową.

– Maddy wymaga hospitalizacji – nalegał. – Kiedy wszystko jest pod ręką, lekarze poradzą sobie w każdej nieprzewidzianej sytuacji.

– Czy to aż tak poważne? – zapytała Angela.

– Madeline jest chora, a infekcje dróg oddechowych i płuc u dzieci z zespołem Downa są bardziej odporne na leczenie niż u innych.

Angela Bell zakryła twarz dłońmi i odwróciła się od łóżeczka, aby jej córka nie widziała, że matka ma łzy w oczach. Tolkien starał się ją uspokoić.

– Nie wiem, co zrobiłabym bez mojego dziecka – szlochała.

– Im szybciej odwieziemy ją do szpitala, tym lepiej dla niej i dla pani – odparł Tolkien.

– Telefon jest w korytarzu – powiedziała Angela. – Zapakuję trochę rzeczy Madeline.

Już po dziesięciu minutach przed domem zatrzymała się karetka. Dwóch uprzejmych sanitariuszy przeniosło dziecko do samochodu. Pomogli też lekarzowi uspokoić zdenerwowaną matkę, która wsiadła z nimi do ambulansu. Tolkien obiecał, że pojedzie za karetką. Po drodze zastanawiał się, dlaczego nastąpiło tak gwałtowne pogorszenie. Był pewny, że gdy badał dziecko w gabinecie, miało ono zaledwie łagodną infekcję górnych dróg oddechowych, a przepisana ampicilina zazwyczaj wystarczała do usunięcia bakterii z organizmu. Z pewnych, nie znanych mu przyczyn, antybiotyk przyniósł niewielki lub żaden skutek. Niezwykły przypadek. Poprosi w szpitalu o udostępnienie wyników najnowszych badań.

Pielęgniarka z oddziału pediatrycznego, korpulentna, bezpośrednia osóbką, zapewniała małym pacjentom poczucie bezpieczeństwa, a i rodzice darzyli ją zaufaniem. Gdy Tolkien rozmawiał z lekarzem dyżurnym, przywitała się z Angelą i pomogła ułożyć Madeline w łóżeczku. Tolkien przekazał wszystkie dane na temat choroby dziecka, kładąc nacisk na fakt nagłego pogorszenia stanu zdrowia Madeline.

– To się czasami zdarza u dzieci z zespołem Downa – odparł lekarz. – Są radosne jak skowronki, a za chwilę trzeba walczyć o ich życie.

– Ampicilina nie przyniosła żadnej poprawy – dodał Tolkien.

Lekarz przytaknął.

– Podamy jej próbnie cefaleksynę.

Gdy Tolkien wrócił z apteki szpitalnej, Madeline leżała w łóżeczku po pierwszej dawce antybiotyku. Lekarz zaproponował Angeli, że odwiezie ją do domu, ale ona nie chciała opuścić szpitala. Dopiero gdy do rozmowy włączyła się oddziałowa, przekonali ją wspólnie, że Maddy jest w dobrych rękach. Pielęgniarka przyrzekła solennie, że zawiadomi Angelę, gdyby stan dziecka się zmienił.

W drodze powrotnej Tolkien starał się wytłumaczyć Angeli, że Madeline wkrótce wróci do zdrowia, ale jego słowa miały bez echa. Angela Bell była bardzo nerwową osobą. Tolkien odwiózł ją do domu i pojechał prosto do gabinetu.

Akurat przywieziono popołudniową pocztę. Lekarz przygotował sobie na lunch kilka kanapek z serem i herbatę, usiadł za biurkiem i otworzył po kolei wszystkie listy. Przeważały informacje o lekach, znalazł też kalendarz reklamy i zaproszenie na seminarium dotyczące nowoczesnej terapii cukrzycy, gdzie zapewniano na przynętę zimny bufet i wino. Dostał też list, w którym powiadomiono go, że pacjent, którego w zeszłym tygodniu skierował do szpitala, zmarł na skutek powikłań pooperacyjnych. Nazywał się Kincaid.

– Cholera! – warknął Tolkien poznając nazwisko. – Ojciec Jamesa Kincaida.

Po tym wszystkim dziennikarz zupełnie stracił zaufanie do lekarzy. Ostatni list załamał go zupełnie. Testy Mary Golightly wypadły pozytywnie, mąż zdążył ją zarazić wirusem.

Kincaid jeszcze raz sprawdził zapisany na kartce adres przewodniczącego rady, mimo że znał go na pamięć. Miał niewielkie szanse na rozmowę, ale postanowił spróbować. Nie umówił się telefonicznie na spotkanie, ponieważ zamierzał działać przez zaskoczenie.

Dom, wybudowany w stylu wiktoriańskim, stał w przepięknym ogrodzie, założonym wiele lat temu, gdy zatrudnianie ogrodników nie było jeszcze takim luksusem jak obecnie. Większość posadzonych krzewów rozrastała się swobodnie, bo współczesna koncepcja ogrodnictwa zalecała jedynie założenie odpowiedniej liczby trawników i dogłądanie bujnie pleniącej się roślinności. Na podjeździe stały dwa samochody: ciemnozielony rover i ford. Kincaid przypuszczał, że poszukuje właściciela pierwszego wozu. Szedł wyżywaną alejką i choć wydawało mu się, że jego kroki robiły mnóstwo hałasu, to nikt z mieszkańców domu najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi i nacisnął dzwonek.

Otworzyła mu jasnowłosa nastolatka, która starała się powstrzymać młodego, złotawego labradora, próbującego skoczyć na gościa.

Kincaid uśmiechnął się przyjaźnie i pogłaskał rozbawionego szczeniaka.

– Bardzo pana przepraszam – powiedziała dziewczynka, odrzucając do tyłu bujne włosy.

– Nic się nie stało – odparł Kincaid. – Czy zastałem pana Gilmore’a?

– Tak. Jak mam pana przedstawić? – grzecznie zapytała, strofując niesfornego psa.

– James Kincaid.

Dziewczynka wróciła po chwili prowadząc swobodnie, acz kosztownie, ubranego mężczyznę, który prawdopodobnie był jej ojcem. Miał na sobie spodnie i luźny sweter. Przystojny i zamożny człowiek.

– Nazywam się Gilmore – powiedział. – Nie przypominam sobie, abym miał okazję pana poznać.

– Nie znamy się – przyznał Kincaid. – Jestem dziennikarzem. Byłem w okolicy, a ponieważ przygotowuję materiał o zaletach nowego systemu opieki zdrowotnej, zastanawiałem się, czy nie znalazłby pan kilku chwil na nie zobowiązującą rozmowę.

– To niezgodne z zasadami – powiedział Gilmore. – Wszystkie prośby o udzielenie wywiadu powinny być składane w sekretariacie rady.

– Rozumiem – uśmiechnął się pogodnie Kincaid. – Przepraszam za najście. Złożę podanie, tak żeby wszystko było załatwione formalnie.

Jeszcze raz uśmiechnął się i odwrócił do wyjścia. Postawił wszystko na jedną kartę. O czym w tej chwili myślał Gilmore? Był dumny ze swojej pracy, z zajmowanego stanowiska, a skromna reklama w prasie nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Kincaid już wchodził w bramę, gdy usłyszał za plecami:

– Panie Kincaid! Proszę zaczekać. Nie będziemy się spierać o detale. Czy wystarczy panu dziesięć minut?

– To bardzo uprzejme z pana strony.

Wprowadzono go do pomieszczenia urządzonego na kształt wiktoriańskiego salonu. Ściany ozdabiały piękne obrazy, a na meblach ustawiono cenne bibeloty. Kincaid uważnie im się przyjrzał, ale nie znalazł motywu łączącego kolekcję. Właściciel zapewne rzadko gościł w domu, ale znajdował czas, by niekiedy spędzić godzinę lub dwie w otoczeniu dzieł sztuki. Ściany były pokryte ciemnym aksamitem. W równych odległościach połyskiwały pozłacane ramy ciemnych, ponurych malowideł, a wspaniały, zabytkowy zegar ustawiony w kącie, tykał regularnie. Poza tym nic nie mąciło ciszy. Gilmore, który kilka minut temu przeprosił Kincaida i bez słowa wyjaśnienia wyszedł z salonu, wrócił i usiadł dostojnie za ogromnym, stylowym biurkiem ustawionym przy oknie.

– Więc, panie Kincaid? – uśmiechnął się szeroko. – Co chciałby pan wiedzieć?

– Szczerze mówiąc interesuje mnie tylko jedna sprawa: dlaczego rada tak chętnie oddała cały zarząd w ręce Londynu? – zapytał Kincaid uprzejmie.

Uśmiech zniknął z twarzy Gilmore’a. Patrzył na Kincaida na poły wściekły, na poły zaskoczony pytaniem.

– O co naprawdę panu chodzi? – zapytał podniesionym głosem. Nie czekał nawet na odpowiedź. – To Wheatfield, prawda? To on pana nasłał? Opaśły, spierniczały dupek!

Kincaid patrzył zdumiony reakcją Gilmore’a. Starał się przerwać potok słów i gdy wreszcie udało mu się wtrącić, zapytał:

– Kto to jest Wheatfield?

Gilmore w jednej chwili zorientował się, że powiedział zbyt wiele i starał się zbagatelizować swój wybuch. Po chwili, już spokojnie, rzekł:

– Nie mam pojęcia, po czyjej stronie pan gra, Kincaid, ale niech pan wie, że nasza rada jest zdolna do podejmowania suwerennych decyzji i, Bóg mi świadkiem, w pełni to wykorzystujemy. Nie ma mowy o oddaniu władzy Londynowi ani komukolwiek innemu. Pacjenci naszego regionu mają najlepszą opiekę w kraju, więc, zamiast mieszać się w politykę, mógłby pan o tym napisać.

– Gordon Fields był rekomendowany przez Londyn, prawda?

– Tak, ale...

– Charles French? Paul Schreiber? Też londyńskie rekomendacje?

– Tak, ale musi pan pamiętać, że nowy system działa na zasadach eksperymentu. Budżet regionu nie wytrzymałby takiego obciążenia. Mamy dużo szczęścia, że to właśnie nam przydzielono dodatkowe fundusze. Gdyby zostały skierowane, powiedzmy, do Surrey... Sam pan rozumie, nie zobaczylibyśmy ani centa. A myślę, że duże inwestycje są warte niewielkiej kontroli.

– Rozumiem – przytaknął Kincaid.

Gilmore był zaskoczony tak łatwą kapitulacją Kincaida. Zawiesił głos, aby w końcu powiedzieć:

– Teraz zna pan prawdę. Przede wszystkim leży nam na sercu dobro naszych pacjentów.

– Rzeczywiście – uśmiechnął się przyjaźnie Kincaid, wstając z krzesła. – Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan swój cenny czas.

– To była prawdziwa przyjemność – odparł szarmancko Gilmore. Wróciła mu pewność siebie, pochlebiało łatwe zwycięstwo.

– Jeszcze jedno, panie Gilmore – odwrócił się nagle Kincaid. – Czy to rada powołała doktora Suttona?

– Kogo?

– Doktora Suttona.

– Przykro mi, ale to nazwisko nic mi nie mówi – odparł Gilmore. – A nie potrafię panu powiedzieć, czy rada nie udzieliła mu poparcia pod moją nieobecność.

– Oczywiście – uśmiechnął się Kincaid. – Jeszcze raz dziękuję.

Gilmore odprowadził gościa do drzwi i skinął przyjaźnie, gdy dziennikarz odwrócił się od bramy.

Kincaid wszedł do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonił do College Hospital. Nakręcił numer oddziału Eve i poprosił ją do telefonu.

– Słucham – usłyszał jej głos.

– Cześć! Tu Jim. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale właśnie miałem spotkanie z Gilmore'em.

– Nie wierzę. Jak ci się udało?

– Eve, chyba miałaś rację, to śmierdząca sprawa.

– Doprawdy?

– Zdobyłaś listę członków rady? – zapytał Kincaid.

– Poczekaj chwilę.

W słuchawce usłyszał szelest papieru. Zaraz potem Eve jednym tchem wyliczyła ciąg nazwisk. Gdy skończyła, Kincaid był rozczarowany.

– Nie ma Wheatfielda? – zapytał.

– Był – odparła Eve.

– Co to znaczy!

– Earnest Wheatfield był członkiem rady, ale cztery miesiące temu złożył rezygnację.

– Dlaczego!

– Względy zdrowotne.

– Masz jego adres?

– 117, Manor Drive.

– Dzięki. Do zobaczenia.

Jadąc na Manor Drive, Kincaid czuł się wspaniale. Rzucono mu kolejne wyzwanie, znowu podjął rękawicę. Zastanawiające, jak często, ostatnimi czasy, podzielał zdanie Eve. Tym razem również przyznał jej rację: rada niespodziewanie łatwo, wręcz chętnie, oddała władzę w obce ręce. Nie zastanawiał się nad tym do czasu rozmowy z Gilmore'em, póki nie wymienił głośno listy ostatnich nominacji. Cały nadzór nad infrastrukturą szpitala i administracją medyczną znajdował się obecnie poza zasięgiem miejscowych władz. Trzech ludzi kierujących College Hospital: Fields – dyrektor szpitala, Schreiber – kontrolujący system komputerowy i French – dyrektor działu farmaceutycznego, otrzymali nominacje

z Londynu, bez rekomendacji rady. Niedługo dołączy jeszcze czwarty – Sutton, który zajmie się sprawami ludzi upośledzonych umysłowo. Kolejna londyńska nominacja, o której Gilmore nawet nie słyszał.

Earnest Wheatfield mieszkał na parterze starej willi podzielonej pomiędzy trzech lokatorów. W przedsionku stał wózek inwalidzki. Kincaid nacisnął dzwonek. Otworzyła mu starsza kobieta.

– Czy zastałem pana Wheatfielda? – zapytał Kincaid.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Kincaid. Jestem dziennikarzem.

– Dziennikarzem? – zaniepokoiła się. – A czegoż dziennikarz może chcieć od Earnesta?

– Chciałbym z nim porozmawiać o działalności rady.

– Ach tak – westchnęła kobieta. Mówiła powoli, jakby ważąc każde słowo. – Panie Kincaid, mój mąż nie czuje się najlepiej i nie chciałabym go niepotrzebnie niepokoić.

– Rozumiem panią. Nie mam zamiaru go denerwować.

Kobieta starannie rozważyła jego słowa, zanim podjęła decyzję. Wreszcie powiedziała:

– Proszę poczekać.

Minęły dwie minuty, gdy wróciła i zaprosiła go do środka:

– Pan Wheatfield przyjmie pana.

Gdy wszedł, Earnest Wheatfield leżał w łóżku. Kincaid ujrzał silnego, postawnego mężczyznę z wypiekami na twarzy i bujną czupryną mlecznosiwych włosów opadających na czoło. Na stoliku obok łóżka stały leki, butelka soku pomarańczowego i trzy starannie obłożone książki. W zasięgu ręki był elektryczny dzwonek. Wheatfield sprawiał wrażenie człowieka, który często z niego korzystał.

– Czego pan chce? – zapytał cierpko.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego bez mrugnięcia okiem oddajecie władzę w ręce Londynu? – zapytał Kincaid.

Wheatfield odrzucił w tył głowę i zaniósł się śmiechem. Zaraz potem dostał ataku kaszlu, a w drzwiach od razu pojawiła niespokojna pani Wheatfield. Spojrzała oskarżycielsko na Kincaida.

– Prosiłam pana – powiedziała.

Jej mąż wracał do siebie i ruchem ręki kazał żonie odejść.

– Dlaczego dopiero teraz? – zapytał.

– Dopiero teraz?! – powtórzył za nim Kincaid.

– Jest pan pierwszą osobą, która zadaje mi to pytanie. Więc pytam, dlaczego dopiero teraz?

– Pracuję w Londynie – odparł niepewnie Kincaid.

– Ach, sprytny londyński żurnalista? He?

– Nie miałem pojęcia o tej sprawie.
– Nasza szanująca się rada dla zdrowia poświęciła samą służbę zdrowia. Paradoksalne, prawda? – powiedział Wheatfield z uśmiechem, który dodał sarkazmu jego słowom.

Kincaid czekał na dalszy ciąg.

– To właśnie, tylko w bardziej oględny sposób, powiedział mi nasz przewodniczący, gdy zapytałem go, co się, u diabła, dzieje – kontynuował starzec.

– Gilmore?

– Ten sam.

– A pan mu nie uwierzył?

– Wierzyć? Jemu? Greedy’emu Gilmore’owi? Wolne żarty.

– Ale sam przewodniczący nie może podejmować takich decyzji – zauważył Kincaid.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Wheatfield. – Miał za sobą Sandersona i Stannera.

– Dlaczego oni przystali na taki układ? – zapytał Kincaid.

– Ma pan pióro?

Kincaid skinął głową i wyciągnął notes.

– Gilmore ma przyrodniego brata. Nazywa się Frank Kennedy. Zna pan to nazwisko?

– Budowniczy?

– Brawo. Niech pan teraz zapyta, kto otrzymał kontrakt na wybudowanie przychodni.

– Frank Kennedy?

– Jak pan to zgadł?! Teraz przejdźmy do wyposażenia i konserwacji karetek. Zna pan Sanderson Motors?

– Ale on nie mógłby...

– Oczywiście, że nie mógłby. Sanderson sprzedał interes. Nie wolno by mu było pracować w obu firmach ze względu na konflikt interesów.

– To dlaczego...?

– Sprzedał go dopiero wtedy, gdy był pewien zawarcia kontraktu, co podniosło wartość jego udziałów w firmie o ponad czterdzieści tysięcy funtów.

– Może pan to udowodnić? – zapytał Kincaid.

Wheatfield pokręcił głową.

– Niestety, nie bardziej niż to, że Stanner ma finansowe powiązania z Northern Foods, który zaopatruje szpitalną stołówkę w College Hospital.

– Czy mówił pan o tym komukolwiek? – zapytał Kincaid.

– Tylko tym szczerom prosto w nos, nigdy publicznie. Nie jestem bogatym człowiekiem i nie mogę im niczego dowieść, więc mają mnie w garści.

– Nigdy nie próbowali pana przekupić?

Wheatfield przeklął siarczyście i powiedział:

– Jeden raz. Jakiś elegancik w dwurzędowym garniturze podszedł do mnie na parking, obejrzał mój stary samochód i powiedział, że człowiek na takim stanowisku i z taką pozycją społeczną powinien jeździć nowiutkim roverem, a nie

takim starym gratem. Do stu tysięcy diabłów! Zapytałem go, czy coś sugeruje, a ten gówniarz beczelnie odparł, że gdybym pomógł im gładko przeprowadzić niektóre uchwały, oni pomogliby mi uwierzyć w cuda i nasza współpraca przyniosłaby spore korzyści obydwu stronom.

– Co pan odpowiedział?

– Że nie znam jego zasad gry, ale jeżeli w tej chwili nie zostawi mnie w spokoju, to zabiorę mu jego wypicowany nesaser z zamkiem cyfrowym i roztrząsam na tym pustym łbie.

Kincaid uśmiechnął się, mając przed oczami tę scenę. Wheatfield zaniósł się kaszlem. W drzwiach znowu stanęła jego żona.

– Myślę, że powinien pan już pójść, panie Kincaid – powiedziała.

Dziennikarz skinął głową i podniósł się. Żona Wheatfielda odprowadziła go do drzwi.

– Harry już nigdy nie będzie taki jak przedtem. Praca w radzie nadszarpięła mu zdrowie. Od tamtej pory chyli się coraz bardziej.

– Przykro mi – rzekł cicho Kincaid. – To miły człowiek.

– I dobry – odparła równie cicho żona.

Kincaid, nieco zdezorientowany i wciąż niepewny, jak powinien postąpić, usiadł za kierownicą. Prawdę mówiąc, przez ostatnich kilka godzin odkrył więcej przestępstw i korupcji niż przez wszystkie lata swojej dotychczasowej pracy. Nie był bynajmniej z tego powodu zadowolony – to zbyt deprymujące. Kolejny przykład oszustwa i zakłamania, powszechnego już nie tylko w krajach Ameryki Południowej, przyjmowanego przez ludzi bez żadnego sprzeciwu. A może taka właśnie była ludzka natura, może nigdy nie było inaczej? Może uczciwość i zaufanie to tylko puste słowa, a prawdziwe życie opierało się na kłamstwie i bezwzględnej walce o byt, w której przetrwa tylko najsilniejszy?

– Doskonale, Kincaid – przeklął pod nosem. – Ty cyniczny skurwielu.

Kincaid umówił się z Eve o siódmej wieczorem. Przed kolacją poszli na małego drinka. Opowiedział jej o wszystkich spotkaniach i o Wheatfieldzie.

– Zamierzasz o tym napisać? – zapytała Eve.

– Najpierw musiałbym zebrać dowody na poparcie oskarżeń Wheatfielda.

– Chyba można to zrobić?

Kincaid przytaknął.

– Tak sądzę, ale problem leży gdzie indziej. Nie wiem, czy gra jest warta świeczki.

– Ty zapewne sądzisz, że nie – powiedziała Eve.

– Nie jestem pewny – rzekł po namyśle.

– O co ci chodzi?

– O syndrom *qui pro quo* – odparł Kincaid.

– Wytłumacz mi.

– Według Wheatfielda, przynajmniej trzech spośród członków rady bierze łapówki. Tylko od kogo? I co oni dają w zamian?

- Jak to co? Nieograniczoną kontrolę nad lecnictwem – odparła Eve.
- Ale dlaczego? Kto ich opłaca?
- Rząd – odparła Eve.

Kincaid zmierzył ją wzrokiem. Dziwnie się czuła pod tym spojrzeniem.

– I tu jest problem? – zapytał Kincaid. – Jak można sugerować, że rząd opłaca władze lokalne, aby trzymały się z dala od ich programu, który ma zapewnić regionowi najlepszą opiekę zdrowotną w kraju?

- Patrząc w ten sposób, to rzeczywiście jest problem – zgodziła się Eve.
- To nie ma najmniejszego sensu.

– A może Wheatfield coś pokręcił. Sam mówiłeś, że on jest chory – zasugerowała Eve.

– Chory, ale nie upadł na głowę – odparł Kincaid. – Poza tym Gilmore wił się jak piskorz, gdy tylko poruszyłem ten temat.

– Może rząd naprawdę daje łapówki – powiedziała Eve. – Ale to nie Rover Cars zaopatruje administrację rządową.

- Racja.
- Więc jeśli nie rząd, to kto? – zapytała Eve.

Kincaid wzruszył ramionami.

– Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli znam odpowiedź. W niej tkwi prawdopodobnie klucz do naszej zagadki.

Eve zadrżała.

- Zimno ci? – zapytał Kincaid.

Eve uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie. Tylko trochę się boję. Sama nie wiem, dlaczego.

Kincaid ujął jej dłoń i delikatnie pocałował końce palców.

- Eve, chciałbym, żebyś wiedziała...

Dziewczyna szybko położyła palec na ustach, nie pozwalając mu skończyć.

Może to rzeczywiście nie była najlepsza pora. Kincaid spieszył się.

– Po pogrzebie wracam do Londynu. Tam spróbuję się czegoś dowiedzieć. Niedługo wrócę na komisję w sprawie Kerry. Może znalazłabyś wtedy wolną chwilę, żeby się ze mną spotkać?

Eve uśmiechnęła się.

– Oczywiście – powiedziała – bardzo bym chciała. Ale nie traćmy tego czasu, jaki nam jeszcze pozostał.

11

Następnego ranka odbył się pogrzeb Jacka Kincaida. James, Lisa i jej mąż Kevin jechali w kondukcje tuż za trumną. Kevin pocieszał Lisę, która cicho szlochała, raz po raz ocierając oczy chusteczką, a Kincaid wpatrywał się w szybę oddzielającą ich od kierowcy. Za nic w świecie nie chciał wyrzeć przez okno. Nienawidził współczujących spojrzeń ludzi przyglądających się konduktowi żałobnemu. W ich oczach czaiła się przerażająca ludzka niemoc wobec śmierci. Popatrzył na licznik, ich wóz, stary daimler, miał już czterdzieści tysięcy mil przebiegu. Kincaid chciał to przeliczyć na liczbę pogrzebów, ale szybko się poddał. Samochód w ciągu swojego żywota widział za dużo czerni, żałoby, łez i bezsilności.

Kincaid był zaskoczony widząc, jak wielu ludzi czekało w kościele, aby pożegnać jego ojca. Część z nich miała na sobie robocze kombinezony – wyrwali się na godzinę z pracy, żeby przyjść na pogrzeb starego Kincaida. Pastor Neil Rees nie omieszkiał wspomnieć, jak bardzo szanowanym i podziwianym człowiekiem był zmarły Jack Kincaid.

Kincaidowi podobała się ceremonia. Pastor ubrał w piękne i wzruszające słowa suche fakty, z którymi zapoznał go Kincaid w czasie wizyty na plebanii. Sprawiał wrażenie, jakby znał zmarłego osobiście i razem z przyjaciółmi oplakiwał stratę, jaką spowodowała jego śmierć. Lisa z przekonaniem kiwała głową za każdym razem, gdy pastor wymieniał imię ojca.

Co nie bez znaczenia, gdy większa część ceremonii odbywa się pod gołym niebem, pogoda dopisała. Lejący się na trumnę deszcz nie napełniłby serc żałobników nadzieją. Jack Kincaid został pochowany przy akompaniamencie świergotu ptaków, na oświetlonej promieniami słońca polanie, gdzie łagodny wiatr poruszał gałęziami cicho szumiących drzew. Kincaid opuścił cmentarz ze spokojnym sumieniem. Spełnił wolę ojca.

Gdy ostatni uczestnicy uroczystości zniknęli za bramą, Kincaid zwrócił się do Nigela Reesa:

– Piękna uroczystość. Jestem bardzo wdzięczny.

Podał pastora rękę. Rees zawahał się przez chwilę, ale podjął wyciągniętą dłoń. Kiedy Kincaid chciał już odejść, pastor powiedział:

– Mam nadzieję, że pańska matka czuje się dobrze.

Dziennikarz zatrzymał się w pół kroku i nie odwróciwszy nawet, powiedział:

– Może pastor spać spokojnie. Nie żyje.

Kincaid miał zamiar wsiąść do samochodu, gdzie czekali na niego Lisa i Kevin, gdy kątem oka zauważył Julie, swoją byłą żonę. Stała przy otwartych drzwiach samochodu po przeciwnej stronie drogi i spoglądała na niego jakby zastanawiając się, czy Kincaid ją pozna. Poprosił Lisę, żeby na niego poczekali i przeszedł na drugą stronę.

– Nie myślałem, że przyjedziesz – powiedział. Nie potrafił prowadzić kurtazyjnej rozmowy z kobietą, z którą kiedyś łączyło go tak wiele.

– Sporo ludzi przyszło na pogrzeb Jacka – zauważyła Julie.

– Prawda? Pięknie go pożegnali.

– Pięknie. – Julie była zdenerwowana. Kincaid widział, że ktoś czeka na nią w samochodzie. Schylił się, aby zająrzeć do środka. Za kierownicą siedział mężczyzna w jasnej marynarce i nerwowo bębnił palcami po kierownicy. Miał na głowie czapkę, która zawsze kojarzyła się Kincaidowi z beztrudnymi weekendami spędzonymi na wsi. Julie powiedziała cicho:

– Poznajcie się. Jim, to jest Mark. Mark, to Jim.

Kincaid przywitał się. Mark skinął tylko głową i zdobył się na mdły uśmiech. Odruchowo spojrzął na zegarek i stwierdził:

– Julie, chyba powinniśmy już jechać.

Kincaid wyprostował się i zwrócił do Julie:

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że Kerry zostanie wkrótce zbadana przez następną komisję.

– To wspinała nowina – odparła Julie, wsiadając do samochodu. – Napisz mi, co u niej słychać. Muszę już lecieć.

Kincaid otworzył usta, aby coś dodać, ale zrezygnował. Nie było sensu, Julie za bardzo oddaliła się od niego.

– Uważaj na siebie – rzekł na pożegnanie.

Julie zatrzasnęła drzwi i pomachała do niego zza szyby. Mark włączył silnik. Kincaid skinął ręką, odwrócił się i poszedł do samochodu, gdzie czekali na niego Lisa i Kevin.

– To była Julie? – zapytała Lisa.

– Tak.

– Miło, że przyjechała.

– Tak.

O ósmej Kincaid spotkał się z Eve i opowiedział jej o pogrzebie. Była zadowolona słysząc, że tak wielu starych przyjaciół i kolegów darzyło starego Jacka

Kincaida szacunkiem i sympatią. James również był rad z tego powodu. Przepuszczala, że będzie w ponurym nastroju, ale myliła się. Uroczystości pogrzebowe zostały zakończone, pochował swojego ojca zgodnie z jego wolą, wszystko poszło gładko, więc siedział obok niej rozluźniony i spokojny.

- Nasz ostatni wieczór – powiedziała Eve.
- Niedługo wrócę – zapewnił ją Kincaid.
- Mam nadzieję.
- Uwierz mi. – Popatrzył na nią czule i otoczył ramieniem.
- Dokąd jedziemy? – zapytała, gdy zaprowadził ją do samochodu.
- Nad morze.
- Poważnie? – uśmiechnęła się z niedowierzaniem.
- Poważnie – odparł. – Zapowiadają pogodną noc, jest pełnia księżyca, więc pojedziemy do małego hotelu przy plaży. To niecała godzina drogi stąd. Już zamówiłem tam stolik. Co ty na to?
- Wspaniale – odparła Eve. – Naprawdę tego chcesz? To znaczy twój ojciec i to wszystko...
- Chcę – odparł krótko.

Spędzili w restauracji ponad dwie godziny, a potem poszli na długi spacer nad brzegiem morza.

- Cudowne miejsce – szepnęła Eve.
- Specjalne miejsce – dodał Kincaid. – Przywożę tutaj tylko specjalne osoby.
- Piękny komplement.
- Odkryłem tę wieś przypadkowo, gdy miałem dwadzieścia lat. Postanowiłem, że to będzie mój sekret. Mój i specjalnych osób, które tu zapraszam. Większość mieszkańców nie ma pojęcia, że takie miejsce w ogóle istnieje i chciałbym, żeby tak pozostało.

Przez chwilę szli w milczeniu, gdy nagle Eve zapytała:

- Pewnie przywiozłeś tu także swoją żonę?
- To dawne czasy. Widziałem ją dzisiaj. Przyjechała na pogrzeb.
- Spóźnione żale?
- Nie – odparł Kincaid.
- Na pewno?

Kincaid zatrzymał się i pocałował Eve.

- Na pewno – powiedział.
- Uważaj na siebie w Londynie. Na dobrą sprawę nie wiemy, w jakie bagno zabrnąłeś.

- Będę uważał – przyrzekł Kincaid.
- Spójrz na księżyc! – zawołała Eve, wdrapując się na szczyt wydmy.

Kincaid zatrzymał się na górze.

- Przyjechałem tutaj przed pierwszym wyjazdem do Londynu – powiedział. – Chciałem zatrzymać w sobie ten widok, zachować go w sercu, zapamiętać umyślnie i duszą i przywoływać za każdym razem, gdy będę samotny.

- Rozumiem cię.
- Znasz wiersz Matthew Arnolda „Dover Beach”?
- *Morze spokojne w tę noc...*?
- Właśnie ten. – Kincaid ucieszył się, że łączy go z Eve nie porozumienia. – Jest przepiękny. Idealnie pasuje do tego miejsca.
- Spoglądali na tarczę księżyca odbijającą się jasną plamą na wodzie. W pewnej chwili Kincaid zapytał:
 - Czy ktokolwiek w szpitalu wie, że się spotykamy?
 - Nikomu o tym nie mówiłam – odparła. – Dlaczego pytasz?
 - To dobrze. Myślę, że będzie bezpieczniej, jeżeli tak zostanie. Nie chciałbym, żeby kolarzono cię ze mną w przypadku, gdybym zdenerwował pewnych ludzi.
 - Jeżeli uważasz, że to najlepsze rozwiązanie...
 - Na wszelki wypadek – odparł Kincaid.
- Przeszli kilka kroków.
 - Dużo o tym wszystkim myślałam – powiedziała Eve. – Dziwny zbieg okoliczności: pies Anny Keats zginął dokładnie wtedy, gdy zainteresowała się sprawą Greta Marsh. Nie zastanawiałeś się nad tym?
- Poczuł dziwny ucisk w żołądku. Kilkakrotnie przyszło mu na myśl, że to zaskakująca zbieżność zdarzeń, ale nie dopuszczał do siebie myśli, że było to coś więcej niż tylko przypadek. Teraz Eve przypominała mu o sprawie.
 - Dlaczego tak sądzisz? – zapytał.
 - Załóżmy na chwilę, że to nie banda bezmyślnych dzieciaków zabiła jej psa.
 - Mów dalej. – Im dłużej o tym myślał, tym większe przerażenie go ogarniało.
 - Załóżmy, że to było ostrzeżenie pod adresem Anny Keats. W ten sposób zasugerowano jej, aby trzymała się z dala od Greta.
 - A od kogo miałyby pochodzić to ostrzeżenie? – zapytał podchwytliwie Kincaid. Miał nadzieję, że przekona nie tylko Eve, ale i własne sumienie.
 - Nie wiem.
 - Trudno mi wyobrazić sobie Gordona Fieldsa biegającego z siekierą za psem.
- Poza tym Anna Keats dostrzegłaby jakiś związek pomiędzy tymi sprawami.
 - Niekoniecznie. Ktoś musiałby jej to wyjaśnić.
 - Nic nie mówiła o żadnych groźbach i ostrzeżeniach – powiedział Kincaid.
 - I nie powie, jeśli się boi – zauważyła Eve.
 - To prawda. Będę musiał się zastanowić nad tą sprawą – odparł Kincaid.
 - Ale nie teraz – powiedziała Eve.
 - Nie, nie teraz.

Było wpeł do czwartej nad ranem, gdy Kincaid pożegnał się z Eve i ruszył w drogę powrotną do swojej willi. Rozgwieżdżone niebo przykryły ciężkie chmury, a gdy opuszczał rogatki miasta, zaczął padać deszcz. Nacisnął hamulec wjeżdżając na wąski wiadukt przerzucony nad głębokim wąwozem.

Prowadzono tu roboty drogowe, więc na nasypie stały ciężkie maszyny, a na obydwu końcach mostu umieszczono znaki ostrzegawcze. W strugach deszczu

zalewających białą karoserię samochodu Kincaid dostrzegł czerwone światło. Zatrzymał się i czekał, dopóki plama nie zmieniła koloru na zielony. Dopiero wtedy zwolnił hamulec i wprowadził lancie na wąski podjazd między wysokim nasypem a niewielkimi plastikowymi słupkami.

Znalazł się na szczycie podjazdu, gdy nagle oślepiły go potężne reflektory. Umieszczone wysoko nad ziemią, nie mogły należeć do samochodu osobowego.

– Idiota – warknął, sądząc, że po drugiej stronie wiaduktu zaparkowała duża ciężarówka, a kierowca zostawił włączone długie światła. – Idiota! – powtórzył raz jeszcze.

Kilka razy włączał ostrzegawczo długie światła, aby zasygnalizować roztrąnionemu kierowcy powstały problem, ale nikt nie reagował. Reflektory w dalszym ciągu biły go po oczach. Oślepiiony, przesłonił twarz ręką.

Zwolnił. Wtem zauważył, że światła z naprzeciwka nie są nieruchome. One się poruszały! Jechały wprost na niego!

– Do jasnej cholery! – zaklął. – Co się dzieje? – W uszach miał tylko równomiernie narastający szum pracującego diesla. – Do stu tysięcy...

Urwał w pół słowa. Wyłączył silnik i obejrzał się za siebie, lecz nie widział nic poza ciemnością zamykającą mu drogę odwrotu. Znowu spojrzął przed siebie. Pojazd tarasujący drogę to nie była ciężarówka, tylko koparka z JCB.

– Pieprzony żartowniś! Co on, do jasnej cholery, wyprawia! – Kincaid odpiął pasy bezpieczeństwa i już zamierzał wysiąść, żeby napyskować temu kierowcy z bożej łaski, gdy zobaczył opuszczone szczęki koparki.

– Co do diabła... – Z całej siły wcisnął klakson. – Ślepy jesteś? Baranie! – wrzasnął, ile sił w piersiach, ale koparka nie zatrzymała się. Jechała z tą samą prędkością i z każdą sekundą zbliżała się do niego. Kincaid zdążył jeszcze przeraźliwie krzyknąć, gdy stalowe ramię dosięgło samochodu. Lancia ustępowała pod naporem jak dziecinna zabawka. Samochód odwrócił się i został zepchnięty na nasyp.

W ostatnim przebłysku świadomości Kincaid starał się otworzyć boczne drzwi, ale znajdowały się zbyt blisko nasypu. Między nimi a balustradą zostało zaledwie kilka centymetrów przestrzeni. Wóz zatrzymał się, zamknięty w pułapce między dwoma potężnymi, napierającymi blokami. W powietrzu unosił się smog spalin z diesla. Kierowca ustawił silnik na najwyższe obroty, aby z tym większą siłą naciskać na samochód.

Kincaid usiłował otworzyć drzwi od strony pasażera. Odblokował je, lecz w tej samej chwili samochód znalazł się w powietrzu, a zaraz potem z hukiem uderzył bokiem o ziemię. Kincaid, upadając, wyrznął się w głowę. Ból był przejmujący, ale ogarnięty panicznym strachem zignorował go. Jeszcze raz sięgnął ręką do drzwi. Zablockowały się po uderzeniu. Desperacko nacisnął przycisk uruchamiający automatyczne otwieranie okien. Szyba drgnęła, ale w tym samym momencie silnik warknął głośniejsze, a powietrze wypełnił ostry zapach spalin. Ostatnią szansą ucieczki były tylne drzwi. Samochód zakotyłał się na krawędzi nasypu i Kincaid jeszcze raz runął na podłogę, choć tym razem tę część samochodu stanowiły drzwi kierowcy.

Sekundy dzieliły go od tragedii, gdy wreszcie wyęzając wszystkie siły, powodowany panicznym strachem, zdołał otworzyć drzwi. Nie zwlekając wyczołgał się z kabiny samochodu, a wóz tracąc środek ciężkości, przechylił się poza krytyczną granicę i jak na zwolnionym filmie, powoli przetoczył się przez krawędź nasypu i przekoziółkował w dół, rozbijając się o skały wąwozu.

Kincaid zawisł na złamanej barierce. Za wszelką cenę chciał utrzymać równowagę. Szukał pod stopami jakiegoś wystającego kamienia. Przez chwilę sądził, że udało mu się opanować sytuację, lecz zdradliwa podpora usunęła się nagle spod nóg i Kincaid zaczął się obsuwać. Rozpaczliwie zagarniał rękami powietrze, szukając jakiegokolwiek oparcia. Wtem dotknął prawą ręką gładkiego, okrągłego stalowego pręta będącego częścią rusztowania. Chwycił się go jak ostatniej deski ratunku i zawisł na jednej ręce.

Słyszał cichnący ryk silnika koparki. Ze wszystkich sił starał się uchwycić pręta drugą ręką i po dwóch nieudanych próbach, za trzecim razem udało mu się tego dokonać. Pozwolił sobie na kilka chwil odpoczynku, chociaż wisiał jak cyrkowiec na trapezie, a wokoło panowała przerażająca, głucha cisza. Powyżej zgasły światła koparki. W dolinie zawodził wiatr.

Sama świadomość, że kierowca mógłby podejść na skraj drogi, spojrzeć w dół i zobaczyć go wiszącego na pręcie, sprawiła, że Kincaidowi serce podeszło do gardła. Kolejna porcja adrenaliny dostała się do krwiobiegu i Kincaid zdołał zarzucić nogi na pręt. Zawisł w tej pozycji, odciążając zmęczone ręce. Jak miś koala, przesuwiał się po pręcie, a kiedy wreszcie usiadł na rusztowaniu, usłyszał nad głową kroki. To kierowca stanął nad przepaścią. Czy uwierzy, że jego ofiara zginęła spadając z wiaduktu?

Kincaid zamarł. Bał się, że każdy oddech, każde uderzenie serca może zdradzić jego obecność. Wąski pręt boleśnie wrzynał się w skórę ud, ale nie śmiał wykonać najmniejszego ruchu.

Przestało padać i niebo nad nim znowu było usiane gwiazdami. Daleko stąd, w świetle księżyca ujrzał na niebie iskrzącą się jak srebrna nitka Mleczną Drogę. Wrak jego samochodu leżał na dnie wąwozu niczym nie chciana zabawka zmiotczona butem rozczarowanego dziecka. Tylko metalowy pręt uratował go od śmierci. Mimowolnie zacisnął na nim pięści. Usłyszał nad głową od dalające się kroki, a potem szcęk otwieranych drzwi. Kierowca wrócił do kabiny.

Kincaid spojrział w górę, na kamienny łuk wiszący kilka metrów na jego głowę i w duchu podziękował Bogu. Silnik koparki ożył, a to oznaczało wolność. Czuł, jak powraca mu krążenie w stopach, gdy czołgał się po rusztowaniu. Uznał, że bezpieczniej będzie oddalić się od uszkodzonej części konstrukcji. Przyczaił się na najbardziej odległym krańcu rusztowania i opuścił kryjówkę dopiero wtedy, gdy usłyszał hałas odjeżdżającej maszyny.

Silnik zamilkł w oddali, lecz Kincaid jeszcze przez chwilę tkwił w ukryciu. Po kilku minutach wyszedł spod łuku i chwycił żerdź zamocowaną pod sklepieniem. Poprawił uchwyt i sprawnym ruchem dosięgnął krawędzi balustrady, ostatkiem sił wydostając się na drogę. Bardziej niż fizyczne cierpienie doskwierało

mu wyczerpanie psychiczne. Dostał mdłości i nie starał się powstrzymać gwałtownych wymiotów. Opróżnił już cały żołądek, gdy, ciągle klęcząc na drodze, usłyszał dźwięk nadjeżdżającego pojazdu. Podniósł głowę i zobaczył radiowóz z błyskającą, niebieską lampką na dachu.

Podeszło do niego dwóch policjantów, a widząc ich spojrzenia, Kincaid wyobraził sobie, w jak marnej musi być kondycji. Miał na sobie podarte, ubrudzone ziemią ubranie i klęczał w kałuży własnych wymiocin.

– Tak jak mówili – powiedział jeden z policjantów. – Złodziej to złodziej. Nie ma poczucia przyzwoitości.

– Cóż to? Kompani zostawili cię na pożarcie? – zapytał szyderczo drugi.

– O czym pan, do diabła, mówi? – warknął Kincaid.

– Harry! Popatrz jakie niewiniątko!

– Na pewno z narażeniem życia starał się powstrzymać te nędzne kreatury.

Jeden z policjantów pochylił się i spojrział Kincaidowi prosto w oczy.

– Wpadłeś, bracie – syknął przez zaciśnięte zęby – Więc chociaż bądź rozsądny. Z kim pracowałeś?

Złość narastająca w Kincaidzie znalazła ujście w gwałtownym ataku kaszlu. Zdażył tylko warknąć:

– Idioci!

– Wstawaj, draniu! – Jeden z policjantów złapał go za kark.

Mimo wyczerpania, Kincaid znalazł w sobie dość siły, aby oprzeć się atakowi.

– Zabieraj te brudne łapy, kretynie! – krzyknął, lecz gdy obaj policjanci rzucili się na niego i brutalnie wykręcili prawe ramię na plecy, poddał się.

– Opór przy aresztowaniu! To łachudra! – powiedział jeden z policjantów wzmacniając ucisk.

– Nic nie rozumiecie! – Kincaid aż zwił się z bólu. – Ktoś właśnie próbował mnie zabić. Zepchnął mój wóz z wiaduktu i mało brakowało, żebym w nim siedział.

– Samochód? Jaki samochód?

Policjant zwolnił ucisk, rozejrzał się wokoło i podszedł do zniszczonej balustrady.

– Ostrożnie! – krzyknął drugi.

Kincaid już się nie szamotoł. Policjant spojrział w dół i wzdygnął się przerażony widokiem.

– Jezu Chryste! On nie kłamie. Tam naprawdę leży jakiś wrak – powiedział.

Drugi z policjantów puścił tymczasem Kincaida i odwrócił się do kolegi.

– Co tu się stało? – zapytał stając za nim.

Kincaid wyprostował się i niespiesznie otrzepał kurz z ubrania.

Opowiedział im, kim jest i co wie o całym zajściu. Policjanci spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

Musieli przyjechać z kierunku, w którym odjechał kierowca koparki.

– W takim razie musieliście go mijać – stwierdził Kincaid.

- Znaleźliśmy koparkę. Stoi w przydrożnym rowie.
- A kierowca?
- Kabina była pusta.
- Niech to szlag. Za kogo mnie wzięliście? – zapytał Kincaid.
- Za członka gangu – przyznał jeden z policjantów.
- Gangu?
- Gangu zajmującego się kradzieżami dużych maszyn. To poważny interes. Ma pan pojęcie, ile kosztuje jedna koparka z JCB?
- Nigdy nie interesowało mnie kupno takiego sprzętu – odparł lodowato Kincaid.
- Gangi kradną je na jednym krańcu kraju, a sprzedają na drugim. Taki interes przynosi złodziejom krociowe zyski.
- Rozumiem. A wy sądziliście, że tutaj dokonano kradzieży?
- To prawie pewne. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak pan się znalazł w samym centrum operacji. Musiał pan wjechać na most, zanim wystawili znaki.
- Znaki? – zapytał Kincaid.
- Tak. Zawsze wystawiają znaki objazdu po obu stronach drogi i w ten sposób mogą spokojnie, bez przeszkód, kraść. Dlatego tu jesteśmy. Ktoś zadzwonił na komisariat, żeby zapytać o nowy objazd, o którym my nic nie wiedzieliśmy. Przyjechaliśmy na miejsce, żeby sprawdzić, co tu się dzieje i, tak jak powiedziałem, znaleźliśmy w rowie koparkę, a później zauważyliśmy pana. Myśleliśmy, że jest pan jednym z miejscowych i należy do gangu.
- Kincaid nie odezwał się.
- Czy przypadkiem nie zauważył pan twarzy żadnego z tych bandytów?
- Kincaid pokręcił głową.
- Mam wrażenie, że był tu tylko jeden. Nie widziałem go, bo oślepił mnie długimi światłami.
- Przypuszczam, że było ich więcej, sir. Ktoś musiał pilnować drogi po obu stronach. Potrzebowali też kierowcy transportera.
- Transportera?
- Na koparkę, sir. Taka maszyna to nie jest specjalnie szybki pojazd.
- Ani koparka, ani transporter. Mam nadzieję, że zawiadomiliście już radiowozy?
- Od razu, sir, gdy tylko znaleźliśmy koparkę.
- Kincaid podszedł chwiejnym krokiem do balustrady i spojrzął w dół, gdzie na dnie wąwozu leżał wrak jego samochodu.
- Byli gotowi zabić mnie tylko dlatego, że stałem się mimowolnym świadkiem kradzieży? – zapytał z niedowierzaniem.
- Ludzie zabijają często ze znacznie bardziej błahych powodów, sir. Uważam, że miał pan wiele szczęścia.
- Kincaid odwrócił się i zmierzył wzrokiem policjanta.
- Prawda? Bardzo wiele.

Policjanci odwieźli Kincaida do domu, lecz jazda samochodem, w którym śmierdziało plastikowymi ubraniami ochronnymi i środkami odkażającymi spowodowała, że powróciły nudności, a rytmiczne staccato policyjnego radia przerywane co chwila powtarzanymi beładnie sylabami doprowadzało Kincaida do obłędu.

Z przyjemnością wysiadł przed domem i zaczerpnął świeżego powietrza. Policjanci obiecali, że w razie postępu w śledztwie natychmiast go powiadomią i zajmą się holowaniem wraka lancii. Kincaid podał im niezbędne dane wynajętego samochodu i z ulgą zamknął za nimi drzwi.

Oparł się ciężko o futrynę i stał tak, dopóki sygnał radiowozu nie umilkł w nocnej ciszy. Odetchnął i podszedł do kredensu, gdzie trzymał whisky.

Nalał do szklanki sporą porcję trunku i wypił go jednym haustem. Wypełniające go ciepło uspokoiło zmęczony organizm. Nalał kolejną szklaneczkę i wszedł na piętro, żeby wziąć gorącą kąpiel. Był tak zmęczony, że zdjęcie ubrania wydawało mu się wysiłkiem ponad ludzkie siły. Skoncentrował całą swoją energię na tej z pozoru prostej czynności, a i tak przez dłuższą chwilę walczył z koszulą nie mogąc jej ściągnąć z siebie. Gdy wreszcie zauważył, że nie rozpiął jednego guzika, szarpnął z furią i oderwany guzik poszybował w powietrze.

Z rozkoszą zanurzył się w gorącej wodzie. Po umęczonym ciele rozlało się kojące ciepło, uspokajając zszarpane nerwy. Leżał nieruchomo pozwalając, aby woda delikatnie opływała jego ciało.

Uporczywie powracały do niego słowa policjanta. Czy to miało sens? Prawdopodobnie tak, ale Kincaid nie potrafił się z tym pogodzić. Niedawno rozmawiali z Eve o psie Anny Keats i teraz jedna myśl nie dawała mu spokoju: jeżeli, tak jak sugerowała policja, po obu stronach drogi stali ludzie, to musieli mieć ze sobą kontakt drogą radiową, więc jak mogli przeoczyć jego samochód i postawić znaki objazdu, kiedy Kincaid znajdował się na zamkniętym odcinku trasy?

Nie umiał znaleźć żadnej logicznej odpowiedzi, a jedyny prawdopodobny scenariusz wydarzeń przyprawiał go o zawrót głowy: znaki objazdu postawiono właśnie dlatego, że on był w środku. Celowo postawiono je w tym miejscu, celowo postawiono je w tym czasie, a celem ataku nie były żadne maszyny, ale właśnie on. Ktoś chciał go zabić!

Zadrżał na samą myśl o tym. Kto chciał pozbawić go życia? I dlaczego? Wyjrzał przez okno łazienki. Oni, kimkolwiek byli, wciąż przebywali na wolności. Czy aby na pewno zamknął drzwi wejściowe? Na dworze wciąż panowały egipskie ciemności. Jakże pragnął wschodu słońca.

Uspokoił się nieco, gdy przyszło mu do głowy, że jego oprawcy sądzą, iż leży martwy pod wiaduktem. Miał nad nimi przewagę. Wyszedł z wanny i wytarł się. Kiedy coś robił, czuł się bezpieczniej. Nie położył się spać – sen musiał poczekać. Wsiądzie do pierwszego pociągu jadącego na południe, do Londynu.

Gdy tasiemcowe Inter-City ruszało w kierunku Londynu, Kincaid wciąż rozmyślał nad wydarzeniami ostatniej nocy. Powoli wzbierała w nim złość – wszystko to było wyjątkowo głupie i pozbawione sensu. Jeżeli ktoś zamordował psa

Anny Keats tylko po to, żeby zamknąć jej usta, to równie dobrze wypadek na torach kolejowych mógł być pierwszą próbą zamordowania Kincaida. Tylko jedno pytanie: dlaczego? Przecież nikt nie nastawałby na jego życie, aby chronić karierę Claire Affric i uniknąć skandalu! Takie rozważania prowadziły do absurdalnych wniosków.

On sam obiecał, że nie zrobi niczego, co mogłoby pokrzyżować plany lekarzy. Więc po co mieliby go zabijać? Chyba że podążał w swoich rozważaniach w złym kierunku, a motyw postępowania jego oprawców były zupełnie inne. Tylko dlaczego nie wiedział, jakie? A może chodziło o Gilmore'a i jego kolegów z rady? Czy zdobyliby się na morderstwo tylko dlatego, że ktoś węszył wokół ich brudnych interesów?

Gdy wyrzał przez okno, nad polami wstawał świt. Nie, to nie byli ludzie Gilmore'a. Ci, którzy chcieli go zlikwidować, stali po drugiej stronie barykady. Zapewne doszli do wniosku, że zanadto zbliżył się do spraw, o których jeszcze nie miał pojęcia. Musiała to być gruba, bardzo gruba sprawa. Na tyle gruba, że warta zabójstwa i szantażu. Kto za tym stał? Nareszcie pytanie, na które mógł szukać odpowiedzi. To byli ludzie, którzy kontrolowali *Northern Health Scheme*, czyli... Rząd Jej Królewskiej Mości?! Ciemne chmury przysłoniły jasną tarczę słońca i świat w jednej chwili poszarzał. Kincaid poczuł się zupełnie bezsilny.

Właśnie wyszedł ostatni zapisany na ten dzień pacjent i Tolkien mył ręce nad umywalką, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Stanęła w nich pani Harrison, jeszcze bardziej słaba i krucha niż dotychczas.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że pani czeka – przeprosił Tolkien.
- Nic nie szkodzi, doktorze. Właśnie wracam ze szpitala.
- Jak się czuje Harry? – zapytał lekarz.
- Umarł dzisiaj wieczorem – odparła pani Harrington łamiącym się głosem.

Bardzo współczuł tej kobiecie. Powinien był zauważyć, że jest załamana. Straciła męża, najważniejszego dla siebie człowieka, który przez wiele lat ich wspólnego życia wypełniał cały jej świat.

- Tak mi przykro – powiedział. – Szpital jeszcze mnie nie powiadomił.
- To się stało dopiero godzinę temu. Przyszłam prosto do pana.
- Rozumiem – odparł.
- W szpitalu kazali mi tu przyjść.

Tolkien skinął głową.

– Dam pani środek nasenny, a jutro z samego rana przyślę kogoś z opieki społecznej, kto pomoże załatwić niezbędne formalności.

- Dziękuję, doktorze.

Tolkien czuł, że staruszka potrzebuje człowieka, który znalazłby chwilę czasu, żeby z nią porozmawiać. Miał dzisiaj dyżur w centrum odwykowym, ale ufął, że koleżdy wybaczą mu niewielkie spóźnienie.

- Może napiłaby się pani herbaty? – zaproponował.

Wstał od biurka i przeszedł do pomieszczenia obok, aby włączyć elektryczny czajnik, ustawiony obok małego sterylizatora.

Gdy wrócił, pani Harrison uśmiechnęła się lekko.

– Harry był wspaniałym człowiekiem – zaczęła. – Wszystkie dziewczęta zażyczyły mi, gdy szłam z nim ulicą.

Tolkien dostrzegł dumę w jej oczach. Wyobraził sobie, jak piękną musiały być kobietą.

– Powinien go pan widzieć w mundurze: wysoki, prosty jak struna, a jaki przystojny. Nauczył się życia, Niemcy go nauczyli. Nawet teraz widzę, jak paraduje ulicą z torbą przewieszoną przez ramię, gwizdząc pod nosem *Brytyjskich grenadierów*, a za nim biegnie chmara dzieciaków i wszyscy równo maszerują. Dzieci go ubóstwiały.

– Nie mieliście własnych dzieci? – zagadnął Tolkien.

– Nie – odparła pani Harrison kręcąc głową. – Ja nie mogłam, a Harry miał tak nieregularną pracę, że nikt nie chciał dać zgody na adopcję.

– Szkoda – powiedział Tolkien.

– Harry byłby doskonałym ojcem.

– A pani doskonałą matką – odparł Tolkien. Tak jak dla Harry’ego była pani najlepszą żoną. O lepszej nie mógłby nawet śnić.

– Opuściłam go, gdy mnie najbardziej potrzebował – wyszeptala ze smutkiem.

– Nieprawda – stanowczo powiedział Tolkien. – Proszę mi wierzyć. Wiem, co mówię.

Pani Harrison uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Może za jakiś czas... powiedziała cicho. – Dziękuję za wszystko, co pan dla nas zrobił.

– Jeżeli kiedykolwiek chciałaby pani ze mną porozmawiać, to wie pani, gdzie mnie znaleźć – powiedział na pożegnanie Tolkien. Dał jej proszki nasenne i odprowadził do drzwi.

Zapisał w notesie, aby jutro z samego rana skontaktować się z działem socjalnym. Wprowadził do komputera zapis o śmierci Harry’ego Harrisona. Dotychczas nie znał bezpośredniej przyczyny zgonu – musiał poczekać na informację ze szpitala. Zamknął drzwi i pojechał do kliniki odwykowej.

W klinice ruch był większy niż zwykle. Artykuły na temat śmierci Golightly’ego obudziły tkwiące głęboko w ludzkiej podświadomości obawy, mimo że temat, unikany przez media, nie powodował niepokoju w społeczeństwie, a każdy odsuwał tę dręczącą myśl daleko od siebie.

Tolkien był, jak zawsze, przerażony poziomem wiedzy młodych ludzi na temat AIDS i sposobów przenoszenia wirusa. Wciąż pokutował poglądem, że choroba dotyka wyłącznie osób o orientacji homoseksualnej. Opornie przyjmowano wiadomość, że wirus nie zna podziału na płcie i nie kieruje się tym kryterium przy doborze swoich ofiar, i że równie łatwo można się zarazić zakażoną krwią i sper-

mą. Nie wdawał się w filozoficzne rozważania. Ważna była tylko prosta informacja: nie używać brudnych igieł i stosować prezerwatywy.

Terry Feenan zjawił się tuż po dziewiątej, gdy poczekalnia była już opustoszała. Tolkien od razu przekazał mu złe wieści.

– No i po wszystkim – szepnął Feenan. – Karen i ja niedługo umrzemy. Klamka zapadła.

– Dziecko jest zdrowe – powiedział Tolkien, wyciągając z rękawa jedyne go asa. – Musicie się nią opiekować.

– Dlaczego? – zapytał gorzko Terry. – Cholera jasna! Dlaczego?

– Rzecz w tym – odparł spokojnie Tolkien – że część zakażonych wirusem HIV pacjentów przeżywa nawet pięć lat od zakażenia. Przez ten czas wiele może się zmienić. Wciąż trwają poszukiwania skutecznego leku. Nie możecie się poddać, jesteście to winni swojej córce.

Terry Feenan rozpaczliwie pragnął uwierzyć w słowa lekarza.

– Naprawdę pan sądzi, że znajdzie się lekarstwo? – zapytał Feenan.

– Najlepsze laboratoria pracują nad tym, a pięć lat to szmat czasu – odparł Tolkien.

– Karen tego nie wytrzyma – powiedział cicho Terry.

– To twoje zadanie, nie wolno ci spudłować. Jest pewien preparat, nazywa się AZT. On nie leczy, ale hamuje postęp choroby. Chcę, abyście do razu rozpoczęli kurację, a potem zostaniecie skierowani do College Hospital. W porządku?

Feenan skinął głową. Wziął z ręki lekarza opakowanie leków.

– Jeszcze jedno. Czy Karen dalej... no, wiesz... Jak ona zarabia na życie? – zapytał Tolkien.

Feenan popatrzył na lekarza.

– Nie – powiedział. – Już nie. Odkąd zaczęła brać metadon.

– To dobrze. Teraz ma to większe znaczenie niż przedtem, żeby tam nie wracała.

Feenan tylko skinął głową i wyszedł.

Był to ostatni czwartek miesiąca, a tego dnia Tolkien i jego koledzy spotykali się po pracy na dyskusji klinicznej. Tym razem wnioski płynące z wystąpień lekarzy były nader przygnębiające. Zarejestrowana liczba chorych zakażonych wirusem HIV osiągnęła najwyższą dotąd liczbę. Profilaktyka AIDS wymagała podjęcia bezprecedensowej decyzji – odstawienia u pacjentów narkotyków.

– Według naszych danych czterdzieści procent narkomanów zażywających heroinę jest przyjmowana do kliniki jako HIV-plus – stwierdził Gavin Mitchell.

– Czy w tej grupie są też prostytutki? – zapytał Tolkien.

– Tak. Te, które równocześnie są uzależnione – odparł Mitchell. – Jeżeli chodzi o prostytutki, to najbardziej optymistyczne dane mówią o piętnastu, dwudziestu procentach zakażonych kobiet w naszym mieście.

– Bomba z opóźnionym zapłonem – powiedziała cicho Mary Cunningham. Tolkien i Mitchell zgodnie pokiwali głowami.

– Może powinniśmy rozesłać te informacje do wszystkich internistów w mieście, aby ich ostrzec, że wirus pojawi się w naj bliższym czasie w populacji heteroseksualnej – zasugerował Tolkien.

– Jeżeli już się nie pojawił – dodał Mitchell.

– A jak się mają nasi pacjenci zakażeni wirusem? – zapytał Tolkien.

– Nie najlepiej – odparł Mitchell. – Wszyscy, którzy przez ostatnie pół roku zostali skierowani przez nasze centrum do College Hospital, teraz mają już choroby wskaźnikowe dla AIDS.

– Wszyscy? – zapytali razem Tolkien i Mary Cunningham.

– Niestety.

– Mogę prosić o bliższe dane? – zapytał Tolkien.

Mitchell zerknął do notatek i oświadczył:

– Szesnastu – zapalenie płuc, jedenastu – gruźlica, dwóch – posocznica o nie ustalonej etiologii.

– Zgony?

– Dziesięć – odparł Mitchell.

– Dziesięć na dwudziestu dziewięciu pacjentów w ciągu sześciu miesięcy – podsumował Tolkien.

– Wygląda na to, że narkomani są znacznie bardziej podatni na szybki rozwój choroby niż reszta populacji – powiedział Mitchell.

– Prawdopodobnie chodzi tu o ogólne osłabienie układu odpornościowego – odparła Mary Cunningham.

Mitchell i Tolkien milcząco potwierdzili jej słowa.

Tolkien spojrzął na zegarek, dochodziła jedenasta. Przeciągnął się w fotelu i mruknął:

– To był piekielnie męczący dzień.

– Zdaje się, że w najbliższym czasie nie zabraknie nam pracy – zauważyła Mary Cunningham. Nikt nie próbował zaprzeczyć.

12

Prosto z dworca Kincaid pojechał do redakcji. Padał ulewny deszcz i przemókł do suchej nitki, szukając w kieszeni drobnych na taksówkę. Choć wiedział, że to prawie niemożliwe, nie chciał w tej chwili widzieć nikogo prócz Fletchera. Przechodząc przez pokój redakcyjny, którądy wiodła jedyna droga do gabinetu naczelnego, nie mógł ominąć kolegów i współpracowników. Odetchnął głęboko, pchnął drzwi i zdecydowanym krokiem ruszył przez salę.

Przyjmował serdeczne powitania i oznaki sympatii ze strony kolegów. Starał się zachowywać uprzejmie, ale nie przystanął ani na chwilę. Szczęście go nie opuszczało – wyszedł z opresji obronną ręką. Skierował się wprost do gabinetu Fletchera.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział Fletcher wstając z miejsca. – Przykro mi z powodu twojego ojca. – Serdecznie uściśnął jego dłoń.

– Dziękuję. Musimy porozmawiać.

Fletcher był zaskoczony takim pośpiechem. Przy jego biurku siedziała młoda dziewczyna, trzymając w ręku notatnik i długopis. Fletcher odwrócił się do niej.

– Proszę, Jill, zostaw nas samych.

Dziewczyna wyszła, a Kincaid usiadł na jej miejscu.

– Mam na oku pewną sprawę – powiedział.

– Dużą? – zapytał Fletcher zapalając papierosa.

– Wystarczająco dużą, aby była warta ludzkiego, konkretnie mojego, życia.

– Żartujesz? – Fletcher kolejny raz próbował zapalić papierosa.

– Nigdy nie byłem bardziej poważny.

– W takim razie dzwońmy na policję – odparł bez chwili wahania Fletcher.

Kincaid pokręcił przecząco głową.

– Chciałbym, ale na razie nie miałoby to żadnego sensu. Nie jestem w stanie dostarczyć im żadnych dowodów.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że ta twoja historia wzięła w łeb – przyznał Fletcher.

– Ja też – odparł Kincaid. – Lecz wpadłem na inny trop. Coś się tam dzieje, a wplątany w to jest i szpital, i administracja.

– Dyrektorzy? Wszystko się lepi do zachłannych paluszków?

Kincaid pokręcił głową.

– To znacznie grubsza sprawa.

Fletcher otrząsnął popiół z papierosa i powoli powiedział:

– Będziesz potrzebował pomocy. Czego ci trzeba?

– Najpierw informacji. Wszystkie materiały, jakie macie o *Northern Health Scheme*, łącznie z tymi, które zebraliście do artykułu o naszym ministrze zdrowia. Sprawdź też, czy mamy coś o Gordonie Fieldsie – dyrektorze College Hospital, Charlesie Frenchu – ekspercie od systemu komputerowego i Paulu Schreiberze, który zajmuje się działem farmaceutycznym. Aha, jest jeszcze psychiatra o nazwisku Sutton, który właśnie został mianowany na stanowisko dyrektora ośrodków psychiatrycznych. Pierwsi trzej to najprawdopodobniej urzędnicy. Może należą do stowarzyszeń naukowych.

Fletcher zanotował wszystkie wymienione nazwiska.

– Podstawowe dane o *Northern Health Scheme* i o Carlisle’u mogą dać ci już teraz – powiedział. – A co do innych? Wyznaczę specjalnych ludzi. Wygrzebią coś dla ciebie.

– Świetnie – odparł Kincaid. – Teraz jadę do domu. Muszę się przespać. Zabiorę ze sobą materiały na temat Carlisle’a.

Fletcher złożył zamówienie przez interkom. Po chwili weszła dziewczyna, która była w jego gabinecie, gdy przyszedł Kincaid, i przyniosła materiały. Kincaid wziął od niej teczkę i podszedł do drzwi.

– Hej, kolego! – usłyszał za plecami głos Fletchera.

Odrzucił się w drzwiach.

– Nie powiedziałeś mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Kincaid wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Sam nie wiem, ale czuję przez skórę wielką aferę.

Deszcz nie ustawał. Kincaid siedząc w taksówce przemierzał ulice Londynu. Gdy przejeżdżał przez Wesinster Bridge, spojrzął na Big Bena. Po raz pierwszy w życiu patrzył na gmach Parlamentu z obrzydzeniem.

Wszedł do opustoszałego od przeszło dwóch tygodni mieszkania. Śmierdziało w nim stęchlizną, było zimno i nieprzyjemnie. Włączył piecyk elektryczny i usiadł wygodnie, wsłuchując się w szum wody napływającej do rur. Zapalił lampkę stojącą na stole, aby rozproszyła panujący mrok, i włączył radio. Za oknami sunęły leniwie po niebie czarne, ołowiane chmury, a z tej perspektywy jego mieszkanie coraz bardziej przypominało dom.

Powróciła natarczywa myśl o Eve. Może powinien zadzwonić i powiedzieć jej o wydarzeniach zeszłej nocy, o tym co się stało, gdy wracał do domu? Dręczyło go to przez całą powrotną drogę, ale nie umiał podjąć decyzji. Teraz, po namyśle, zdecydował, że o niczym jej nie powie.

Z drugiej strony, obawiał się, że Eve również może być w niebezpieczeństwie. Jeżeli ktoś ważył się targnąć na jego życie, to dlatego, że w swoim śledztwie zagroził niektórym interesom. Mogło to oznaczać, że Eve nic nie grozi. Mimo to dręczyła go niepewność i po części żałował, że zostawił ją w Newcastle. Wolałby mieć ją przy sobie.

Zaparzył filiżankę mocnej kawy i otworzył akta dotyczące Carlisle'a. Wydawałoby się, że jako minister zdrowia nie powinien się zajmować codziennymi problemami reformy. Lecz przecież on był pomysłodawcą i głównym architektem systemu i temu właśnie zawdzięczał sukces i wysoką pozycję w politycznym rankingu. Możliwe, że trzymał w ręku klucz do najwyższych szczytów. Kincaid zamierzał odłożyć pracę na później i przespać się, ale akta były tak skape, że zdecydował się rzucić na nie okiem.

Fletcher miał rację: zebranie materiałów na temat Carlisle'a było sztuką nie lada. Wydawało się, że przed ośmioma laty nagle pojawił się na arenie politycznej i od razu został wybrany na kandydata do parlamentu. Dość niezwykły awans. Inni musieli zasużyć sobie na podobne wyróżnienie ciężką pracą, a i tak bardzo często często ich wysiłki kończyły się niepowodzeniem. Kłaniali się oficerom z High Street, mimo że ci ostentacyjnie ich ignorowali; wysłuchiwali bzdurnych oświadczeń zwierzchników, a wszystko to robili z promiennym uśmiechem na ustach.

Nie znalazł na ten temat słowa u Carlisle'a. Jemu dano nominację na dobry początek. W aktach było zdjęcie przedstawiające Carlisle'a tuż po ogłoszeniu werdyktu – stał na podium, z kolorowym kotylionem w klapie marynarki i unosił prawe ramię w geście tryumfu. „Bóg na Olimpie” – pomyślał Kincaid. Często oglądał podobne zdjęcia polityków. Już miał odłożyć fotografię do teczki, gdy rozpoznał w tłumie inną znajomą twarz. Przyglądał mu się kilka chwil, zanim odszukał w pamięci nazwisko tego człowieka. Mężczyzna stojący za Carlisle'em, noszący w klapie ten sam kotylion, to Charles French, ekspert od komputerów z College Hospital w Newcastle.

– Stary kumpel – szepnął Kincaid. – Proszę, proszę.

Jeszcze raz przyjrzał się postaciom na zdjęciu, ale nie znalazł tam żadnej innej znajomej twarzy. „Na początek dobre i to” – pomyślał. Dysponował tak skąpymi danymi, że każda wiadomość dotycząca Carlisle'a, z czasów zanim został wybrany do parlamentu, była na wagę złota. Do kolejnej kartki przypięto trzy zdjęcia. Na jednym Carlisle był jeszcze małym chłopcem: w letni dzień dziecko pozowało do zdjęcia w krótkich spodenkach, z wysoko podciągniętymi rękawami koszuli i uśmiechało się szeroko trzymając w rękach długą wędkę. Na drugim był już nieco starszy i stał z dumną miną jako zawodnik przed meczem rugby. Trzecie to było zdjęcie do dyplomu. Kincaid sprawdził – Carlisle ukończył historię na Uniwersytecie Cambridge.

Zastanawiające, że nie zachowały się żadne notatki ani żadne dane świadczące o wybitnych zdolnościach przyszłego ministra. Był przeciętny we wszystkich dziedzinach, nie miał żadnych przesłanek na olśniewającą karierę. Pozostała tylko jedna możliwość – późno odkryty talent.

Odkąd przekroczył progi parlamentu, jego kariera przebiegała błyskawicznie. Jak Midas, wszystko czego się dotknął, zamieniał w złoto. Mnożyły się raporty o jego osiągnięciach jako współpracownika wiceministra, a potem ministra skarbu. Następnie objął stanowisko ministra zdrowia, a opracowana przez niego reforma miała wynieść służbę zdrowia na poziom, jakim nie mogło się poszczycić żadne państwo na świecie. O tym wszystkim Kincaid wiedział wcześniej. Usiłował czytać dalej, ale oczy same mu się zamykały. Minęło wiele godzin od czasu, gdy miał okazję się przespać. W pokoju zrobiło się bardzo ciepło i przytulnie.

Tolkien odłożył słuchawkę i zaklął siarczyście. Przed chwilą otrzymał z College Hospital wiadomość o śmierci Madeline Bell. Infekcja dróg oddechowych była oporna na leczenie, rozwinęło się obustronne zapalenie płuc. Nagle nastąpiło załamanie i dziewczynka zmarła. Tolkien wiedział, że jej matka przeżyje szok na wieść o tym – Madeline była dla niej całym światem. Co za niesprawiedliwość losu. Zanotował, że musi ją odwiedzić. Ta wiadomość tak bardzo zaprzętnęła jego uwagę, że zapomniał o pacjencie czekającym w gabinecie. Otrząsnąwszy się, popatrzył ze zdziwieniem na siedzącą przed nim kobietę. Przeprosił ją za swoje zachowanie.

- Złe wieści? – zapytała ze współczuciem.
- Bardzo – odparł cicho Tolkien.

Tego ranka był wyjątkowo mały ruch. Tolkien pożegnał ostatniego pacjenta o wpół do jedenastej. Miał zamiar wyjść wcześniej na wizyty domowe, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Recepcjonistka powiedziała, że dzwoni mężczyzna, który chce rozmawiać z nim osobiście. Tolkien wzruszył ramionami i podniósł słuchawkę.

- Doktor Tolkien? Mówi Derek Hanlon z „Daily News”.

Tolkien wzniosł błagalnie oczy ku niebu. Po zabójstwie Golightly’ego miał dosyć wścibskich dziennikarzy.

- Chodzi mi o panią Golightly – odezwał się głos w słuchawce.
- Nie mam nic do powiedzenia na temat pani Golightly ani kogokolwiek innego – odparł Tolkien.
- Zastanawiam się, jak do tego doszło?
- Jak do czego doszło?
- Do śmierci.
- O czym pan, do diabła, mówi? – zapytał podniesionym głosem Tolkien.
- Chyba pana powiadomiono?
- Powiadomiono? O czym? – zapytał niecierpliwie Tolkien.
- O jej śmierci. Mary Golightly nie żyje.
- Słucham?!
- To prawda. Umarła zeszłej nocy w szpitalu więziennym w Granham.

– Sugeruje pan, że popełniła samobójstwo?
– Twierdzą, że nie – odparł Harmon. – Oficjalny komunikat mówi, że nastąpiło gwałtowne załamanie stanu zdrowia i zmarła. Po prostu chciałem wiedzieć, na co chorowała. To wszystko.

– Rozumiem – odparł Tolkien. Czuł, jakby go uderzono obuchem w głowę.
– Pomyślałem, że skoro pańska pacjentka nie żyje i nie obowiązuje pana tajemnica lekarska, to mógłby pan opowiedzieć o wydarzeniach, jakie rozegrały się w ubiegłym tygodniu.

Tolkien bez słowa odłożył słuchawkę. W centrali uzyskał numer więzienia. Gdy udało mu się uzyskać połączenie, poprosił do telefonu więziennego lekarza. Po chwili rozległ się w słuchawce zachrypnięty głos:

– Mówi Gallacher, słucham.

Tolkien przedstawił się jako lekarz Mary Golightly.

– Chciałbym znać przyczynę zgonu pacjentki – powiedział.

Gallacher zapisał numer telefonu Tolkiena i poprosił, aby lekarz rozłączył się, obiecując, że za chwilę się z nim skontaktuje. Tolkien spełnił prośbę, a po minucie rozległ się dzwonek telefonu.

Podobna procedura pozwalała na sprawdzenie tożsamości rozmówcy.

– Zmarła w przebiegu zespołu AIDS – powiedział Gallacher.

– Słucham?

– Typowy przypadek zapalenia płuc w wyniku zakażenia *Pneumocystis carini**. Podaliśmy jej duże dawki septrinu, ale poprawa nie następowała i chora zmarła dzisiaj o trzeciej nad ranem. Od ósmej przeżywalimy istne obłąkanie. Wszyscy dziennikarze czekali na sensacyjną wiadomość. Zawiedliśmy ich, dementując plotkę o samobójstwie. Wydaje mi się, że nawet po naszym oświadczeniu nie są do końca przekonani.

– Jeden z nich dzwonił do mnie – odparł Tolkien.

– Co mu pan powiedział? – zapytał Gallacher.

– Nic – odparł Tolkien. – Nie miałem o niczym pojęcia i dlatego zadzwoniłem do pana.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że wiadomość o śmierci swojej pacjentki otrzymał od jakiegoś dziennikarza.

– Wkrótce się do pana odezwiemy – powiedział Gallacher odkładając słuchawkę.

Tolkien raz po raz zmieniał pozycję na krześle, próbując zmniejszyć uporczywy ból w kręgosłupie. Z szuflady biurka wyjął kilka tabletek przeciwbólowych i połknął je. Kolejny fatalny dzień.

Wciąż myślał o Golightlym i o rozegranej tragedii. Jedna noc z niemiecką prostytutką okazała się brzemienna w skutki: choroba, morderstwo i śmierć. Zwykłą rodzinę, mieszkającą na zwykłym osiedlu, w zwykłym domu, dopadł morderczy wirus i bezlitośnie zabił.

* *Pneumocystis carini* – drobnoustrój powodujący nietypowe zapalenia płuc. Znacznie częściej występują one w populacji osób chorych na AIDS (przyp. tłum.).

Drzwi otworzyła Tolkienowi siostra Angeli Bell, która przyjechała do Newcastle kilka dni temu. Angela siedziała przy oknie, patrząc beznamiętnym wzrokiem w przestrzeń.

Puchaty dywan tłumił odgłosy kroków, lecz Tolkien przez chwilę stał przy drzwiach, aby nie zakłócić panującej ciszy. Za oknem świergotał skowronek.

– Przyszedłem – zaczął nieśmiało – żeby powiedzieć pani, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci Maddy. Chciałbym zaproponować swoją pomoc.

Angela Bell nie odwróciła się ani nie odpowiedziała mu. Tak samo jak przed chwilą wyglądała przez okno.

– Może przepiszę pani lek, który pomógłby...

– Dlaczego? – przerwała mu. – Dlaczego ona umarła?

– Rozwinęła się infekcja, której lekarze nie potrafili opanować – powiedział Tolkien.

– Może ci cholerni lekarze w ogóle nie próbowali jej pomóc?

Tolkien był zaskoczony reakcją Angeli. Ani ton głosu, ani słowa nie pasowały do wizerunku delikatnej, inteligentnej, pełnej uroku kobiety. Mówiła jak stanowcza, bezwzględna oskarżycielka, wobec której był zupełnie bezradny.

– Pani jest roztrzęsiona. Wiem, ile Maddy dla pani znaczyła, i dlatego proszę, nalegam, żeby zgodziła się pani wziąć tabletki uspokajające.

Angela Bell zignorowała słowa Tolkiena. Krzyknęła przez łyż.

– Była mongołem, więc się nie liczyła! Nie obchodziło ich, czy przeżyje, czy umrze! Jeżeli słuchałbym ich rad, Maddy w ogóle nie przysłaby na świat.

– Oczywiście, że się liczyła – odparł spokojnie Tolkien. – Wszyscy kochaliśmy Maddy, a lekarze zrobili, co w ludzkiej mocy, żeby ją uratować. Dawali leki, a gdy nie skutkowały, próbowali podać inne. Żaden ze znanych medycynie środków nie był w stanie uratować życia Maddy.

– Niech pan już idzie – powiedziała krótko Angela.

Tolkien zamilkł bezradnie. Nie potrafił znaleźć słów, które przyniosłyby jej ukojenie, nie umiał pomóc tej kobiecie. Rozejrzał się bezradnie po pokoju w poszukiwaniu natchnienia. Pod ścianą stało pianino z podniesionym wiekiem, a na pulpicie czekały otwarte nuty utworu Chopina. Tolkien poznał ten fragment. Miał w pamięci ciężką, ponurą muzykę, jej żałobne tony.

– Oczywiście – powiedział cicho. – Gdybym jednak mógł coś dla pani uczynić...

– Chcę zostać sama.

Tolkien wyszedł żałując, że w ogóle przekroczył próg tego domu. Był przekonany, że zostanie Angelę pogrążoną w żałobie, ale gorycz przebijająca z jej słów zaskoczyła go. Kregosłup dokuczał mu coraz bardziej, zwłaszcza że dołączyło do niego nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Jadąc do domu cały czas miał przed oczami przytłoczoną cierpieniem postać kobiety siedzącej przy oknie i ocierającej chusteczką wilgotne od łez oczy. Powiedziała tylko:

„Chcę zostać sama... Sama”. Nic więcej, a ileż w tych słowach było nienawiści. Starał się ją zrozumieć, była załamana. Niektórzy ludzie reagują w taki sposób, gdy nie mogą znieść tkwiącego w nich bólu, lecz zazwyczaj dość szybko dochodzą do siebie po przeżytej tragedii. Niestety, są i tacy, którzy zamykają się w sobie i starannie pielęgnują swoje cierpienie. Pozornie są spokojni, ale ból tkwi w nich głęboko i zżera ich jak rak, od środka. Znał takiego człowieka – dziennikarza, spotkał go kilka tygodni temu, nazywał się James Kincaid.

Kincaid obudził się o szóstej wieczorem, rześki i wypoczęty po długim śnie. Zadzwonił do Eve, do hotelu.

– Właśnie przyszedłam – powiedziała. – Znalazłeś coś?

– Na początek zebrałem kilka informacji o zarządzie – odparł wymijająco. Nie chciał powiedzieć Eve, że przespał większość dnia, bo wymagałoby to dalszych wyjaśnień.

– I co?

– Carlisle znał Charlesa Frencha, nowego szefa Centrum komputerowego. Stali obok siebie na pamiątkowym zdjęciu z kampanii wyborczej.

– Co z tego?

– Jeszcze nie wiem. Może nic, ale to przecież dopiero początek. A co u ciebie?

– Od jutra zaczynam pracę na bloku operacyjnym. Instrumentariuszka jest na tygodniowym urlopie, a ja ją zastępuję.

– To wspaniale.

– Tak – odparła Eve – ale trochę się denerwuję. Już dawno nie pracowałam na bloku operacyjnym.

– Poradzisz sobie – powiedział stanowczo Kincaid.

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć? – roześmiała się Eve.

– Znam ciebie – odparł Kincaid – i to mi wystarczy. Wiem, że sobie poradzisz.

– Jutro operuje Claire Affric.

– Proszę, proszę.

– Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. To jej pierwsza operacja po wypadku z Gretą.

– Będę trzymać kciuki – odparł Kincaid.

– W pewnym sensie jesteś odpowiedzialny za jej powrót – przypomniała mu Eve.

– W pewnym sensie. W każdym razie trzymam kciuki za was obie. Zadzwonię jutro.

W domu nie było ani kromki chleba, a Kincaid nie miał ochoty na samotną kolację w restauracji, zamówił więc pizzę do domu. Zanim ją przywieziono, zupełnie wystygła. Podgrzał pizzę, ale była twarda jak podeszwa, a smakiem przypominała bardziej kawałek gumy niż jakiegokolwiek jedzenie. Zjadł połowę porcji i popił puszką piwa. Uprzątnąwszy biurko, rozłożył materiały dotyczące *Northern Health Scheme*.

„Dobra robota” – pomyślał przeglądając papiery. Raport był sporządzony profesjonalnie i obok podsumowań zawierał całe wyciągi z opracowań statystycznych. Minęły dwie godziny, zanim zdołał się przez nie przebić.

Northern Health Scheme – autorski projekt ministra zdrowia Carlisle’a, wprowadzono w życie przeszło rok temu. Pierwszym ośrodkiem pracującym w tym systemie był College Hospital w Newcastle. Przed rozpoczęciem reformy szpital został zmodernizowany, a dział administracyjny skomputeryzowany. Obok College Hospital, reformę wprowadzono już w czterech innych szpitalach w regionie, a ostatnio rozszerzono program komputerowy, obejmując nim także podstawową opiekę zdrowotną w rejonie zamieszkanym przez dwa miliony potencjalnych pacjentów.

Oficjalnie publikowane zestawienia mówiły o nieco niższych kosztach leczenia chorych w College Hospital niż w innych porównywalnych ośrodkach medycznych w Wielkiej Brytanii. Zniknął problem kolejek pacjentów oczekujących na operacje. Zmalały też kolejki oczekujących na mniej skomplikowane zabiegi. Rachunki za leki były o dwanaście procent niższe niż w poprzednich latach, mimo że farmaceutyczny program komputerowy został skonstruowany w taki sposób, aby zawsze wydawać pacjentowi najlepszy, a więc często najdroższy, lek z danej grupy.

Jedno nie ulegało wątpliwości, Carlisle zasługiwał na wszystkie pochwały, którymi był obsypywany. Dokonał rzeczy graniczącej z cudem. Kincaid rzucił jeszcze okiem na zestawienie wypłat dla pracowników szpitala. Okazało się, że one również spadły w ostatnim roku. Dzięki wprowadzeniu komputerów, można było zwolnić część pracowników administracyjnych, którzy najbardziej obciążali budżet.

Kincaid machinalnie odwrócił stronę i spojrzął na zestawienie wypłat etatowych pracowników szpitala i dotacji przyznanych regionowi. Cyfry pokrywały się. Spojrzął jeszcze raz. Nie mogło być mowy o pomyłce. Sumy przyznane szpitalowi na wypłaty były rozdzielane pomiędzy wszystkich pracowników. Nigdzie nie znalazł adnotacji na temat dodatkowych pieniędzy z funduszu centralnego na wypłaty dla ludzi zatrudnionych w związku z wprowadzeniem reformy w rejonie objętym działalnością College Hospital. Nie istniały żadne pieniądze dla „Londyńczyków”, jak mawiała o nich Eve. Nie było też ani słowa o innym budżecie, z którego by pokrywano tego typu wydatki.

Kincaid aż zadrzał z podniecenia. Szybko wytłumaczył sobie, że to jeszcze nie dowód, że nie wolno mu wyciągać zbyt pochopnych wniosków, że dane, które zostały zebrane przez szeregowego pracownika gazety, nie miały ani wartości, ani mocy prawnej dokumentu. Jedyne, co mógł w tej chwili powiedzieć, to: zestawienia roczne dotyczące reformy nie obejmowały kosztów zatrudnienia specjalistów, pieniędzy, które przekazywano na ten cel bezpośrednio z Londynu. Rozległ się dzwonek u drzwi.

Hałas tak przestraszył Kincaida, że podskoczył na krześle. Potrzebował czasu, aby dojść do siebie po wydarzeniach po przedniej nocy.

– Kto tam? – zapytał przez domofon.

– Fletcher.

– Wejź! – Kincaid nacisnął guzik domofonu.

Zanim Fletcher dotarł na trzecie piętro, Kincaid zdążył jeszcze raz rzucić okiem na rozłożone na biurku papiery. Zakreślił na wydruku fragment dotyczący wypłat.

– Te schody zabiją mnie któregoś dnia – wysapał Fletcher.

Był czerwony na twarzy, a prawą ręką trzymał się za serce.

– Wejź – zaprosił go Kincaid.

– Kiepsko wyglądałeś w biurze. Pomyślałem, że wpadnę i zapytam, co u ciebie.

– Miło z twojej strony. Czego się napijesz?

– Poproszę gin z tonikiem.

Kincaid przygotował drinka i podał go Fletcherowi.

– A ty?

– Nie teraz – odparł Kincaid.

– Więc? Co u ciebie?

– Imponujące – powiedział Kincaid wskazując na opracowania. – Kto przygotowywał te materiały?

– Judy Grimble. Bystra dziewczyna. Znasz ją?

– Raczej nie. Wiesz, skąd wzięła dane na temat kosztów leczenia?

– Chyba z raportów parlamentarnych.

– Jesteś pewien? – Kincaid znowu poczuł na ciele dreszczyk emocji.

– Nie, nie jestem, ale zaraz się dowiem. Mogę skorzystać z telefonu?

Zadzwoił do redakcji i poprosił o domowy numer Judy Grimble. Od razu podniosła słuchawkę.

– James Kincaid chciałby zamienić z tobą kilka słów – powiedział podając Kincaidowi słuchawkę.

– Czytałem twój raport o *Northern Health Scheme* – zaczął Kincaid. – Kawał dobrej roboty.

– Dzięki. W czym mogłabym pomóc?

– Chodzi mi o dane dotyczące wydatków szpitala w przeliczeniu na jednego pacjenta. Skąd je wzięłaś?

– Z raportów parlamentarnych autoryzowanych przez Carlisle’a.

– Na pewno?

– Oczywiście. Czy coś się nie zgadza?

– Nie, wszystko w porządku – powiedział. Podziękował jej za pomoc i rozłączył się. Opowiedział Fletcherowi o swoim odkryciu, ale on nie podzielał entuzjazmu Kincaida.

– Po prostu. Opuścili w zestawieniu trzy pensje. Zwykła pomyłka. Żadna wielka sprawa – skwitował wywód Kincaida.

– Ale... Nie rozumiesz? To wierzchołek góry lodowej. Wiem, że Fields dostaje pieniądze wprost z Londynu. Może nie tylko Fields, ale także dwaj pozostali. Jeżeli nie podają sum, które płyną z budżetu na konto reformy, to nigdy nie dowiemy się, ile ona naprawdę kosztuje.

– Nie rozumiem, dlaczego mieliby zaniżać koszty? To wszystko nie ma sensu. Zwłaszcza że planują rozszerzyć reformę.

– Na razie nie znam odpowiedzi, ale znajdę ją.

– Zadzwoń rano do ministerstwa i zapytaj, ile pieniędzy przeznaczono w budżecie na reformę.

– Tak właśnie zrobię.

– Aha, moi ludzie wygrzebali jakieś informacje na temat jednego z tych twoich facetów.

– Charlesa Frencha?

– Skąd wiesz? – zapytał Fletcher.

Kincaid pokazał mu pamiątkową fotografię, którą znalazł poprzedniego wieczoru.

– Od razu go poznałem, to szef centrum komputerowego w College Hospital.

– Byli na jednym roku w Cambridge, tylko że to French należał do prymosów. Otrzymał wyróżnienia w dziedzinie matematyki i fizyki. Był przewodniczącym Klubu Konserwatystów. Wydawało się, że kariera jest jego przeznaczeniem.

– I co się stało?

– Problemy z policją. French był radykałem i przysparzał swoim kolegom kłopotów. Zawadzał im i w końcu opuścił klub zakładając własne stronnictwo nazywane Grupą Schillera. Miał sporo zwolenników, a Grupa została oficjalnie zarejestrowana.

– Nigdy o nich nie słyszałem – odparł Kincaid. – Czy oni jeszcze działają?

– Nie – powiedział Fletcher. – W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku Grupa Schillera zaprosiła na wykłady południowoafrykańskiego, oczywiście białego, polityka. Gdy dowiedzieli się o tym lewicowcy, zorganizowali demonstrację, na której jeden z lepszych strzelców trafił gościa zgniłym pomidorem prosto w twarz. French wpadł w furję i ruszył w pościg za chłopakiem. Musiał stracić panowanie nad sobą, bo gdy go dopadł, bił bez litości. Potrzeba było kilku osiłków, żeby ich rozdzielić. Kiedy wreszcie odciągnęli Frencha, leżący na ziemi skatowany student nie miał już jednego oka. Dosyć długo był potem w szpitalu. French, oczywiście, został postawiony przed sądem, ale udało mu się wymigać.

– Do diabła! Jak on to zrobił?

– Sędzia postanowił uznać całe zajście za „studentki wybryk” i to wystarczyło. Na ławie oskarżonych siedział przecież zdolny student, który spokojnie i rzeczowo przeprosił za swoje zachowanie. W wyroku napisano, że największą karą dla młodego Frencha będzie brzmienie winy spoczywające do końca życia na jego barkach.

– Chyba nie ciąży mu zbyt mocno.

– Bóg raczy wiedzieć. Wiemy tylko, że ta sprawa zamknęła Frenchowi drogę do kariery politycznej. Okaleczył człowieka, występując w obronie południowoafrykańskiego polityka, a tego nie można puścić w niepamięć. Rozwiązano Grupę Schillera i French zszedł z areny. Nie porzucił jednak swoich politycznych

ambicji, ale zadowolili się miejscem w drugim szeregu. Pewnie w ten sposób znalazł się w sztabie wyborczym Carlisle'a.

- A gdzie pracował do tej pory? – zapytał Kincaid.
- Przy komputerach. Miał doskonale prosperującą firmę zajmującą się oprogramowaniem.
- Jak się nazywała?
- Deltasoft.
- To dlaczego znalazł się w College Hospital? – zastanawiał się głośno Kincaid.
- Może jego firma opracowuje programy na użytek reformy, a on nadzoruje pracę systemu? – zasugerował Fletcher.
- I siedzi tam ponad rok? – zapytał Kincaid.
- To był tylko pomysł.
- Dlaczego taki zdolny człowiek, posiadający własną firmę, angażuje się w niepewny program reformy służby zdrowia? – Kincaid głośno myślał. – To nie ma sensu.
- Wielu szanujących się biznesmenów zajmuje się działalnością charytatywną – powiedział Fletcher.
- Szczególnie gdy w grę wchodzi prestiż – dodał Kincaid.
- Może to jest właśnie prawidłowa odpowiedź? Firma Frencha dwa razy z rzędu zdobyła nagrodę królowej w dziedzinie przemysłu. Dodaj do tego odrobinę ludzkiej wrażliwości, wymieszaj dokładnie i co otrzymasz? „Gratulacje, sir Charles”. Zwłaszcza gdy w rządzie masz kumpla ze szkolnych lat, który robi błyskotliwą karierę. Myślę, że znaleźliśmy odpowiedź na twoje pytanie. Oto i pensja Frencha. Może on po prostu pracuje za darmo?
- Może – odparł bez przekonania Kincaid. Musiał się nad tym zastanowić. – A co z innymi? Fields? Schreiber? Sutton?
- Spokojnie. Zajmiemy się wszystkimi.

Kiedy Fletcher wyszedł, Kincaid wyjął kolejne notatki, rozłożył je na biurku, przygotował sobie drinka i zabrał się do pracy. Cały czas rozważał słowa Fletchera. Czy to jest klucz do całej sprawy?

Czy właśnie dlatego French wyjechał na północ? Jednego był pewny: nie robił tego bezinteresownie. Człowiek z jego wykształceniem, perspektywami i poglądami, nie wyjeżdża do takiej dziury tylko dlatego, żeby przysłużyć się ludzkości. Lecz jeżeli nie chodziło mu o tytuł, to w takim razie o co? Pieniądze? French już miał dochodową firmę, chociaż nawet to nie gwarantowało uczciwych zamiarów.

Kincaid starał się nadać swoim rozważaniom konkretny kierunek i w ciemno postawił na korupcję. W grę wchodziło jeszcze oprogramowanie. Jeśli było dziełem Frencha, to opracowanie go musiało przynieść Deltasoft krociowe zyski. Tylko że programy powstały już dawno i nie było żadnego powodu, dla którego French musiałyby siedzieć w szpitalu tak długo. Chyba że... chyba że były tak skomplikowane, iż tylko on potrafił je obsługiwać!

Może nie chciał, aby ktokolwiek miał do nich dostęp? Ta ostatnia myśl zasiała w umyśle Kincaida ziarno niepewności. Sprawa z wolna przybierała realne kształty.

W potężnej machinie, w której ciężko się nawet połapać, tkwił fałszywy tryb. Kincaid był przekonany, że w tę sprawę uwikłani są członkowie rządu. Oczywiście były powiązania Frencha z Carlisle'em, ale on był ministrem i autorem programu reformy. Nie rozumiał tylko, w jaki sposób można było zarobić na ratowaniu podupadającej służby zdrowia. To nie miało sensu. Kincaid z wściekłością cisnął długopisem o biurko. Poczekaj do jutra. Rano wszystkie sprawy wyglądają inaczej.

13

Eve nie mogła zasnąć. Obawiała się jutrzejszego powrotu na salę operacyjną, a fakt, że będzie pracować z Claire Affric, która po raz pierwszy od wypadku z Gretą Marsh stanie przy stole operacyjnym, bynajmniej nie dodawał jej otuchy. Dręczyły ją myśli o biednej Grecie. Tłumaczyła sobie, że nie wolno winić za to Claire. Lekarka była przecież tylko ofiarą zbiegu wypadków. Zresztą Eve nie rozstrząsała tego w kategoriach winy i niewinności, fakty mówiły same za siebie. Greta Marsh leżała teraz w jednym z ośrodków psychiatrycznych, bez twarzy, niewidoma, z uszkodzonym mózgiem.

Sama myśl o tym napawała ją przerażeniem. Tłumaczyła sobie, że takie rzeczy nie zdarzają się dwa razy, ale w głębi duszy była zadowolona, że jutrzejszy zabieg będzie prostszy. Chodziło jedynie o wykonanie przeszczepów skórnych w miejscach poparzeń. Musiała przyznać rację Kincaidowi: gdyby prasa rozdmuchała sprawę Greta, Claire Affric nie mogłaby wrócić do pracy.

Na śniadanie Eve wypła tylko filiżankę kawy i szklankę soku pomarańczowego. Nie przełknęłyby ani jednego kęsa, nawet porcji ulubionych musli. Cały ranek krzątała się nerwowo po pokoju: posprzątała, poskładała rozrzucone ubrania, robiła wszystko, byle tylko nie siedzieć beczynnie. Ściskanie w żołądku pojawiło się dopiero wtedy, gdy w dyżurce sięgnęła po fartuch.

Krzężanina działała kojąco na jej zszargane nerwy. Miała nadzieję, że gdy znajdzie się w wirze pracy, wszelkie wątpliwości znikną. Ubrana w chirurgiczny fartuch i rękawiczki, weszła na salę operacyjną i dwukrotnie sprawdziła tace z narzędziami. Rutynowa, na co dzień, czynność w tych okolicznościach wymagała szczególnej precyzji. Eve była tak zdenerwowana, że proste zadania wymagały od niej ogromnego skupienia uwagi.

Bujna wyobraźnia podsuwała pielęgniarce najbardziej pesymistyczne obrazy. Śródoperacyjne zatrzymanie czynności serca, gwałtowny krwotok, zaburze-

nia oddychania, przerwy w dopływie tlenu. Przygotowała sprzęt reanimacyjny. Sprawdziła nawet, czy kółka wózka są ustawione w prawidłowej pozycji, aby w każdej chwili mogła popchnąć sprzęt w stronę stołu operacyjnego i nie kraść nim po sali jak po ogromnym supermarkecie. Na koniec dopilnowała, aby plastikowe pojemniki były pod ręką, gdyby pobierano wycinki tkanek.

Gdy wskazówki ogromnego zegara ściennego wskazały dziewiątą trzydzieści, przywieziono pacjenta. Dwudziestotrzyletni mężczyzna, podczas pożaru, jaki wybuchł w garażu, poparzył sobie ręce i twarz. Samochód stanął w płomieniach, gdy przypadkowo przeciął palnikiem przewód paliwowy. Już po raz czwarty będzie miał nakładane przeszczepy skórne. Płaty zdrowej tkanki wszczepione podczas poprzedniej operacji zostały odrzucone i zabieg trzeba było powtórzyć.

Po środkach znieczulających i zastrzyku uspokajającym, który otrzymał na oddziale, pacjent był senny. Powoli tracił kontakt z otoczeniem, myślami szybował w przestworzach. Leniwie odwrócił głowę i uśmiechnął się błogo z sobie tylko znanego powodu. Tacy pacjenci przypominali Eve letników na długich, upalnych wakacjach. Leżeli na wózkach jak na zielonej murawie, z na wółprzymkniętymi przed rażącym letnim słońcem oczami. Upał i cisza morzyły ich i tak trwali w błogostanie pomiędzy jawą a snem.

Eve wyjęła duże zielone chusty i zasłoniła nimi ciało pacjenta, pozostawiając tylko przeznaczone do zabiegu powierzchnie skóry. Anestezjolog mówił spokojnym, acz stanowczym tonem, tak aby dotrzeć do świadomości chorego. Poprosił go, by głośno liczył.

Pacjent dotarł do czterech, zanim uśpił go gaz wydobywający się z założonej maseczki. Od tej pory anestezjolog mógł kontrolować jego sen tylko poprzez wykresy przesuujące się na rozstawionych wokół monitorach.

Claire Affric i jej młody asystent weszli wprost ze służby na salę operacyjną. Byli spokojni, nawet przekomarzali się wesoło. Maski chirurgiczne zasłaniała bliznę na twarzy Claire.

– Witam wszystkich – powiedziała lekarka. Eve wyczuła w jej głosie poufałość. – Jak tam, Jerry? – zapytała.

– Dla ciebie zawsze wszystko gotowe – odparł anestezjolog.

– Siostrzo? W porządku?

Eve zauważyła, że Claire obserwuje ją znad maski.

– Instrumentariuszka Martin jest na tygodniowym urlopie – wyjaśniła pośpiesznie. – Zastępuję ją.

– Nie pamiętam, żebym miała przyjemność z panią pracować – powiedziała uprzejmie Claire Affric.

– Przepraszam, pani doktor. Pielęgniarka Laing.

– Miło mi panią poznać – odparła Claire.

Przez krótką chwilę Eve miała wrażenie, że doktor Affric poznała jej nazwisko, że zauważyła dziwny błysk w jej oczach, ale trwało to tylko krótką chwilę.

- Wszystko gotowe?
- Gotowe, pani doktor.
- Doskonale. W takim razie zaczynamy.

Mijały kolejne minuty operacji i Eve z ulgą obserwowała pewne ruchy doktor Claire Affric. W przeciwieństwie do niej samej, lekarka była zupełnie spokojna. Oddzieliła martwe warstwy i dokładnie dopasowała fragmenty skóry do zniszczonych powierzchni, zostawiając prawidłowy margines zdrowej tkanki. Padały kolejne polecenia, krótkie i stanowcze, ale zawsze bardzo precyzyjne. Eve wypełniała je bez dodatkowych pytań.

Pielęgniarka spojrzała na zegar. Minęła pierwsza godzina operacji. W wirze pracy zapomniała o swoich obawach. Poprosiła młodszą koleżankę o przygotowanie dodatkowych gazików i kolejnej tacy instrumentów. W przeciwieństwie do większości chirurgów, Claire Affric nie była gadatliwa. Od czasu do czasu pytała anesteziologa o stan pacjenta albo rzuciła krótkie polecenia i pojedyncze słowa wieńczące kolejny etap zabiegu. „Dobrze”. „Tak, znacznie lepiej” – tylko tyle można było usłyszeć na sali operacyjnej.

Eve lubiła pracować w skupieniu. Niejednokrotnie miała już do czynienia z chirurgami prowadzącymi podczas zabiegu zażarte dyskusje o seksie, futbolu albo polityce. Zawsze traktowała to jako pozerstwo, które, chociaż wynikało z otwartej natury chirurgów, w najmniejszym stopniu nie służyło pacjentowi.

Claire Affric gwizdnęła cicho i atmosfera na sali od razu się ożywiła.

– Mamy tu jakąś infekcję – powiedziała Claire do swojego asystenta, który pochylił się nad stołem, aby lepiej zobaczyć zmienioną tkankę. Claire Affric podniosła pęsetą fragment skóry i skalpelem wskazała ognisko zapalne.

– Wyglądała nieciekawie – zgodził się lekarz.

– Lepiej pobierzemy próbki dla laboratorium.

Eve sięgnęła na sąsiedni stolik i wyjęła sterylny wacik z próbówki z podłożem transportowym. Podała go chirurgowi tak, aby nie dotknąć po drodze żadnego sprzętu. Jeżeli próbka miała wykazać, czy u pacjenta wystąpiła infekcja bakteryjna, to przed badaniem nie mogła mieć kontaktu ze skażoną powierzchnią.

Claire Affric delikatnie pobrała wymaz z tkanki, obracając wacik tak, aby nasiąknął płynem i ostrożnie oddała próbkę Eve, która włożyła ją do próbówki i starannie zamknęła. Dopiero tak zabezpieczoną, oddała młodszej pielęgniarce, która umieściła ją w pojemniku wysyłanym po każdym zabiegu do laboratorium.

– Jestem pewna, że to zakażenie. Usunę całą tę tkankę – stwierdziła Claire Affric. – Skalpel!

Eve włożyła nowy skalpel w wyciągniętą dłoń chirurga.

Claire Affric wycięła chorą tkankę. Jedną ręką podtrzymywała ostrożnie płat skóry, a drugą kreśliła ostrzem równy obwód. Wydawało się, że ma kłopoty, gdy linia zakażenia gwałtownie skręcała.

– Za duży – powiedziała po kilku nieudanych próbach. – Daj mniejszy.

Eve wybrała ze stolika mniejszy skalpel i podała go Claire. Lekarka, nie odrywając wzroku od pacjenta, wyciągnęła rękę po nowy skalpel, trzymając jeszcze w rękę zużyty. Zabrudzone ostrze trafiło Eve w prawą dłoń, między kciukiem a palcem wskazującym. Pielęgniarka krzyknęła, gdy krew zaczęła tryskać przez przeciętą rękawiczkę. Prawie nie czuła bólu, bo ukłucie było niespodziewane, ale rana była głęboka.

– Przepraszam – powiedziała Claire. – Musisz sobie poradzić sama.

Eve zamieniła się miejscami ze swoją asystentką. Owinąwszy skaleczoną dłoń gazą, pomagała młodszej koleżance, wskazując po kolei potrzebne narzędzia. W ten sposób zespół działał sprawnie do końca zabiegu.

Po zakończonej operacji, gdy pacjent za kilka minut miał zostać przewieziony na oddział pooperacyjny, Claire zostawiła swojego asystenta, który czyścić jeszcze pole operacyjne, a sama podeszła do Eve.

– Jeszcze raz przepraszam – powiedziała zdejmując maskę.

– To nic poważnego – zapewniła ją Eve.

Claire Affric zdjęła gazę z ręki pielęgniarki i obejrzała ranę.

– Ależ ze mnie niezdarą – stwierdziła. – Założę ci kilka szwów. Masz aktualne szczepienia?

Eve skinęła twierdząco głową.

Claire popatrzyła na nią.

– Niepokoi mnie, że skaleczyłam cię brudnym narzędziem.

– Starannie oczyściłam ranę – odparła Eve.

– Na wszelki wypadek powinnaś dostać osłonę antybiotykową.

– Nic mi nie będzie. Naprawdę.

– To konieczne – naciskała Claire. – Zamówię coś w aptece. Nigdy dość ostrożności. Naprawdę, bardzo mi przykro. Byłam tak zaabsorbowana tym, co się działo na stole, że nie...

– W porządku – przerwała jej Eve. – Proszę sobie nie zaprzątać tym głowy.

– Szczerze mówiąc miałam potworną tremę. Dobrze, że to już poza mną.

– Rozumiem panią – powiedziała krótko Eve.

Nim przyniesiono antybiotyki, krwawienie niemal ustało.

– Co to jest? – zapytała Eve.

– Standardowa mieszanka – „ochroniarz”. Podaje się ją pacjentom przy ekstrakcji zębów mądrości. Solidna ochrona przed zakażeniami oportunistycznymi – odparła Claire Affric.

Lekarka napełniła strzykawkę preparatem, odwróciła tłokiem w dół i ostrożnie naciskając, usunęła ze zbiorniczka powietrze. Kiedy trysnęła pierwsza kropla, Claire wbiła igłę w prawy pośladek Eve. Na koniec przetarła skórę wokół zadrażnienia spirytusem.

– W porządku – powiedziała. – Możesz spać spokojnie. Jeżeli pojawiłyby się jakiegokolwiek problemy, daj mi znać.

Idąc korytarzem, Eve czuła ostry ból w prawym pośladku, ale nie wzbudziło jej podejrzeń. Hipertoniczny roztwór, nim wchłonał się do otaczających tkanek, zawsze wywoływał ból.

Kincaid zawahał się, zanim otworzył drzwi od mieszkania. Powinien spojrzeć prawdzie prosto w oczy: nie chciał opuszczać swojej kryjówki, ponieważ się bał. Już zacisnął palce na klamce, gdy poczuł paniczny lęk. Po plecach ciekły mu strużki zimnego potu. Dobry Boże! Setki razy powtarzał sobie, że to niedorzeczne. On, który wychował się na filmach Johna Wayne'a, który wiedział, że na tym świecie są rzeczy dla mężczyzny nieuniknione, właśnie on czuł, jak ze strachu włosy jeżą mu się na głowie. I co z tego? – buntował się siedzący w nim John Wayne. – Ktoś próbował cię sprzątnąć? I co z tego? Już po wszystkim. Nie dasz się zastraszyć takim dupkiem. Nie ty! Prawda?

– Tak, ja. Chyba właśnie ja – mruknął. Igranie ze śmiercią było przeznaczone dla filmowych herosów, a nie dla niego. „Więc? Co dalej?” – pytało go sumienie.

Kincaid podszedł powoli do okna i wyjrzał na ulicę. Spoglądał na ludzi przechodzących pod jego oknami, pospolitych, szarych ludzi zajętych zwykłymi sprawami. Nie potrafił już patrzeć na nich obojętnie. Zastanawiał się, który z nich czyha na jego życie.

Kierowca taksówki, czekający na rzekomego klienta? Człowiek myjący okna, który trzyma w ręku kubeł ze starą szmatą? Co on ukrywa pod płaszczem? Każda teczka zawierała ładunek wybuchowy, każde niewinne spojrzenie natychmiast wypełniało się treścią.

Obejrzał każdy samochód zaparkowany w pobliżu budynku. Na co czekał ten człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym z wysoko postawionym kołnierzem?

Kincaid nigdy nie był zwolennikiem przemocy. Zawsze sprzeciwiał się wszelkim demonstracjom siły ze strony policji. Lecz teraz, musiał przyznać, byłby bardziej spokojny, mając naładowany rewolwer w kaburze przymocowanej do paska. Uśmiechnął się na tę myśl: najwyraźniej przechodził kryzys. Przecież nie mógł uciec i schować się w mysiej norze. Chciał tylko wykonywać swój zawód.

Miał córkę, która potrzebowała jego pomocy i Eve, kobietę do której pragnął się zbliżyć. Lecz przedtem musi się dowiedzieć, co naprawdę działo się na północy. Strach nie mógł mu w tym przeszkodzić. Otworzył drzwi i wyszedł do biura.

Rzecznik prasowy Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej zanotował numer Kincaida i obiecał, że zadzwoni do niego, gdy zbierze niezbędne informacje. Kincaid wypił łyk kawy i nerwowo bębnił długopisem o blat biurka. Nienawidził czekać. Podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego redakcji i po-

łączył się z człowiekiem zbierającym dla niego informacje. Zapytał, czy ma coś nowego.

– Znalazłem kilka informacji o Paulu Schreiberze. Jeżeli to ten sam człowiek, to nie jest żadnym urzędnikiem. Przed rokiem był szefem firmowej apteki Lander Pharmaceuticals w Kent.

– Lander... – mruknął Kincaid. – Skąd ja znam tę nazwę?

– Kilka lat temu wiele się o nich mówiło. Byli oskarżeni o zawyżanie ceny leku powszechnie stosowanego w medycynie. Udowodniono im winę, więc musieli obniżyć cenę preparatu i zapłacić olbrzymią grzywnę.

– Dlaczego Schreiber opuścił firmę? – zapytał Kincaid.

– Obawiam się, że nie mamy na ten temat żadnych informacji. Poza tym on, w gruncie rzeczy, wcale jej nie opuścił.

– Co to znaczy?

– Paul Schreiber jest jednym z akcjonariuszy firmy. Ma wcale spory pakiet akcji.

– Proszę, proszę – mruknął Kincaid.

Podziękował za informacje i odłożył słuchawkę. Utkwił wzrok w stercie papierów na biurku. Wszystkie wątpliwości, jakie miał wobec udziału Frencha w *Northern Health Scheme*, powróciły w związku z osobą Schreibera. Drugi z zamożnych obywateli porzuca wygodne, dostatnie życie i wyjeżdża do szpitala na północy kraju. Dlaczego? Czyżby kolejny pretendent do nominacji?

Niemożliwe. Jednego mógł zaakceptować, ale dwóch to stanowczo za dużo.

Kolejny raz nie uwierzył w altruizm. Schreiber był głównym udziałowcem Landera, a firma ta nie cieszyła się dobrą reputacją w przemyśle farmaceutycznym. On sam nie dałby z dobroci serca nawet jednej dodatkowej tabletki. Kolejny raz pojawiło się to samo pytanie: co łączyło Schreibera, czy szerzej, Lander Pharmaceutical z *Northern Scheme*?

Być może Lander uzyskał kontrakt na dostawę leków dla zreformowanych placówek. Czy to możliwe? Deltasoft zajmowała się oprogramowaniem, a Lander produkcją leków. Może Schreiber również należał do wąskiego grona przyjaciół Carlisle'a?

Kolejna przeszkoda do pokonania. Z drugiej strony, jeżeli źródło sprawy tkwiło w starej przyjaźni opłaconej zamówieniami rządowymi, to dlaczego i French, i Schreiber tak długo pozostali w szpitalu? Dlaczego zdolny, błyskotliwy farmaceuta prowadził administrację szpitalnej apteki? Z zamyślenia wyrwał go jakiś hałas. To dzwonił telefon, połączenie z ministerstwem.

– Czy pan Kincaid? Znalazłem odpowiedź na pańskie pytanie – odezwał się głos w słuchawce. – Liczby podane przez ministra Carlisle'a w raporcie dla Izby Gmin są prawidłowe. Żadne inne pieniądze z budżetu nie zostały przeznaczone na cele reformy służby zdrowia.

– Jest pan tego absolutnie pewien? – zapytał Kincaid.

– Absolutnie.

– W takim razie, z jakiego źródła pochodzą pieniądze na wypłaty dla dyrektorów: Fieldsa, Frencha i Schreibera, pracujących w College Hospital?

- Myślę, że uzyska pan odpowiedź u władz lokalnych.
- A może u samego ministra zdrowia.
- Słucham?!
- Właśnie władze lokalne twierdzą, że płaci im budżet centralny. Pan mówi, że jest odwrotnie. Może chociaż minister Carlisle wie, co się naprawdę dzieje?

W słuchawce zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili rozległ się ten sam, opanowany głos:

- Jestem przekonany, że istnieje proste wyjaśnienie tego nieporozumienia. Czy mógłbym jeszcze raz do pana zadzwonić?
- Proszę bardzo.

Dochodziła trzecia po południu, gdy kolejny raz telefonowano z ministerstwa. Podnosząc słuchawkę Kincaid sądził, że usłyszy głos poprzedniego rozmówcy, ale pomylił się. Rozmawiał z kimś innym.

– Pan Kincaid? Nazywam się John Milton-Dunning. Jestem sekretarzem prasowym ministra Carlisle’a. Minister prosił mnie, żebym skontaktowałem się z panem i udzielił wszelkich wyjaśnień.

„Coś takiego – pomyślał Kincaid. – Sprawa dotarła już do gabinetu ministra”.

– Interesują mnie finanse *Northern Health Scheme*. W waszych raportach dostrzegłem pewne sprzeczności.

– To niemożliwe – odparł grzecznie, acz stanowczo Milton-Dunning. – Mowa może być tylko o jakichś nieistotnych szczegółach.

– Okazuje się, że cały program jest realizowany przez co najmniej trzy osobistości, które nie są ani zarejestrowane, ani opłacane przez władze lokalne.

– To żadna tajemnica – powiedział oficjalnym tonem Milton-Dunning. – Te trzy osoby otrzymują wynagrodzenie od fundacji.

– Fundacji? – powtórzył Kincaid.

– Tak. To oczywiste, że rozmaite fundacje wspierają szpitale. Z pewnością słyszał pan o sprzęcie dializacyjnym czy kardiomonиторach zakupionych za takie pieniądze. College Hospital otrzymuje wsparcie od Fundacji Wellington Endowment. Panowie Fields, French i Schreiber przez krótki okres pracy w College Hospital otrzymują wynagrodzenie właśnie stamtąd.

– Dlaczego? – zapytał Kincaid.

– Ponieważ żaden z nich nie jest zatrudniony w szpitalu na stałym etacie i nie stworzono dla nich specjalnych stanowisk. Kiedy nowy system będzie już sprawnie działał, kiedy nabierze tempa, ci dżentelmeni wrócą do swoich macierzystych firm, do przerwanej na krótko kariery.

– Jak wysokie są ich pobory?

– Dziesięć tysięcy rocznie.

– Dziesięć tysięcy? – wykrzyknął Kincaid. – Pielęgniarka oddziałowa dostaje więcej.

– Zgadza się, ale to są ludzie wielkiego serca, którzy głęboko wierzą w sens reformy i poprawę funkcjonowania Narodowej Służby Zdrowia. W uznaniu szczytnego celu służą nam radą i doświadczeniem.

– Czy fundacje nie powinny przeznaczać pieniędzy na zakup nowego sprzętu i aparatury? – zapytał Kincaid.

– Zasady działalności Wellington Endowment mówią o finansowym wspieraniu rozwoju medycyny na północy kraju – odparł Milton-Dunning – więc nie dostrzegam tu żadnej sprzeczności.

Kincaid umilkł.

– Mam nadzieję, że udało mi się rozwiać pańskie wątpliwości – powiedział Milton-Dunning.

– Dziękuję – odparł Kincaid. – Jeszcze tylko jedno pytanie.

– Tak?

– Kto zarządza fundacją?

– Lady Antonia Freeman.

– Wdowa po sir Martinie Freemanie?

– Ta sama.

Gdy Kincaid odłożył słuchawkę, w drzwiach stanął Fletcher.

– Nowiny? – zapytał.

– Nic wielkiego – odparł Kincaid. Opowiedział Fletcherowi o Wellington Endowment.

– No i masz odpowiedź na swoje pytanie.

– Chciał zamydlić mi oczy – stwierdził Kincaid.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo na mój nos, ta sprawa śmierdzi na milę.

Fletcher zapalił papierosa i wypuścił chmurę szarego dymu.

– Uważam, że przesadzasz – rzekł.

Kincaid patrząc przed siebie, uderzył kilkakrotnie końcem długopisu o blat.

– Charles French, Paul Schreiber... dziesięć tysięcy rocznie dla ludzi wielkiego serca, którzy głęboko wierzą w sens reformy... Oni?!

– I co zamierzasz zrobić?

– Porozmawiam z lady Freeman. Dowiem się więcej o Wellington Endowment.

– Wracasz na północ?

Kincaid skinął głową.

– A usiłowanie morderstwa? – zaprotestował Fletcher.

– Wezmę dodatkową rolkę papieru toaletowego.

– Już ci się flaki przewracają ze strachu.

– Gdybyś wiedział, ile razy byłem dzisiaj w kiblu...

Fletcher uśmiechnął się.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek dowiedział się o moim wyjeździe – dodał Kincaid. – Powiedz ludziom, co chcesz: że jestem chory albo że pracuję nad kolejną sprawą. Wszystko jedno.

- Załatwione.
- Skontaktuję się z tobą.

Wróciwszy do domu, Kincaid zapakował do torby kilka niezbędnych drobiazgów i pozbierał rozrzucone po stole notatki. Sprawdził zawartość portfela i karty kredytowe, wyłączył prąd i dokładnie zamknął drzwi wejściowe. Gdy zszedł na dół, skierował się w boczną uliczkę, gdzie zaparkował samochód. Czerwona honda stała na swoim miejscu. Zostawił ją tutaj trzy tygodnie temu, wyjeżdżając do Newcastle. Tym razem czekała ją daleka droga na północ.

Obszedł wóz dookoła. Z trudem wyciągnął z kieszeni kluczyki, które zaplątały się w chusteczkę do nosa. Spojrzał na breloczek. Przywoływał tyle wspomnień – tania, obskurna pamiątka z napisem „Lakeland” była dla Kincaida wprost bezcenna, bo dostał ją w prezencie od Kerry podczas ostatniej, przed tragiczną operacją, wycieczki za miasto. Była jeszcze za mała, żeby samodzielnie go kupić. Kupił ją Julie, ale Kincaid nigdy w życiu nie zapomni jej uśmiechniętej buzi, gdy ofiarowywała mu prezent. Odruchowo zacisnął na nim palce. Nie używany od dawna samochód pokryła warstwa ulicznego kurzu i pyłu. Właśnie się zastanawiał, czy znajdzie w samochodzie szmatę, którą mógłby wyczyścić szyby, gdy coś innego zwróciło jego uwagę. Pod pojazdem leżało pudełko. Zamarł, strach odebrał mu zdolność logicznego myślenia. Z napięciem wpatrywał się w ciemny kształt, a oczami wyobraźni widział już buchające płomienie, fruujące w powietrzu kawałki blachy, które jeszcze przed chwilą były jego samochodem. „Jezu Chryste” – wyszeptał.

Gdzieś na ulicy kierowca nacisnął klakson. Kincaid skoczył jak oparzony. Podeszedł ostrożnie do samochodu, ukląkł obok drzwi kierowcy i spojrzął na pudełko. Nie wystawały z niego żadne druty i przewody. Wyglądało zupełnie zwyczajnie, jak... tekturowe pudełko, które gnane wiatrem, zatrzymało się na misce olejowej. Kincaid wyciągnął rękę, ujął je delikatnie i wyciągnął... pudełko po czekoladkach. Większość napisów była już zamazana, znalazł tylko niewielki fragment: „Pomogą ci w pracy, odpoczynku i zabawie”. Zamknął oczy i głęboko odetchnął. Pomyślał, że jest beznadziejnie głupi.

Neil Tolkien był typem naukowca teoretyka. Miał to we krwi. Od dzieciństwa ubóstwiał książki i to w nich szukał ratunku, ilekroć był w tarapatkach. Tym razem jego własna biblioteka okazała się zbyt skąpa, by odpowiedzieć na wszystkie pytania. Pojechał do University Medical Library, aby zdobyć potrzebne informacje. Chciał wiedzieć, czy są jakiegokolwiek doniesienia o związku pomiędzy zażywaniem heroiny a tempem rozwoju zespołu AIDS. Jego współpracownicy z kliniki odwykowej twierdzili, że musi istnieć taka zależność, skoro większość ich pacjentów ma objawy zaawansowanej choroby jeszcze przed postawieniem ostatecznej diagnozy. Potrzebował szerszej informacji.

Po trzech godzinach żmudnych poszukiwań przyznał się do porażki. W żadnym z poważnych pism medycznych nie znalazł takich doniesień. Był zaskoczony, ponieważ tak oczywista zależność z pewnością nie uszła uwagi lekarzy, a system prac naukowych i ich gratyfikacji zapewniał opłacalność publikowania nawet najdrobniejszych odkryć. Cynicy twierdzili nawet, że właśnie dlatego w medycznej prasie aż roi się od „drobnostek”.

Tolkien zastanawiał się nad tym wracając do samochodu. Jeżeli korelacja między zażywaniem heroiny a szybkością rozwoju AIDS rzeczywiście pozostała nie zauważona, powinien jak najszybciej zebrać odpowiedni materiał i opublikować go w „Lancecie”. Lekarze pracujący z chorymi na AIDS powinni być świadomi zagrożenia.

Przede wszystkim musiał zebrać szerszy materiał kliniczny. Potrzebne informacje powinien uzyskać w College Hospital, nawet za pośrednictwem komputera. Wszystkie zestawienia liczbowe i statystyki były udostępnione lekarzom, prowadzącym prywatną praktykę w regionie w specjalnym programie komputerowym.

Szybko wrócił do gabinetu i zanim jeszcze zdjął marynarkę, uruchomił komputer. Wprowadził kod wejściowy, a gdy dostał się do pamięci komputera, uzyskał informacje o zakażeniach HIV w regionie. Przepisał z monitora interesujące go dane.

Gdy na ekranie pojawiła się ostatnia strona raportu, Tolkien pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem – mruknął i jeszcze raz powtórzył to samo polecenie. Znowu te same dane.

Komputer poinformował go, że struktura zakażeń wirusem HIV w regionie nie odbiegała od średniej krajowej. Tego się spodziewał. Dowiedział się także, że średni czas od zakażenia do wystąpienia pełnoobjawowego zespołu AIDS wyniósł dwa i pół roku, lecz ta statystyka nie odnosiła się do osób, którym profilaktycznie podawano AZT. Tolkien zapytał, jaki procent z zarejestrowanych osób zarażonych wirusem HIV stanowią narkomani. Interesował go czas rozwoju choroby u tych pacjentów.

DWA LATA, PIĘĆ MIESIĘCY I SIEDEMNAŚCIE DNI – poinformował komputer.

Tyle samo? Tolkien nie mógł uwierzyć. Jak to możliwe, skoro dwudziestu dziewięciu pacjentów zarejestrowanych u nas w klinice zachorowało w ciągu sześciu miesięcy? Skoro dziesięcioro z nich już nie żyje? Oczywiście, przeciętny czas rozłożony w całej populacji pacjentów może być nieco dłuższy. Ale nie pięciokrotnie!

Liczba zgonów na AIDS w ciągu ostatniego roku – wpisał Tolkien.

BRAK – odpowiedział komputer.

Lekarz wytrzeszczył oczy. Czyżby oficjalnie żadnego z tych przypadków nie zarejestrowano jako ofiary AIDS? Pacjenci umierali na choroby będące powikłaniami zespołu. Trudniejsza droga, ale może w ten sposób coś znajdzie.

Liczba zgonów na pneumocystozę płuc?

BRAK DANYCH.

Powód? zapytał Tolkien.

BRAK METOD DIAGNOSTYCZNYCH POTWIERDZAJĄCYCH ROZPOZNANIE.

Mógł się zgodzić z taką argumentacją. Rzeczywiście, znalezienie drobnoustroju *Pneumocystis carini* graniczyło z cudem. Powoli tracił nadzieję na uzyskanie tą drogą jakichkolwiek przydatnych informacji. Aby określić liczbę śmiertelnych przypadków AIDS, musiałyby zebrać dane na temat wszystkich zgonów wywołanych chorobami będącymi powikłaniami zespołu AIDS i nietypowych zgonów, bez ostatecznej diagnozy. Wśród nich należało szukać następnie nosicieli wirusa HIV.

– Kompletnie szaleństwo – mruknął pod nosem.

Przecież musiał istnieć sposób, aby uzyskać dane o pacjentach chorych na AIDS. Zapytał o zgony spowodowane powikłaniami zespołu.

BRAK DANYCH.

– Cholera! – zaklął. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer College Hospital. Poprosił o połączenie z dyżurnym informatykiem.

– Serwis komputerowy. Czym mogę służyć?

– Staram się odszukać dane z ostatniego roku na temat zgonów z powodu zespołu AIDS w naszym regionie – powiedział Tolkien – ale mój komputer nie potrafi ich odnaleźć.

– Proszę podać swoje nazwisko.

Tolkien przedstawił się, podał adres gabinetu i numer kodu komputerowego.

– Doktorze, proszę odłożyć słuchawkę. Za chwilę skontaktuję się z panem.

Niedawno w ten sam sposób postąpił z nim lekarz więzienny. Po chwili rozległ się dzwonek telefonu.

– Te dane, doktorze, nie są udostępnione do powszechnego użytku – poinformował go głos w słuchawce.

– Dlaczego?

– Specjalne środki ostrożności w przypadku AIDS. Mam nadzieję, że wiedział pan o tym.

– Nie rozumiem, w jaki sposób dane statystyczne mogłyby komukolwiek zagrażać.

– Takie jest zarządzenie.

– To jest idiotyczne zarządzenie.

– O tym może pan dyskutować z przedstawicielami władz – odparł chłodno jego rozmówca. – Czy mogę zapytać, do czego panu potrzebne te informacje? Pan jest internistą, prawda?

Ostatnie zdanie miało zapewne upokorzyć Tolkiena. Lekarz poczuł awersję do swojego rozmówcy i z trudem zachował oficjalny ton.

– Przypuszczam, że istnieje ścisła korelacja pomiędzy zażywaniem heroiny i tempem rozwoju AIDS. Potrzebne mi są dane, abym mógł kontynuować obserwację.

– Rozumiern, lecz nie posiadamy takich informacji w komputerze. Może pan, oczywiście, skorzystać z poszczególnych historii chorób.

Tolkien odłożył słuchawkę i zaklął. Nie potrzebował historii chorób, potrzebował danych. Miał do dyspozycji tylko przypadki, nad którymi sam pracował, a on szukał informacji z całego regionu.

Wydawało się, że programy komputerowe, które im zaoferowano, zamiast ułatwiać, utrudniały dostęp do informacji.

14

Kincaid obudził się i nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał po pokoju. Nie mógł przywyknąć do ciemności rozpraszanych jedynie przez wąską smugą światła wpadającego przez szparę między zasłonami. Gdy spojrział na meble, przypomniał sobie, że jest w przydrożnym motelu. Każdego innego dnia takie odkrycie wprawiłoby go w podły nastrój. Dzisiaj jednak cieszył się, że jest anonimowym gościem nie znanego mu motelu, w którym pokój 216 nie różnił się niczym od pokoju 215 czy 217. Kincaid był tylko jednym z podróżnych, którzy ubrani w podobne ciemne garnitury, trzymając w rękach skórzane torby ze stalowymi zamkami, jechali z południa na północ, bądź to do Peterbead na targ szewski, bądź do Norwich, aby sprzedać partię bielizny. Tak, był zadowolony. Nie miał ochoty obwieszczać wszem i wobec swojego powrotu i dotychczas nikt nie wiedział o jego przyjeździe. Nie zadzwonił nawet do Eve. Zrobi to później.

Wstał z łóżka i włączył telewizor, żeby obejrzeć poranne wiadomości. Elegancka spikerka poinformowała o cenach akcji na tokijskiej giełdzie papierów wartościowych. Nalał wody do elektrycznego czajnika i włączył go do kontaktu. Prognoza pogody nie była pomyślna: dzień miał być pochmurny i dżdżysty. Odsloniwszy okno, zobaczył, że już pada.

Przygotował filiżankę herbaty i usiadł na skraju łóżka, przypatrując się pojedynkowi aroganckiego prezentera z jakimś politykiem.

– Proszę, proszę – mówił dziennikarz. – Podobno zmiana liderów w pańskiej partii jest nieunikniona?

– Myli się pan, możemy jej uniknąć – bronił się polityk. – Premier cieszy się naszym poparciem i może liczyć na naszą pomoc.

„Pocałunek skorpiona” – pomyślał Kincaid.

– Z całym szacunkiem – rzekł dziennikarz od razu zaprzeczając swojej deklaracji – ale czy po Westminsterze nie krążą plotki, że pan minister Carlisle zamierza zająć jego miejsce?

– Użył pan właściwego słowa: plotki. Z tym mogę się zgodzić – odparł wymijająco polityk. – Wokół władzy zawsze narasta najwięcej plotek.

– Ostatnie sondaże mówią, że gdyby na czele partii stanął minister Carlisle, wasze szanse w wyborach parlamentarnych wzrosłyby aż o trzydzieści procent.

– Nie powinniśmy się sugerować sondażami – przerwał mu polityk.

– Chyba nie twierdzi pan, że je ignorujecie?

– Nie ignorujemy, ale nie jest to czynnik rozstrzygający – odparł polityk i odchrząknął znacząco.

– A więc pańska partia tylko częściowo bierze pod uwagę opinie wyborców?

– Stary! Dałeś się zapędzić w kozi róg – mruknął Kincaid.

– Oczywiście, wysłuchujemy ich z wielką uwagą, ale to nie znaczy, że...

– Czy przyjąłby pan stanowisko ministra w rządzie premiera Carlisle'a?

– Przedwczesne pytanie.

– Ale gdyby padła taka propozycja?

– Poczekamy, zobaczymy.

– A więc przyznaje pan, że nastąpi zmiana liderów partii?

– Nie, nie. Już raz mówiłem, że obecny premier cieszy się pełnym poparciem...

Kincaid wyłączył telewizor.

– Nie przejmuj się, kolego – powiedział do ciemnego ekranu. – I tak już wkrótce wyjedziesz stamtąd z wilczym biletem.

Wziął prysznic i ubrał się. Musiał starannie zaplanować nadchodzący dzień.

Tuż przed jedenastą Kincaid przyjechał na Leamington Grove, gdzie mieszkała wdowa po sir Martinie Freemanie. Sprawdzając numery, znalazł jej dom stojący na końcu ulicy, po lewej stronie. Była to solidna, murowana willa z dobudowaną oranżerią, w której Kincaid zauważył drobną kobietę pielęgnującą rośliny. Z daleka konewka wydawała się mała jak dziecinna zabawka, ale kwiaty ugięły się pod ostrym strumieniem wody. Kincaid przyjrzał się pracującej kobiecie. Miała pięćdziesiąt kilka lat, ale wyglądała wyjątkowo dobrze. Jej twarz zachowała szlachetny klasycyński profil. Kincaid otworzył żelazną kratę i wszedł na ścieżkę po trzech kamiennych schodkach.

Postanowił zaryzykować i zamiast dzwonić do drzwi, podejść wprost do kobiety. Przywołał na twarz przyjazny uśmiech i ruszył zwirową alejką wzdłuż oranżerii. Tylko jego kroki zakłócały otaczającą ciszę, ale Kincaid wołał, żeby kobieta zauważyła jego obecność. Nie chciał jej przestraszyć. Szklane drzwi prowadzące do oranżerii ustąpiły pod naporem. W środku panował upał i zaduch, szczególnie dotkliwy w porównaniu z rzeźkim powietrzem poranka. Wokoło unosił się mocny zapach kwiatów. Kobieta mierzyła go władcym spojrzeniem, które żądało natychmiastowego usprawiedliwienia tego najścia.

– Lady Freeman? Mam nadzieję, że wybaczy mi pani. Byłem w pobliżu i chciałem osobiście złożyć pani kondolencje. Nazywam się... Grant, John Grant. Pracowałem z Martinem kilka lat temu. Zaprzyjaźniliśmy się ze sobą.

Kobieta popatrzyła na niego mętnym wzrokiem. Kiedy się odezwała, zrozumiała dlaczego – była pijana.

– Bardzo mi przykro, ale nie przypominam sobie żadnego Granta – powiedziała, starając się zachować płynność mowy. Gdy dobiegła do końca, Kincaid doszedł do wniosku, że musiała pić bardzo często, skoro będąc w tym stanie, potrafiła zachować trzeźwość umysłu.

– Nie dorównuję popularnością Martinowi – odparł grzecznie. – Tak wspomniały człowiek jak pani mąż miał, bez wątpienia, bardzo wielu przyjaciół.

– No, właśnie. Czym się pan zajmuje, panie Grant?

– Jestem psychiatrą, lady Freeman. Pracuję z dziećmi upośledzonymi umysłowo.

– Po co? – zapytała bez chwili namysłu i nie czekając na odpowiedź, spokojnie wróciła do swoich roślin.

Jej słowa ugodziły Kincaida prosto w serce. Jeszcze chwila, a wybuchnąłby gniewem. „Tylko spokojnie. Nie daj się sprowokować – powtarzał sobie. – Pamiętaj, dlaczego tu jesteś”. Potrzebował informacji, które mógł uzyskać jedynie od niej. Zauważył, że wdowa obserwuje go kątem oka, zastanawiając się zapewne, czy podniesie rękawicę rzuconą prosto w twarz. Kincaid znał takie gierki, a i technika, którą się posługiwała, nie była szczególnie wyszukana. Zignorował jej uwagę i z udawanym entuzjazmem zainteresował się rośliną, którą podlewała.

– Czy wiesz, że tylko gatunek ludzki jest na tyle głupi, aby zajmować się kalekami i debilami? – prowokowała go dalej lady Freeman. – Niedługo zupełnie nas zdominują. Miłosierdzie ogarnie całą ziemię i zniszczy wszystko, co jeszcze na niej żywe.

Antonia Freeman wzięła stojącą na parapecie szklaneczkę i napiła się. Płyn był przejrzysty jak woda, ale Kincaid gotów był iść o zakład, że to gin.

– Czy Martin podzielał pani poglądy? – zapytał spokojnie Kincaid.

Antonia Freeman wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– Mój mąż podzielał wszelkie poglądy, które mogły mu pomóc w karierze. Sprawa wyglądała inaczej, gdy od słów przechodził do czynów.

– Martin był szanowanym chirurgiem, autorytetem naukowym. – Powoli zdążył do celu. Alkohol rozwiązał jej język i Kincaid nie mógł przegapić takiej okazji.

– Martin zachowywał się jak chorągiewka na wietrze. Tak, w gruncie rzeczy był marną chorągiewką, niczym więcej. Wpadam w złość, ilekroć o tym myślę. – Antonia Freeman potrząsnęła głową z wściekłością. – Mógł tyle zdziałać i wszystko zmarnował.

Kincaid miał nadzieję, że dobrze skrył podniecenie, jakie wywołały w nim ostatnie słowa Antonii Freeman. Przybrał obojętną minę i zgodnie z techniką podpatrzoną u prezenterów telewizyjnych, przytakiwał słowom kobiety, by zaskarbić sobie jej sympatię.

Wdowa była zła i uszczypliwa, ale potrzebowała się wygadać. Miała dużo do powiedzenia, a brakowało jej jedynie słuchaczy.

– Nie wiedziałem, że Martin był zaangażowany w politykę – odezwał się Kincaid, gdy kobieta na moment przerwała monolog, aby lyknać ginu.

– Martin nie miał szczęścia, a wiesz, młodzieńcze, dlaczego?

Kincaid pokręcił przecząco głową.

– Pochodzenie. Nie miał żadnych pleców. Trawił swój talent na podlizywaniu się kolejnym idiotom. Gdyby ktokolwiek zechciał mu pomóc, znacznie szybciej wypłynąłby na szerokie wody.

– Szerokie wody? – powtórzył Kincaid. Rozmowa coraz bardziej oddalała się od pożądanego tematu.

Kolejny łyk ginu przerwał potok słów. Wdowa zignorowała pytanie Kincaida.

– Na koniec do reszty postradał zmysły. Zrobił dużo szumu i zwołał tę niedorzeczną konferencję prasową! Wyobrażasz sobie? – roześmiała się gorzko, nerwowo. Kincaid miał nadzieję, że kobieta nie odgadnie jego myśli.

Nagle uśmiech się urwał. Wpadła w inny nastrój. Jednym haustem opróżniła szklaneczkę i zawiesiła na nim wzrok. Stali tak przez kilka chwil, aż Kincaid zauważył, że po jej policzkach spływają dwie, ogromne jak ziarna grochu, łzy. Poczł się skrępowany. Był przypadkowym świadkiem wynurzeń nieszczęśliwej kobiety. W ciszy rozległ się ledwie słyszalny szept:

– Ale przecież nie powinni go zabić. Nie wolno im było.

– Kto? – szepnął równie cicho Kincaid.

Antonia Freeman spojrzała na niego, jakby nie słysząc pytania. Wyciągnęła ku niemu szklaneczkę.

– Pusta – powiedziała.

Kincaid wyjął ją z zaciśniętej dłoni.

– Nalać pani następną? – zapytał.

– Tam – powiedziała Antonia Freeman, wskazując niedbale ręką za siebie.

Kincaid wyszedł z oranżerii i przez krótki korytarz dostał się do ogromnego salonu na parterze domu. Na górze ktoś włączył odkurzacz. Mieli towarzystwo. Póki lady Freeman była z nim sam na sam, mógł liczyć na jej szczerłość. Szybko znalazł butelkę ginu. Napenił pustą szklaneczkę, uzupełniając odrobinę alkoholu dużą ilością toniku.

Już miał opuścić salon, gdy jego uwagę przykuł cytat umieszczony w ozdobnych ramach. Niemiecki tekst napisany gotykiem:

Mit der Dummheit kämpfen Gotter selbst vergebens.

Kincaid przeczytał głośno:

– Strzeż się głupoty, która nawet bogów zabija...

Od razu poznał Schillera. Znieruchomiał na dźwięk tego na zwiska. Charles French, Carlisle – Grupa Schillera. A więc i Freeman? Czyż prędzej pobiegł do oranżerii.

Chwila przerwy wytrąciła już Antonię Freeman z patetycznego nastroju. Znowu patrzyła na niego podejrzliwie. Podał jej szklaneczkę.

– Jak się pan nazywa? – zapytała.

– Grant, John Grant – powtórzył Kincaid.

– I jest pan psychiatrą?

– Tak.

Kobieta spojrzała na niego tak jak na obiekt badawczy.

– Więc gdzie pan pracował z Martinem? Proszę mi wyjaśnić. Martin zawsze powtarzał, że wszyscy psychiatrzy to szarlatani.

Kincaid postawił wszystko na jedną kartę.

– W Grupie Schillera – powiedział..

Po tych słowach zapadła cisza. Kincaid przyjął miazdzące spojrzenie i nie ugiął się pod jego naporem, chociaż czuł, jak nerwowo pulsują mu skronie. Podpalił lont nie wiedząc, w którą stronę rzucić bombę.

Po chwili, trwającej dla Kincaida całą wieczność, Antonia Freeman powiedziała cicho:

– Dlaczego od razu pan nie powiedział?

Kincaid poczuł niewielką ulgę.

– Nie wiedziałem, czy...

– Wprowadziłam Martina wiele lat temu.

– Mhm.

– Pan pracuje z ludźmi ze szpitala?

– Tak.

– Jakież problemy?

– Skądże.

– To dlaczego pan przyjechał? – zapytała wprost Antonia Freeman.

– W sprawie Wellington Endowment.

– Co się dzieje?

– Chodzi o panią i o fundację.

– Tak?

Opuściło go szczęście. Kobieta patrzyła na niego coraz bardziej podejrzliwie.

– Zastanawiałem się, czy mógłbym zobaczyć ostatnie rachunki – powiedział wprost.

Antonia Freeman nachmurzyła się.

– Kim pan jest? – wycodziła przez zaciśnięte zęby. Zrobiła krok naprzód i z rosnącą wściekłością powtórzyła: – Pytam! Kim pan, u diabła, jest?

Starsza pani zamachnęła się i z pasją cisnęła szklaneczką w Kincaida, który cudem uniknął ciosu. Gin rozprysnął się na szybie, a szkło rozleciało w drobny mak. Kincaid wybiegł z domu i przeskoczył przez ogrodzenie. Biegł, póki nie znalazł się w bezpiecznej odległości od posesji.

Hałas klaksonu i oślepiające światła nadjeżdżającego pojazdu uświadomiły Kincaidowi, że zjechał na sąsiedni pas. Gwałtownie skręcił w lewo, nie reagując na prowokujące gesty kierowców.

– Chryste Panie! – jęknął. Zwolnił i zatrzymał się w pierwszej zatoczce. Myśli beładnie kłębiły się w jego głowie.

Wiele sobie obiecywał po rozmowie z wdową. Chciał wiedzieć, jaki zasięg ma Wellington Endowment, jakie są ich powiązania i zobowiązania finansowe wobec *Northern Health Scheme*. Teraz został na lodzie.

Antonia Freeman, chociaż nie wprost, powiedziała mu, że jej mąż został zamordowany. Grupa Schillera, wbrew informacjom Fletchera o jej rozwiązaniu, istniała i miała powiązania z College Hospital. Martin Freeman był członkiem organizacji, ale został wyeliminowany. Wdowa powiedziała, że Martin zwołał konferencję prasową, a „oni” go zamordowali. Ale jacy „oni”? Fields? French? Schreiber? W jaki sposób? Freeman zmarł podczas operacji na atak serca. Chyba że...

Aż mu dech zaparło w piersiach. Freeman zwołał konferencję prasową na godzinę po zakończeniu operacji Grety Marsh! Przypomniał sobie słowa Eve, która opowiadała, że jeden z chirurgów dziwił się, bo przecież podobne operacje wykonywano już wcześniej. Teraz elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Freeman nie miał zamiaru mówić o operacji. Chciał ujawnić sprawę Grupy Schillera!

Kincaid potarł w zamyśleniu czoło. Znalazł kolejny pasujący fragment. Członkowie organizacji wiedzieli, że operacja to był ostatni moment, by zlikwidować niewygodnego świadka. Tylko jak? Właśnie dlatego French zadał sobie tyle trudu, aby historia Grety Marsh zakończyła się pomyślnie. Nawet przez chwilę nie myślał o karierze Claire Affric. Nie chciał rozgłosu wokół operacji Grety, aby dziennikarzom nie przyszło do głowy węszyć dookoła śmierci Martina Freemana ani szukać żadnej innej skazy na nieposzlakowanej opinii College Hospital. Kincaid musiał znaleźć te „skazy”.

Raporty szpitalne z College Hospital mówiły, że Henry James Harrison zmarł na gronkowcowe zapalenie płuc. Neil Tolkien siedział przy biurku i w zamyśleniu bębnił końcem długopisu o blat. Pacjent został przyjęty do szpitala na rutynowe badania, a zmarł niecały tydzień później. Infekcja dróg oddechowych pojawiła się w środę, a w sobotę stwierdzono zapalenie płuc, które doprowadziło do śmierci. Nie było w tym nic dziwnego. Harry był starszym człowiekiem, a ludzie w podeszłym wieku są bardziej podatni na infekcje, ponieważ ich układ odpornościowy nie jest już tak sprawny jak w młodości. Mimo to było w tej informacji coś niepokojącego. Tylko co? Tolkien nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Dręczyło go irracjonalne przeczucie, że dzieje się coś złego, a on nie umiał pokazać palcem, gdzie tkwi błąd.

Niepokojąca myśl pojawiła się pierwszy raz, gdy szukał informacji o pacjentach z AIDS. Wrócił do tamtych rozważań. Dziesięciu, spośród dwudziestu dziewięciu chorych, zmarło w ciągu sześciu miesięcy. Dwóch mężczyzn z tej grupy było jego pacjentami z kliniki. Tolkien sięgnął do historii ich chorób. Gdy skierował mężczyzn do College Hospital, obaj byli w bardzo dobrym stanie, chociaż jeden z nich miał na twarzy niewielką zmianę typu mięsaka Kaposiego. Pierwszy zmarł trzy i pół miesiąca później na gruźlicę, drugi – trzy tygodnie po nim, na pneumocystozę płuc. Nie dziwiły przyczyny zgonów, lecz fakt, że choroba rozwinęła się tak szybko. Zupełnie jak u Harry’ego... albo Madeline Bell... Tolkien czuł, jak strużki zimnego potu spływają mu po plecach. Do cholery! Dokąd to wszystko prowadzi? Co też przychodzi mu do głowy?

Dwóch chorych z zespołem AIDS, a nawet troje, licząc żonę Franka Golightly'ego, a obok nich starzec oraz dziecko z zespołem Downa, wszyscy zmarli tak, jak się tego spodziewał, lecz o wiele szybciej. Przed oczami stanęła mu jak żywa Angela Bell, która z nienawiścią w oczach, uparcie powtarzała, że w szpitalu nikt nie próbował ratować Maddy. Tolkien nie mógł przełknąć śliny, czuł, jak niewidzialna obręcz zaciska mu się na gardle. Rozluźnił krawat. Ból w kregosłupie doskwierał coraz bardziej. Nie potrafił skupić uwagi, bo wszystkie zmysły ostrzeżały go, aby nie brnął dalej w sprawę, która przekraczała jego możliwości.

Przygotowując kawę, bezskutecznie wmawiał sobie, że to zmęczenie i wybujała fantazja płatają mu figle. Wiedział, że czeka go jeszcze wiele poszukiwań. Na początek musi zebrać informacje. Starał się przypomnieć sobie, czy ostatnio zetknął się z innymi przypadkami nagłych zgonów. Jack Kincaid – pacjenta, którego skierował do szpitala podczas wizyty domowej, był operowany z powodu raka płuc. Jako powikłanie pooperacyjne rozwinęło się u niego zapalenie płuc i starzec wkrótce zmarł. Ten przypadek utkwił mu w pamięci ze względu na syna pacjenta, który miał wyjątkowo złą opinię o pracownikach służby zdrowia. Po śmierci jego ojca, Tolkien znalazł się w niezręcznej sytuacji, gdyż kilkakrotnie zapewniał go, że pacjent po operacji będzie żył długie lata. Kolejny przypadek nazbyt szybkiego zgonu starszego człowieka. Schorowani starcy, pacjenci z zespołem AIDS, chorzy wymagający kosztownej terapii, będący obciążeniem dla budżetu, umierali za szybko. W umyśle lekarza zrodziła się upiorna myśl, że w dynamicznie rozwijającej się, zreformowanej medycynie nie było dla nich miejsca, że lekarze nie leczyli ich, lecz mordowali!

Tolkien uniósł do twarzy drżące dłonie. Ugiął się pod ciężarem swoich myśli. Żył przecież pod koniec dwudziestego wieku w Wielkiej Brytanii, a nie w naziistowskich Niemczech. Musiał to być zwykły zbieg okoliczności, błąd w statystyce. Opierał swoją teorię zaledwie na kilku przypadkach. Nikt inny nie zauważył żadnych niepokojących przypadków, chyba że... Czy to możliwe? Nakreślił numer Gavina Mitchella. Wciąż rozmyślał nad tym, gdy usłyszał w słuchawce głos sekretarki.

- Niestety, doktorze, nie ma go w tej chwili.
- Zadzwoń później – powiedział i przerwał połączenie.

Nakreślił numer gabinetu Mary Cunningham. Osobiście podniosła słuchawkę. Po wymianie zwykłych uprzejmości, Tolkien zapytał:

– Mary, próbuję zebrać niektóre dane dotyczące pacjentów z naszej kliniki. Czy w dziesiątce zmarłych w ciągu ostatnich sześciu miesięcy miałaś swoich pacjentów?

- Tak. Trzy dziewczyny.
- Możesz mi podać szczegóły?
- Chcesz historie chorób?
- Nie, wystarczy mi kilka podstawowych danych.
- Poczekaj chwilę.

Zanim Tolkien przygotował kartkę i długopis, Mary Cunningham już była przy telefonie.

– Pisz. Agnes Rossen: brała heroinę; HIV dodatnie od trzeciego marca tego roku; skierowana do Couege Hospital; w maju zapalenie płuc nie poddające się leczeniu; zmarła trzeciego czerwca. Druga, Mary Lownes: też heroina; dodatnia od maja; skierowana do Couege Hospital; w czerwcu gruźlica prosówkowa; zmarła czwartego września. Ostatnia to Joan Divers: heroina jak tamte; nosicielka od maja; a zmarła czternastego listopada z powodu posocznicy. Tyle ci wystarczy?

– Tak. Dziękuję.

– Czego ty właściwie szukasz? – zapytała Mary Cunningham.

– Staram się ustalić związek pomiędzy narkomanią a wcześniejszym rozwojem zespołu chorób towarzyszących AIDS – skłamał Tolkien.

– Rzeczywiście, umierają dość szybko – odparła Mary Cunningham. – Pamiętajsz? Dyskutowaliśmy na ten temat któreś nocy i doszliśmy do wniosku, że szybszy postęp choroby jest spowodowany wyczerpaniem organizmu.

– Pewnie masz rację – odparł Tolkien.

– Wiem, że to straszne, co powiem, ale...

– Mów śmiało.

– Z drugiej strony to dobrze, że tak się dzieje. Te trzy dziewczyny ciągle chodziły na ulicę. Bóg jeden wie, ilu klientów zdążyłyby zarazić, gdyby żyły kilka lat dłużej. O Boże! Nie powinnam była tego mówić! To potworne!

– Ale masz rację – odparł Tolkien. Czuł dziwne ściskanie w dołku. Nie wiedział, jak przejść do sedna. – Mary, czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Oczywiście.

– To co powiedziałaś, że dobrze, iż tak się stało...

– Tak?

– Czy byłaś ostatnio w sytuacji, gdy pomyślałaś dokładnie to samo?

– Nie bardzo rozumiem, o co pytasz – odparła Mary Cunningham.

– Czy w ostatnim czasie, gdy zmarł któryś z twoich pacjentów, odczułaś ulgę? Mary Cunningham milczała przez chwilę.

– Nie wiem, czy o to ci chodzi, ale było takie siedmioletnie dziecko, poważnie upośledzone...

– Tak?

– Dziewczynka kaleka od urodzenia. Kilka miesięcy temu przeziębila się i zapalenie objęło płuca. Została przyjęta do College Hospital, gdzie zmarła kilka dni później. Badanie sekcyjne wykazało, że było to gronkowcowe zapalenie płuc, odporne na leczenie ampiciliną i innymi antybiotykami o szerokim spektrum działania. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, iż oszczędzono jej dodatkowych cierpień. Czy o to pytałeś?

Podobieństwo sytuacji do historii Madeline Bell sprawiło, że Tolkien zanie-mówił. Po chwili szepnął:

– Tak, właśnie o to.

– Dlaczego!

Tolkien udał, że nie usłyszał pytania.

– Mary, czy mogłabyś mi podać nazwisko tej dziewczynki?

– Nazywała się Linda Holland. Neil, co się dzieje?

– Kiedy będę wiedział, obiecuję, Mary, że dowiesz się pierwsza.
Odłożył słuchawkę. Czuł się fatalnie. Nie chodziło nawet o narastający ból kręgosłupa, o cierpienie fizyczne, lecz o paraliżujący strach.

Świadomie czy też nie, Tolkien wkroczył na drogę, z której nie było odwrotu. Miał wiele zadań dla komputera. Potrzebował liczby przypadków, wieku denatów, diagnoz wyjściowych, metod leczenia, historii chorób, wyników badań sekcyjnych i zestawień statystycznych z regionu. Jeżeli ktoś w tym szpitalu mordował pacjentów, to Tolkien musiał się dowiedzieć ilu, i co bardziej istotne, w jaki sposób. Czterdzieści minut później doszedł do wniosku, że zabrnął w ślepy zaułek.

Zestawienia odnoszące się do umieralności pacjentów w regionie nie różniły się w znaczący sposób od danych z pozostałej części Królestwa Wielkiej Brytanii. Bezpośrednie przyczyny zgonów, tak jak w przypadkach, z którymi miał do czynienia, nie mogły nikogo zaskoczyć. Tylko jedno łączyło tych troje pacjentów: Jack Kincaid, Madeline Bell i Linda Holland zmarli na skutek zapalenia płuc wywołanego przez *Staphylococcus aureus**, który zresztą występował chyba w każdej placówce medycznej. Lecz w tym przypadku wszystkie trzy, odebrane ze szpitalnego laboratorium, były identyczne. Ten sam szczep bakterii zabił troje pacjentów.

Tolkien wiedział, że jest to sytuacja typowa dla zakażeń szpitalnych, gdy bakterie zyskują oporność na kolejne grupy antybiotyków. Wiedział też, że *Staphylococcus aureus* częściej niż każdy inny drobnoustrój wywołuje takie zakażenia. Jedyne, co mogło zastanawiać, że w żadnym raporcie nie wspomniano o wybuchu epidemii w szpitalu. W normalnych warunkach, przy trzech identycznych antybiogramach, u trzech zmarłych pacjentów, zarządzono by w szpitalu stan podwyższonej gotowości, podjęto wszelkie możliwe działania, aby ustalić i zlikwidować źródło zakażenia. Przebadano by zapewne cały personel i na wszystkich oddziałach przeprowadzono dezynfekcję. Tolkien, jak sięgał pamięcią, nie słyszał o podobnej akcji w College Hospital.

Przyszło mu na myśl, że może tajemnica leży w tym, iż pacjenci przebywali w szpitalu w różnym czasie i na różnych oddziałach. Zazwyczaj, w przypadku zakażeń wewnątrzszpitalnych, infekcja atakowała równocześnie kilku chorych z jednego oddziału. Tam właśnie znajdowano później źródło zakażenia. Należało brać pod uwagę taką ewentualność, lecz z drugiej strony, skoro on, skromny lekarz, dysponując skąpymi danymi, potrafił dojść do takich wniosków, to dlaczego nie zrobił tego potężny mózg komputera?

Rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił Terry Feenan.

– Chodzi o Karen. Jest chora.

Tolkien nie zapytał, dlaczego nie skontaktował się z ich lekarzem.

– Co jej dolega?

* *Staphylococcus aureus* – gronkowiec złocisty wywołujący u ludzi zakażenia układowe (przyp. tłum.).

- Nie może oddychać.
- Kiedy to się zaczęło?
- Dzisiaj rano.
- Zaraz tam będę.

Jadąc samochodem, Tolkien cały czas zastanawiał się nad położeniem Feemanów. Byli narkomanami i nosicielami wirusa HIV, a więc, według jego przypuszczeń, znajdowali się w grupie szczególnie wysokiego ryzyka. To właśnie tacy jak oni umierali tu, na północy, wyjątkowo szybko.

Tolkien czekał na windę, gdy obok niego stanęła potężna matrona o wroście wielkoluda, ważąca przynajmniej tonę. W rękach trzymała olbrzymie siatki i dyszała jak parowóz. W kąciach jej ust pieniała się ślina, a na dodatek śmierdziała potem. Miała na sobie gruby, brązowy płaszcz zapięty pod samą szyję. Kiedy tylko winda zatrzymała się, wybiegło z niej dwóch małych chłopców. Otworzone z impetem drzwi o mało jej nie uderzyły.

– Małe kurwiszony – mruknęła pod nosem, ładując się do środka. Przejście przez drzwi zajęło jej tyle czasu, że Tolkien ledwo zdążył wsiąść. Przytrzymał rękami zamykające się drzwi i odepchnął je.

– Dziewiąte poproszę – powiedział widząc, że kobieta naciska guzik.

Popatrzyła na niego z odrazą.

– Nie ma pan rąk? – zapytała.

Tolkien ominął ją i nacisnął guzik na tablicy. Kobieta wytoczyła się z windy na piątym piętrze mrucząc:

– Nieruchawy kurwiszon.

– Nawzajem – odparł Tolkien, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

– Karen jest naprawdę ciężko chora – powiedział Terry Feenan otwierając lekarzowi drzwi. – Leży w pokoju.

Tolkien wszedł do sypialni, gdzie od dawna nikt już nie sprzątał.

Kiedy w grę wchodziły narkotyki i AIDS, mało kto troszczył się o tak przyziemne sprawy jak porządek.

– Gdzie jest mała? – zapytał.

– U matki Karen.

Tolkien tylko skinął głową i usiadł na krawędzi łóżka, aby zbadać pacjentkę, która jeszcze nie zauważyła jego obecności. Półprzytomna dziewczyna całą swoją energię skupiła na utrzymaniu oddechu. Gdy osłuchiwał Karen, wiedział, że ma do czynienia z zapaleniem płuc.

– Będzie musiała iść do szpitala? – zapytał Terry.

To było najtrudniejsze pytanie, jakie kiedykolwiek mu postawiono. Tolkien wiedział, że powinna. Karen była ciężko chora i potrzebowała opieki, jaką mógł jej zapewnić tylko dobrze wyposażony szpital. Powinien sprowadzić tu karetkę, zapakować dziewczynę do środka i mieć kłopot z głową. Tak zrobił z Madeline

Bell. Różnica polegała tylko na tym, że wtedy był przekonany o słuszności swojej decyzji. Tym razem wiedział, iż skierowanie Karen do szpitala jest jednoznaczne z wyrokiem śmierci. Nie wyszłaby stamtąd żywa. Jej śmierć byłaby kolejną „ulgą”.

– Nie – odparł wreszcie. – Wyleczymy ją w domu. Będziesz musiał trochę się o nią dzień i noc. Rozumiesz?

– Jeżeli pan tak mówi, ale...

– Po prostu rób, co ci każe.

Pierwszy raz w życiu dobrowolnie stawił się w tak niebezpiecznej sytuacji, ale nie potrafił podpisać wyroku śmierci. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli Karen umrze w domu, zostanie obciążony winą i nie będzie miał nic na swoją obronę. „Pomyślę o tym później” – powiedział sobie w duchu. Przede wszystkim musiał się zastanowić nad leczeniem. Karen miała obustronne zapalenie płuc. Była nosicielką wirusa HIV, ale Tolkien nie brał pod uwagę zakażenia *Pneumocystis carinii*. Choroba rozwijała się zbyt gwałtownie, za szybko nastąpiło załamanie. Przypuszczał, że znowu ma do czynienia ze *Staphylococcus aureus* i to z tym samym szczepem, który zabił Madeline Bell i Lindę Holland.

Widział antybiogram szczepu, wiedział więc, które antybiotyki będą nieskuteczne, a które pomogą opanować chorobę. Gra była warta ryzyka. Odwrócił się do Terry’ego.

– Pojadę teraz do gabinetu i zamówię lek dla Karen. Za godzinę będziesz mógł go odebrać. Na początek zrobię jej zastrzyk, ale potem wszystko zależy od ciebie. Musisz pilnować, żeby brała tabletki regularnie co cztery godziny. Zrobisz to dla niej?

Feenan skinął głową.

– Musisz zapewnić jej spokój. Zatrósz się o nią.

Tolkien pojechał prosto do gabinetu, aby wpisać zamówienie do komputera. Nie zostało przyjęte.

Lekarz nie wierzył własnym oczom. Powtórzył zlecenie. Kolejna odmowa.

NIE MA TAKIEGO LEKU – odparł komputer. – NACIŚNIJ RETURN. ALTERNATYWNE LECZENIE.

Tolkien nacisnął klawisz „return”.

PENICYLINA – odpowiedział komputer.

Szczep oporny – napisał Tolkien.

BRAK DANYCH LABORATORYJNYCH – odparł komputer.

– Przecież właśnie przedstawiam ci te pieprzone dane – przeklął Tolkien. Wyłączył komputer, chwycił słuchawkę i zadzwonił do College Hospital.

– Skąd pan wie, że szczep, którym zakażony jest pański pacjent, wykazuje oporność na penicylinę? – zapytał lekarz dyżurny.

– Mam podstawy, aby sądzić, że jest to ten sam szczep, który, według moich informacji, zabił troje pacjentów College Hospital. Wszyscy oni mieli identyczne antybiogramy, w których szczep był oporny na penicylinę. Pański komputer musiał przeoczyć tę wiadomość – powiedział Tolkien.

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili Tolkien usłyszał głos swojego rozmówcy.

– Ma pan rację, doktorze. Dziękujemy za wskazanie błędu. Czy mógłby pan podać bardziej szczegółowe dane?

Tolkien przeczytał nazwiska trojga pacjentów i powiedział:

– Mam nadzieję, że zrobi pan coś z tą piekielną machiną i dostanę leki, o które prosiłem.

– Oczywiście, doktorze. Przepraszam pana za nieporozumienie.

Drżącymi ze zdenerwowania rękami Tolkien odłożył słuchawkę. Wysoką cenę przyszło mu zapłacić za leki dla Karen Feenan. Powiadomił szpital o swoich podejrzeniach. Ktoś mógł być z tego powodu bardzo niezadowolony. Sprawy zaczęły wymykać się spod kontroli. Rozpaczliwie pogrzebował pomocy.

Początkowo chciał opowiedzieć o wszystkim kolegom z kliniki, ale co oni mogli poradzić? Troje amatorów przeciwko Bóg wie komu? Bardziej niż moralnego wsparcia, pogrzebował fachowej porady. „Może policja?” – pomyślał. I co im powie? Że podejrzewa, iż w College Hospital ktoś morduje starców, kaleki i ludzi nieuleczalnie chorych? Tolkien wyobraził sobie rozmowę w komisariacie.

– Ach tak. A w jaki sposób to robią?

– Nie mam pojęcia.

– A kto to robi?

– Nie mam pojęcia.

Policja nie mogła opierać się na zwyczajnych na poszlakach, potrzebne były fakty, zdobycie ich wymagało dyskretnego, fachowo przeprowadzonego śledztwa. W takich sprawach niezastąpieni byli londyńscy dziennikarze. Porozmawia z Jamesem Kincaidem.

15

Kincaid zadzwonił do Fletchera, ale musiał czekać na połączenie, ponieważ linia była zajęta. Niecierpliwie bębnił palcami w szybę budki telefonicznej.

– Szybciej. Błagam, szybciej – mruzczał, przeliczając raz po raz drobne w kieszeni. Włożył już ostatnią monetę, kiedy usłyszał w słuchawce głos naczelnego. Podał mu numer telefonu i odwiesił słuchawkę.

– Widziałeś się z wdową po Freemanie? – zapytał Fletcher.

– Właśnie dlatego dzwonię.

– Warto było?

– Wiesz na pewno, że Ewa Braun zginęła w schronie? – zapytał Kincaid.

– Aż tak źle?

– Urok modliszki. W tej sprawie nie chodzi o rozgrywki personalne ani o pieniądze. Chodzi o politykę.

– Cholera! To zawsze oznacza jedynie kłopoty – odparł Fletcher. – Dasz sobie sam radę?

– Na razie tak. Zostanę tu, a ty zastawiaj pułapki w Londynie. Niech twoi ludzie poweszą wokół Westminsteru. Nie zaszkodzi, gdy parę razy padnie nazwa Grupy Schillera. Ciekawe, kto z otoczenia ministra Carlisle’a połknie ten haczyk.

– Ale Grupę rozwiązano wiele lat temu – zdziwił się Fletcher.

– Lady Macbeth jest odmiennego zdania. Oni trzęsą miejscową służbę zdrowia.

Fletcher zamilkł na moment, a potem powiedział:

– Cóż za poświęcenie z ich strony.

– Jeżeli to ludzie pokroju lady M, to nie może być mowy o żadnym „poświęceniu”.

– Będę strzelał: nie darzysz tej kobiety sympatią?

– Ostatni raz spotkałem się z takimi poglądami, gdy wpadłem na ulicy na grupę wyrostków. Tylko że ich iloraz inteligencji nie przewyższał rozmiaru buta.

– Co robi Grupa Schillera?
– Reformuje.
– Brzmi swojsko – odparł Fletcher. – A dokładnie? Wszyscy twierdzą, że usługi medyczne to worek bez dna.
– I tu jest pies pogrzebany. Wiem, kim są ci goście, tylko nie wiem, co robią. A ty masz jakieś nowiny?
– Na razie nie znaleźliśmy niczego na temat Fieldsa. Jeżeli zaś chodzi o Carlisle’a, to dowiedzieliśmy się, że w partii ma pseudonim „Trojan”.
– Dlaczego?
– Może dlatego, że jest przystojny jak koń trojański, a i inteligencji ma tyle co drewniana kukła – roześmiał się Fletcher. – W zawodzie polityka nie trzeba być błyskotliwym, wystarczy odnosić sukcesy. Trudne pytania pojawiają się dopiero wtedy, gdy pali ci się grunt pod nogami. W przypadku naszego ministra, jedyna opozycja to kurtuazyjne pytania o to, dlaczego *Northern Health Scheme* działa tylko na ograniczonym terenie albo dlaczego członkowie jego własnej partii mają czelność go krytykować, skoro jest więcej wart niż oni wszyscy razem wzięci.
– Muszę już kończyć – powiedział Kincaid.
– Uważaj na siebie – odrzekł Fletcher. – Aha, był telefon do ciebie.
– Kto dzwonił?
– Facet o nazwisku Tolkien. Mówi ci to coś? Twierdził, że jest lekarzem. Powiedziałem mu, że wyjechałeś służbowo. Nie wiem, o co mu chodziło, ale zostawił numer telefonu. Podyktować ci?
– Proszę.
Kincaid zanotował numer na kartce. Starał się jeszcze dodzwonić do hotelu, ale Eve była na dyżurze. Nie zostawił jej wiadomości.
Od wizyty u lady Freeman Kincaid krążył po mieście. Zgłodniał, więc zatrzymał się w pierwszym napotkanym hotelu. Wszedł do potężnego budynku, którego białe niegdyś ściany pokrywały brunatne, rdzawe plamy.
Bar był pusty. Kincaid zakasłał kilka razy, ale nie udało mu się przerwać toczącej się na zapleczu rozmowy. Miał czas. Obszedł pomieszczenie i zatrzymał się przed starym zegarem ustawionym przy kominku. Przyjemne dla ucha, regularne tykanie przecinało panującą wokół ciszę. Na mosiężnym talerzu umieszczonym na ścianie widniał napis, że budynek został wzniesiony w 1897 przez J. Cargill and Sons. Podeszła do niego nastoletnia kelnerka, przyjęła zamówienie i zniknęła za drzwiami. Ponownie został sam.
Befsztyk smakował jak papier i był twardy jak podeszwa. Dopiero szarlotka i ciastko śmietankowe pozwoliły mu zaspokoić głód i pozbyć się nieprzyjemnego uczucia pieczenia w żołądku. Na koniec wypił kawę, w której, chociaż podawano ją z ekspresu, pływały fusy. Skrzywił się. Nie lubił, gdy go oszukiwano.
Czego chciał Neil Tolkien? Kincaid nie zadzwonił do niego, ponieważ spodziewał się, że usłyszy płomienną pochwałę *Northern Health Scheme*. Nie potrzebował tego. Dręczyło go natomiast, że znalazł się na rozdrożu i nie wiedział, w którą stronę pójść. Lady Freeman sugerowała, że jej mąż został zamordowany,

ponieważ zamierzał wydać plany Grupy Schillera, ale żeby doprowadzić do rozpoczęcia oficjalnego śledztwa w tej sprawie, Kincaid potrzebował czegoś więcej niż majaków pijanej wdowy. Poza tym, ona mogłaby wszystkiemu zaprzeczyć. Z takimi dowodami nie zdołałby nawet uzyskać zgody na ekshumację zwłok. Zresztą ciało mogło zostać poddane kremacji.

Jak na ironię, wielu miejscowych dygnitarzy, a nawet kilku znanych żurnalistów, którzy otrzymali od sir Martina zaproszenie na operację, było świadkami jego śmierci. Zabieg nakręcono na taśmie wideo i... Kincaid zmarł, trzymając w podniesionej dłoni filiżankę kawy... Czy to możliwe? Czy ta taśma jeszcze istniała?

W głowie dziennikarza rodziły się wciąż nowe pytania. Kto nakręcił film? Czy sam szpital, czy może agencja? Nie miał pojęcia, ale Eve mogła to wiedzieć. Chyba jednak zadzwoni do doktora Tolkiena. Kto wie?

Kincaid wyjął z kieszeni pomietą kartkę papieru z zapisanym numerem telefonu. Nagle pociemniało tak bardzo, że z trudem odczytał zapisane cyfry. Wyjrzał przez okno – z zachodu nadciągały czarne, ołowiane chmury, a kelnerka nie pofatygowała się, żeby zapalić światło. Kincaid podszedł do automatu ustawionego w wąskim korytarzu i nakręcił numer Tolkiena. Kiedy tylko usłyszał głos lekarza, był przekonany, że jego obawy się spełnią.

– Neil? Mówi James Kincaid.

– Dzięki Bogu – odparł Tolkien.

Takiej odpowiedzi nie oczekiwał. Tolkien był przestraszony.

– Muszę się z tobą zobaczyć – powiedział lekarz.

– Po co?

– Nie przez telefon.

– Czy to aż tak ważne? – zapytał Kincaid. Przecież Tolkien sądził, że on dzwoni z Londynu.

– Bardzo ważne. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać.

– Może chociaż powiesz mi o czym? – zapytał Kincaid.

– O tej cholernej reformie. Coś tu nie gra.

Kincaid przełknął ślinę. Czyżby tu miał znaleźć klucz do rozwiązania zagadki? Może lekarz widział coś, czego Kincaid, okiem laika, nie dostrzegał?

– W porządku – powiedział. – Kiedy?

– Zdążysz na dzisiejszy wieczór?

– Tak.

– Mój gabinet jest czynny do ósmej. Potem będę sam. Przyjedź o której będziesz mógł. Masz długopis?

– Tak.

Tolkien podał mu adres i objaśnił, jak tam dojechać. Kincaid zanotował. Lekarz musiał powtórzyć szczegóły, bo burza za oknami zagłuszyła głos w słuchawce. Gdy rozłączyli się, na dworze zaczęła się ulewa.

Kiedy wrócił do baru po marynarkę, dziewczyna już uprzątnęła stół.

– Wszystko w porządku? – zapytała bezmyślnie.

– W porządku – odparł Kincaid i wyszedł.

Stał w holu patrząc na zalaną deszczem ulicę i granatowe, zachmurzone niebo. Ponieważ nie zanosiło się na szybką poprawę pogody, nastawił kołnierz i otworzył drzwi. Od samochodu dzieliło go zaledwie kilkadziesiąt metrów ale, mimo że biegł co sił w nogach, przemókł do suchej nitki. Usiadł w samochodzie, wpatrując się w zalewaną strumieniami deszczu szybę, i zastanawiał się, co robić dalej. Podjął decyzję. Najpierw znajdzie nocleg, a potem zadzwoni do ośrodka i dowie się, co słyhać u Kerry. Był w Newcastle już dwa dni, a jeszcze nie odwiedził córki. Miał wyrzuty sumienia.

Kincaid trafił do kolejnego podrzędneho motelu stojącego przy głównej ulicy. Wypełnił kartę meldunkową, posługując się fałszywym nazwiskiem. Być może przesadzał, ale ostrożność nie była wadą. Koszmarne wspomnienia z zasadzki na wiadukcie na długo utkwily mu w pamięci. Cisnął torbę podróżną w kąt pokoju, a sam rzucił się na łóżko i słuchając szumu deszczu za oknem, beznamiętnym wzrokiem gapił się w sufit. O wpół do trzeciej zadzwonił do ośrodka.

– Mówi James Kincaid. Chciałbym się dowiedzieć, co słyhać u Kerry.

– Dobre wieści – obwieściła pani Wilton. – W przyszłą środę doktor Sutton zbada pańską córkę.

– To wspaniale – odparł Kincaid wbrew sobie.

– Trójka dzieci uzyskała taką zgodę. Są tutaj papiery, które będzie pan musiał podpisać. Czy mam je wysłać do Londynu, czy też zaszczyli nas pan swoją wizytą?

Kincaid nie wiedział, co robić. Chciał krzyknąć, że jest tutaj, w Newcastle, że zaraz przyjedzie, ale rozsądek wziął górę. Odpowiedział tylko, że skontaktuje się z zakładem.

Odłożył słuchawkę i przygnębiony usiadł na krawędzi łóżka. Oto nadszedł długo oczekiwany moment, o który tak zawzięcie walczył, a mimo to nie cieszył się, wręcz przeciwnie, czuł niechęć, a nawet strach. Sutton, człowiek nominowany przez Londyn, miał badać jego córkę. Doskonale pamiętał pytanie lady Freeman. „Po co?” Te słowa wracały do niego jak szydercze wyzwisko w dziecięcej zabawie. „Po co? Po co? Kerry debilka! Kerry debilka! Po co? Po co?”

Kincaid spojrzał na zegarek. Może już za pięć godzin, po spotkaniu z Tolkienem, pojmie wreszcie, jaka to piekielna gra toczy się na północy.

O szóstej po południu zadzwonił do hotelu. Tym razem zastał Eve.

– Już myślałam, że o mnie zapomniałeś – powiedziała.

Kincaid przeprosił, że nie zadzwonił poprzedniej nocy, gdy tylko przyjechał do miasta.

– Wróciłeś?

– Tak, ale nie chciałem, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Masz dzisiaj wolny wieczór?

– Powiedz, gdzie mam przyjechać.

– Pamiętasz tę włoską restaurację, gdzie byliśmy kilka tygodni temu?

– Pamiętam.

- Zamówię stół. Mam dzisiaj spotkanie o ósmej. Będę w restauracji o dziesiątej. Pasuje ci?
- Pasuje.

Gdy wieczorem Kincaid wychodził na spotkanie z Tolkienem, deszcz ustał. Dziennikarz znał tę część miasta, gdzie znajdował się gabinet lekarza, bardziej z krążących opowiadań niż z autopsji. Topografia terenu stanowiła zagadkę i musiał zwracać baczniejszą uwagę na nazwy ulic i kierować się wskazówkami Tolkiena. Chciał, żeby znowu lunął deszcz, bo tylko wtedy jego samochód byłby tutaj bezpieczny.

Gdy znalazł gabinet, zaparkował po przeciwnej stronie ulicy. Przez zakratowane okno zobaczył, że w oświetlonym pomieszczeniu na drewnianych stołkach siedzi dwóch mężczyzn. Doszedł do wniosku, że była to poczekalnia, a doktor miał więcej pacjentów, niż się spodziewał. Gdy pokój opustoszał, Kincaid wysiadł z samochodu.

Od strony ulicy pomieszczenie wyglądało obskurnie. Słabe oświetlenie, stare meble i farba odpadająca ze ścian robiły nader przygnębiające wrażenie.

Gdy ostatni pacjent opuścił gabinet, Kincaid podszedł do drzwi.

Odruchowo chciał nacisnąć dzwonek, ale postanowił, tak jak pacjenci Tolkiena, po prostu wejść przez uchylone drzwi. Znalazł się w wąskim korytarzu, skąd strzałka wskazywała drogę do widocznej od strony ulicy poczekalni. Znak narysowano jaskrawoczerwonym flamastrem na białej tekturze. Wszedłszy do środka, stanął przed trojgiem drzwi. Na pierwszych z lewej widniała tabliczka z nazwiskiem Tolkiena. Kincaid zapukał lekko, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Zapukał ponownie, a potem powoli uchylił drzwi. Biurko znajdowało się na wprost wejścia, ale obrotowe krzesło było puste. Zrobił krok naprzód.

– Neil? – zawołał cicho.

Usłyszał jakiś szelest za plecami. Odwrócił się raptownie. Tolkien stał za drzwiami, trzymając w wyciągniętej ręce otwarty skalpel. Widząc Kincaida opuścił ostrze i powiedział:

– Usłyszałem hałas na korytarzu. Dzięki Bogu, że to ty.

Kincaid popatrzył na lekarza ze zdziwieniem.

– A kogo się spodziewałeś?

Tolkien jedynie pokręcił głową, unikając odpowiedzi.

– Usiądź – powiedział krótko. Otworzył dolną prawą szufladę i wyciągnął do połowy opróżnioną butelkę whisky.

– Napijesz się? – zaproponował.

Kincaid skinął głową, starając się ogarnąć sytuację. Jedno nie ulegało wątpliwości – Tolkien się bał. W takim razie było ich dwóch do spółki.

Lekarz wychylił whisky i uśmiechnął się niepewnie.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedział.

Kincaid milczał przez chwilę, zanim zdecydował się przejąć inicjatywę.

– Pozwól, w takim razie, że ja zacznę pierwszy. Otóż przypuszczam, że kilku wpływowych ludzi z partii skrajnie prawicowych przejęło kontrolę nad tutejszą służbą zdrowia. Proponują najlepszą opiekę zdrowotną w kraju, ale sądzą, że kryje się za tym coś więcej.

Tolkien spoglądał na niego szeroko otwartymi oczami. Był zaskoczony, ale na jego twarzy wyraźnie rysowała się ulga.

– Tyle wiem – zakończył Kincaid – i mam podstawy, aby twierdzić, że z tego powodu ktoś próbował mnie zabić.

Tolkien znów wychylił spory łyk whisky.

– Oni mordują ludzi – powiedział chrapliwym tonem.

Kincaid zdrewniał.

– Mordują ludzi? – powtórzył automatycznie.

– Starców, narkomanów, chorych na AIDS, upośledzonych umysłowo. Oni giną.

– Jak? – zapytał Kincaid, wstrząśnięty takim wnioskiem.

– Tak, że umierają, jak się tego spodziewamy – powiedział Tolkien z rosnącym wzburzeniem – tyle że znacznie szybciej.

– Masz dowody? – zapytał Kincaid.

– Według oficjalnych statystyk wszystko jest w porządku.

– Ale ty wiesz swoje?

Tolkien skinął głową. Wyciągnął z szuflady biurka notatki, dotyczące zgonów pacjentów szpitala.

– Obawiam się, że twój ojciec także padł ich ofiarą.

Kincaid bez słowa wziął kartki, przerzucił je i powoli odłożył na biurko.

– Twierdzisz, że mój ojciec i ci nieszczęśnicy zostali zamordowani?

– Tak.

– Chryste Panie!

Kincaid nerwowo potarł skronie. Przed oczami stanął mu jak żywy ojciec. Wyobraził sobie, że starzec mógłby jeszcze zobaczyć swojego wnuka; że Kincaid zdążyłby z nimi porozmawiać i wszystko wyjaśnić; że wspólne lunche nie urwałyby się tak nagle; że poznałby Eve i cieszył się ich szczęściem. Ze wszystkich sił starał się nie dopuścić do siebie informacji Tolkiena, ale logika przemawiała na korzyść lekarza. Jego teoria nader dobrze pasowała do działalności Grupy Schillera.

– Powiedziałeś, „skrajni prawicowcy”? – zapytał Tolkien. – Przecież to program sygnowany przez rząd, opracowany według założeń ministra Carlisle’a!

Kincaid przytaknął.

– Nie ciebie pierwszego szokuje ta myśl. Carlisle siedzi w tym po uszy, a inni razem z nim. Jediną wskazówką jest to, że opłacani są nie przez rząd, lecz przez Fundację Wellington Endowment. Słyszałeś kiedyś tę nazwę?

Tolkien pokręcił głową.

– Oficjalnie przewodniczącą fundacji jest lady Antonia Freeman, wdowa po sir Martinie, jednak to tylko nazwisko. Jej mąż był szefem fundacji i członkiem Grupy Schillera, ale zdradził, gdy grunt zaczął mu się palić pod nogami. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że z tego powodu został zamordowany.

– Zamordowany? – powtórzył Tolkien. – Myślałem, że zmarł na atak serca.
– Niestety, na razie nie mogę niczego udowodnić, ale pracuję nad tym i ja, i moja gazeta. Starają się dowiedzieć, jak szerokie kręgi zatacza Grupa Schillera i kto stoi za Wellington Endowment.

– A co my mamy tymczasem robić? – zapytał Tolkien.

– Wiemy już, kim są ci faceci i, dzięki tobie, co robią. Nie wiemy tylko, w jaki sposób. Masz jakiś pomysł?

– Na razie nie. Wiem jedynie, że starsi ludzie zapadają na zapalenie płuc. Mimo stosowanego leczenia, szybko następuje załamanie i umierają. Pacjenci z zespołem AIDS zapadają na zapalenie płuc, na gruźlicę albo cokolwiek innego. Choroba przebiega bardzo gwałtownie i giną. I znowu, dla chorych z AIDS to nic szczególnego. Tylko tempo przebiegu choroby jest inne, zaskakująco szybkie.

– Jak szybkie?

– Przeciętnie nosiciele wirusa HIV giną przy trzeciej, czasem czwartej, prawidłowo leczonej infekcji, a niektórzy żyją jeszcze dłużej prowadząc normalne życie. To prawda, zdarzają się i wcześniejsze zgony, lecz w naszym regionie większość zgonów następuje już przy pierwszej infekcji, bez remisji choroby.

– A statystyki? – zapytał Kincaid. – Przecież powinny to wykazać?

– Według oficjalnych danych wszystko utrzymuje się w normie.

– Uważasz, że fałszują wyniki?

– Nie ma innego wytłumaczenia.

– Jak możemy to sprawdzić?

Tolkien wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Jedyne, co możemy zrobić, to zebrać informacje z historii chorób zmarłych pacjentów i w ten sposób wykazać nieprawidłowości. Nic poza tym.

– Czy mamy jakiegokolwiek szanse? – zapytał Kincaid.

– Niewielkie – odparł Tolkien. – Musielibyśmy odwiedzić wszystkie gabinety lekarskie w regionie i na miejscu zebrać szczegółowe dane. Poza różnymi innymi przeszkodami, lekarze na pewno nie będą chcieli ujawniać dokumentacji swoich pacjentów.

– Ale jeżeli ty zauważyłeś, że coś nie jest w porządku – zasugerował Kincaid – to inni chyba też powinni.

– Gdyby nie wtorkowe dyżury w klinice odwykowej, nie dostrzegłbym niczego niepokojącego. Zastanowiły mnie dopiero nasze własne dane – odparł Tolkien.

Kincaid pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Bez rzetelnej statystyki poruszamy się po omacku. Nie wiemy ani gdzie jesteśmy, ani na jakim terenie, ani czy za chwilę nie nadziejemy się na wystający gwóźdź.

Tolkien przytaknął słowom dziennikarza.

– Kerry! – wykrzyknął nagle Kincaid. – Kerry jest w niebezpieczeństwie!

- Twoja córka?
- Powiedzieli, że razem z dwojgiem innych dzieciaków zostanie w przyszłym tygodniu poddana kolejnemu badaniu.
- W takim razie, rzeczywiście, grozi jej niebezpieczeństwo – zgodził się Tolkien. – Ale mamy jeszcze sporo czasu.
- Musimy się dowiedzieć, w jaki sposób oni działają – powtórzył z naciskiem Kincaid.
- Mamy pewien klucz – powiedział Tolkien. – Twój ojciec zmarł w przebiegu identycznej infekcji co dwie małe, kalekie dziewczynki. – Tolkien podkreślił słowo „identycznej”, wyciągnął z szuflady kolejne papiery i pokazał Kincaidowi wyniki testów laboratoryjnych. – W takim razie, ta sama bakteria zabiła troje pacjentów, którzy leżeli w tym samym szpitalu, w różnym czasie i na różnych oddziałach. Każdym z nich zajmował się inny personel, a mimo to zostali zakażeni tym samym szczepem bakteryjnym.
- Jak to możliwe? – przerwał mu Kincaid.
- Na przykład przez iniekcję zakażoną patogenną kolonią bakteryjną.
- Czyli szukamy mordercy ze strzykawką w ręku? – zapytał Kincaid.
- Tolkien pokręcił głową.
- To nie takie oczywiste. Musiałoby ich być bardzo wielu, działających w całym mieście. Przecież niektórzy pacjenci zostali zakażeni, chociaż nie przebywali w szpitalu.
- Tolkien zmienił okulary.
- Opowiedz mi o ludziach z Grupy Schillera – poprosił.
- Wiem tylko o tych, którzy są na świeczniku. Mam na myśli dyrektora szpitala Fieldsa, szefa komputerów Frencha i dyrektora oddziału farmaceutycznego Schreiber. Aha, jest jeszcze Sutton – mianowany ostatnio dyrektor ośrodków psychiatrycznych.
- Tolkien popatrzył na niego z błyskiem w oku i wyprostował się na krześle.
- Co wiesz o Schreiberze? – zapytał podekscytowany.
- Kincaid powiedział mu o wszystkim.
- Bingo! – wykrzyknął Tolkien. – Mamy ich! Farmacja! Dlatego tak im się spieszyło z centralizacją zamówień na leki. Klucz leży w oddziale farmaceutycznym szpitala!
- Obawiam się, że nie rozumiem – przyznał Kincaid.
- Tolkien był niezwykle poruszony. Przechylił się przez stół i powiedział:
- Nie rozumiesz?! To jest dziecinnie proste. Wszystkie przepisywane w regionie leki pochodzą z College Hospital!
- Kincaid pojął, do czego Tolkien zmierza.
- I jeżeli pacjent znajduje się na czarnej liście, to dostaje niewłaściwe leki? – zapytał.
- Albo nie dostaje ich wcale – dokończył Tolkien.
- A Schreiber z wysokości dyrektorskiego fotela decyduje o życiu i śmierci?
- Moim zdaniem, to robi za niego komputer. Mają program komputerowy, który przeprowadza selekcję pacjentów.

– To musi być bardziej skomplikowane – odparł Kincaid. – Przecież, jak mówisz, ci pacjenci umierają na typowe, dla ich stanu, choroby. Jak to wyjaśnisz?

Tolkien potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić od siebie natrętne myśli.

– Zamiast leku, który przyniósłby poprawę – powiedział cicho – pacjent dostaje inny, który potęguje efekt chorobowy i pogarsza stan chorego. Załóżmy, że mam starszego pacjenta chorego na zapalenie oskrzeli i przepisuję mu ampicilinę. Komputer decyduje, że pacjent jest za stary i nie wydaje mu leku. Dostaje kapsułki, które wyglądają jak antybiotyk, ale są całkiem obojętne albo działają antagonizująco i pogarszają stan chorego. Następuje nagłe załamanie i chory umiera. Logiczna kolej rzeczy. Nikt nie jest zaskoczony, a służby socjalne oddychają z ulgą, gdyż odpada im jeden ze stałych klientów.

– To właśnie spotkało mojego ojca? – szepnął Kincaid.

– Tak sędzę – powiedział Tolkien. – On wymagałby coraz bardziej kosztownego leczenia i coraz szerszej opieki socjalnej. Stanowiłby ogromne obciążenie dla budżetu służby zdrowia.

– Sukinsyny! – warknął Kincaid.

– To są tylko przypuszczenia. Nadal nie mamy żadnych dowodów.

Kincaid zastanawiał się przez moment i wreszcie powiedział:

– Wymyśl, albo lepiej wybierz, dwóch pacjentów z twojej listy, którzy cierpią na tę samą chorobę. Jeden niech będzie młody i silny, a drugi stary i schorowany. Przepisz im ten sam lek. Zobaczmy, co odbiorą ze szpitalnej apteki. Poproszę mojego szefa, aby zamówił analizę próbek.

Tolkien skinął z podziwem głową.

– Niezły pomysł.

Kincaid spojrzął na zegarek. Była za piętnaście dziesiąta.

– Muszę już iść – powiedział. – Skontaktuję się z tobą jutro. Podaj mi domowy numer telefonu, na wypadek gdybym nie zastał cię w gabinecie.

Tolkien zapisał numer i podał Kincaidowi, który schował kartkę do portfela.

– Jeszcze jedno – powiedział przed wyjściem. – Czy wiesz, komu zleca się filmowanie operacji w College Hospital?

– Firmie Cinemed. Mają wyłączność na produkcję filmów i kaset wideo dla celów dydaktycznych. Ich siedziba mieści się w Sunderland.

– Właśnie o to mi chodziło – powiedział Kincaid bez żadnych wyjaśnień.

Kincaid dotarł do restauracji za pięć dziesiąta. Eve właśnie przyjechała. Objął ją i pocałował gorąco. Stali tak złączeni przez kilka chwil, ciesząc się swoją obecnością.

– Tęskniłem – szepnął.

– Ja również – odparła.

Weszli do środka. Restauracja była prawie pusta. Kelner zaprowadził ich do stolika.

– Co się z tobą działo? – zapytała Eve.

Kincaid opowiedział jej o wszystkim, a gdy doszedł do sedna, zaprotestowała zniżając głos:

- Nie mówisz poważnie!
- Jestem śmiertelnie poważny – odparł.

Opowiedział jej o spotkaniu z Neilem Tolkienem, o tym, jak odkryli rolę centrum farmaceutycznego w tym horrorze.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że oskarżacie ich o dokonywanie zbiorowych morderstw z premedytacją?! – szepnęła Eve.
- Zdaje się, że oni nazywają to „reformą”.
- Czysty obłąd!

Kincaid zauważył opatrunek na jej ręku. Eve opowiedziała mu, jak to się stało.

- Claire Affric?
- Miała wyrzuty sumienia.
- Powinna mieć.
- Takie rzeczy zdarzają się na sali operacyjnej – odparła Eve. – Ryzyko wykonywania tego zawodu.

– Potrzebne były szwy? – zapytał Kincaid.

– Kilka. Claire zadbała o wszystko. Założyła je bardzo starannie, sprawdziła moje szczepienia i podała mi „ochroniarza” antybiotykowego – powiedziała Eve, patrząc z uśmiechem na zaskoczoną minę Kincaida.

- Ochroniarza? – zapytał.
- Osłonę przed ewentualnymi infekcjami przeniesionymi ze skażonego skalpela – wyjaśniła Eve. – To specjalna mieszanka antybiotykowa.
- Dobrze – odparł. – To musiał być dla ciebie szok. Jak się czujesz?
- Trochę zmęczona, ale nic mi nie będzie – odparła Eve.

Kincaid nie spuszczał z niej wzroku. Peszyło ją to spojrzenie.

- Jedz – powiedziała. – Nic mi nie jest.

Kincaid pochylił się nad talerzem, ale wciąż patrzył na Eve. Nie wyglądała dobrze. Poprosiła o szklankę wody z lodem, narzekając na upał panujący w restauracji.

- Eve, nie chcę, żebyś wracała na dyżur – powiedział Kincaid.
- Nie wygłupiaj się. To moja praca.
- Eve, to bardzo niebezpieczne. W najbliższych dniach rozpęta się piekło. Chcę, żebyś na te kilka dni, póki nie uzyskamy z Tolkienem niezbędnych dowodów, przeprowadziła się do Lisy. Proszę, sama rozumiesz, jakie to ważne. Zadzwoń, powiedz, że jesteś chora i że przyjdiesz na dyżur, gdy poczujesz się lepiej. Tylko nie podawaj im swojego adresu.

Eve chciała zaprotestować, ale Kincaid nie żartował.

- Dobrze – zgodziła się. – Jeżeli Lisa nie będzie miała nic przeciwko temu. ...
- Będzie zachwycona – stwierdził Kincaid i wstał od stołu, żeby zadzwonić do siostry. Po chwili wrócił z dobrymi nowinami.

Tolkien skończył przeglądać karty chorobowe z ostatniego roku. Szukał kolejnych przypadków zagadkowych zgonów, które mógł przeoczyć poprzednim razem. Znalazł dwa. Oboje pacjenci byli starszymi ludźmi. Kobieta została przyjęta do szpitala w celu zoperowania katarakty. Zmarła cztery dni po zabiegu, a przyczyną śmierci było ustanie czynności serca. Drugim pacjentem był siedemdziesięcioletni mężczyzna, któremu zamierzano wykonać zabieg nastawienia stawu biodrowego, lecz operacja nie doszła do skutku, ponieważ chory w dniu przyjęcia miał podwyższoną temperaturę i objawy zwykłego zapalenia oskrzeli. Podano mu ampicilinę, a pięć dni później już nie żył. Przyczyną zgonu było obustronne zapalenie płuc. Te przypadki potwierdzały teorię Tolkiena. Lekarz spojrzął na zegarek. Było wpół do jedenastej. Zamierzał dokończyć pracę z samego rana, bo przed pójściem do domu musiał jeszcze zajrzeć do Feenanów.

Gdy zamknął gabinet, zatrzymał się, aby spojrzeć na rozgwieżdżone niebo. Po chwili skierował się do samochodu. Nie widział go stąd, choć noc była bardzo pogodna, a księżyc oświetlał dachy domów. Chciałby mieć chwilę czasu, aby stanąć i delektować się urokliwym widokiem. Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Zanim ruszył, zerknął w boczne lustro. Zobaczył światła pozycyjne samochodu stojącego jakieś trzysta metrów od niego. Choć nie było w tym nic niezwykłego, Tolkiena oblał zimny pot. Wpatrywał się jak zahipnotyzowany w lustro, mając nadzieję, że tamten samochód ruszy, lecz on stał nieruchomo. Tolkien przełknął ślinę. Kierowca wyraźnie czekał na jego ruch, aby za nim jechać. Lekarz był o tym przekonany.

Ruszył, nie spuszczać wzroku z lusterka. Tamten samochód również zjechał z krawężnika. Nowe BMW rzadko pojawiało się w tej okolicy. Kierowca zmniejszył dzielący ich dystans do około stu metrów. Tolkien odruchowo wcisnął pedał gazu i z piskiem opon skrzył w prawo. Zanim dojechał do świateł, zmieniły się na czerwone. Zaklął pod nosem i znowu wbił wzrok w lustro. Serce waliło mu jak młotem. Nie widział z tyłu BMW.

Już się niemal odprężył, gdy limuzyna zjawiła się na zakręcie. Wstrzymał oddech. Wóz jechał za nim. Zatrzymał się na światłach. Tolkien widział, że kierowca ma pasażera, lecz w słabym, ulicznym świetle nie mógł rozpoznać ich twarzy. Byli tam, milczący i apatyczni. Zupełnie zaschło mu w gardle. Gdy tylko światła się zmieniły, ruszył. Przy najbliższym skrzyżowaniu skrzył w prawo. BMW podążało za nim. Skrzył w lewo, a BMW za nim. Jeszcze raz skrzył w lewo, a BMW... pojechało prosto. Tolkien nie mógł uwierzyć. Czyżby to tylko jego wyobraźnia? Czy ze strachu mógł uwierzyć w coś, co nigdy nie istniało? Odechnął głęboko i pojechał prosto do Feenanów. Co chwila, jak świeżo upieczony kierowca, zerkał w lustro. Tuż za nim pojawił się samochód – mały ford.

Kincaid wrócił do motelu szczęśliwy, że Eve jest bezpieczna w domu jego siostry. Wiedział, że Lisa zatroszczy się o nią. Obie będą zadowolone. Gdyby tylko mógł jeszcze pomóc Kerry. Tolkien zgodził się z Kincaidem, że ani jej, ani pozostałym dzieciom w ośrodku nie zagraża na razie niebezpieczeństwo, ale jego

córka znajdowała się w rękach bandy Schillera i wystarczyła jedna iskierka, żeby wywołać ogromny pożar. Zastanawiał się, co też wymyślą dla tych kalekich dzieciaków. Doszedł do wniosku, że postąpią z nimi tak jak z pozostałymi, bo dlaczego miałoby zmieniać system, który doskonale spełniał swoje zadanie? Rewolucyjne zmiany, przy finansowym wsparciu Wellington Endowment i przy oszczędnościach poczynionych na ułomnych dzieciach, miały przynieść znakomite rezultaty, a zbrodnia i tak zostanie zatuszowana przez zręczny i dokładny komputer.

– Skurwiele! – wymamrotał pod nosem.

Wziął prysznic, a potem włączył telewizor, aby obejrzeć wieczorne wydanie wiadomości. W wolnej chwili przygotował sobie kawę. Prezentowano reportaż z głodującej Afryki, z kraju, gdzie ludzie nie mogli pracować ani uprawiać ziemi, gdzie trwała wojna domowa.

Kamera prezentowała trupio chudych, slaniających się na nogach Afrykańczyków i zbliżenia – dziecięcych twarzy, na których siadały roje much. Kincaid widział te zdjęcia niejedną raz. Jak w kalejdoskopie zmieniały się tylko nazwy państw. Każde z nich wracało na pierwsze strony gazet co kilka lat, aby donieść światu o kolejnej klęsce głodu nawiedzającej kraje Trzeciego Świata. Te same obrazy, z tego samego kraju, zobaczy pewnie za cztery, może pięć lat. Nie wiedział, kogo o to oskarżać, więc nie szukał winnych. Nakreślił numer telefonu podany na ekranie i dokonał przelewu ze swojego konta. Lepiej zapalić choćby mały płomyk dobrej woli, niż siedzieć beczynn timer w ciemności.

Na ekranie znowu pojawiło się londyńskie studio i prezynter z grobową miną doniósł o kolejnej eksplozji w centrum Londynu. Kincaid wlał wrzątek do filiżanki. Pomyślał, że tę historię również zna. Popatrzył na zdjęcia prezentowane na ekranie i odstawił czajnik. Mylił się, tym razem to była inna historia. Straż pożarna i wozy policyjne stały przed znanym mu budynkiem. Kamera wędrowała po kolejnych piętrach, coraz wyżej i zatrzymała się na oknie, które również doskonale znał. Czarny dym wydobywał się z okien jego mieszkania.

16

Kincaid, siedząc przed telewizorem, wpatrywał się przymglonym wzrokiem w ekran. Miał uczucie, jakby oglądał własny pogrzeb. Nikt nie znał liczby osób, które w momencie wybuchu były w budynku. Gdy rozpatrywano motywy zamachu, padła nazwa IRA, ale policjant od razu sprostował, że to jedynie przypuszczenie, bo na ostateczne wnioski jest jeszcze za wcześnie. Polityk, który przypadkowo znajdował się w pobliżu miejsca wypadku, wyraził swoje oburzenie wobec wszelkich aktów terroru, a dwóch naocznych świadków powiedziało, że usłyszeli potworny huk i zobaczyli fruujące w powietrzu odłamki szkła. Nie znano motywu zbrodni, ale podejrzewano, że wybuch nastąpił w mieszkaniu dziennikarza pracującego dla pewnego szacownego dziennika. Policja nie potrafiła określić, czy James Kincaid był w tym czasie w domu. Na tym zakończono relację, a na ekranie znowu pojawił się zatroskany prezenter.

– Gdy otrzymamy nowe informacje, powiadomimy państwa o skutkach wybuchu – powiedział i eleganckim ruchem zebrał kartki z biurka. – A teraz prognoza pogody.

Kincaid wyłączył fonię. Nie chciał tracić obrazu na wypadek, gdyby podało nowe szczegóły. Nakręcił domowy numer Fletchera. Był zajęty. Czekał na połączenie piętnaście minut, aż wreszcie usłyszał w słuchawce wściekły głos naczelnego.

– Słucham?

– To ja.

– Jezu Chryste! James! Widziałeś to?! Telefony się urywają!

– Widziałem.

– Czy ty nawet kiedy szukasz wrogów, musisz iść na całość? – zapytał Fletcher.

– Już wiem, co oni tu robią. – Kincaid zmienił temat. – Mordują ludzi, zwykłych pacjentów. Systematycznie. Z zimną krwią.

- To okropne! – krzyknął Fletcher. – Ale dlaczego?
- Wasz genialny program reformy służby zdrowia to nic innego jak „czystka”, selekcja – powiedział gorzko Kincaid. – Poprawiają zachwiane proporcje. Wiesz o czym mówię: zbyt wielu starych ludzi, żyjących zbyt długo, żądających zbyt wielu świadczeń od pomocy społecznej, będących zbyt dużym obciążeniem dla budżetu. Na drugi ogień idą kaleki i narkomani, a przede wszystkim, oczywiście, nosiciele wirusa HIV, którzy są wyjątkowo hołubieni za to, że zakłócają równowagę na drugim końcu skali wieku.
- Mówisz poważnie?
- Śmiertelnie poważnie.
- Nic dziwnego, że na moich ludzi patrzą teraz jak na trędowatych. Wystarczy tylko wymienić nazwisko Schillera, abyś naraz stał się dla wszystkich niewidzialny.
- A co z opozycją? – zapytał Kincaid.
- Podnieśli wielki krzyk, ale żadnych konkretów. Oni chyba nie wiedzą o niczym.
- A więc nie znamy dżungli, w którą brniemy?
- Nie, ale musimy im mocno deptać po piętach, bo nasz wydawca został wezwany na dywanik do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Powiedziałem mu o naszych podejrzeniach.
- O czym konkretnie? – zaniepokoił się Kincaid.
- Że podejrzewamy, iż Grupa Schillera, która oficjalnie została rozwiązana kilka lat temu, działa nadal jako organizacja wewnątrzpartyjna. I prawdopodobnie mają na to milczącą zgodę rządu.
- Tylko tyle?
- Tak.
- To dobrze. Nie możemy nikomu ufać. Im mniej słów, tym lepiej.
- Zgadza się – odparł Fletcher. – A teraz najważniejsze: potrafisz to wszystko udowodnić?
- Jeszcze nie, ale jestem blisko. Może jutro otrzymam materiały. Pracujemy nad tym z Neilem Tolkienem – powiedział Kincaid.
- Tym lekarzem?
- Tak. To on mi powiedział, co ci skurwiele robią. Myślę, że znaleźliśmy sposób, aby dobrać się im do skóry.
- Musicie się spieszyć – powiedział Fletcher. – Szum, jaki zrobiliśmy wokół sprawy Grupy Schillera, zaniepokoił z pewnością samych zainteresowanych. Będą czujni.
- Nie mają pojęcia, ile wiemy – odparł Kincaid. – A jeżeli dopisze nam szczęście, to uwierzą, że byłem w swoim mieszkaniu dzisiejszej nocy. Zrób coś dla mnie! Nie wyprowadzaj ich z błędu, dobrze?
- Oczywiście. Postaram się nawet przekazać komu trzeba, że nie pojawiłeś się rano w pracy. Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?
- Chyba nie.
- James!

- Tak?
 - Powinieneś mi napisać o swoich podejrzeniach w liście. Na wszelki wypadek.
 - Masz rację. Zaraz to zrobię.
 - Jesteś pewien, że niczego ci nie potrzeba?
 - Znajdź źródło, z którego finansowana jest Wellington Endowment.
 - Zrobione. Aha, mam dla ciebie informacje o Fieldsie i Suttonie.
 - Wal.
 - Pięć lat temu Fields pracował jako menedżer w firmie Krebs and Segal. Przez cały czas zajmował się najbardziej intratnymi kontraktami i prowadził pertraktacje w imieniu naszych dwóch banków narodowych. Nie wiemy jedynie, dla czego i dokąd odszedł.
 - Pertraktacje? – wyśmiał go Kincaid. – Zawodowy łgarz!
 - Mamy też coś na poczcziwego doktora Suttona. Pracował przez pewien czas w korpusie pokoju w Irlandii Północnej. Były głosy, że metody, jakimi się posługiwał przy badaniu pacjentów, sięgały zbyt daleko. Zainteresowała się nim Amnesty International, ale nie przedstawiono mu oficjalnie żadnych zarzutów, bo przed wdrożeniem postępowania sądowego złożył rezygnację.
 - Doskonale pasuje do naszej trójcy – podsumował Kincaid. – Mam do ciebie prośbę. Gdyby przez najbliższe dni sprawy wymknęły się spod kontroli...
 - Zrobię, co w mojej mocy.
 - Zabierz stąd Kerry. Dobrze? Tylko na czas śledztwa, dopóki sprawa nie ucichnie.
 - Przyrzekam.
 - Pomoże ci pewna szczególnie i bardzo ważna dla mnie osoba. Nazywa się Eve Laing. Podam ci w liście jej numer telefonu.
 - Zadzwoń do mnie jutro i uważaj na siebie.
- Kincaid odłożył słuchawkę.

Kilku osobom sam powinien powiedzieć o eksplozji w swoim londyńskim mieszkaniu. Zatelefonował do siostry. Uprzedził ją, by nikomu nie mówiła, że jest cały i zdrowy. Obiecał, że wkrótce wszystko wyjaśni, ale do tego czasu miała milczeć jak zaklęta. Lisa od razu zaprotestowała:

- Jim, w co ty się wpakowałeś?
 - Nie mogę ci teraz powiedzieć – odparł miękko Kincaid. – Zaufaj mi.
 - Nie mam innego wyjścia – stwierdziła, ale w jej głosie słychać było ogromny niepokój.
 - Daj mi Eve.
- Eve momentalnie się obudziła, gdy usłyszała, dlaczego dzwoni.
- O Boże! Jim! Tak się boje!
- Kincaid starał się ją przekonać, że póki jego przeciwnicy sądzą, iż albo nie żyje, albo nadal jest w Londynie, nie ma się o co martwić.
- Połóż się i śpij spokojnie. Zadzwoń jutro.

– Błagam cię, uważaj na siebie – szepnęła na pożegnanie.

Kincaid znalazł w notesie kartkę z numerem domowego telefonu Tolkiena. Zdziwił się, że lekarz tak szybko podniósł słuchawkę.

– Bałem się, że będziesz już spał – powiedział.

– Dopiero wróciłem – odparł Tolkien.

Kincaid opowiedział mu o zamachu w Londynie.

– Dobry Boże! – jęknął Tolkien. – Ileż ja bym dał, żeby to był tylko kosztowny sen.

– Nie ty jeden.

Tolkien powiedział Kincaidowi o swoich poszukiwaniach i o tym, że znalazł dwa kolejne przypadki potwierdzające ich teorię.

– Dobrze. Potrzebujemy każdej informacji. To dlatego wróciłeś tak późno?

Tolkien opowiedział o Karen Feenan.

– Jak ona się czuje?

– Po antybiotyku jest dużo lepiej – odparł Tolkien. – Myślę, że wyjdzie z tego.

Kincaid pożegnał się i odłożył słuchawkę. Stał przez chwilę nieruchomo, wpatrzony w dal. Znowu lunął deszcz i ciężkie krople uderzały w okienną szybę. Zastanawiał się nad sprawą Feenanów. Do tej pory uważał, że strach Tolkiena związany jest z jego odkryciem. Nie wiedział, że lekarz wdał się w spór ze szpitalem. Miał prawo się bać. Obaj mieli.

Kincaid nie umiałby zasnąć, więc włączył telewizor, ale nie mógł się skoncentrować. Myśli o Grupie Schillera nie opuszczały go ani na chwilę. W końcu poddał się i postanowił uporządkować informacje, które uzyskał w ciągu minionych trzech tygodni. Rozłożył na biurku kartki i włączył lampę rzucającą na stół jasne światło. Już dawno doszedł do wniosku, że nie potrafi zapamiętać wszystkich wiadomości, jakie do niego docierają i wypracował nawyk sporządzania krótkich notatek z każdego spotkania. Przy analizowaniu tych zapisków bywało, że odnajdywał ważne sprawy, które umknęły jego uwadze, albo te z pozoru błahe, które nabierały nowego, doniosłego znaczenia.

Zaczął od Carlisle’a uznawanego za przywódcę grupy – człowiek sukcesu, czarujący, lubiany, ale miernota naukowa, opinia o nim z lat studenckich miała się nijak do późniejszych osiągnięć. Z drugiej strony byli Charles French i Paul Schreiber – zdolni studenci i szcycący się nieprzeciętnymi umiejętnościami fachowcy. Notatki o nich umieścił pod informacjami o ministrze zdrowia.

French budził szacunek. Już w szkole marzył o politycznej karierze. Gdyby na miejscu Carlisle’a umieścić Frencha, całość wyglądałaby znacznie lepiej...

„Do diabła! To jest to!” – pomyślał. Że też wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Olśniewająca kariera polityczna Carlisle’a nie była jego zasługą! To figurant – czarujący, elokwentny, doskonale reprezentował interesy Grupy Schillera. Nic dziwnego, że był świetnym politykiem, skoro opierał się na pracy zbiorowej. Jego mózgiem byli French, Schreiber i wszyscy, którzy stali za nimi. Dlatego był nie do pokonania.

Kincaid znalazł niewielką karteczkę, gdzie zanotował pseudonim Carlisle'a – „Trojan”. Zaczynał rozumieć. To nie tylko ograniczony intelekt, jak sugerował Fletcher. Analogia sięgała znacznie dalej. Carlisle był eleganckim pojazdem, który miał zawieźć Frencha i jego stronników na sam szczyt.

Miotający nim sprzeczne uczucia, to wpadał w euforię, to znów ogarniał go paniczny strach. Był blisko rozwiązania zagadki, ale jeden nierozważny krok mógł zniweczyć cały wysiłek. Pozostał pewien drobny szczegół: jeżeli celem Grupy Schillera było zagarnięcie władzy, to ich wpływy musiały wykraczać poza mury szpitala. Nie wierzył, by korupcja sięgała aż tak wysoko. Otworzył list adresowany do Fletchera, wpisał nowe informacje i zakleił kopertę. Było wpoł do trzeciej nad ranem, gdy wyszedł na pocztę.

Tolkien przyjechał do gabinetu przed ósmą, aby, zanim przyjdą pierwsi chorzy, złożyć zamówienie na antybiotyki dla dwóch wybranych pacjentów. Chciał je wysłać do szpitala razem z prawdziwymi zleceniami. Wybrał dwóch mężczyzn: James Livermore, siedemdziesięcioletni pacjent, inwalida cierpiący na zaawansowaną postać reumatoidalnego zapalenia stawów, chorobę wieńcową, mający też zainfekowaną ranę na lewym ramieniu, któremu Tolkien przepisał penicylinę benzylową. Drugim był dwudziestosiemioletni inżynier, który zgłosił się do lekarza tylko w celu wykonania niezbędnych szczepień przed urlopem w Afryce Północnej, a któremu Tolkien również zlecił penicylinę benzylową dla wyleczenia czyraka na szyi.

Leki miały zostać dostarczone do gabinetu. Tolkien wpisał dane na karty chorobowe i wprowadził do komputera. O wpoł do dziesiątej zamówienie zostało przyjęte, a za piętnaście jedenasta na biurku stały dwa opakowania leku. Na jednym widniało nazwisko Livermore'a, na drugim inżyniera Kenyona. Tolkien otworzył obydwie pudełka – ampułki były identyczne. Włożył je do szuflady biurka i zamknął na klucz. Po zakończeniu wizyt lekarskich zadzwonił do Kincaida.

– To za mało – stwierdził.

– Dlaczego?

– Jeżeli nawet testy laboratoryjne potwierdzą nasze przypuszczenia, i tak szpital wyjdzie z tego obronną ręką. Wytlumaczą to jako niefortunny incydent podmiany leków w szpitalnej aptece. Każdemu może się zdarzyć.

Kincaid przyznał mu rację.

– W takim razie potrzebujemy więcej próbek, więcej leków przepisywanych ciężko chorym pacjentom.

– Tak, to jest sposób – odparł spokojnie Tolkien – ale w istocie potrzebny nam jest sam program.

– Komputerowy? Program komputerowy? – zapytał Kincaid. – A w jaki sposób mamy go zdobyć?

– Dobre pytanie.

– Musimy się spotkać – stwierdził Kincaid.

– Chcesz przyjechać?

Nie, Kincaid nie chciał. Bał się, że po zatargach Tolkiena ze szpitalem, gabinet może być obserwowany.

– Pamiętasz, gdzie się spotkaliśmy pierwszy raz? – zapytał.

– W domu twojego ojca?

– Tak. Będę tam czekał o drugiej. Tylko sprawdź, czy nikt cię nie śledzi i weź ze sobą wszystkie materiały.

Deszcz nie ustawał od dwunastu godzin. Kincaid skręcił w mokrą, śliską ulicę i zatrzymał hondę naprzeciwko domu swojego ojca.

Od razu spostrzegł, że rynna jest wciąż zepsuta, a woda leje się wprost na kamienny podest i wartkim strumieniem płynie chodnikami. Była za pięć druga. Tracił grunt pod nogami.

A jeżeli Tolkien nie zauważy, że ktoś go śledzi? Dwa ptaszki w jednej klatce. Dzięki Grupie Schillera mógł zakończyć życie na tej samej ulicy, gdzie przyszedł na świat.

Gdy usłyszał pisk opon na mokrej nawierzchni ulicy, ostrożnie spojrzał w lusterko. Samochód zatrzymał się tuż przed nim, a po chwili, która dla Kincaida wydawała się wiecznością, Tolkien wysiadł i podbiegł do niego.

– Nikt za tobą nie jechał?

– Nikt. Uważnie się rozglądałem.

– Masz antybiotyki? – zapytał Kincaid.

Tolkien podał mu zapieczętowaną kopertę, w której były dwie ampułki.

– Pomyślałem, że będziesz chciał je wysłać – powiedział.

Kincaid wziął paczkę.

– A papiery? – zapytał niecierpliwie.

Tolkien wyciągnął z teczek następną kopertę.

– To są dane pacjentów, o których ci opowiadałem.

– Na wszelki wypadek, wyślę je w bezpieczne miejsce.

Tolkien nie musiał pytać, o jakim „wszelkim wypadku” mówił. Umilkli, gdy na końcu ulicy pojawił się samochód, sunąc powoli w ich stronę. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od nich, po przeciwnej stronie ulicy. Kincaid zauważył, że Tolkien spogląda z napięciem na wóz.

– Chyba wszystko w porządku – powiedział spokojnie, gdy drzwi samochodu otworzyły się.

Wysiadła z niego kobieta, trzymając w ręku torbę z zakupami, i pomachała na pożegnanie kierowcy. Podbiegła do frontowych drzwi domu, przed którym się zatrzymali, otworzyła je, jeszcze raz pomachała i zniknęła w środku. Samochód zatrał i odjechał. Obaj mężczyźni odetchnęli z ulgą.

– Nie przedłużajmy naszego spotkania – zaproponował Kincaid. – Pojadę prosto na pocztę.

– Myślałeś o programie? – zapytał Tolkien.

– Potrzebuję więcej czasu.

Kincaid patrzył, jak samochód Tolkienu zjeżdża na prawy pas i znika za zakrętem. Uruchoił silnik i wsłuchiwał się w kojący monotony turkot. Czuł się bezpieczniej; ruchomy cel trudniej dosięgnąć.

Stał na światłach, gdy minęło go białe BMW. Kierowało się w stronę, gdzie przed chwilą zniknął Tolkien. Wycieraczki pracowały bez ustanku, ale krople deszczu na szybie i tak ograniczały widoczność. Mimo to, gdy Kincaid zobaczył kierowcę BMW, poczuł, że żołądek podjeżdża mu do gardła. Ten człowiek do złudzenia przypominał pielęgniarza z Fingleton Grange.

Gwałtownie skręcił w lewo. Chciał jak najszybciej oddalić się z miejsca spotkania. Stanowił łatwy cel – siedział we własnym samochodzie, zarejestrowanym na swoje nazwisko. Jego wrogowie nie tylko mogli się dowiedzieć, że nie zginął, ale także, że był w mieście.

Kincaid poczuł ulgę, gdy nadał do Fletchera przesyłkę z dwoma ampułkami leku i prośbą, aby jak najszybciej skierował je do analizy w najlepszym, niezależnym laboratorium. Nie zakleił jeszcze koperty z papierami, bo przed wysłaniem chciał je spokojnie przejrzeć w cichym, ustronnym miejscu. Teraz przede wszystkim musiał się skontaktować z Cinemed.

– Dzień dobry. Nazywam się Anthony Miles. Jestem asystentem na chirurgii w College Hospital – Kincaid kłamał jak z nut.

– Słucham, doktorze. Co mogę dla pana zrobić?

– Popeniłem głupi błąd – powiedział Kincaid. – Zniszczyłem jedną z taśm dydaktycznych. Państwo, prawdopodobnie, nie wykonujecie kopii?

– Nie zawsze, doktorze. Jaki to był film?

– Z dwudziestego czwartego marca – odparł Kincaid.

Zapadła cisza. Kincaid słyszał w słuchawce szelest przewracanych kartek, a po pewnym czasie mężczyzna powiedział:

– Ach, to ten.

Kincaid nie zareagował. Zdenerwowany, przygryzł dolną wargę.

– Zazwyczaj nie wykonujemy kopii, doktorze. Praktykujemy to tylko w wypadkach, gdy nagranie jest wyjątkowo złej jakości. Kopię zawsze można wyczyścić.

– A tym razem nagranie było dobre? – domyślił się Kincaid.

– Obawiam się, że tak.

Kincaid był rozczarowany.

– Trudno. Pomyślałem, że a nuż się uda – powiedział.

– Bardzo mi przykro.

– Dziękuję za pomoc – odparł uprzejmie Kincaid. Podświadomie czuł, że jego rozmówca coś ukrywa. Tego rodzaju wrażliwość wyrobił w sobie w czasie długich lat pracy. Nie odkładał słuchawki w nadziei, że dowie się jeszcze czegoś. Nie pomylił się.

– Doktorze – zaczął niepewnie mężczyzna. – Czy to dla pana bardzo ważne?

Kincaid czuł, że napięcie rośnie. Nadeszła pora, aby wzbudzić litość w rozmówcy.

– Bardzo, ale skoro nie można, to trudno. Muszę się z tym pogodzić – powiedział z rezygnacją.

– Szczerze mówiąc, doktorze...

– Tak? – Kincaid znowu przygryzł dolną wargę. Ze wszystkich sił starał się dodać rozmówcy odwagi.

– Szczerze mówiąc, mamy jedną kopię.

– Naprawdę? – Kincaid próbował zachować spokój, chociaż nerwy miał napięte jak postronki.

– To była operacja prowadzona przez sir Martina Freemana, prawda?

– Tak.

– Przyłapałem jednego z techników, gdy przegrywał film. Wie pan, ta historia z Freemanem i to wszystko... Wylałem go. W naszej firmie obowiązują rygorystyczne przepisy, gdy chodzi o zabezpieczenie cennych materiałów. Nie zniszczyłem tej kopii. Jeżeli naprawdę pan potrzebuje, mogę ją udostępnić.

– Zaraz po nią przyjadę – odparł Kincaid.

– Doktorze?

– Tak?

– Zdaje pan sobie sprawę, co mi grozi, jeżeli ktoś się o tym dowie.

Kincaid zapewnił go, że już zapomniał o istnieniu pirackiej kopii. O piątej po południu odebrał taśmę i skierował się w powrotną drogę do Newcastle.

Kincaid zadzwonił pod prywatny numer Fletchera, opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło od czasu ich ostatniej rozmowy, i zwrócił uwagę na przesyłkę z antybiotykiem.

– Czy nadal jestem martwy? – zapytał.

– Ciągłe przeszukują gruzy – powiedział Fletcher. – Niepokoi ich, że nie pojawiłeś się w pracy.

– Doskonale. Dostałeś już mój list?

– Nie.

– Powinien już być – mruknął Kincaid. – Wysłałem go nad ranem.

Opowiedział Fletcherowi o swojej ostatniej hipotezie dotyczącej Carlisle'a.

Po długim milczeniu Fletcher odparł:

– To ma sens. Ale kto, w takim razie, pociąga za sznurki?

– Moim faworytem jest Charles French. Ma głowę na karku i odpowiednią przeszłość. Prawdopodobnie nie pracuje sam, ale o innych nic nie wiemy.

– Co za hieny! – wzdygnął się Fletcher.

– A co powiedziano szanownemu wydawcy w ministerstwie? – zapytał Kincaid.

– Rząd Jej Królewskiej Mości nic nie wie o istnieniu „tak zwanych” wewnętrzpartyjnych grup ekstremistycznych.

– A czy mają zamiar zrobić cokolwiek w tej sprawie? – zapytał Kincaid.

– W każdym razie nie Alas. On stwierdził autorytatywnie, że sprawa nie dotyczy jego partii.

– Zmieni zdanie.
– Wszyscy zmienią, gdy dostaną raport. Alas poza tym kilkakrotnie przypominał wydawcy, że policja jako pierwsza powinna być informowana o przestępstwie.

– Nadęty dupek – mruknął Kincaid.
– Zastrany moralista – dodał Fletcher.

Kincaid obiecał, że wkrótce zadzwoni, i odłożył słuchawkę.

Kincaid wpadł na pomysł, żeby odtworzyć pożyczoną taśmę wideo u siostry. Zadzwonił do niej.

– Tak, mamy magnetowid. Dlaczego pytasz? – zapytała Lisa.
– Jeśli się zgodzisz, chciałbym z niego skorzystać późnym wieczorem.
– Oczywiście, przyjeżdżaj – odparła niepewnie Lisa. – O której możemy się ciebie spodziewać?

– Po zmroku. Powiedzmy o dziesiątej.
– Jim, martwię się o Eve.
– Co się stało? – zapytał Kincaid czując, jak na gardle zaciska mu się żelazna obręcz.
– Twierdzi, że to tylko grypa, ale moim zdaniem ona jest ciężko chora.
– Daj ją do telefonu.
– Przekonałam Eve, żeby położyła się do łóżka. Zasnęła dopiero pół godziny temu – odparła Lisa.

– W takim razie, porozmawiam z nią później.

Kincaid odłożył słuchawkę i w zamyśleniu potarł czoło. Może powinien poprosić Tolkiena, żeby zbadał Eve? A może najpierw z nią porozmawiać? Zdecydował, że poczeka do wieczornego spotkania. Znalazł wolną chwilę, żeby przejrzeć papiery otrzymane od Tolkiena.

Lekarz opowiadał mu o wszystkich przypadkach, ale dopiero gdy zobaczył to czarno na białym, odczuł grozę sytuacji. Wpatrywał się w wyniki testów laboratoryjnych swojego ojca, Madeline Bell i Lindy Holland. Były identyczne. Może właśnie trzymał w ręku ich najskuteczniejszą broń? Może te dane, w zestawieniu z wynikami badań antybiotyku wysłanego do Londynu, wystarczą, żeby przekonać policję? Nie, nie wystarczą, Kincaid nie powinien się łudzić. Zakażenia szpitalne nie należały do rzadkości. Zdarzały się wtedy nawet wypadki śmiertelne.

Im dłużej rozmyślał nad zdobyciem programu komputerowego, tym bardziej wydawało mu się to nierealne. Będzie musiał włamać się do centrum operacyjnego szpitala i ukraść program. Sama myśl napawała go lękiem, lecz obok pojawił się kolejny, jeszcze większy problem. Skąd miał wiedzieć, czego szukać? Nie znał się na komputerach, potrafił jedynie obsługiwać dwoma palcami edytor tekstu. Potrzebował fachowca... kogoś takiego jak człowiek, z którym rozmawiał w dniu otwarcia centrum farmaceutycznego. Jak on się nazywał?

Holland. Dave Holland. Rzucił okiem na leżące przed nim papiery. Widniało tam nazwisko zmarłej Lindy Holland. Przypadkowa zbieżność nazwisk czy pokrewieństwo?

Kincaid, z książką telefoniczną na kolanach, nakręcał kolejne numery.

– Czy pan Holland, pracownik College Hospital?

– Nie.

– Przepraszam, że pana niepokoiłem.

Pudło. Kolejny numer.

– Czy dobrze się połączyłem? Czy mówię z panem Hollandem, pracownikiem College Hospital?

– Niestety, nie. To numer siedem-siedem-sześć-osiem.

– Przepraszam.

Pudło. Kilka podobnych telefonów i wreszcie, za piątym razem, kobiecy głos odpowiedział:

– Zgadza się. Niestety, Dave’a nie ma w domu.

– Może mi pani powiedzieć, kiedy wróci?

– Nie wcześniej niż jutro rano. Jest na dyżurze. A kto mówi?

– Smith. Harry Smith – skłamał Kincaid. – Byłem w okolicy i pomyślałem, że odwiedzę poczciwego Dave’a. Minęło już sześć czy siedem lat od naszego ostatniego spotkania. Chyba była pani wtedy razem z nim.

– Nie przypominam sobie.

– No cóż, to było tak dawno temu... Mielicie małe dziecko. O ile dobrze pamiętam – dziewczynkę, Linde, prawda?

W słuchawce zaległa cisza, a po chwili Kincaid usłyszał jej głos. Mówiła tak, jakby każde słowo sprawiało jej fizyczne cierpienie.

– Prawda. Linda niedawno odeszła z tego świata.

Kincaid poczuł na piersi dziwny ciężar.

– Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć. Tak mi przykro.

– Powtórzę Dave’owi, że pan dzwonił – powiedziała kobieta kończąc rozmowę.

Kincaid miał wyrzuty sumienia, ale nie mógł sobie pozwolić na sentymenty. Przed świtem zrobi zapewne kilka jeszcze gorszych rzeczy. Nakręcił numer szpitala i poprosił o połączenie z centrum komputerowym, z Dave’em Hollandem.

– Holland, słucham.

– Dave? Tutaj James Kincaid. Możesz mnie nie pamiętać...

– Pamiętam – odparł Holland. – Jesteś dziennikarzem. Byłeś w dniu otwarcia.

– Zgadza się. Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie bardzo rozumiem.

– Nie będziemy rozmawiać o tym przez telefon. Czy możemy się spotkać?

- Mam nocny dyżur.
 - A przerwa na posiłek?
- Holland był zaskoczony.
- Mam przerwę. O drugiej. O co chodzi?
 - Spotkaj się ze mną o drugiej, wtedy wszystko ci powiem. Zaufaj mi, to bardzo ważne.
 - Gdzie?
 - Będę czekał przy wyjściu. Aha, jeszcze jedno: nikomu ani słowa.
 - Ale o co chodzi? Chociaż ogólnie!
 - Punkt druga – powiedział Kincaid i odłożył słuchawkę.

Szybkość tętna dawno już przekroczyła sto na minutę. Odetchnął powoli, głęboko. Próbował uspokoić zszargane nerwy, bo najtrudniejsze było wciąż przed nim. Nie miał już odwrotu. Jeżeli Holland przyjdzie na umówione spotkanie, Kincaid będzie musiał powiedzieć mu, że Linda została zamordowana i przekonać Dave’a, aby im pomógł. Podniósł się i podszedł do okna, aby popatrzeć na rozciągające się przed nim miasto. Deszcz ustał i kolorowe neony wabiły swoim blaskiem. Po ulicach sunęły setki barwnych samochodów, rozświetlając ciemności kolorowymi wstążkami świateł. Tuż obok dwa koty skradały się do kuchennych drzwi, w nadziei znalezienia smacznego kąska. Strachliwie chowały się w cieniu, jakby wiedząc, co je spotka, jeżeli zostaną złapane, a mimo to z determinacją brnęły naprzód. Współczuł biednym stworzeniom.

Tuż po dziesiątej Kincaid zapukał do drzwi swojej siostry. Zaparkował samochód w bocznej uliczce, aby nie rzucał się w oczy.

- Wejdz – powiedział Kevin Hardesty, otwierając drzwi.

Kincaid błyskawicznie zauważył, że Kevin nie był zadowolony z jego wizyty. Wyczuwał wiszącą w powietrzu awanturę. Lisa podbiegła i pocałowała brata w policzek.

- Może przygotować ci coś do jedzenia? – zaproponowała. – Małe co nieco.

Kincaid pokręcił głową.

- Nie, dziękuję.
- Eve już nie śpi – Lisa zmieniła temat. – Idź do niej.

Wehodząc po schodach, Kincaid słyszał za sobą nerwowe szepty. Uchylił drzwi sypialni i wetknął głowę.

- Słyszałem, że się źle czujesz?

Eve uśmiechnęła się, lecz nie wstała. Wyciągnęła do niego rękę, mówiąc:

- Nic mi nie będzie. Jestem tylko bardzo słaba. Sama nie wiem, dlaczego.

Kincaid ujął jej dłoń i delikatnie pogłaskał. Była wilgotna i ciepła.

- Masz gorączkę – powiedział.

– Tylko stan podgorączkowy – odparła Eve. – Rano będę na nogach, obiecuję. Nie chcę sprawiać kłopotu Lisie i Kevinowi.

– Nie myśl o tym – przerwał jej Kincaid. – Setki razy powtarzałem ci, że moja siostra jest najbardziej uroczą istotą na świecie. Dobieraliśmy się na zasadzie przeciwieństw.

Eve zdołała przywołać na twarz uśmiech.

– Przesadzasz – odparła. – A jak idzie śledztwo?

Kincaid wyjawiał, że udało mu się zdobyć kopię filmu z ostatniej operacji Freemana i że wysłał do Londynu próbki antybiotyku do analizy chemicznej. Nie wspomniał jedynie o spotkaniu z Dave'em Hollandem. O tym powie jej później.

Eve z trudem uniosła głowę.

– Chcę zobaczyć film – powiedziała.

Podał jej rękę, by mogła się podnieść. Była jednak zbyt słaba, aby stanąć samodzielnie.

– Lepiej będzie, jeżeli zostaniesz w łóżku – stwierdził Kincaid, a Eve nie protestowała. Nakrył ją starannie.

– To straszne – powiedziała cicho – zupełnie nie mam siły. Nie wiem, dlaczego.

– Leż spokojnie. Wrócę, gdy tylko obejrzę nagranie.

Eve tylko skinęła głową. Kincaid zszedł na dół, gdzie atmosfera była jeszcze bardziej napięta niż kilka minut temu. Pod jego nieobecność Lisa i Kevin pokłócili się.

– Chciałbym zamienić z tobą kilka słów – powiedział krótko Kevin i skierował się do kuchni. Kincaid spojrzął na Lisę. Uśmiechnęła się smutno i bezradnie rozłożyła ręce. Wszedł więc za szwagrem i zamknął za sobą drzwi.

– Nie podoba mi się to wszystko – zaczął Kevin.

Kincaid zdawał sobie z tego sprawę, gdy tylko wszedł. Kevinowi ze zdenerwowania drżały ręce.

– Przykro mi – powiedział Kincaid. – Wiem, co czujesz.

– To jest mój dom – odparł Kevin – i nie zamienię go na przytułek dla zbłąkanych owieczek i sierot, podczas gdy ty zabawiasz się w Jamesa Bonda.

– Wolnego, kolego! Eve nie jest ani zbłąkaną owieczką, ani sierotą. Przeze mnie znalazła się w niebezpieczeństwie. Dlatego zwróciłem się do Lisy o pomoc, jak brat do siostry.

– A nie przyszło ci do głowy, że my też możemy być w niebezpieczeństwie? I też przez ciebie? – zapytał Kevin podniesionym głosem.

– Przemyslałem to – odparł Kincaid. – Nie ma powodu, żeby moi wrogowie mścili się na tobie i Lisie.

– A jeżeli cię śledzili?

– Nie śledzili.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem. Jestem dobry w te klocki – odparł ostro Kincaid.

– Nie chcę któregoś dnia zobaczyć w telewizji mojego domu w zgliszczach – powiedział Kevin tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Musicie się stąd jak najszybciej wynieść. Oboje.

Kincaid spuścił wzrok i milczał przez chwilę, aż w końcu powiedział :

– Rozumiem. Niedługo się wyprowadzimy. – W myśli już czynił plany przenieśienia Eve do hotelu. – Chciałbym jeszcze tylko obejrzeć kasety. Oczywiście, jeżeli pozwolisz.

Kevin skinął głową i otworzył drzwi. Od razu stanęła w nich Lisa ze straszną miną. Kincaid uśmiechnął się do niej pocieszająco.

– Chcesz zostać sam? – zapytała, wyjmując kasetę z rąk brata i wkładając ją do magnetowidu.

– Tak będzie lepiej – odparł.

Kevin pierwszy opuścił pokój. Gdy zostali sami, Lisa odwróciła się w drzwiach i szepnęła:

– Przepraszam.

Kincaid uśmiechnął się, przesyłając jej całusa. Zapalił słabsze światło i usiadł przed telewizorem. Robiło mu się słabo, gdy oglądał początek filmu. Przewinął więc taśmę do momentu śmierci Freemana. Patrzył uważnie: chirurg nagle zeszytniał, momentalnie odwrócił się do Claire Affric i przejechał skalpelem po twarzy asystentki. Kincaid cofnął taśmę i obejrzał ją po raz kolejny. I jeszcze raz.

Początkowo przyglądał się Claire Affric, gdy ostrze trafiało w policzek, ale za trzecim razem spojrzął na Freemana. Chirurg wpatrywał się w Claire. W jego oczach widać było dojmujący ból... i coś więcej. Kincaid przewinął scenę po raz czwarty i już wiedział: to nie tylko ból, w jego oczach była nienawiść!

„Dlaczego?” – pytał sam siebie i zaraz pojawiała się kolejna kwestia: skoro Freeman tak bardzo nienawidził Claire, to może rana, którą jej zadał, wcale nie była przypadkowa? Może ten cios był dla niej przeznaczony? Może wszyscy mylili się sądząc, że to wypadek?

Kincaid kolejny raz przewinął film, lecz tym razem trochę dalej. Chciał wiedzieć, co się stało wcześniej. Obejrzał dwuminutowy fragment nagrania, nie spuszczać wzroku z Claire Affric. Od razu zobaczył coś, czego nikt przed nim nie dostrzegł.

Gdy oczy zebranych były zwrócone na Freemana, któremu pielęgniarka zmieniała rękawiczkę, Claire Affric odwróciła się od nich. Kincaid zauważył, jak wkłada ręce pod fartuch i wyjmuje jakiś przedmiot. Nie mógł dostrzec, co to było. Potem Claire pochylając się nad pacjentką, jednocześnie szybkim ruchem wbiła pod stołem igłę w udo Freemana. Kilka chwil później chirurg już nie żył.

Kincaid gwałtownie łapał powietrze. Znalazł przyczynę – Freeman został zamordowany na sali operacyjnej przez Claire Affric. Chirurg zorientował się, co zrobiła i w geście rozpaczy starał się pociągnąć ją za sobą. Claire Affric należała do spisku! Zrobiła wszystko, aby uwierzył, że była ofiarą zbiegu wypadków.

Kincaid bębnił palcami prawej ręki po zębach, zastanawiając się, jakie to może mieć znaczenie dla jego dalszych działań. Doszedł do wniosku, że Fields

sprovokował sensacyjną operację Greta Marsh, aby odwrócić zainteresowanie prasy od ważniejszych tematów. Przekonał także Claire Affric, że jest to niezbędne dla jej dalszej kariery. Doktor Claire Affric tkwiła w tym bagnie po same uszy. Ta sama doktor Claire Affric kilka dni temu, po wypadku na sali operacyjnej, zrobiła swej asystentce zastrzyk. Musiał natychmiast zabrać Eve do Tolkiena.

17

Kincaid wybiegł na korytarz i chwycił słuchawkę telefonu. Lisa obserwowała go z rosnącym niepokojem.

– Mogłabyś pomóc Eve przygotować się do wyjścia? – poprosił siostrę.

– Oczywiście – odparła Lisa, która nie wiedząc o niczym, podświadomie czuła, że dzieje się coś złego. Nie zdobyła się na pytanie. Dopiero teraz zrozumiała, że Kevin osiągnął swój cel: oddzielił ją od brata niewidzialnym murem.

Kincaid nie zastał lekarza w gabinecie, nakręcił więc domowy numer telefonu i czekał. Myśl, że Tolkien nie wrócił jeszcze do domu, sprawiała mu fizyczne cierpienie. Po piątym sygnale usłyszał w słuchawce jego zaspany głos.

– Neil? To ja. Musisz mi pomóc.

Kincaid wyjaśnił krótko, że Claire Affric próbowała zabić Eve.

– Daj mi adres. Zaraz przyjadę – odparł Tolkien.

– Nie. My przyjedziemy do ciebie.

– Dobrze, spotkajmy się w moim gabinecie. Już tam jadę – powiedział Tolkien. – Pośpieszcie się.

Kincaid wyjął z magnetowidu przewiniętą kasetę i pobiegł na piętro, aby pomóc Eve. Zobaczył kobiety wychodzące z sypialni. Eve ciężko opierała się na ramieniu Lisy. Ujrawszy Kincaida, uśmiechnęła się nieporadnie.

– Pomóc ci? – zapytał.

Lisa podziękowała i kazała mu iść po samochód.

Kincaid zatrzymał się w pół kroku przypuszczając, że Eve nie zdoła o własnych siłach zejść ze schodów. Popatrzyła na niego.

– Idź – powiedziała.

Kincaid zaparkował samochód przy furtce i nie wyłączył silnika. Mając Lisę po jednej stronie, a Kincaida po drugiej, Eve zdołała przejść ścieżką do bramy i ciężko opadła na przednie siedzenie wozu.

- Dziękuję – szepnął Kincaid do siostry, gdy zamykał za Eve drzwi auta.
- Przepraszam za Kevina – odparła Lisa.

Kincaid, wsiadając do samochodu, uśmiechnął się do niej.

- Nie ma za co przepraszać – powiedział miękko. – Musimy już jechać.

Nie było czasu, by myśleć o niebezpieczeństwie. Eve potrzebowała pomocy lekarskiej. Niezwłocznie. Miał nadzieję, że nawet jeżeli gabinet jest obserwowany, to nie w nocy, gdy lekarz spał we własnym łóżku.

Kiedy przyjechali, samochód Tolkiena już stał. Kincaid zaparkował przed gabinetem i pomógł Eve wejść do budynku. Chociaż wycieńczona, zdawała sobie sprawę, czym okazało się jej „niewinne przeziębienie”. Gdy usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu, Tolkien wyszedł na zewnątrz i wypuścił ich do gabinetu. Zamykając wejściowe drzwi, Kincaid rozejrzał się najpierw wokół, ale nie zauważył nikogo. Mimo to był niespokojny. Zarygłował drzwi.

Solidne metalowe zasuwki dawały poczucie bezpieczeństwa.

– Połóżmy cię tutaj – powiedział Tolkien, prowadząc Eve na obitą czerwoną skórą kozetkę stojącą pod ścianą. Gdy leżała już wygodnie, rozpoczął badanie.

- Mam poczekać na zewnątrz? – zapytał niepewnie Kincaid.

- Zostań – poprosiła Eve.

Kincaid nerwowo spoglądał na lekarza. Drażniło go milczenie Tolkiena, który z kamienną twarzą badał chorą; drażniła go cisza i własna bezradność.

– To na pewno grypa – powiedziała słabo Eve, ale wystarczyło posłuchać tonacji jej głosu, żeby wykluczyć tę ewentualność.

- Nie z taką gorączką – mruknął Tolkien.

– Wiesz już, co jej jest? – zapytał Kincaid, gdy tylko lekarz wyprostował się i odłożył stetoskop.

– Z waszych słów i z tego, co sam widzę, wynika, że mamy do czynienia z sepsą. – Tolkien zwrócił się do Eve: – Panno Laing, obawiam się, że to posocznica.

– Ale... jak? – zapytała półprzytomnie. – Nic nie rozumiem. Przecież dołądnie oczyściłam ranę. Dostałam nawet antybiotyki.

Kincaid przerwał jej:

- Sądzymy, że to zastrzyk Claire Affric.

– O Boże! – szepnęła Eve. Poruszała tylko ustami, jakby nie chciała tracić sił na zbędne słowa.

- Wyzdrowieje? – zapytał Kincaid, patrząc Tolkienowi prosto w oczy.

Lekarz uniknął jego spojrzenia.

– To zależy od tego, co jej podano. Właściwie, przed rozpoczęciem leczenia, powinienem wykonać posiew krwi. Niestety, nie ma na to czasu. Oczywiście, wezmę krew do badania, ale antybiotyki muszę podać od razu. Módlmy się, żeby były skuteczne. Podejrzewam, że Eve zaaplikowano ten sam szczep bakterii, co twojemu ojcu i dziewczynom.

Tolkien nie musiał dodawać, że zgodnie z zasadami sztuki lekarskiej, Eve powinna jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

W obecnych warunkach to rozwiązanie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Kincaid stał z boku obserwując, jak Tolkien zakłada Eve mankiet uciskowy i jak na jej przedramieniu żyły powoli wypełniają się krwią. Lekarz przetarł gładką, delikatną skórę wilgotnym wacikiem, zdezynfekował ją spirytusem i wprowadził igłę do żyły. Ciemna krew napływała do strzykawki w miarę, jak Tolkien odciągał tłok.

Lekarz otarł kroplę, która pojawiła się w miejscu ukłucia, wlał zawartość strzykawki do sterylnej probówki i podpisał ją nazwiskiem Eve.

– To do laboratorium – powiedział. – A teraz antybiotyki.

Wyjął z apteczki ampułkę leku i wstrzyknął ją Eve.

Dziewczyna ledwie poczuła ukłucie, tylko poruszyła się bezwiednie na łóżku. Kincaid odgarnął z jej czoła kosmyk włosów i szepnął do ucha słowa otuchy. W odpowiedzi delikatnie uściśnięła mu dłoń. Ten jeden gest wystarczył, by w jego sercu zaświtała nadzieja. Odwrócił się do lekarza i powiedział cicho:

– Może zabralibyśmy ją do innego szpitala?

– W tej chwili potrzeba jej przede wszystkim spokoju – od rzekł Tolkien. – Zostawmy ją tutaj na noc. Miejmy nadzieję, że antybiotyki okażą się skuteczne. Zresztą w szpitalu, bez wyników posiewu, i tak nie zrobiliby nic więcej, a takie badanie trwa co najmniej dwa dni.

Kincaid, chociaż niechętnie, przystał na propozycję lekarza i opowiedział Tolkienowi o planowanym spotkaniu z Dave'em Hollandem. W tej sytuacji nie mogło ono dojść do skutku.

– Ależ to jedyna szansa! Nie wolno nam jej przegapić! – perswadował mu Tolkien. – Taka okazja może się już nie powtórzyć!

– Nie ma mowy. Nie zostawię Eve.

– Wiem, co czujesz – odparł spokojnie Tolkien – ale teraz możemy tylko czekać, a ten program komputerowy jest nam naprawdę bardzo potrzebny. Będę czuwał przy Eve, a jeżeli coś się wydarzy i tak bardziej się jej przydam niż ty. Jedź na spotkanie.

Kincaid miał wyrzuty sumienia. Żałował z całego serca, że Eve, zamiast w obskurnym gabinecie, nie leży teraz wygodnie w najlepszej londyńskiej klinice. Zimno i wilgoć pomieszczenia stopniowo ustępowały ciepłu rozchodzącemu się z włączanego piecyka gazowego. Mimo to gabinet miał w sobie coś odrażającego. Może to te lampy, które rzucały tak dużo cienia? Może stęchły zapach unoszący się w całym budynku? A może ciemne ściany? Wszystko razem tworzyło nader przygnębiającą atmosferę, daleką od przepychu i sterylnej czystości nowoczesnych szpitali.

– Umówiłem się z Hollandem dopiero o drugiej – powiedział.

Zegar właśnie wybił północ. Do pierwszej stan Eve poprawił się nieco. Tolkien powiedział, że to dobry znak.

– Antybiotyki zaczęły działać – stwierdził. O wpół do drugiej Kincaid wstał do wyjścia. Na pożegnanie delikatnie pocałował Eve w czoło.

- Powodzenia – rzucił za nim Tolkien.
- Opiekuj się nią – odparł Kincaid.

Kincaid zostawił sobie dużo czasu na dojazd do szpitala. Wolał się upewnić, że nikt go nie śledzi. O tej porze, w środku nocy, gdy ruch był minimalny, bez trudu zauważyłby jadący za nim wóz. Ruszył przed siebie, uważnie patrząc w lusterko. Po krótkiej chwili zobaczył światła jakiegoś samochodu. Poczul przyspieszone bicie serca. Zwolnił, lecz pojazd nie wyprzedzał go. Nie widząc innego rozwiązania, skręcił w pierwszą przecznicę, a skoro tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku kierowcy, nacisnął pedał gazu. Przejechał serpentyną bocznych uliczek, aby po kilku minutach wrócić na drogę prowadzącą do szpitala. Był sam.

Gdy wybiła druga, zatrzymał się na parkingu przed szpitalem. Wokoło było cicho jak makiem zasiał. Po kilku minutach przemknęła obok niego, błyskając niebieskim światłem, karetka, która podjechała wprost pod drzwi izby przyjęć. Kincaid odwrócił się i zobaczył idącego naprzeciwko Hollanda. Włączył światła. Holland otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł, a Kincaid od razu uruchomił silnik.

- Gdzie zazwyczaj jadasz? – zapytał.
- W szpitalu – odparł Holland.
- I gdzie jeszcze?
- Niedaleko stąd jest całodobowy bar.
- Prowadź.

Kincaid jechał pilotowany przez Hollanda i zatrzymał wóz na parkingu, przy stacji obsługi samochodów. Oprócz nich parkowało tam jeszcze kilku kierowców. Jeden z samochodów stał na holu. Kiedy weszli do środka, z głośników sączyła się cicha muzyka orkiestry Mantovaniego, a w powietrzu unosił zapach detergentów, pochodzący prawdopodobnie z zamkniętej części sali, gdzie myto podłogi.

Holland wybrał dla siebie jeden z gorących posiłków ustawionych na podgrzewanej ladzie, a Kincaid poprzestał na filiżance kawy. Zajęli stolik z dala od bufetu i reszty gości. Najbliżej, dziesięć stolików od nich, siedzieli trzej mężczyźni w kombinezonach pomocy drogowej.

- Czy dowiem się wreszcie, o co chodzi? – zapytał Holland.

Kincaid nie wiedział, od czego zacząć. Jak ma powiedzieć facetowi, który o drugiej nad ranem siedzi nad talerzem spaghetti, przy płynącej z głośników *Charmaine* Mantovaniego, że jego córka została zamordowana?

- Chodzi o Lindę – wydusił wreszcie.
- Holland upuścił widelec.
- O moją córkę, Lindę? Czego chcesz? – zapytał zaczepnie.

– Nie tylko o nią. O innych też.
– No, mówże! – Holland nie spuszczał wzroku z Kincaida.
– Oni wszyscy byli pacjentami College Hospital i wszyscy zmarli szybciej, niż powinni.

Holland popatrzył na niego z zaskoczeniem.

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – zapytał.
– Niektórzy pacjenci nie byli prawidłowo leczeni. Twoja córka też do nich należała. I mój ojciec.

Holland pokręcił głową, jakby nie chciał dopuścić do siebie słów Kincaida.

– Przykro mi – powiedział – ale to wierutne brednie. O co ci naprawdę chodzi? Twierdzisz, że popełniono jakiś błąd?

– Nie – odparł Kincaid, patrząc Hollandowi prosto w oczy. – Twierdzę, że oni zostali zamordowani.

Różne uczucia malowały się na twarzy Hollanda. Otworzył usta, ale dopiero po chwili wybuchnął:

– Co to jest, u diabła?! Niesmaczne żarty?! Drogi panie!

Holland zerwał się z krzesła, lecz Kincaid spokojnie położył rękę na jego ramieniu.

– Nawet jeżeli to wbrew pańskim zasadom, proszę, niech mi pan uwierzy. Wiem, o czym mówię. Mieszkańcy tego regionu stali się ofiarami makabrycznego, politycznego eksperymentu. Starcy, ludzie nieuleczalnie chorzy, kaleki, chorzy na AIDS, narkomani, wszyscy zostali poddani programowi systematycznej eliminacji.

– Eliminacji? – powtórzył Holland, jakby samo słowo brzmiało wystarczająco ohydnie.

Kincaid opowiedział Hollandowi o Grupie Schillera, o ich działalności, o tym, w jaki sposób fałszowali statystyki, aby dane pozostały nie zmienione. Holland słuchał go, jakby nagle znalazł się na innej planecie. Kincaid wiedział, że jeśli tylko przypomni sobie o córce, powróci w świat wspomnień. Musiał działać, póki nie było za późno.

– Dlatego potrzebny nam jest program sterujący pracą oddziału farmaceutycznego – doszedł do sedna sprawy. – Rozumiesz mnie?

Holland przytaknął bezmyślnie, nie słuchając Kincaida.

– Pomożesz nam?

Nie odpowiedział.

Kincaid powtórzył pytanie i Holland spojrzął na niego.

– Pomogę – powiedział. – Co mam robić?

– Masz jakiś pomysł? Domyślasz się, jak oni to robią?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Może przez układ wzorcowy.

– Co to znaczy?

– Kiedy nadchodzi zlecenie, komputer najpierw, dla bezpieczeństwa, sprawdza dane o pacjencie. Założmy, że lekarz omyłkowo zlecił penicylinę pacjentowi

wi, który jest na nią uczulony, i podanie leku grozi wstrząsem. Komputer posiada te wszystkie informacje i przekazuje je lekarzowi, a ten może skorygować błąd.

– Więc istnieje możliwość, że na tym poziomie wprowadzane są dodatkowe instrukcje?

– Teoretycznie tak – odparł Holland. – Przez podprogramy.

– A praktycznie? – zapytał Kincaid, słysząc niezdecydowanie w głosie Hollanda.

– I ja, i inni programiści wiedzielibyśmy o istnieniu takich programów. Chyba, że...

– Tak?

– Chyba że są umieszczone w pamięci dodatkowej komputera.

Kincaid zupełnie nie orientował się w terminologii, jaką operował Holland. Więc nie przerywał mu, czekając, aż Dave sam coś wymyśli.

– Tak. Chyba o to nam chodzi – stwierdził Holland. – Nikt z nas nie ma bezpośredniego dostępu do pamięci dodatkowej.

– Zgubiłem się – przyznał Kincaid.

– Istnieje dodatkowa kopia programu z danymi pacjentów. Przypuszczałem, że trzymają ją na wypadek awarii czy uszkodzenia programu-matki. French ma ją u siebie. Gdyby do głównego programu dodano podprogramy, ja albo któryś z moich kolegów dowiedzielibyśmy się o tym.

Kincaid zaczynał rozumieć.

– A więc jeżeli zamówienie dociera do pamięci dodatkowej komputera, instrukcja może zostać dowolnie zmieniona?

– Lecz tylko za zgodą pana Frencha – dodał Holland. – Jeżeli to prawda... osobiście rozprawię się z tym skurwiele!

W głosie Hollanda było tyle zaciekleści i nienawiści, że ciarki przeszły Kincaidowi po plecach.

– Przede wszystkim musimy uzyskać dostęp do pamięci dodatkowej komputera, a wtedy dobierzemy się im do skóry.

Holland, który przez ostatnie pięć minut wpatrywał się w jeden punkt, zamrugał nerwowo i potarł czoło.

– Masz rację – powiedział. Wstydził się swojego wybuchu.

– Czy możesz zdobyć ten program?

– Jestem starszym programistą. Mam klucz do gabinetu Frencha.

– Czy pamięć dodatkowa to coś, co można ukraść?

Holland pokręcił głową.

– Czterech osiłków musiałyby wynieść komputer. Spróbujemy odnaleźć program rezerwy. Poza tym każę komputerowi porównać obie pamięci i wyświetlić listę różnic.

– A może złożyłbyś kilka zamówień? – zaproponował Kincaid.

– Co masz na myśli?

Kincaid opowiedział mu o dwóch fałszywych zamówieniach na antybiotyki i wysłanych próbkach.

- Moglibyśmy zobaczyć, jak to działa.
- Dobry pomysł – zgodził się Holland.
- Czy mógłbyś zabrać mnie ze sobą? – zapytał Kincaid.
- Jest nas dwóch na dyżurze. Frank idzie na przerwę po moim powrocie. Wtedy mógłbym cię wpuścić. Mielibyśmy czterdzieści minut.
- W takim razie, w drogę!

Tolkien zerknął na zegarek, zastanawiając się, jak Kincaid sobie radzi. Było w pół do trzeciej nad ranem i zmęczenie, potęgowane strachem i dokuczliwym bólem w krzyżu, dawało znać o sobie. Eve spała spokojnie, więc Tolkien był pewien, że antybiotyki działają.

Wstał, przeciągnął się i wyszedł, aby przygotować herbatę. Uśmiechnął się na myśl, że całe pokolenia Anglików w ciężkich chwilach parzyły sobie niezmiennie tę samą herbatę. Zacierając z zimna ręce minął korytarz i przeszedł do kuchni, znajdującej się z tyłu domu. Gdy zapalał światło, wydawało mu się, że usłyszał jakiś hałas. Zatrzymał się w pół kroku, lecz wokoło panowała cisza przerywana jedynie drżeniem szyb poruszanych podmuchami wiatru. Zapalił gaz i napełnił czajnik wodą.

Gdy włączył światło, w szybie pojawiło się karykaturalne odbicie pomieszczenia. Czekając na wodę, lekarz obserwował to widowisko i marzył o wydostaniu z tego zapomnianego przez Boga miejsca. Wtem w oknie pojawiła się zamaskowana twarz. Tolkien cofnął się i oparzył gorącym czajnikiem. Z przerażeniem patrzył, jak szyba wraz z solidną ramą pęka pod miazdzącymi uderzeniami młota. Po kilku lżejszych ciosach wypadły ostatnie fragmenty szkła.

Odłamki sztucznej szyby posypały się wprost na Tolkiena. Czuł, jak krew spływa mu po twarzy. Chciał się odwrócić i uciec, ale atletyczny napastnik przedostał się przez wybite okno i schwytał go, gdy lekarz już sięgał klamki.

– Dokąd to? – syknął mu do ucha natarczywy głos. W oknie ukazała się druga postać.

Tolkien znalazł się na podłodze, z twarzą przyciśniętą do zimnej posadzki i rękami wykręconymi boleśnie z tyłu.

– Zgubiliśmy naszego cholernie cwane go dziennikarza – powiedział ochryple jeden z nich. – Dokąd pojechał?

– Nie wiem, o kim... – Tolkien zawył z bólu, gdy wykręcono mu palce.

– Nie zadzieraj z nami! – szepnął mu do ucha ten sam głos. – Gdzie jest Kincaid?

– W domu.

Tym razem napastnik ze złością wyłamał Tolkienowi prawy palec wskazujący. Szarpnął go ze wszystkich sił, tak że torebka stawowa i wszystkie więzadła popękały. Tolkien omal nie zemdleł. Ból był nie do wytrzymania, pot zalewał mu oczy, nie mógł też nabrać powietrza przez zwężone, wskutek przeżytego wstrząsu, oskrzela.

Drugi z napastników, zwiedziwszy cały gabinet, wrócił do kuchni.

– Mamy tu jeszcze pielęgniarkę.

– Trzymaj go – powiedział oprawca Tolkiena podnosząc się z kolan. Zauważył zestaw instrumentów, których lekarz używał do nacinania ropni. Wygrzebał stamtąd trzonek skalpela, obejrzał go ze wszystkich stron, wybrał odpowiednie ostrze i złożył skalpel. Ostry, metaliczny dźwięk przy łączeniu obu części sprawił mu przyjemność. Odwrócił się i popatrzył na Tolkiena z sadyzycznym uśmiechem.

– Szybciej – ponaglił go. – Zadałem ci pytanie.

Tolkien siedział na podłodze z rękami związanymi na plecach i wyciągniętymi przed siebie nogami. Desperacko pokręcił głową.

– Pojechał do hotelu. Nic więcej wam nie powiem – szepnął.

Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się ani na chwilę. Pochylił się i przyłożył mu skalpel do krocza. Zatrzymał się na chwilę, by uchwycić zwierzęcy strach w oczach lekarza, i zwiększył napór. Materiał spodni pękł, odsłaniając nagą skórę moszny.

– Ostatnia szansa.

– Już powiedziałem – odparł z determinacją Tolkien.

Nieludzki krzyk rozdarł nocną ciszę, gdy oprawca zadał cios. Skalpel przeciął skórę i otaczające tkanki, docierając do jąder. Gdy Tolkien odzyskał przytomność, poczuł, jak gorąca krew spływa mu po nogach. Poddał się, powiedział im wszystko.

– Dzwon do Schreiberera i zaraz jedź do niego – rzucił oprawca Tolkiena do swego kompana. – Skończę z nim i rozprawię się z tą suką.

Tolkien był półprzytomny, gdy zobaczył strzykawkę i poczuł, że ktoś podciąga mu rękaw.

– Co... co to jes...

– Chlorek – rzucił mężczyzna beznamiętnym głosem i wbił igłę.

Tolkien zmarł. Na jego twarzy pozostał wyraz nieludzkiego cierpienia. Morderca nie wyjął nawet strzykawki z ramienia lekarza. Odwrócił się w drzwiach, aby jeszcze raz spojrzeć na ofiarę.

– Teraz pasujesz do tych gnojków! Tak się o nich troszczyłeś!

Eve ocknęła się słysząc krzyk Tolkiena. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani co się dzieje, lecz czuła, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Chociaż była bardzo słaba, mogła logicznie myśleć. Bała się, że dojdzie do najgorszego. Rozejrzała się po gabinecie w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Zatrzymała wzrok na małym pojemniku, do którego Tolkien wyrzucił zużytą, po pobraniu krwi, igłę. Kubeł był prawie pełny i ostatnia strzykawka leżała na wierzchu.

Z wielkim trudem wstała z łóżka i słaniając się na nogach, podeszła do stolika. Już trzymała strzykawkę w ręku, gdy nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa i jedyna broń potoczyła się po podłodze. Ostatkiem sił uklękła i sięgnęła po nią.

Kolejny nieludzki krzyk Tolkiena rozdarł nocną ciszę. Strach dodał jej sił i szybko wróciła do łóżka. Nakryła się kocem, prawą rękę zacisnęła na strzykawce i czekała na swojego oprawcę. Nasłuchiwała z zamkniętymi oczami, lecz w domu zapanowała cisza.

Po chwili, która dla Eve była wiecznością, drzwi do pokoju otworzyły się i ktoś wszedł do środka. Gdy się zbliżył, poczuła zapach mężczyzny. Mieszana wody po goleniu, potu i coś jeszcze... to pachniało jak chlorek!

– Szkoda – usłyszała męski głos. – Ładna z ciebie laleczka.

Eve czuła, jak mężczyzna unosi koc i kładzie rękę na jej lewym udzie. Z trudem zachowała spokój. Gdy jego palce posuwały się coraz dalej, mimowolnie cofnęła nogę. Ręka zatrzymała się.

– Może wcale nie jesteśmy tacy nieprzytomni, co, laleczko? – szepnął jej do ucha.

Eve odwróciła głowę i jęknęła cicho, jakby śniła koszmarny sen.

– To i tak bez znaczenia – usłyszała ten sam głos. Mężczyzna wy dobył spod koca jej lewe ramię i podciągnął rękaw.

W chwili, gdy Eve poczuła ukłucie igły, nagle otworzyła oczy.

– Hej, ty! – krzyknęła.

Zaskoczony oprawca odwrócił się raptownie. Dziewczyna błyskawicznie wyciągnęła strzykawkę. Igła trafiła go w wewnętrzny kąt lewego oka i wbiła się aż po trzonek.

Patrzyła ze zgrozą, jak mężczyzna chwieje się, pada w śmiertelnych drgawkach, gwałtownie, niczym astmatyk, łapie powietrze i jak rażony prądem wije po podłodze. Agonia trwała już ponad minutę. Eve przyglądała się temu z rosnącym przerażeniem. Rozszerzająca się, wilgotna plama na spodniach mężczyzny świadczyła, że stracił kontrolę nad zwieraczami.

– Boże! Proszę cię, niech to się skończy! Niech się skończy! – mamrotała bliska obłądu.

Nagle ciało zesztyniało. Dziewczyna zeszła z łóżka i na kolanach, nie spuszczając trupa z oczu, przyczołgała się do drzwi. Musiała znaleźć Tolkiena. To co zobaczyła, poraziło ją. Upadła na podłogę zemdlona.

Kincaid zaparkował samochód na uboczu i wrócił do szpitala. Postępując zgodnie z poleceniami Hollanda, wszedł dopiero, gdy zobaczył idącego na przerwę zmiennika Dave'a. Holland wpuścił go do środka i starannie zamknął drzwi. Spojrzał na zegarek.

Holland był już po stronie Kincaida. W jego oczach widać było determinację.

– Spokojnie – powiedział Kincaid nie tyle do Dave'a, ile do samego siebie.

Holland wskazał Kincaidowi krzesło przy komputerze.

– Kiedy ci powiem, wpiszesz te dane. – Mimo że byli sami, Dave mówił szeptem. Podał Kincaidowi kartkę, na której znajdowały się zamówienia na leki. Holland zniknął za drzwiami. Po chwili Kincaid usłyszał:

– Teraz!

Starannie, aby nie popełnić błędu, przepisał dwoma palcami cały tekst z kartki do komputera. Zamówienie opiewało na środki przeciwbólowe przeznaczone dla trzydziestoletniego mężczyzny z półpaścem*. Holland podał mu kolejną kartkę.

– Dobra. Jeszcze tylko to – powiedział.

Tym razem było to zamówienie na środki uspokajające dla siedemdziesięciosmioletniej kobiety cierpiącej na *polineuritis**.

Holland wrócił do pokoju z wyrazem tryumfu na twarzy.

– Miałem rację – powiedział. – Pierwsze zamówienie zostało skierowane do oddziału farmaceutycznego, a drugie przekazane do pamięci dodatkowej. Kazałem komputerowi porównać oba programy i pamięci operacyjne i wyświetlić listę różnic.

– Ile to potrwa? – zapytał Kincaid.

– Kilka minut.

Kincaid spojrzął na zegarek.

Gdy czekali na wydruk, powiedział:

– Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Claire Affric złożyła zamówienie na antybiotyki dla Eve.

Powiedział Hollandowi całą historię.

– Może uda mi się odtworzyć zamówienie – powiedział Holland. Wprawną ręką, niemal nie dotykając klawiatury wpisał kilka informacji do komputera. Pytanie – odpowiedź, pytanie – odpowiedź i po kilku sekundach wynik ukazał się na monitorze.

– Proszę bardzo. Doktor Affric zamówiła antybiotyki dla zabezpieczenia przed zakażeniem rany ciętej. Pacjentka Eve Laing, wiek... osiemdziesiąt siedem!

– Eve skończyła dwadzieścia siedem – odparł Kincaid.

– Oto i odpowiedź – odparł Holland. – Błędnie podany wiek chorej.

Kincaid uśmiechnął się gorzko: rzeczywiście – „błędnie”.

Zza drzwi usłyszeli szum drukarki. Holland oderwał zapisaną kartkę i przeczytał ją uważnie. Kincaid zerkał mu przez ramię.

– Cholera – zaklął Holland.

– Co się stało?

– Nie potrafię rozszyfrować wszystkich kodów. Wiemy, że niektóre zlecenia są przesyłane do dodatkowej pamięci komputera. Są to zamówienia dotyczące starców, lecz prawdopodobnie istnieją jeszcze inne wskazania do zmiany toru przebiegu informacji. W pamięci dodatkowej następuje modyfikacja zlecenia, a do oddziału farmaceutycznego dociera polecenie wydania określonych preparatów „zastępczych”. Często pada tu hasło „Lander”.

– Lander – powtórzył Kincaid.

* półpaśiec – choroba wirusowa objawiająca się występowaniem bolesnych pęcherzyków na ograniczonym obszarze skóry (przyp. tłum.)

** *polineuritis* – zapalenie wielonerwowe (przyp. tłum.)

– Tak. Lander 1, Lander 2 i tak dalej. Nasze zamówienie dla siedemdziesięcioośmioletniej babci otrzymało kod Lander 5.

Nagle Kincaid doznał olśnienia.

– Lander! – krzyknął. – Lander to nazwa firmy farmaceutycznej, dla której pracował Schreiber! Te preparaty muszą być produkowane przez Landera!

– Więc wszystko gra – odparł Holland.

– Czy możemy się dostać na oddział farmaceutyczny? – zapytał Kincaid. – Czy możemy zabrać próbki tych specyfików?

– W nocy farmacja jest zamknięta.

– Zamknięta?

– I pilnie strzeżona.

Kincaid domyślił się, że zadał głupie pytanie.

– A co się dzieje, gdy zamówienie przychodzi w nocy? – drążył temat.

– Zwykle leki są wysyłane przez specjalne podajniki, sprzężone z komputerem. Otwarty jest tylko jeden punkt, obok pracowni patologicznej, gdzie można je odebrać.

– Tam będą leki, które zamówiliśmy? – domyślił się Kincaid.

– Zupełnie o nich zapomniałem. Tak, właśnie tam.

– Lepiej je odbierzmy.

Holland spojrział na zegar wiszący na ścianie i powiedział:

– Musisz już iść. Frank wróci lada moment.

Nie dokończył, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Cholera! – warknął Holland. – Wrócił wcześniej!

Kincaid rozejrzał się po sali.

– Gdzie on siedzi? – zapytał szeptem.

Holland wskazał głową na krzesło obrotowe.

Kincaid bez słów pokazał ręką miejsce, gdzie ściana, załamując się pod kątem prostym, tworzyła wnękę.

– Schowam się tam. Zajmij go czymś, a ja się ulotnię.

Holland przytaknął, lecz Kincaid zauważył, że jego nerwy są napięte do granic wytrzymałości. Pukanie do drzwi powtórzyło się.

– Już otwieram! – krzyknął Holland łamiącym się głosem.

Złapał jeszcze wydruk komputerowy i rzucił go Kincaidowi.

– Lepiej to zabierz – szepnął. Był już przy drzwiach, gdy nagle zawrócił. – Program!

Pobiegł po niego. Po kilku sekundach był z powrotem. Rzucił Kincaidowi metalowy pojemnik.

– Masz wszystkie dowody!

Gdy tylko Holland otworzył drzwi, Kincaid już wiedział, że sprawy nie ułożyły się po jego myśli. Zamiast spodziewanego koleżeńkiego powitania, usłyszał odgłosy szamotaniny.

– Załatw go! – padł rozkaz.

Kincaid przylgnął do ściany wnęki i wstrzymał oddech. Jeden z mężczyzn, będący prawdopodobnie współpracownikiem Hollanda, krzyknął:

– Boże Świąty! Dave! Czego oni od ciebie chcą?

– Gdzie on jest? – zapytał dystyngowany głos.

– Kto, panie Schreiber? – zapytał Holland.

– Nie nadużywaj naszej cierpliwości, Holland! – krzyknął ktoś inny. – Odpowiadaj: gdzie jest Kincaid?

– Kto to jest Kincaid?

Do uszu Kincaida dobiegł odgłos wymierzonego policzka, a zaraz potem nie-ludzki ryk bólu. Spuścił głowę w odpowiednim momencie, by zobaczyć trzy zęby toczące się po podłodze. Jeden zatrzymał się niecały metr od jego stopy i był otoczony niewielkim fragmentem krwawej tkanki. Kincaid odwrócił głowę.

– Jezu! Dave! Powiedz im wszystko! – ponaglał go kolega.

Jego ramię podparł metaliczny dźwięk odbezpieczanej broni. Zapadła cisza.

– Zabiłeś ją! – krzyknął Holland. – Ty parszywy, zasrany dupku! Ty...

Tyrada Hollanda zakończyła się kolejnym ciosem.

Kincaid widział oczami wyobraźni rewolwer wycelowany prosto w skroń Deve'a. Nagle zobaczył go w rzeczywistości. Holland czołgał się po podłodze zamroczony potężnym ciosem. Był teraz nie więcej niż dwa metry od niego i Kincaid patrzył mu prosto w oczy, w jego zakrwawioną twarz.

Tuż za Deve'em pojawiło się potężne ramię jego oprawcy.

– Gdzie jest Kincaid? – zapytał, przystawiając mu rewolwer do piersi.

W oczach Hollanda malował się zwierzęcy strach. Ominął wzrokiem napastnika i spoglądał wprost na Kincaida.

Mężczyzna zorientował się, że Holland nie patrzy na niego i w chwili, gdy Kincaid zamierzał go zaatakować, raptownie się odwrócił. Wymierzony cios trafił w policzek i choć był wystarczająco silny, aby zwalić go z nóg, to poza tym nie wyrządził żadnych poważnych szkód. Napastnik nadal trzymał w ręku broń. Kincaid poznał w nim pielęgniarza z BMW, jednego z tych, którzy wyrzucili go na nasyp kolejowy. Rzucił się w stronę rewolweru, dotknął go, lecz nie zdołał złapać. Poczul rwący ból w lewej łydce, ale z satysfakcją spostrzegł, że broń toczy się po podłodze.

– Jim! – usłyszał ostrzegawczy krzyk Hollanda. Kincaid spojrział w lewo i w ostatniej chwili zauważył, że Schreiber zamierza się na niego. Skoczył na podłogę i poturlał się pod ścianę. Miał w zasięgu ręki metalowy pojemnik z programem komputerowym, złapał go i cisnął prosto w Schreibera. Trafił go w przepone, bo mężczyzna zgiął się wpół i upadł na ziemię. W tej samej chwili Kincaid zauważył, że pielęgniarz sięga po rewolwer. Holland starał się go powstrzymać, ale był zbyt słaby, by pokonać osiłka. Goryl podniósł broń i wycelowwał w bezbrownego Hollanda.

Wpakował w niego dwa naboje. Kincaid z przerażeniem widział, jak ciało Dave'a podskakuje w śmiertelnych drgawkach niczym szmaciana lalka. W pa-

nicznym strachu rzucił się do drzwi, chwytając w biegu pojemnik z programem. Za plecami usłyszał krzyk Schreibera:

– Dalej, durniu! Biegnij za nim!

Kątem oka zauważył, że sam dyrektor ślania się po korytarzu.

Strach przed naładowanym rewolwerem wymierzonym w jego plecy sprawił, że Kincaid biegł jak oszalały, nie zważając na szarpający ból w nodze. Zwolnił, gdy dotarł do pierwszego zakrętu. Niespokojnie rozejrzał się wokół, układając w myśli plan ucieczki. Przed nim był długi korytarz. Tu nie miał żadnych szans na ocalenie. Dostrzegł kilka bocznych odnóg. Pierwsza prowadziła w lewo. Widniał nad nią duży, zielony napis ANATOMIA PATOLOGICZNA. Kincaid skreślił i znalazł się w ślepych zaułku.

W końcu korytarza były dwie pary podwójnych drzwi. Szarpnął pierwsze. Zamknięte. Szarpnął drugie – oszklone. Ustąpiły. Dziennikarz wślizgnął się do środka, zamknął je za sobą i przekręcił zamek yale. Zmęczony, oparł się plecami o drzwi i ciężko oddychał. Chcąc ocenić sytuację, rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu. Niespokojnie wsłuchiwał się w odgłosy z korytarza. Po krótkiej chwili usłyszał głos Schreibera:

– Patrz! Tu są ślady.

Kincaid spuścił wzrok i zauważył, że ze zranionej nogi sączy się krew, zostawiając na podłodze krwawy trop.

Światło, padające z korytarza, oświetlało ciemne biuro. Zanim poznał prawdziwą przyczynę, sądził, że to z powodu skromnego umeblowania pomieszczenie nie było zamykane w nocy. Zauważył dwa pojemniczki stojące na tacy przy okienku. A więc to był pokój, w którym wydawano leki, a przygotowane preparaty pochodziły z zamówienia przekazanego niedawno przez Hollanda.

Kincaid włożył je do kieszeni. Na korytarzu, za szybą pojawiły się dwie postaci. Zauważył niebieskie drzwi na końcu pokoju. Nacisnął klamkę i otworzył je. Wszedł do środka i nim zapalił światło, zamknął je starannie za sobą. Modlił się, aby zamki choć przez chwilę zatrzymały pościg. Stał u szczytu kamiennych schodów. Ceglane ściany pobielono farbą. Kurz i pajęczyny świadczyły, że był tutaj pierwszym gościem od bardzo długiego czasu. Nie miał odwrotu, musiał brnąć dalej. Zbiegł ze schodów tak szybko jak potrafił, wierząc, że znajdzie ukryte podziemne przejście, które pozwoli mu wydostać się z pułapki. U podnóża schodów musiał schylić głowę, gdyż z sufitu sterczały pionowo metalowe pręty. Z jednego sączyła się leniwie para. Kincaid przebiegając poczuł na policzku ciepły podmuch. Nagle zatrzymał się przed ścianą cegieł. Był w potrzasku!

Na szczęście znajdowało się w niej dwoje drzwi. Otworzył pierwsze. Miał wrażenie, że znalazł się w starej sali operacyjnej. Stwierdził jednak, że wystrój bardziej przypomina prosektorium. Stół był tak wiekowy, że jego pierwsi użytkownicy musieli jeszcze nosić habity i posługiwał się srebrnymi narzędziami. Białe kafelki na ścianach pojawiły się przy kolejnych remontach.

Kincaid wyszedł na korytarz i sprawdził następne drzwi. Zapalił światło i jego oczom ukazały się, zakonserwowane w słojach z formaliną, płody ustawione rzędem pod przeciwległą ścianą. Kiedy przemógł obrzydzenie, doszedł do wniosku, że znajduje się w muzeum katedry patologii.

Sala była dużo większa niż poprzednia, długa i wąska. Na środku umieszczono długą ławę tak, że zwiedzający chodzili wokół niej, oglądając ustawione pod ścianami eksponaty. Na ciemnozielonych, oszklonych półkach stały odczynniki zapewniające nieśmiertelność prezentowanym preparatom. Dostał mdłości. Wszystko było w porządku, dopóki nie przyglądał się zawartości słoików, kiedy jednak...

Kincaid usłyszał odległy brzęk wybijanej szyby. Schreiber i jego goryl musieli sforsować pierwszą zapórę. Wybiegł na schody i zgasił światło, a następnie wrócił do muzeum starannie zamykając drzwi.

Przejrzał wszystkie szafki w poszukiwaniu ciężkiego, ostrego przedmiotu, ale znalazł tylko butelki z medykamentami i słoje z formaliną. W rogu, na metalowym stojaku, Kincaid zauważył duży, zabezpieczony dwoma stalowymi łańcuchami, dwudziestolitrowy kanister ze skażonym spirytusem. Kincaid szarpnął jeden z łańcuchów w nadziei, że wykorzysta go do obrony. Musiał jednak zrezygnować. Choć wściekły, przyznał w duchu, że to i tak nie miało sensu. Wiadomo było, że nie pokona dwóch uzbrojonych mężczyzn przy pomocy zwykłego łańcucha.

Jedyną jego szansą było zaskoczyć przeciwnika. Obmyślił plan: schowa się pod ławą na końcu sali, tak żeby wchodzący nie mogli go zauważyć. Oni, wedle zasad logiki, okrążą salę z dwóch stron, aby go osaczyć, i jeżeli w jakiś sposób zasugeruje im, że ukrył się na przeciwległym krańcu, pójdą w tamtym kierunku, otwierając mu drogę ucieczki. Żarówka brzęcząca cicho pod sufitem, nagle umilkła i zgasła, zostawiając oszołomionego Kincaida w ciemności.

W pierwszej chwili ogarnęła go panika, ale szybko zdołał się opanować. Przypomniawszy sobie, że na półce po lewej stronie, tuż za palnikiem bunsenowskim, widział paczkę starych zapalek. Skierował się w tę stronę i po omacku znalazł pudełko. Pierwsza zapalka była tak stara, że zdążyła tylko błysnąć i rozpadła się. Druga również. Dopiero trzecia zapłonęła, doprowadzając Kincaida do kryjówki.

Po drodze podniósł pustą, szklaną butelkę, schował się w upatrzonym miejscu i zdmuchnął płomień. Wszystko teraz zależało od jego precyzji.

W szparze drzwi pojawiła się jasna smuga wskazując, że na korytarzu włączono światło. Kincaid usłyszał odgłosy kroków, a po chwili dobiegł go głos Schreibera:

– Na miłość boską! On nie ma broni. Rusz się!

– Niech mnie pan nie pogania! – padła krótka replika. – On nie jest głupi.

„Jest. I to bardzo – pomyślał Kincaid. – Wystawił się dwóm uzbrojonym facetom”. Usłyszał trzask drzwi w sąsiedniej sali. Nadeszła rozstrzygająca chwila – teraz albo nigdy.

Drzwi uchyliły się powoli. Schreiber powiedział donośnym głosem:

– Pora się żegnać, panie Kincaid. Skończmy tę głupią grę.

Żarówka zamigotała i zgasła.

– Nie działa – stwierdził goryl, otwierając szerzej drzwi, aby wpuścić do mrocznego pomieszczenia odrobinę światła. – Nie ma go tutaj!

– Musi być – odparł Schreiber. – To jedyne miejsce. Pewnie schował się za tą ławą.

Kincaid czekał na tę chwilę. Cisnął pustą butelkę w najciemniejszy kąt celując w taki sposób, aby ława zasłaniała tor jej lotu. Butelka rozbiła się z hukiem i w tej samej chwili pielęgniarz otworzył ogień. Dźwięk tłuczonego szkła i szum płynów, wylewających się z przedziurawionych pojemników, spotęgowały huk serii z rewolweru.

Wszystko szło zgodnie z planem. Obaj mężczyźni ostrożnie zbliżali się do przeciwnego końca sali. Kincaid był gotów do ucieczki.

– Nie ma go tu! – krzyknął pielęgniarz.

Schreiber odwrócił się zbyt szybko i zastał Kincaida stojącego bezradnie na środku sali.

– Stać! – krzyknął.

Kincaid zatrzymał się. Plan spalił na panewce.

– Jezu Chryste! W mordę kopany! – Pielęgniarz cofnął się, z przerażeniem patrząc na podłogę. Schreiber rzucił okiem w tamtym kierunku.

– Uspokój się! – powiedział. – To tylko preparat, do tego nieżywy. Nic ci nie zrobi.

Pielęgniarz nie spuszczał oczu z rozbryźniętej, biało-różowej masy u swoich stóp. Cofając się, potracił Schreibera. Kincaid miał kolejną możliwość ucieczki, lecz zanim zdążył się odwrócić, Schreiber znów trzymał go na muszce.

Kincaid pomyślał z rezygnacją, że oto przepadła ostatnia szansa ocalenia. Jego życie wisiało na włosku. Nie dałby za nie więcej niż za tę ciecz kapiącą na podłogę u stóp Schreibera i tworzącą coraz większą kałużę. Nagle oprzytomniał: sytuacja wcale nie była beznadziejna. Tą cieczą był czysty spirytus wypływający z przedziurawionego kanistra. Kolejny raz zaświtała nadzieja. Wciąż miał przy sobie pudełko zapalek.

Gdy Schreiber próbował przekonać swojego goryla, że nie musi się obawiać preparatów rozrzuconych po podłodze, Kincaid schował ręce za siebie, wyjął z pudełka kilka zapalek i szybkim ruchem potarł krzesiwo. Kiedy tylko usłyszał syk płomienia, włożył zapalki do pudełka i rzucił je w stronę Schreibera. Jeszcze, będąc w powietrzu, buchnęło płomieniem. Schreiber momentalnie wypalił do Kincaida, ale spudłował, spłoszony nadlatującą ognistą kulą.

Ogień dotarł do zalanej alkoholem podłogi i cała sala stanęła w ogniu, zamykając napastników Kincaida w kręgu błękitnych płomieni. Krzyki palących się ludzi wypełniły salę. Ogień był tak gwałtowny, że nie mieli szans na ucieczkę. Po chwili wszystko ucichło, ciała przewróciły się na ziemię, a języki ognia objęły ich twarze.

Kincaid złapał pudło z programem komputerowym i wbiegł na schody. Ogień nie powinien przedostać się przez solidne ceglane ściany, ale, na wszelki wypadek, włączył pierwszy napotkany alarm przeciwpożarowy.

Jeszcze nie był bezpieczny. Nie miał pojęcia, co się działo z pozostałymi współpracownikami Schreibera. Prawdopodobnie wszystkie wyjścia były obstawione.

Alarm przeciwpożarowy wprowadził zamieszanie, które mogło mu pomóc w ucieczce. Mijając korytarz łączący centrum komputerowe z właściwym budynkiem, zauważył, że przed izbą przyjęć stoi pusta karetka. To była jego szansa.

Kincaid jednym spojrzeniem obrzucił konsolę karetki i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik pracował bez zarzutu. Rozejrzał się wokoło. Spodziewał się, że ktoś będzie próbował go zatrzymać, lecz alarm zupełnie zdeorganizował pracę szpitala. Wyprowadził karetkę z miejsca postojowego i przyspieszył. Nie włączył syren, jedynie uruchomił ostrzegawcze, niebieskie światło. Trzy bloki za szpitalem, już na sygnale, dodał gazu, aby jak najszybciej dotrzeć do Eve i Tolkiena.

Gdy po trzecim dzwonku nikt nie otworzył drzwi, wyobrażenia podsuwała Kincaidowi najczarniejsze obrazy. W szpitalu był tylko jeden pielęgniarz. Co się stało z drugim? Czy przyjechali do gabinetu Tolkiena? Czy tu dowiedzieli się, że był z Hollandem?

Kincaid okrążył dom, ale światła były pogaszone. Ze zranioną nogą z trudem przedostał się przez płot, ale niepokój o Eve był silniejszy niż ból. W miejscu dawnego okna zobaczył czarną dziurę. Wskoczył stamtąd kot, który otarł się o twarz Kincaida. Dziennikarz podciągnął się na rękach i zajrzał do środka, lecz w otaczających ciemnościach nie mógł niczego dojrzeć. Zacisnąwszy zęby, wszedł przez okno i skierował się do drzwi, aby zapalić światło. W ciemności potknął się. Gdy zobaczył, że to ciało Tolkiena, zrobiło mu się niedobrze. Nie chciał się nad tym zastanawiać, gdyż myśli, że to samo mogło spotkać Eve, była dla niego nie do zniesienia. Wzbierała w nim złość. Zamarł, gdy zobaczył ją leżącą w korytarzu. Obawiał się najgorszego. Podbiegł do niej, ukląkł, ujął jej głowę i przytulił do piersi. Bezgraniczna rozpacz sprawiła, że nie miał siły utrzymać jej bezwładnego ciała.

Eve jęknęła cicho i otworzyła oczy. Spojrzała na Kincaida i z ulgą zamknęła je z powrotem.

– Dzięki Bogu! Nic ci się nie stało? – szepnęła. – Czy to już koniec?

Kincaid ze wzruszenia nie mógł wymówić słowa.

– Prawie – odparł łamiącym się głosem.

Długo tulił ją do siebie, a potem podniósł i zabrał do gabinetu Tolkiena.

– Nie tam – powiedziała Eve.

Kincaid zatrzymał się.

– Potem ci wyjaśnię.

- Muszę zadzwonić do Fletchera – powiedział Kincaid.
- Tylko pozwól mi usiąść.

– James? Dzięki Bogu, nic ci nie jest. Masz dowody, o które nam chodziło? – zapytał Fletcher.

– Mam – odparł Kincaid. Był nieładnie zmęczony. – Ale zapłaciłem za nie wysoką cenę. Zamordowali Neila Tolkiena. Schreiber i jeden z jego goryli nie żyją. Pewien miły facet o nazwisku Dave Holland – też. Eve jest chora i potrzebuje natychmiastowej pomocy. Ja też ledwo żyję. Poza tym nie mam pojęcia, gdzie jest reszta bandy Schillera. Mogą tu przyjść lada chwila.

– Nie mogą – odparł Fletcher.

– Dlaczego?

– Ponieważ już siedzą.

– Jak to?

– Kiedy otrzymałem twoją paczkę, stwierdziłem, że to wystarczy. Poszedłem razem z wydawcą do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i opowiedziałem o wszystkim. Scotland Yard przysłał brygadę specjalną. Ujęto ich dzisiaj nad ranem. Są już pod kluczem. Wczoraj wieczorem gdy otrzymaliśmy wyniki z laboratorium i okazało się, że w jednej ampułce był antybiotyk, a w drugiej szczep bakterii, przekazaliśmy to policji, a oni zrobili resztę. Jeżeli chcesz, możesz się z nimi skontaktować.

Kincaid opowiedział Fletcherowi o wydarzeniach w szpitalu.

– Mam kopię programu komputerowego kierującego całym systemem i taśmę wideo z ostatnią operacją Freemana. On wcale nie zmarł na atak serca. Zamordowano go. Jeżeli jeszcze nie aresztowali Claire Affric, to powinni to zrobić jak najszybciej. To ona go zabiła.

– Przekażę im. Gdzie teraz jesteś?

Kincaid powiedział mu.

– Wyślę do ciebie moich ludzi. Masz ze sobą program i taśmę wideo?

– Tak.

– Już do ciebie jadą.

Kincaid odłożył słuchawkę. Oparł się o ścianę, poczuł ściskanie w żołądku. To już koniec. Teraz musiał usiąść i spisać całą tę historię. Mój Boże! Jaką historię?

– Wszystko w porządku? – zapytała Eve.

– Tak – odparł Kincaid. Ukląkł u stóp dziewczyny i odgarnął włosy z jej czoła. – Już po wszystkim. Pomoc jest w drodze. Jak się czujesz?

– Przeżyję – uśmiechnęła się Eve.

– Mówiłem ci, jak bardzo cię kocham? – zapytał Kincaid.

– Nie wierzę – szepnęła Eve.

– A ja tak.

– To wspaniale.

– Zostaniesz moją żoną?

- Tylko pod jednym warunkiem – odparła Eve.
 - Jakim?
 - Zabierzemy Kerry do naszego, wspólnego domu.
 - Ale...
 - Wiem, że ona jest bardzo ważna dla ciebie. Nie martw się, będzie nam razem cudownie. Obiecuję.
- Kincaid pocałował delikatnie swoją narzeczoną i objął ją czule.

W londyńskim biurze jeden z uzbrojonych mężczyzn podszedł do biurka.

– Doskonale się pan spisał, Fletcher.

Padły dwa strzały i ciało redaktora osunęło się bezwładnie na ziemię.